Dodatek do „Kurjera Codziennego.“

Trzy miljony posagu.

POWIEŚĆ

Ksawerego Montépina.

CZĘŚĆ DRUGA.

WARSZAWA
DRUK S. ORGELBRANDA SYNÓW
Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

1891.

Дозволено Цензурою

Варшава, 3 Іюня 1891 года.

Dama w szmaragdach.

I.

Rozstaliśmy się z Juljuszem Claude w chwili, gdy artysta obliczywszy swe oszczędności, wynoszące dwa tysiące sześćset kilkadziesiąt franków, powiedział sobie:

— To mało... trzeba jeszcze czekać.

I czekał, oszczędzał, odmawiał sobie najkonieczniejszych potrzeb życia i obliczał termin oczekiwanej choroby hrabiny.

Nareszcie chwila ta nadeszła.

Obliczył znowu swe fundusze i znalazł trzy tysiące pięćset franków.

— Wystarczy już—pomyślał—mogę jechać.

Udał się do przedsiębiorcy, od którego otrzymywał roboty, wziął urlop na miesiąc i pięćset franków zaliczki na prace przyszłe i następnie dla zasięgnięcia najświeższych wiadomości o Henryce, pod pozorem obejrzenia dekoracyjnych robót, poszedł na ulicę Cyrkową.

— Co pana tu sprowadza? — zapytał Dufour spostrzegłszy go.

— Przyszedłem zobaczyć jak idą roboty

— Postępują, doskonale postępują, nie wiele już brakuje do końca... przecież ja sam kieruję, a znam się na tem. A i hrabia jak zadowolony...

— Więc hrabia jest w Paryżu?

— Był i odjechał wczoraj po południu.

— I dokąd się udał?

— Do Włoch, do żony, która niedługo spodziewa się słabości...

— Zapewne sprowadzi ją do Paryża?

— Wcale nie! — odrzekł Dufour śmiejąc się. — Hrabina pozostanie w Wenecji, a hrabia powróci sam... Wtedy dopiero zacznie się u nas życie!

Juljusz pożegnał Dufoura i wyszedł.

— Więc hrabia de Lucenay pragnie ją ukryć przed światem na czas jakiś — myślał Claude — i dla tego pozostawia we Włoszech, albo może przywiezie do Chennevières... Więc zaślubiając Henrykę znał jej sytuację i przyjął ją... za miljony! Więc równie jest nikczemnym jak jego ojciec! Tembardziej powinienem jechać do Poveglia i mieć nadzór nad nim, bo jeżeli w widokach jego leży, by dziecko nie żyło, to może je usunąć!...

Tegoż wieczora Juljusz odjechał pociągiem pośpiesznym i na trzeci dzień przybył do Wenecji.

Nie podróżując nigdy, znalazł się w wielkim kłopocie i dla tego potrzebował jakiego przewodnika, od którego mógłby zasięgnąć wiadomości o miejscowych warunkach, by tym sposobem uniknąć tak zwykłego w wielkich miastach, wyzyskiwania podróżnych. Idąc przed siebie z walizką w ręku i rozglądając się naokoło, nagle spostrzegł człowieka, na widok którego aż krzyknął z radości. Człowiekiem tym był towarzysz jego Constant, który siedząc na drabince, malował ornamenta nad sklepem jubilera.

— Więc cię aż tutaj zwerbowali? — zawołał Claude, zbliżając się do drabinki.

— Juljusz! — krzyknął Constant — zeskoczywszy na ziemię i ściskając serdecznie rękę artysty.—A toż szczęśliwe spotkanie! Ty w ojczyźnie dożów i gondoli, gdy ja myślałem, że malujesz freski w pałacu przy ulicy Cyrkowej! Nie wierzę własnym oczom! Czy opuściłeś Francję i przybyłeś tu szukać pracy? Przecież i tam nigdy ci jej nie brakowało...

— Rzeczywiście... inne też interesa, osobiste, ściągnęły mię do Wenecji.

— Więc tak jak i mnie! Wyobraź sobie otrzymałem zawiadomienie od notarjusza, że umarł tu jakiś mój krewny i zapisał mi majątek. Rozumie się, przyjechałem natychmiast, lecz okazało się, że sukcesja była tak małą, iż nie wystarczyła nawet na opędzenie kosztów podróży na powrót do Paryża. Musiałem więc poszukać pracy i, jak widzisz, maluję i będę malował dopóki nie zbiorę potrzebnej sumy. Zresztą Wenecja dość mi się podoba...

— Jakiż ja szczęśliwy jestem, żem cię spotkał! Ulokujesz mię, gdyż nie wiem gdzie się tu obrócić, a boję się, by mnie nie wyzyskali...

— Bardzo dobrze... zaprowadzę cię do gospody, w której sam mieszkam i płacę sześć franków dziennie wraz z życiem.

— Dobrze; gdy skończysz robotę, pójdę z tobą.

— Prawie już skończyłem, a zresztą dla takiego towarzysza warto poświęcić parę godzin.

Constant zdjął z siebie bluzę, ubrał się w kostjum zwyczajny i udał się do gospody, gdzie zażądał dla Juljusza pokoju obok swego i miejsca przy wspólnym stole.

— A teraz każ nam pan dać butelkę wina Bordeaux—rzekł Constant do gospodarza.—Nie lubię win włoskich, dość ich napijemy się we Francji.

— Ba!—odrzekł gospodarz śmiejąc się—właśnie to wina włoskie wysyłane do Francji, wracają do Włoch i uchodzą za francuskie...

— Wszak wiara uzdrawia — odrzekł Constant nalewając szklankę Juljusza.

— Nie, dziękuję ci, ja napiję się limonady.

— Jak chcesz... ja wolę wino. Lecz to nie przeszkadza byśmy się stuknęli. Więc masz interesa tutaj? — zapytał Constant.—Czy w samej Wenecji?

— Nie, w okolicy.

— Wenecja nie ma okolic, tylko małe wyspy...

— Właśnie mam interes na Poveglji.

— Czy dziś jeszcze tam się udasz?

— Nie, jutro.

— A może ty głodny jesteś?

— Rzeczywiście, gdyż od ósmej rano nic je szcze nie jadłem.

— Pójdziemy więc zaraz na obiad, pogawędzimy, a później oprowadzę cię po mieście.

— Po obiedzie siedli do gondoli i puścili się na wycieczkę.

II.

Tymczasem w willi Doria panował niepokój i ruch niezwykły.

Juljusz, ponury i rozdrażniony, nierównemi kro kami chodził po pokoju Henryki. Widok jej przywo dził mu na pamięć straszną scenę przy ulicy Erne-

styny, a dwie zbrodnie, jakie wówczas z zimną krwią popełnił, przejmowały go teraz przerażeniem i wywoływały krople zimnego potu na skroniach.

— Możeby pan hrabia poszedł po lekarza—odezwała się doń Anusia.

— Dobrze — odrzekł i korzystając z pretekstu uwolnienia się od tych wspomnień, pośpiesznie opuścił pokój, siadł do gondoli i udał się do Wenecji.

Lekarz mieszkał na placu św. Marka, hrabia więc musiał przebyć prawie cały Kanał Wielki, na który przed dwudziestu minutami wpłynęła łódź, niosąca Juljusza i Constanta.

Firanki w obu gondolach były odsłonięte.

Gdy dwie gondole mijały się, artysta spostrzegłszy nagle twarz hrabiego, zbladł i wydał cichy okrzyk.

— Co ci się stało?—zapytał Constant.

Juljusz wyciągnął rękę ku drugiej gondoli, która pomknęła jak jaskółka.

— Tam, tam... ten człowiek...

— Więc cóż?

— Poznałem go, jestem pewnym, że się nie mylę...

— Któż to taki?

— To ten z cmentarza przy ulicy Marcadet.

— O kim mówisz? Czyś stracił głowę?

Artysta spostrzegł dopiero, iż powiedział zawiele i by uniknąć wyjaśnienia zaczął się cofać.

— Nie—odrzekł obojętnie—nie straciłem głowy, lecz omyliłem się... Złudziło mię podobieństwo...

— O cóż to chodzi?

— Stara historja...

— Jaka?

— Pewnej nocy widziałem człowieka wchodzącego na opuszczony cmentarz przy ulicy Marcadet...

— No, miejsce zapewne nie bardzo właściwe dla spaceru, ale mógł on mieć jakieś powody.

— Masz rację—odrzekł Juljusz.

Dalsza wycieczka odbyła się bez wypadku, poczem Juljusz i Constant wrócili do swej gospody.

Hrabia de Lucenay, zajęty swemi myślami, nawet nie spostrzegł gondoli, w której siedzieli Claude i Constant. Na placu św. Marka udał się do lekarza i wrócił z nim razem do Poveglia.

Lekarz, zbadawszy Henrykę, uspokoił go i przyrzekł przybyć za dwa dni.

Hrabia mało myślał dotychchczas o dziecięciu, dla którego Filip Dauray przeznaczył trzy miljony franków. Gdyby dziecko żyło, miljony te stałyby się własnością wspólną. Hrabia mógł wprawdzie korzystać z nich i dopiero, gdyby Henryka umarła po śmierci dziecka, stałby się zupełnym ich właścicielem.

Myśli te nawiedzały mózg jego, lecz nie zrodziły jeszcze zamiaru zbrodni.

Myślał o Gabrjeli i o pokojowej Anusi, posiadających tajemnicę jego ożenienia i mogących ją rozgłosić.

Gdyby od której z nich dowiedziano się, że dziecięciu, które ma przyjść na świat, on ma dać swe kupione i dobrze zapłacone nazwisko, wziętoby mu to za plamę, za hańbę...

— Ach, to dziecko przeklęte!—powtarzał bezustannie—gdyby mogło się ono nie urodzić, gdyby ono umarło!

Następnego dnia rano Juljusz Claude odszukał gondoljera mówiącego po francusku i kazał mu płynąć do Powegljі. Przybywszy na miejsce, wyskoczył na ziemię i kazał gondoljerowi oczekiwać na siebie.

Długi czas błądził wśród rozmaitych willi, otoczonych drzewami oliwnemi i pomarańczowemi i dopiero jeden z przechodniów wskazał mu willę Doria. Serce uderzyło mu mocniej, za kilka minut bowiem miał się znaleść naprzeciw domu, w którym mieszkała znieważona przez niego a tak ubóstwiana Henryka Dauray, będąca dzisiaj hrabiną de Lucenay — Charente. I w domu tym znajdował się brat jego, co został mężem Henryki i legalnym ojcem dziecięcia.

Claude przeciągnął ręką po spoconem czole i wstrzymał się na chwilę.

— Co mam przedsięwziąć?—zapytywał siebie— Dla odebrania mu dziecka odważę się na wszystko; ale potrzeba postępować z rozwagą. Nie czas jeszcze... Jeżeli Dufour powiedział mi prawdę, a przecież musiał wiedzieć dobrze, Henryka wróci do Francji i osiądzie w jakimś zakątku, lub u rodziców w Chennevières... Tam łatwiej mi będzie odebrać dziecię... Tutaj powinienem tylko czuwać nad niem i nad matką i zabezpieczyć ich życie, gdyż ten syn mego ojca zdolny jest do wszystkiego! Ach, jakże go nienawidzę! Zabrał mi tę, którą kocham, zabierze mi moje dziecię i jeśli go nie zamorduje, to zatrzyma, by wychować na swój wzór!

Nagle oczom jego przedstawił się elegancki, otoczony roskoszną zielonością pałacyk, wsunięty wgłąb ogrodu, nad wrotami którego widniała tablica z czarnego marmuru z napisem złoconemi literami *Villa Doria.*

— Więc ona tu mieszka...—szepnął, przyciskając rękę do serca, by przytłumić jego uderzenia.— Biedna męczennica!

Pogrążony w myślach, wpatrywał się w okna pałacu i nie spostrzegł młodej kobiety, która wyszedłszy z alei, zbliżała się do furtki ogrodowej. Była to Anusia, pokojowa Henryki. Zobaczywszy obcego człowieka ze wzrokiem utkwionym w pałac, zatrzymała się i zapytała:

— Co pan tak się wpatruje?

Juljusz usłyszawszy nagle głos, zadrżał i zmieszał się,. jak gdyby go schwytano na jakim złym uczynku.

— Nic... — odrzekł. — Uderzyły mię te śliczne grupy drzew, więc zwolniłem kroku i podziwiam je...

Odpowiedź rozproszyła podejrzenie Anusi, zresztą powierzchowność Juljusza była bardzo sympatyczną.

— Pan jest francuzem?—zapytała z uśmiechem.

— Tak, równie jak i pani, w której po wymowie poznaję paryżankę.

— Rzeczywiście, nie myli się pan...

— Pani zapewne mieszka w tej willi?

— Jestem tutaj pokojową... Żegnam pana...

— Dla czegoż tak prędko?

— Muszę wracać do mojej chorej pani...

— Chorej?—powtórzył Juljusz.

— Nie jestto choroba niebezpieczna, ale pani może mnie potrzebować. Żegnam pana — rzekła po raz wtóry i wróciła do pałacu.

— Mógłbym się zdradzić, przyglądając się tak w biały dzień—myślał Juljusz odchodząc.—Więc jutro wieczorem... Przyjdę i żadna siła ludzka nie przeszkodzi mi dowiedzieć się, co się tu stanie...

Ostatni raz rzucił wzrokiem na willę, odszedł do gondoli i odpłynął do swej gospody. Przez resztę dnia postanowił obejrzeć pałace, pomniki i muzea,

ale mimo interesowania się przedmiotami sztuki, nie zdołał uwolnić się od smutnych myśli o Henryce.

Błąkając się tak po mieście, znalazł się na obszernym placu, naprzeciw granitowej kolumny, dźwigającej na swym wierzchołku skrzydlatego lwa św. Marka i wszedł pod arkady domów, otaczających plac.

Jakiś przechodzień, równie jak on zamyślony i z pochyloną głową, postępował z przeciwnej strony. Gdy Juljusz machinalnie, mijając go, spojrzał nań, zadrżał całem ciałem. Zdawało mu się, że poznał tego samego człowieka, którego poprzedniego dnia widział w gondoli, mianowicie zabójcę dziecka Magdaleny, nocnego grabarza na cmentarzu Marcadet.

Hrabia de Lucenay—gdyż przechodniem tym był on—odpowiedział na spojrzenie wzrokiem roztargnionym i nie zauważył nawet groźnego wyrazu twarzy artysty.

— Nie mylę się — mówił Juljusz do siebie.—To on... to ten sam nikczemnik, który mianował się Juljuszem Mercier.

Zawrócił.

Hrabia wolnym krokiem, automatycznie, szedł dalej pod arkadami.

Artysta przebiegł szybko plac i zmieniwszy kierunek wszedł pod arkady i spotkał się znowu z hrabią.

Ten, zdumiony spotkaniem powtórnem, przystanął. Juljusz zatrzymał się również i obaj w odległości dziesięciu kroków znaleźli się naprzeciw siebie.

— Dla czego on tak uporczywie przypatruje mi się?—myślał hrabia i poszedł dalej.

Artysta, ze wzrokiem utkwionym w twarz hrabiego, podszedł ku niemu.

— Cóż to za zuchwalec!—mówił do siebie hrabia i wstrzymał się w chwili, gdy Claude znalazł się o jeden krok przed nim.

— Dla czego wpatrujesz się pan tak we mnie i zachodzisz mi drogę?—zapytał hrabia wyniośle.

— Gdyż zdaje mi się, że poznaję pana.

— To źle się panu zdaje.

— Bardzo by mię to zdziwiło!

— Więc jak się panu zdaje, kim jestem?

— Czy pan nie jest czasem Karolem Brisson, korektorem z drukarni?

Hrabia mimowoli zadrżał.

— Nie—odrzekł, wzruszając ramionami.

— Więc w takim razie może pan jesteś urzędnikiem pocztowym Juljuszem Mercier?

Hrabia de Lucenay zbladł jak płótno.

— Na ten raz zabrakło panu zuchwalstwa, byś mógł zaprzeczyć!—rzekł żywo Juljusz, widząc pomieszanie na jego twarzy.—Zresztą zaprzeczenie na nic się panu nie przyda. Jestem pewnym tego co mówię! Zanadto dobrze przyjrzałem się panu przy świetle latarni na ulicy Luc-Lambin w nocy po wyjściu pańskiem z cmentarza Marcadet!...

Pomieszanie hrabiego wzrastało, usta jego drżały.

— Powtarzam panu, że się mylisz—wyjąkał Lucenay.—Nie znam żadnego z nazwisk, które pan wymieniłeś. Nie rozumiem, jakie pan masz zamiary i przypuszczam, że jesteś szaleńcem...

— Czy dla tego, że uważasz mię pan za szaleńca, to nie żądasz odemnie wiadomości o Magdalenie Gallier i jej dziecku?

— Dość tego, mój panie!—zawołał.—Rozkazuję panu milczeć!

— Zapewne, że miejsce, w którem się znajdujemy, wydaje się panu źle wybranem do rozmowy o tych

rzeczach! — odrzekł Claude szydersko. — Nie życzysz pan sobie by słyszano nas, zwłaszcza gdy dodam, iż wiem co pan robiłeś na cmentarzu i widziałem, jakeś zagrzebywał prawie jeszcze żywe dziecko Magdaleny... i swoje! Nie zaprzeczaj nikczemniku! Na nic ci się to nie przyda! Jesteś odkryty!

— Szaleńcze! — zawołał hrabia. — Gdybyś wiedział do kogo mówisz!...

— Wiem, że mówię do bandyty!—przerwał Juljusz—do jednego z tych zbrodniarzy, których w każdym kraju ścigają i osadzają w więzieniu. Dość by mi było tylko wezwać policji, by cię zatrzymano... Jesteś zagranicą, więc zostań-że tu! ale nigdy nie wracaj do Francji... bo jeżeli cię spotkam w Paryżu, oddam cię w ręce sprawiedliwości!

— Byłaby to denuncjacja nierozumna! Zażądanoby dowodów...

— I przedstawiłbym je! Widziałem cię gdyś kopał dół... Widziałem jakeś pogrzebał w niem dziecko... i jakieś później uciekał... Szedłem za tobą, by ci się przyjrzeć... Twarz twoja wyryła się głęboko w mojej pamięci... poznałbym cię i za lat dwadzieścia.

— A więc? — zapytał hrabia, odzyskawszy już zimną krew.

— A więc, nikczemniku! chcesz bym ci cisnął w twarz twe postępki haniebne? Dobrze! Ta, której dziecko zamordowałeś, ta, którą uważałeś za zmarłą, uduszoną przez ciebie, a która przecież żyła, została zawleczoną przed sąd i obwinioną o dzieciobójstwo.

— Magdalena żyje — myślał hrabia z przestrachem.

— Tyś ukrył się — mówił dalej Juljusz — i ... mogli cię odszukać... i wszystko sprzysięgło...

przeciw nieszczęśliwej. Mimo to została uniewinniona, ale doprowadzona po wyjściu z więzienia do ostatniej nędzy i pozbawiona przytułku, chleba, pracy... Ja, który nie wątpiłem o jej niewinności, ulitowałem się nad nią, przygarnąłem ją, dałem jej schronienie i pracę. Wskazałem jej grób jej dziecięcia i sądziłem, że znajdzie odwagę żyć dłużej. Omyliłem się... Za wielkie były to cierpienia na siły biednej kobiety... Zużyła się w bezowocnej walce... opanował ją wstręt do życia i odebrała je sobie...

Promień radości błysnął w oczach hrabiego.

— Nie żyje—pomyślał.—Więc nie mam się czego obawiać...

— Pozbawiła się życia—ciągnął dalej Claude—a ty nikczemniku żyjesz! I to się nazywa sprawiedliwością! Czyż nie uznajesz się niegodnym życia, jeżeli czujesz tu w sobie cokolwiek — mówił Claude, dotykając palcem lewej strony piersi hrabiego.—Czyż nie zasłużyłeś na gilotynę? Ach, wierz mi, nie wracaj nigdy do Francji, jeżeli nie chcesz, bym zawołał: Aresztujcie tego człowieka, bo on jest mordercą!

— Czy skończyłeś pan już? — zapytał Juljusz, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

— Skończyłem. A ty czy masz cokolwiek do powiedzenia na swą obronę?

— Mam do powiedzenia to tylko, że cię zabiję!

— Rozumiem... według swego zwyczaju! Tylko zapominasz, panie Karolu Brisson, czy Juljuszu Mercier, czy też jak tam się nazywasz, że ja nie jestem ani dzieckiem, ani kobietą i że w braku oręża, potrafię się bronić pięściami. Ach! więc chcesz mię zabić! i ciekawym z jakiego powodu?

— Wyrządziłeś mi pan zniewagę.

— Dowodząc, że znam cię i twoje tajemnice? ...ja nie przywykłem pojedynkować się ze zbro-

dniarzami, a ot co robię — i rzekłszy to, plunął mu w twarz.

Nikczemnik krzyknął z wściekłości i chciał się rzucić na Juljusza.

— Nie dotykaj się mnie! — zawołał artysta dumnie—nie dotykaj się, jeżeli nie chcesz, bym cię wydał w ręce policji... bandyto! Precz mi z drogi!

Zmiażdżony postępkiem Juljusza i swą bozsilnością, wściekły ze wstydu i gniewu, hrabia wzniósł zaciśniętą pięść za odchodzącym artystą.

— Za wiele wiesz—szeptał przez zaciśnięte zęby—musisz ustąpić...

Kilku przechodniów, obserwujących zdaleka tę gwałtowną scenę, zaczęło się zbliżać. Hrabia spostrzegłszy to, ruszył wolnym krokiem za Juljuszem Claude, który jednak, zawróciwszy w uliczkę boczną, zniknął mu z oczu.

Trudno opisać wściekłość i obawę, jakie naprzemian miotały nikczemnikiem. To, czego doświadczył, było tak niespodziewane, tak nieprawdopodobne, iż jakiś czas myślał, że marzy. Zdala od Francji, w okolicy, w której, zdawało mu się, iż jest nieznanym, zjawia się nagle człowiek, posiadający tajemnice jego przeszłości, jak myślał, niewiadome nikomu i rzuca mu je w twarz! Co to za jeden?... Skąd przybywa? Czego chce? Jaki interes skłania go do podjęcia, bądź co bądź, niebezpiecznej roli oskarżyciela?

A więc nie tylko Gabrjela wie o jego hańbie i zbrodni!

Jak odszukać tego człowieka, jak go dosięgnąć? Jakim sposobem pozbyć się tego zuchwalca, świadomego jego czynów dawniej niż Gabrjela i grożącego mu zgubą?

Rozmyślając tak, hrabia szedł przed siebie krokami urywanemi, jak nieprzytomny, gestykulując rękami i mówiąc do siebie prawie głośno.

Powoli przecież uspokoił się i zaczął zapatrywać się na sytuację z krwią zimniejszą.

— Nie trzeba przesadzać—szepnął — strach jest złym doradcą... Ten człowiek musiał patrzeć na to, co się stało przy ulicy Marcadet... jest więc świadkiem, ale świadectwo jego nie jest dla mnie niebez piecznem, gdyż Magdalena nie żyje... Wypadek postawił go tutaj na mej drodze, lecz w Paryżu, w świecie, który widocznie nie jest jego światem, czego mam się obawiać? Moje nazwisko i miljony stanowić będą dla mnie tarczę dostateczną! Gdyby ośmielił się obwinić mię, oskarżenie jego mnie nie dosięgnie!... nikt mu nie uwierzy! Przeszedłem w życiu przesilenia groźniejsze i wyszedłem z nich cało! wyjdę i z tego bezpieczny... Prawdopodobnie nigdy już nie spotkam łotra, który mnie znieważył, lepiej więc o tem wszystkiem zapomnieć...

Tak więc Juljusz de Lucenay uzbroił się w filozofję i kazał się odwieść do willi Doria.

Około godziny trzeciej po południu dwie gondole odbiły współcześnie z dwóch przystani przy placu św. Marka i płynąc prawie obok siebie, udały się w jednym kierunku.

W jednej siedział Juljusz Claude i kierował nią Stanza, w drugiej, którą prowadził chłopak młody, znajdował się człowiek lat około czterdziestu, poważny, któremu Stanza ukłonił się i nazwał go doktorem.

— Dokąd płyniesz Stanza?—zapytał młody chłopak, w którym czytelnicy odgadli zapewne Pippa.

Stanza, urażony na swego gołowąsego towarzysza za mistyfikację, wyrządzoną mu przed kilkoma dniami, nic nie odpowiedział.

— Ja płynę do Poveglia—mówił chłopak śmiejąc się.—Jeżeli chcesz, założę się o butelkę Asti, że cię wyprzedzę.

Stanza dumnie zachowywał milczenie.

— Czy ten młody gondoljer wiezie doktora?—zapytał Juljusz swego przewoźnika.

— Tak, doktora Borello, najlepszego lekarza w Wenecji.

— Jedzie do Poveglia — myślał Juljusz — musi być wezwany do hrabiny...

Pomimo pogardliwego milczenia Stanzy na propozycję przyjęcia zakładu, Pippo wyprzedził go o dziesięć minut, poczem wysadziwszy doktora na brzeg, wrócił do Wenecji.

— Prawdopodobnie zostanę tu czas dłuższy — rzekł Juljusz do Stanzy.—Czy zastanę cię tutaj?

— Nie ruszę się z tego miejsca — odrzekł gondoljer.

Juljusz rozumiał, iż krążyć w biały dzień wokoło pałacu, zamieszkałego przez hrabiego, byłoby niebezpiecznie, a do wieczora było jeszcze daleko. Przeszedł wzdłuż żywego płotu otaczającego ogród i gdy znalazł się naprzeciw pałacu, spostrzegł dwie kobiety, pokojową i piastunkę, rozmawiające spokojnie przed drzwiami.

Odszedł, udał się do gospody i kazał podać sobie obiad. Jadł powoli, by tym sposobem doczekać się wieczora. O godzinie wpół do ósmej zapłacił rachunek, wyszedł, czas jakiś przechadzał się nad przystanią i następnie zwrócił się ku willi Doria. Gdy przybył, zapadła już noc ciemna. Przez szyby dwóch oświetlonych okien na parterze widać było snujących się parę osób.

— To zapewne jej pokój—myślał artysta i stał nieruchomy, ze wzrokiem utkwionym w okno.

Głębokie milczenie zalegało wyspę, najmniejszy powiew wiatru nie poruszał liśćmi drzew i krzewów, na ciemno-błękitnem niebie miljony gwiazd iskrzyły się jak pyłki djamentowe.

Juljusz nadstawił uszu i usłyszał brzęk naczyń srebrnych.

— Hrabia musi jeść obiad z doktorem — pomyślał—a ona jest zapewne w tamtym pokoju...

I nie mogąc zwalczyć nieprzepartej pokusy, usunął rękami wiotkie gałęzie krzaków, tworzących płot żywy i wszedł do ogrodu. Przemykając się pomiędzy krzakami jak złodziej i kryjąc się w cieniu drzew, dostał się do gęstego klombu znajdującego się naprzeciw pokoju, jak mu się zdawało, zajmowanego przez Henrykę, ukrył się w gąszczu i czekał w milczeniu.

Po kilku minutach szmer zmieszanych głosów doszedł jego uszu. Słyszał dźwięki, lecz nie mógł rozróżnić słów. Nagle głosy ucichły i w willi znowu zapanowało milczenie.

Juljusz oczekiwał tak dwie godziny.

Hr. de Lucenay zbliżył się do okna, otworzył je i wychylił się na orzeźwiające powietrze nocy.

Juljusz Claude spostrzegłszy wtedy jego twarz, krzyknął z przerażenia i począł uciekać. W człowieku z ulicy Marcadet, w zabójcy dziecięcia Magdaleny Gallier, poznał męża Henryki, hrabiego de Lucenay— swego brata!

Krzyk Juljusza wywołał dreszcz w ciele hrabiego i przestraszył obie kobiety.

Hrabia wybiegł z pokoju.

Claude, przerażony nagłem odkryciem, wyskoczył z klombu.

Brat jego był mordercą! Więc to jego brat był tym bandytą, któremu poprzedniego dnia plunął

w twarz na placu św. Marka. I Henryka należała do tego nikczemnika... i jego nazwisko miało nosić jego dziecię! Można było oszaleć ze zgrozy i hańby.

Jak gdyby ścigany, przebiegł cały ogród, przeskoczył płot żywy i wpadł w długą ulicę, prowadzącą do morza. W przystani było ciemno, ani jedna latarnia nie wskazywała miejsca, w którem były gondole. Nie śmiał wołać Stanzy z obawy, by kto inny go nie usłyszał. Za nim w niedalekiej odległości rozlegały się czyjeś pośpieszne kroki. Odwrócił się i spostrzegł zbliżającą się ludzką postać.

— Musiał usłyszeć mój głos, którego nie mogłem powstrzymać—szepnął—i ściga mię, ale ja mu się wymknę... zabiłbym go... a nie chcę być zabójcą własnego brata.

Idąc brzegiem morza, spostrzegł przyczepioną gondolę i wszedł do niej. Nogi jego potrąciły o jakąś bezwładną masę, z której wydobyło się głuche mruczenie.

Był to Stanza, pijany, prawie niezdolny się poruszyć.

Odgłos kroków zbliżał się.

Juljusz odczepił łańcuch, odepchnął gondolę chwycił za wiosła i odpłynął ku Wenecji.

Gdy hrabia—gdyż to jego kroki słyszał artysta —przybył do brzegu, spostrzegł tylko kontury gondoli oddalającej się pośpiesznie. Cisnął przekleństwem i wzniósł pięść za uciekającym, nie miał bowiem możności puścić się w pogoń.

— Wymknął mi się—szepnął przez zęby.—Co to za jeden? Jakim sposobem znalazł się on w ogrodzie o tak późnej godzinie i co on tam robił? Więc szpiegują mię bezustannie? Więc ciągle mam mieć przed oczyma te groźne widziadła? Ależ można od tego zwarjować... Drogo zapłaciłem za majątek, którego

nie mogę nawet używać swobodnie! Dla czego to dziecko przyszło na świat żywem!...

Wrócił do willi, przyrzekając sobie opuścić jak najprędzej Wenecję, w której pobyt stawał mu się niemożliwym.

— Cóż, doktorze?—zapytał hrabia.—Czy hrabina prędko powróci do zdrowia?

— Będę czynił wszystko, by jak najprędzej...

— Kiedy hrabina będzie mogła udać się w podróż?

— Za dwa tygodnie.

— Za dwa tygodnie! to długo...

— Owszem, to bardzo prędko; nie mogę żadną miarą pozwolić na wyjazd wcześniejszy.

— Ależ Juljuszu — rzekła Henryka, której, po tych słowach jego, serce wezbrało żalem i oczy zaszły łzami — jeżeli interesa powołują cię do Paryża, to możesz wyjechać bezemnie.

— Pomówimy o tem jutro... tymczasem życzę ci spokojnej nocy. A ty — dodał zwracając się do piastunki — nie pozwalaj dziecku krzyczeć... nie znoszę krzyku dzieci...

I po tych czułych słowach odszedł do swego pokoju.

— Ten człowiek musi być bez serca—rzekł doktór do siebie.

Grube łzy spływały po bladej twarzy hrabiny de Lucenay.

— Dziecię moje drogie — szeptała — jaka przyszłość nas czeka?...

— Odwagi, pani — rzekł doktór, spostrzegając jej łzy.—Niech pani pamięta o swej córce.

Henryka wyciągnęła ku niemu rękę, którą on uścisnął serdecznie.

— Dziękuję panu z głębi serca—rzekła głosem cichym.—Jesteś pan dobrym człowiekiem.

— Wyjdź do drugiego pokoju—rzekł doktór do piastunki i spocznij.

— Ja pozostanę—odezwała się Anusia.

— Nie, moje dziecko, ja sam będę czuwał przy pani.

— Dobrze, to ja trochę zasnę, a jeżeli pan doktór będzie mię potrzebował, to proszę zawołać.

— Dobrze.

Obie kobiety opuściły pokój.

Lekarz podał Henryce łyżkę lekarstwa, po którem wkrótce zasnęła.

— Biedna kobieta, biedna matka — myślał doktór, patrząc na nią. — Ubóstwia dziecię swoje, gdy tymczasem hrabia, zdaje się, że nienawidzi go... Skąd ta nienawiść? Co za straszne tajemnice w życiu zdarzają się... ileż to dramatów... ile ran niewidzialnych i nieuleczalnych!

Henryka spała do godziny ósmej rano. Gdy przebudziła się, doktór siedział przy niej.

— Jakże noc przeszła? — zapytał hrabia wchodząc.

— Dobrze... pani hrabina tylko co przebudziła się.

— Więc jesteś pan zadowolony z jej stanu zdrowia?

— Najzupełniej i to tak dalece, iż uważam, że obecność moja jest już niepotrzebną. Zresztą przepisałem sposób zachowania się i udzieliłem objaśnień pokojowej i piastunce.

— Ponieważ ja jutro wieczorem—rzekł hrabia—będę musiał odjechać do Francji, a przedtem jeszcze w Wenecji mam ułatwić kilka interesów, pożegnam więc pana dzisiaj...

Doktór ukłonił się chłodno, uścisnął rękę swej pacjentki i udał się do przystani, gdzie oczekiwał nań Pippo.

Po wyjściu lekarza hrabia siadł przy łóżku Henryki i głosem, o ile mógł serdecznym, rzekł:

— Moje drogie dziecię... serce i obowiązek nakazywałyby mi pozostać przy tobie, ale interesa zmuszają mię do wyjazdu. Zatelegrafuję do twoich rodziców o stanie twego zdrowia, a po przybyciu do Paryża natychmiast udam się do nich osobiście. Skoro tylko doktór pozwoli na podróż, nie zwlekaj z wyjazdem, a po przybyciu swem do Marsylji donieś mi natychmiast, będę cię bowiem oczekiwał w Melun, skąd powozem odjedziemy do Seine-Port, gdzie osiądziesz na pobyt dłuższy. Czy zgadzasz się na to?

— Uczynię, jak rozporządzisz... wola twoja jest dla mnie rozkazem.

— Niepodoba mi się ta rezygnacja, której nie wymagam — odrzekł wzruszając ramionami. — Zachowanie się takie uważam za niewłaściwe... Proszę cię, żeby tego więcej nie było...

Po jego odejściu Henryka ukryła twarz w dłonie i wybuchła łkaniem. Biedna, przekonała się, że smutne przeczucia jej były uzasadnione.

*

* *

Claude dopłynąwszy do mostu Westchnień, uczepił gondolę i wysiadł z niej, pozostawiając Stanzę pijanego.

— Zobaczę się z nim jutro—myślał—i zapłacę mu należność.

Podczas tej przejażdżki nocnej odzyskał cokolwiek spokoju, nie zdołał przecież otrząsnąć się w zu-

— Jestem zupełnie pewnym. Przed wyjazdem prosiłem o jej zezwolenie. Zbyt rozsądną jest, by nie rozumiała, że po tak długiej nieobecności przyjazd mój dla wspólnych naszych interesów był koniecznym. Zresztą nie jest ona samotną, Anusia bowiem i piastunka nie opuszczają jej ani na chwilę.

— Kiedyż ona powróci?

— Lekarz nie pozwala jej wyruszyć wcześniej jak po dwóch tygodniach.

— Czy znalazłeś w Seine-Port odpowiednie pomieszczenie?

— Znalazłem prześliczną willę, umeblowaną, z roskosznym ogrodem. Gdy Henryka zawiadomi mię o swem przybyciu na stację, pojadę po nią i odwiozę do Seine-Port.

— I my pojedziemy z tobą — rzekł żywo eksbankier.—Tak pragnęlibyśmy zobaczyć i uścisnąć wasze dziecię!

— Uprzedzacie tylko moje gorące życzenia...

— Jesteś najlepszym z zięciów, mógłbym powiedzieć z synów...

Po śniadaniu Juljusz de Lucenay odjechał do Paryża.

Roboty w pałacu przy ulicy Cyrkowej były ukończone i służba znajdowała się już na miejscu. W stajni stało pięć koni powozowych i dwa wierzchowce, w remizie pięć powozów z herbami hrabiów de Lucenay—Charente. Juljusz zobaczywszy się wśród tego zbytku, zadrżał z radości i rzekł do siebie:

— Muszę sobie przyznać, iż z wielkim talentem poprowadziłem moje interesa. Jeżeli rzeczywiście dusza jest nieśmiertelną i jeżeli mój ojciec widzi mię, to powinien być zemnie zadowolonym.

Upojony swobodą, hrabia nie pamiętał już wstrząśnień doznanych w Wenecji. Złe wróżby, jakie mu się pokazały, znikły w uroku chwili bieżącej. Cóżby dał za to, żeby ten stan trwał jak najdłużej i żeby Henryka nie przyjechała wcale!

Siadł do karety i pojechał do Gabrjeli.

— Otóż jestem z powrotem i już tu pozostanę. Jestem spagubiony Paryża, ruchu, zgiełku, rozrywek... Teraz będziemy żyli!

— I ja tylko tego pragnę—odrzekła.

I rozpoczęło się życie.

Powróćmy do willi Doria.

Henryka po wyjeździe męża doświadczyła uczucia ulgi i swobody. Powietrze, którem oddychała, zdawało się jej przyjemniejszem, promienie słońca łagodniejszemi. Mogła pieścić dziecię swoje i nie ukrywać się z macierzyńskiem uczuciem przed tym, który dał się już poznać, kim był rzeczywiście.

Gdy doktór przybył do willi i dowiedział się o wyjeździe hrabiego, jakkolwiek wcale nie ciekawy sekretów rodzinnych, pragnął jednak wybadać zręcznie hrabinę w nadziei, czy nie otrzyma jakiego wyjaśnienia wypadku, jaki go spotkał w dniu poprzednim, gdy wracał z willi Doria.

— Jakże pani czuje się dzisiaj?—zapytał.

— Bardzo dobrze, doktorze.

— Spokojnie pani spędziła noc?

— Spokojnie i czuję się silniejszą.

— Gorączki nie ma pani?

— Zdaje mi się, że nie mam.

— Zobaczymy—rzekł i wziąwszy jej rękę, chwil kilka badał puls.

Przekonawszy się, że pacjentka znajduje się na dobrej drodze powrotu do zdrowia, usiadł przy łóżku i rozpoczął rozmowę.

— Dawno już pani mieszka w Poveglia?
— Pięć miesięcy...
— A przedtem zwiedzała pani Włochy?
— Nie; przed wyjściem za mąż nie opuszczałam nigdy rodziców, a oni nie lubili podróżować.
— Mieszkała pani zapewne w Paryżu?
— Bardzo mało, gdyż dziesięć miesięcy w roku przebywaliśmy na wsi pod Paryżem.
— Pani jest tak młodą, iż bardzo niedawno musiała wyjść za mąż. Najwyżej chyba przed rokiem?

Henryka nie mogła ukryć wzruszenia, które nie uszło bacznego oka doktora, tem więcej, gdy po chwili wahania, zarumieniła się i odrzekła.

— Niema jeszcze roku...
— Zna pani kogo w Wenecji?
— Mąż mój znalazł tu jednego z dawnych przyjaciół, ale ja nie znam nikogo.
— Tak?—odrzekł lekarz, udając zdziwienie.
— Moja odpowiedź zadziwia pana?
— Cokolwiek...
— Dla czego?
— Gdyż miałem wczoraj pewne zdarzenie...
— Jakie?
— Gdy wszedłem na plac św. Marka, zatrzymała mię pewna osoba, która, widocznie, bardzo żywo interesuje się panią, gdyż nocy poprzedniej znajdowała się w Poveglia i przysłuchiwała się jękom pani, a rozmawiając ze mną z wielkiem wzruszeniem zapytywała o zdrowie pani i z niezmierną radością przyjęła wiadomość, że pani ma się dobrze.
— O kim pan doktór mówi?—zapytała Henryka niezmiernie zaitrygowana.
— O młodym człowieku lat dwudziestu pięciu...
— Czy to znajomy pański?

— Nie. Widziałem go pierwszy raz w życiu.
— Więc on nie jest wenecjaninem?
— Nie, jest francuzem.
— Francuzem! — powtórzyła pani de Lucenay zdziwiona.
— Zdawał się być niezmiernie utrudzonym, cierpiącym i wzruszonym. Ale wyraz twarzy jego zmienił się w jednej chwili, gdy się dowiedział o dobrym stanie zdrowia pani: wyglądał wtedy, jakby spotkało go wielkie szczęście...
— To dziwne! to dziwne! — powtarzała hr. de Lucenay. — Więc pan mówi, że ten młody człowiek był wczorajszej nocy w Poveglia?
— Był, gdyż sam mi to powiedział.
— Jak wygląda?
— Bardzo przystojny... wzrostu trochę więcej niż średniego, szczupły, zgrabny, rysy regularne... postawa dystyngowana... twarz blada... niewielkie wąsiki... oczy niebieskie, brunet, włosy bujne... wyglądał na artystę...

IV.

Henryka z uwagą słuchała tego opisu i przypominała sobie, czy nie zna kogo podobnego.
— Cóż, nie wie pani, kto to mógł być?
— Nie, panie—odrzekła, potrząsając głową.—Napróżno szukam w mych wspomnieniach; rysopis skreślony przez pana niepodobny do żadnego z moich znajomych.
— Pewna pani tego?
— Jestem zupełnie pewną.

Szczerość Henryki była tak naturalną i widoczną, że doktór doszedł do przekonania, iż omylił się w swych przypuszczeniach i jeżeli w życiu jej była jakaś tajemnica i dramat, to młody, nieznajomy człowiek nie miał w nim udziału. Mimo to w umyśle doktora powstało jakieś nieokreślone powątpiewanie. Pożegnał ją i wyszedł.

Lecz zaledwie opuścił pokój, Henryka, mocno wzruszona, zawołała:

— Ach, przypominam sobie! przypominam...

Anusia podbiegła do łóżka.

— Co pani przypomina sobie?—zapytała.

— Przypominam sobie nieznajomego, który jest podobny do młodego człowieka, opisanego przez doktora — odrzekła pani de Lucenay. — Jestto ten sam nieznajomy, którego widziałam w Chennevières pod tarasem nad brzegiem rzeki, owej nocy strasznej...

Anusia, słuchająca również z uwagą opowiadania doktora, nagle przypomniała sobie młodego człowieka, przyglądającego się willi przed kilkoma dniami. Nadto. słyszała ona krzyk w ogrodzie podczas nocy w chwili, gdy hrabia stał w oknie.

— Ja go znam... ja go znam... — rzekła wzruszona.—Widziałam go...

— Gdzie?

— W Poveglia.

— Kiedy?

— Przed trzema dniami.

— I nic mi nie mówiłaś!

— Nie przywiązywałam do tego żadnego znaczenia.

— Więc opowiedz mi teraz... prędko! prędko!

Anusia opowiedziała spotkanie swoje z Juljuszem Claude, którego nazwiska, rzecz prosta, nie wiedziała.

— Więc rozmawiałaś z nim nawet?
— Rozmawiałam.
— Czy pytał ciebie o co?
— Tak, od niechcenia, a ja odpowiedziałam.
— Cóżeś mu powiedziała?
— Że pani jest chora... Poczem on odszedł, lecz powrócił nocy następnej, gdyż widocznem jest, że to on krzyknął w ogrodzie...

— Krzyknął?

— Pani nie słyszała, ale hrabia, który otwierał wtedy okno, słyszał i wybiegł do ogrodu.

Hrabina była blada jak płótno.

— Anusiu—szepnęła—jakieś przeczucie mi mówi, że człowiek, który rozmawiał z doktorem, o którym ty opowiadasz i którego ja widziałam w Chennevières, którego powinnam nienawidzieć, jako sprawcę mego nieszczęścia i mej hańby, jest właśnie owym zbrodniarzem...

— Ależ pani — odrzekła pokojowa — jeżeli pani się nie myli, to jakiż cel miałby on przychodzić tutaj?... Przecież wie, że pani wyszła za mąż i jest dla niego straconą.

— Masz rację, a jednak przysięgłabym, że to on... To ten sam, który w chwili jakiegoś szału dopuścił się zbrodni i dzisiaj opłakuje ją...

— Dla czegoż nie starał się naprawić jej, błagając panią o przebaczenie wtedy, gdy pani była jeszcze wolną?

— Bo może jest ubogim i z nieznanej rodziny, nie śmiał więc przyjść do moich rodziców i narazić się na ich gniew słuszny. Dziś sprowadzają go tutaj wyrzuty sumienia, a może i gorące pragnienia zobaczenia dziecka...

— On nie ma żadnych praw do dziecka, ponieważ nie domagał się ich i ponieważ był zbyt podłym, dozwalając pani wyjść za kogo innego, zamiast zjawić się, narażając się nawet na gniew p. Dauray.

— Anusiu, mówisz tak, jakbyś go niecierpiała...

— Nienawidzę go!... Wszystka krew burzy się we mnie, gdy wspomnę, że popełnił najhaniebniejszą zbrodnię, że nie miał odwagi przyznać się do niej i że pozwolił innemu naprawić hańbę, której sam był sprawcą. Pani myśli, że to wyrzuty sumienia sprowadzają go tutaj... myli się pani, tacy ludzie nie mają sumienia! Prosty wypadek postawił go na drodze pani... Nienawidzę i pogardzam nim tak, jak pani powinna pogardzać nim i nienawidzieć!

— Powinnam nim pogardzać, powinnam go nienawidzieć... to prawda...—szeptała Henryka ukrywając twarz w dłonie—ale niestety, nie mogę...

— Pani nie może!—powtórzyła Anusia zdumiona.

— Nie, nie mogę...

— W takim razie, jeżeli pani nie ma dla niego uczucia nienawiści, więc może pani go kocha?...

— Ja sama nie wiem...

— Ach, Boże mój!... i została pani hrabiną de Lucenay...

— Tak, zostałam żoną człowieka, który ożenił się zemną nie kochając mię, który sprzedał mi swoje nazwisko i który nienawidzi mego dziecięcia... Ja nim właśnie pogardzam... Zbrodnia tamtego może być wytłomaczoną... ale podłość mojego męża nie zasługuje na usprawiedliwienie.

Anusia z giestem smutku podniosła obie ręce do góry i chciała odpowiedzieć, lecz w tejże chwili weszła piastunka z dzieckiem.

Henryka wzięła małą istotkę i okryła je pocałunkami. Anusia głęboko zasmucona, spoglądała na nią, z trudnością powstrzymując łzy.

— Biedna moja pani ma rację, niestety — myślała — mąż jej nie lubi i nienawidzi dziecka... Dziwny bywa los; miej wszystko, młodość, piękność, bogactwo, dobroć i pomimo tego nie unikniesz nieszczęścia!...

Juljusz Claude nie mógł już więcej pokazywać się w Poveglia, lecz widząc codziennie o jednej godzinie udającego się tamże doktora, postanowił zapoznać się z jego młodym przewoźnikiem. W tym celu zbliżył się do niego, zapraszał do gospody, robił małe podarki i badał nie wzbudzając podejrzenia. Pewnego dnia gdy Pippo przywiózłszy doktora uczepił swą gondolę w przystani, Juljusz zapytał go:

— Cóż, w willi Doria ciągle ktoś choruje?

— Och, nie, signor — odrzekł chłopak — przeciwnie. Młoda pani zdrowa już oddawna, a doktór kazał mi jutro rano przybyć po rzeczy.

— Więc wyjeżdżają?

— Wyjeżdżają. Jutro młoda pani siądzie na parostatek i odpłynie do Marsylji.

— Jakto, sama? a mąż?

— Pan hrabia wyjechał już oddawna.

Juljusz dał chłopcu sztukę drobnej monety i wrócił do swojej gospody.

— Teraz, gdy męża jej niema, łatwo mogę ją śledzić...

Zapłacił w gospodzie rachunek, pożegnał się z Constantem i kazał się zawieść na parostatek, chcąc na całą dobę wcześniej przybyć do Marsylji. Stamtąd mógł jednym z nią pociągiem odjechać do Paryża.

I tak się stało. Śledząc pilnie, widział hrabinę de Lucenay, jej pokojową i piastunkę z dziecięciem, wysiadające z parostatku, podpatrzył, w którym hotelu się zatrzymały i następnego dnia tym samym pociągiem, tylko w innym wagonie odjechał z niemi do Paryża.

V.

Z początku podróży Juljusz, pogrążony w myślach, nie zmrużył oczu, lecz następnie złamany wrażeniami i utrudzeniem, po wyjeździe z Lyonu, korzystając z nieobecności innych pasażerów, położył się na poduszkach i zasnął głęboko. Obudził się dopiero na godzinę przed przybyciem do Paryża.

Tymczasem Henryka, posłuszna postanowieniu swego męża, wysiadła z pociągu znacznie wcześniej, na stacji Cesson, gdzie miał oczekiwać na nią hr. de Lucenay.

Gdy pociąg zatrzymał się w Paryżu, Juljusz Claude zabrawszy swą walizkę, wybiegł z wagonu, wskoczył do fiakra i kazał woźnicy zająć miejsce u wyjazdu takie, by można było widzieć odjeżdżających pasażerów. Następnie zasunął firanki i obserwując przez szparę, czekał.

Ale oczekiwał napróżno. Ostatni pasażerowie odjechali, urzędnicy kolejowi ukończyli zajęcia, omnibusy odeszły i spokój zapanował na dworcu. Hrabiny de Lucenay nie dostrzegł.

— Jakim sposobem stać się to mogło?—zapytywał siebie z boleścią.

Wysiadł z fiakra, obejrzał sale i peron—nie było nikogo. Wtedy ogarnęła go rozpacz i gniew na samego siebie.

— Odjechały i ja nie spostrzegłem! Spałem jak zwierzę, przekonany, że one jadą aż do Paryża! Gdzie one mogły wysiąść? Jak je odszukać teraz? Czyż warto było jechać do Włoch, żeby później w tak głupi sposób stracić ich ślad w chwili stanowczej?—Zacisnął dłonie z wściekłości, po chwili jednak podniósł głowę i zawołał:

— A jednak muszę je odszukać!

Wrócił do fiakra i kazał się zawieść do swego mieszkania przy ulicy des Abbesses.

Hrabia de Lucenay, otrzymawszy wysłaną przez Henrykę depeszę o przyjeździe jej do Marsylji, zawiadomił natychmiast o tem państwo Dauray i sam udał się do Cesson.

Gdy Henryka przybyła na stację, zastała już oczekujących na nią męża i rodziców.

Nie będziemy opisywali niezmiernej tych ostatnich radości po tak długiem niewidzeniu córki.

— Dziękuję ci za tę przyjemną niespodziankę— rzekła Henryka do męża, podając mu rękę, którą on ostentacyjnie pocałował.

Po śniadaniu siedli wszyscy do powozów i odjechali do Seine-Port.

Dom, najęty przez hrabiego, położony był nad brzegiem Sekwany, oddzielony od niej częścią obszernego ogrodu, albo raczej otaczającego go wielkiego parku. Wzniesiony nieco nad poziom gruntu, z licznemi galerjami, mieścił na parterze przedsionek, salę stołową, salon i dwie sypialnie. Na pierwszem piętrze znajdowało się kilka pokojów i sala bilardowa. Dwa pokoje parterowe oddzielone były od sali stołowej i salonu szerokim korytarzem, do którego

wychodziły wszystkie drzwi i który przecinając dom na dwie połowy, wychodził obu końcami na ogród.

— Czy dobrze będzie ci tutaj, droga Henryko? —zapytał hrabia.

— Będzie mi bardzo dobrze, jeżeli tylko rodzice zechcą często mię nawiedzać.

— Będziemy przyjeżdżali bardzo często—odrzekła p. Dauray, całując ją w czoło.

Postanowiono umieścić piastunkę w jednym z pokojów parterowych, którego okna wychodziły na południe. Henryka miała zajmować pokój inny, oddzielony od tamtego garderobą, hrabia zaś wybrał sobie apartament na pierwszem piętrze, gdzie przygotowano parę pokojów i dla państwa Dauray. Obok nich miała swój pokój Anusia. Kucharka mieszkała na wsi i tylko na dzień przychodziła do roboty.

Następnego dnia państwo Dauray odjechali do Chennevières, przyrzekając wkrótce przybyć znowu, a zaraz po ich wyjeździe Juljusz, niby to w jakichś ważnych interesach, wyruszył do Paryża.

VI.

Doktór Jerzy Lamarre po ułatwieniu zamążpójścia Henryki nie pokazał się więcej w willi jaworowej.

Kochał on Henrykę, w niej złożył całą nadzieję przyszłego szczęścia, cios więc, jaki go dotknął, był dla jego serca strasznym. Przysiągł pomścić nie Henrykę, bo ta należąc do kogo innego, w mężu swym miała podporę, ale siebie samego, swe szczęście złamane, swą przyszłość rozbitą. Pomimo, iż

pierwsze próby poszukiwań zbrodniarza zawiodły go, postanowił nie ustawać w śledzeniu. Próżne jednakżę były wszelkie usiłowania, a i ostatnia nadzieja zniknęła, gdy dowiedział się w sądzie, że ów zbankrutowany właściciel restauracji pod Chennevières, Paweł Grignon, wyjechał do Ameryki.

Lamarre odwiedzał codziennie jednego z swych pacjentów, mieszkającego na wsi w Maison-Alfort pod Paryżem na linji kolei parysko-marsylskiej.

Pewnego dnia gdy przybył na dworzec kolejowy, spostrzegł Anusię, pokojowę Henryki, trzymającą w rękach kilka pakunków i zdążającą do wagonu. Udał się za nią i wszedł do tego samego przedziału.

— Dawno już nie widzieliśmy się, moje dziecko —zagadnął Jerzy.

— Bardzo dawno — odrzekła Anusia westchnąwszy.

— Ta kolej nie prowadzi do Chennevières, więc chyba już nie służysz u państwa Dauray?

— Owszem, panie doktorze, służę zawsze i za nic w świecie nie opuściłabym mojej pani.

— Więc dokądże jedziesz?

— Do pani. Prawda, pan doktór nie wie, że obecnie nie mieszkamy w Chennevières. Pan hrabia najął dom z tej strony Sekwany.

— Czy nie może pogodzić się z p. Dauray?

— Nie... pan hrabia nie chciał, aby pani mieszkała tam gdzie ją wszyscy znają, dopóki dziecko nie podrośnie o tyle, że trudno będzie oznaczyć wiek jego. P. Dauray w bardzo dobrych stosunkach z swym zięciem i przekonany jest, że moja pani bardzo szczęśliwa...

— A czy nie jest tak?

— Zdaje mi się, że nie... Pan hrabia jest grzeczny dla pani, ale nadto nic więcej. Nie kocha jej i ożenił się tylko dla jej majątku... a przytem nie lubi jej dziecka.

Jerzy pochylił głowę, wyrzuty sumienia ścisnęły mu serce. Przecież to on radził eks-bankierowi wydać zamąż córkę tak pośpiesznie; on wprowadził go do dyrektorki ajencji małżeńskiej, on oddał Henrykę hrabiemu de Lucenay. Skoro więc Henryka była nieszczęśliwą, na nim ciążyła część winy.

— Czy wspomina mię kiedy?—zapytał po chwili milczenia.

— Nie! Może myśli o panu, ale nie mówi nigdy.

— Czy odkryli zbrodniarza z owej nocy 15-go lipca?

— Nie, zresztą i nie szukano go. O owej nocy pani rozmawia tylko zemną.

— Cóż ona mówi?

— Zdaje się jej bezustannie, że widzi bladą twarz nikczemnika i że zna go...

— Jakim sposobem?

— Zdaje się jej, że go widziała...

— Gdzie?

— W Chennevières nad brzegiem Marny.

— Kiedy?

— Następnego dnia po owej nocy. I prawdopodobnie nie myli się, gdyż i ja go widziałam...

— Czyż to być może? — zapytał doktór w najwyższym stopniu zdziwiony.

— Tak jest... poznałam go...

— W Chennevières? Kiedy?

— Nie, znacznie później... we Włoszech... w Wenecji. Rozmawiałam z nim nawet.

Anusia opowiedziała doktorowi spotkanie swoje z Juljuszem.

— Dziwna rzecz! — zawołał Jerzy, gdy Anusia skończyła opowiadanie.—Jak on wygląda?

Pokojowa hrabiny opisała szczegółowo rysy twarzy Juljusza.

— Ach — zawołał Jerzy — to ten sam, którego nad brzegiem Marny widziałem rozmawiającego z ogrodnikiem p. Dauray! Wymknął mi się wtedy i dotychczas szukam go napróżno. Straciłem już nadzieję znalezienia go, lecz ty mi ją wracasz.

— Dla czegoż pan doktór chce go koniecznie odszukać, gdy już nie można naprawić złego?

— Dla czego? Żeby się zemścić za moje życie złamane! by pomścić Henrykę! Odszukam go i zabiję!

— Eh, panie doktorze, powiększyłby pan tylko cierpienia mojej pani.

— A to dla czego?

— Byłaby jeszcze więcej nieszczęśliwą, gdyby się dowiedziała, że pan zabił ojca jej córki.

— Anusiu! co ty mówisz?

— Tak jest, proszę pana doktora. Pani od czasu swej choroby przebaczyła mu i więcej nienawidzi hrabiego de Lucenay aniżeli jego.

— Więc może go kocha?—zapytał doktór zgnębiony tem odkryciem.

— Nie wiem czy go kocha, ale to pewne, że nie ma dlań nienawiści.

— Ach, nieszczęśliwa! nieszczęśliwa!

— Nieszczęśliwsza, aniżeli pan może sobie wyobrazić.

— Więc ty mówisz, że nie powinienem mścić się na tym nikczemniku! Nie! jeżeli go odszukam przysięgam, że go zabiję!

Po kilku chwilach milczenia doktór zapytał:

— Czy możesz mi powiedzieć, gdzie obecnie mieszka twoja pani?

— Mieszkamy w Seine-Port i nie pokazujemy się ani w Chennevières, ani w Paryżu.

— I hrabia de Lucenay przebywa tam ciągle?

— Oh, nie, panie! hrabia prawie stale przesiaduje w Paryżu.

— A ten człowiek, którego widziałaś w Wenecji, czy pokazał się w Seine-Port?

— Nie, a przynajmniej nikt go nie widział.

Pociąg zatrzymał się.

— Zobaczę się jeszcze z tobą Anusiu — rzekł doktór i wyszedł z wagonu.

VII.

Juljusz Claude po powrocie z Włoch oddał się pracy i rozpoczął znowu dawny tryb życia.

Bezskuteczna podróż do Wenecji kosztowała go wiele, zaczął więc oszczędzać, w przewidywaniu bowiem, że uda mu się odszukać hrabinę i porwać jej dziecię, rozumiał, iż będzie potrzebował znacznej sumy na jego wychowanie.

Przekonawszy się, że hrabina nietylko, że nie mieszkała w Chennevières, ale nawet tam się nie pokazała, wyrozumował sobie:

— Ulokowali ją w okolicy Paryża w jakimś tajemniczym zakątku i z powodów łatwych do zrozumienia ukrywają przed wszystkimi miejsce jej pobytu, ale niepodobna by jej nie odwiedzano. Obserwując rodziców i męża, prędzej lub później odkryję jej schronienie.

I przez dwa tygodnie w godzinach wolnych od pracy czynił wycieczki do Chennevières i na ulicę Cyrkową, wszakże bezskutecznie. Mógł wprawdzie zapytać Dufoura i ten nie odmówiłby mu zapewne objaśnień, ale nie chciał udawać się do niego z obawy spotkania hr. de Lucenay.

Pewnego wieczoru przechadzając się po trotuarze ulicy Cyrkowej, spostrzegł nareszcie wychodzącego z pałacu *pana intendenta* z pakietem w ręku. Juljusz poszedł za nim w pewnej odległości i dopiero na drugiej ulicy dogonił go i przywitał.

— Ach, to pan! dobry wieczór — zawołał Dufour.—Dokąd pan idziesz?

— Wracam z przedmieścia i idę na obiad.

— Więc może wstąpimy gdzie i wypijem po kieliszku zielonego?

— Właśnie chciałem panu to zaproponować, jeżeli panu nie pilno...

— Pilno! mnie nigdy nie pilno. Hrabia będzie dziś na obiedzie w klubie, więc mam cały wieczór wolny. Potrzebuję tylko odnieść ten pakiet na kolej żelazną. Jedź pan zemną, a z powrotem zjemy razem obiad w pewnej restauracji, gdzie jest doskonałe białe wino Bordeaux. Hrabia, który się zna na winie, nie może się go dość nachwalić!

— Dobrze—odrzekł Juljusz.

— Ot tak, to rozumiem, zrobiłeś się pan więcej towarzyskim, niż dawniej...

Siedli do fiakra i pojechali.

— Cóż to za pakiet?—zapytał Juljusz, wskazując na przedmiot, trzymany przez Dufoura na kolanach.

— To posyłka na prowincję.

— Zapewne prezent dla jakiej znajomej...

— Nie; to dla jednego z przyjaciół pana hrabiego.

Z tonu, jakim słowa te były powiedziane, Juljusz domyślił się, że Dufour nie powiedział prawdy, tembardziej, że starannie zakrywał adres napisany na pakiecie.

— Więc hrabia powrócił już z zagranicy?—zapytał Juljusz.

— Powrócił i osiadł już w pałacu.

— I hrabina także?

— Jeszczeby też! a co onaby tu robiła? Żyjemy po kawalersku i z całym szykiem! Pani hrabina pozostała na wsi.

— I gdzie zamieszkała? czy pod Paryżem?

— Ależ pan jesteś strasznie ciekawy—zauważył Dufour, patrząc Juljuszowi w oczy.

— Ciekawy? wcale nie! Dlaczego pan to mówisz?

— Bo badasz mię jakby sędzia śledczy. Zdawałoby się, że na tych wiadomościach zależy panu wiele...

— Zależy mi!—powtórzył Juljusz śmiejąc się tak naturalnie, że Dufour przestał go podejrzewać. — Pytałem o to, jakbym zapytywał o każdą inną rzecz... aby rozmawiać... Wszystko mi jedno gdzie pański hrabia przebywa, czy nad Missisipi, Kongo lub w Chinach... Rozumiesz pan dobrze, że nic mi na tem nie może zależeć...

— Rzeczywiście.

Gdy przybyli na dworzec lyoński Dufour udał się z pakietem do biura ekspedycji, Juljusz zaś pozostał w bufecie.

— Jestem pewnym — mówił do siebie — że ten pakiet przeznaczony dla Henryki... Gdybym był mógł przeczytać adres, wiedziałbym gdzie mieszka. W każdym razie wiem już przynajmniej, że na kolei lyońskiej.

Po kilku minutach nadszedł Dufour z papierami w ręku, włożył je do kieszeni paltota, wypił kieliszek absyntu, poczem wraz z Juljuszem odjechał na obiad do restauracji. Garson przyjął od nich paltoty i zawiesił jeden na drugim. Juljusz zauważył to.

Nie będziemy opisywali obiadu, który oblewany obficie winem, skończył się o godzinie jedenastej w nocy. Juljusz pił bardzo mało, o tyle tylko by nie wzbudzić podejrzenia, lecz Dufour wstał od stołu tak pijanym, iż Claude z obawy by nie upadł, musiał go podtrzymać.

— Czas już iść—rzekł nareszcie Claude.

— Jak chcesz...

— Pójdę tylko zapłacić...

— Za nic w świecie! Przecież to ja ciebie prosiłem... więc ja płacę... Tylko to wino trochę na mnie podziałało... Nie mogę znaleść kieszeni... Wyjmij-no portmonetkę i zapłać rachunek...

Juljusz, który, jak wiemy, unikał niepotrzebnych wydatków, zgodził się chętnie, wydobył z kieszeni Dufoura portmonetkę, zapłacił należność i wysłał garsona po fiakra.

— Oto pańskie palto — rzekł Juljusz — pomogę panu włożyć...

— Nie... nie... gorąco mi... wezmę je na ramię...

Juljusz uczynił to samo. Gdy Dufour siadł do dorożki, natychmiast zasnął.

— Dokąd mam zawieść ten pakunek? — zapytał woźnica śmiejąc się.

— Na ulicę Cyrkową — odrzekł Juljusz i wskazał numer domu.

Sam wziął drugiego fiakra i kazał się zawieść do swego mieszkania. Ale zaledwie ruszył z miejsca, wyjął z kieszeni papiery i notatnik Dufoura.

— Mam je — szepnął — nie straciłem napróżno wieczoru.

Przybywszy do domu, pośpiesznie zapalił lampę i na kwicie wydanym przez ekspedycję kolejową, wyczytał: Do pani hrabiny de Lucenay, w Seine-Port stacja Cesson.

— Więc nakoniec dowiedziałem się, gdzie przebywa—zawołał z radością.—Za kilka dni będę miał moją córkę!

Hrabia Juljusz de Lucenay po powrocie do Paryża wznowił sposób życia, jaki prowadził dawniej przed utratą majątku. Dni i większą część nocy spędzał na bezustannych rozrywkach i ucztach, na grze w baccara, w teatrach i restauracjach, dokąd zwykle przybywał wraz z Gabri. Gra była zawsze główną jego namiętnością.

Od kilku dni cały Paryż mówił o bliskiem przedstawieniu w teatrze sztuki, która, jak zapewniano, miała wywołać skandal. Był to śmiały bardzo utwór dwóch autorów, potrącający o kwestje polityczne, wyprowadzający na scenę i chłostający niemiłosiernie osoby znane i wysoko postawione, coś w rodzaju „Jarmarku na idee“ z r. 1849-go lub „Rabagas“ z r. 1871-go. Entuzjazmowano się naprzód i na kilka już dni przed przedstawieniem rozkupiono wszystkie bilety.

— Chciałabym to widzieć—rzekła Gabri do hr. de Lucenay.—Postaraj się pan o lożę.

— Wątpię czy można już dostać...

— Potrzeba koniecznie... W Paryżu wszystkiego można dostać, nie żałując pieniędzy.

Życzenie Gabri było dla hrabiego rozkazem. Juljusz porozumiał się z przekupniem biletów i na drugi dzień miał zapewnioną lożę, za sumę, którąby ubogiej rodzinie wystarczyła na pół roku życia. Postanowiono zaprosić barona de Vervey i hr. de Saint-Roman,

nieodstępnych teraz towarzyszów hrabiego Juljusza, oraz dwie przyjaciółki Gabrjeli ze świata teatralnego.

Jedna z nich, dzielna i dobra w gruncie dziewczyna, uczęszczała na artystyczne wieczory urządzane przez Magdalenę Gallier—Damę w szmaragdach—w jej pałacyku przy ulicy de la Faisanderie. Obdarzona dość pięknym głosem, z powodzeniem naśladowała Judic i inne gwiazdy pierwszej wielkości. Nazwisko miała oryginalne, Valentine Valentin, lecz poufale nazywano ją powszechnie *Tintin*.

Zapraszana często przez Gabri do loży, przybyła do niej dowiedzieć się, czy hrabia dostał bilet.

— Dostał lożę, do której zapraszam cię. Widzisz, że nie pamiętam uraz.

— Uraz? Za co?

— Za to, że będąc moją przyjaciółką, przyjaźnisz się współcześnie z moją nieprzyjaciółką.

— Czy mówisz o Damie w szmaragdach?

— Tak.

— Upewniam cię, że ona wcale nie życzy ci źle i rzadko mówi o tobie.

— Nie wierzę temu.

— To się mylisz.

— Mniejsza o to, w każdym razie nienawidzę jej.

— Dla czego? Czy dla tego, że Celestyn opuścił cię dla niej? Cóż ona temu winna? Zdaje mi się, że nie powinnaś żałować go.

— Któż ci mówi, że go żałuję? To głupiec! nie dbam o niego! Ale nie chciałam, by mi go zabrano. Jak ci się zdaje, czy on ją szczerze kocha?

— Ubóstwia i bardzo być może, że się z nią ożeni.

— Co za farsa!—zawołała Gabri, śmiejąc się.— Dama w szmaragdach markizową de Valandelle! Nigdy w życiu!

— Dla czego? Przecież zdarzają się takie małżeństwa.

Gabri przestała się śmiać i zachmurzyła się.

— Tak, to prawda... Ona może się wydać za niego... Celestyn jest wolnym i człowiekiem charakteru słabego... nadto, nie ma rodziny, któraby oparła się temu...

— Czyż nie marzyłaś sama, że zostaniesz margrabiną?

— Podobał mi się tytuł... rzeczywiście marzyłam, ale jak widzisz, było to marzenie! Ach, jakże ja nienawidzę tej kobiety! Poświęciłabym chętnie wszystko co posiadam, by kto zabił tego Valandella!

— Ty mię przerażasz! — zawołała Tintin. — Na szczęście nie myślisz tak jak mówisz.

— Tak sądzisz? — odrzekła Gabri szydersko.— Niech tylko zdarzy się sposobność, zobaczymy...—poczem zmieniając ton, zapytała — czy ta intrygantka kocha Celestyna?

— Zdaje mi się, że jej uczucie dla niego nazwać można raczej szczerą przyjaźnią aniżeli miłością.

— Wprawna komedjantka!

— Mylisz się, Magdalena wcale nie jest podobna do innych kobiet i gdybyś ją poznała...

— Nie chcę jej znać!—przerwała Gabri.

— Jestem przekonaną, że przyjęłaby cię bardzo życzliwie.

— Za nic w świecie nie poszłabym do niej!

— Czy z obawy spotkania się z Valandellem?

— Mówię ci, że drwię sobie z niego! Czy Magdalena będzie dziś w teatrze?

— Nie.

— A gdyby nie to, to wolałabyś pójść raczej do jej loży niż do mojej?

— Ależ ty jesteś dzisiaj w strasznym humorze!

— Nie znoszę, gdy mi mówisz o tej gęsi.

— Przecież to ty wszczynasz o niej rozmowę.

— I dla czegoż nie idzie ona na tę premjerę, gdy wszyscy idą?

— Ponieważ jest chorą.

— Lepiej byłoby żeby umarła!

— Nie widziałam cię jeszcze tak mocno roz drażnioną... irytujesz się bez żadnego powodu... Do widzenia... Gdzie zejdziemy się dzisiaj?

— U mnie, o wpół do ósmej.

— Dobrze, przyjdę.

Pożegnała się i odeszła.

— Nienawidzę tej Magdaleny — mówiła do siebie Gabri pozostawszy samą. — Pozbawiła mię pozycji, którą mogłabym zachować na zawsze! Okradła mię z majątku, który uważałam już za swój, a teraz pozbawi mię tytułu margrabiny, którego tak pragnęłam, a który jej się dostanie. Poważna pozycja w świecie i tytuł były mojem marzeniem! Ach, gdyby Lucenay nie był żonatym, nie żałowałabym... zależałoby od mojej woli zostać hrabiną!

— Czy pani przyjmuje? — zapytała pokojowa otwierając drzwi pokoju.

— Któż to przybył?

— Pan baron de Vervey.

— Zaprowadź pana barona do salonu i powiedz że zaraz przyjdę.

VIII.

Panna Valentin po wyjściu od Gabri kazała się zawieść do Magdaleny, którą zastała spoczywającą na szeslongu, osłabioną, bledszą niż kiedykolwiek i cier piącą.

Choroba nie była niebezpieczną i można było powstrzymać jej rozwój. Dawniejszy niedostatek i cierpienia wycieńczyły ją, a obecne gorączkowe życie, jakie prowadziła od niejakiego czasu, pogorszyło jeszcze więcej stan jej zdrowia, które można było poprawić tylko za pomocą środków wzmacniających, a przedewszystkiem fizycznego i moralnego spokoju.

— Jakże się czujesz dzisiaj? — zapytała Tintin chorej.

— Trochę lepiej.

— Czy był doktór?

— Wyszedł właśnie przed chwilą.

— Nie wierzę ja w środki przez niego zalecane—zauważył obecny Celestyn.

— A jednak on ma rację—odrzekła Magdalena. —Potrzebuję życia spokojnego, regularnego, życia skromnej mieszczanki prowincjonalnej, wolnego od wszelkich wzruszeń... Potrzebuję wstawać wcześnie i kłaść się spać razem z kurami... Zamiast tych homarów, ostrych sosów, pieprzu Cayenny i trufli potrzebuję potraw prostych a posilnych...

— Ależ droga moja—rzekła Valentine—przecież wszystko to mieć możesz...

— I ja jej to samo powtarzam — dodał markiz.

— Wszak wiesz, mój przyjacielu—odrzekła Magdalena, spojrzawszy na niego znacząco—iż są rzeczy na pozór łatwe, a jednak niemożliwe.

Po chwili milczenia Valandelle zwrócił się do przybyłej:

— Wszak pani zostaniesz na obiedzie u Magdaleny?

— Nie mogę.

— Dla czego?

— Gdyż muszę być dzisiaj w teatrza na premjerze.

— Mówią, że to rzecz będzie ciekawa... Gdybym nie była chorą, pojechałabym. Czy masz lożę?

— Właściwie mam tylko miejsce w loży

— Czyjej?

— Gabrjeli Stellini.

— Dawno ją widziałaś?

— Od niej tu przyjechałam.

— Cóż ona robi?

— Co zwykle. Panuje ciągle nad hrabią Juljuszem de Lucenay.

— Juljusz de Lucenay—powtórzyła Magdalena —ten hrabia, który ożeniwszy się przed kilkoma miesiącami z młodą i piękną osobą, opuścił ją, jak mówią, dla Gabrjeli... Nie umiem wytłómaczyć sobie dla czego, lecz bardzo pragnęłabym poznać tego hrabiego... Gdybym nie była zachorowała, zaprosiłabym go na moje zebranie...

— On nie przybyłby...

— Tak myślisz?

— Jestem tego pewną.

— Dla czego?

— Bo nie pozwoliłaby mu Stellini.

— Przybyłby bez jej wiedzy.

— Za nic w świecie... Hrabia drży przed nią, a wiedząc, jak ona ciebie nienawidzi, nigdyby nie chciał narazić się na jej gniew.

— Niesłusznie mię nienawidzi, ale przebaczam jej to, gdyż powodem tej nienawiści jest przywiązanie, jakie Celestyn mi okazuje.

— Proszę was—odezwał się markiz—nie mówcie o tej kobiecie!

— Czy będzie pan dziś na premjerze?—zapytała Valentine, by zmienić przedmiot rozmowy.

— Nie będę.

— I dla czego?

— Ponieważ Magdalena jest cierpiącą.

— Nie uznaję tego powodu—odrzekła chora.— Przeciwnie, potrzeba, byś pan poszedł... zależy mi na tem wiele... Opowiesz mi pan jutro o tem przedstawieniu...

— Ależ...

— Niema żadnego ale...—odparła Magdalena.— Odmowa pańska sprawiłaby mi wielką przykrość. Nie jestem tak dalece chorą, byś się pan niepokoił... Czuję się lepiej... zjem obiad i stosując się do przepisu doktora, pójdę spać wcześnie. Czy zgoda? Pójdziesz pan do teatru?

— Skoro sprawi to pani przyjemność, więc dobrze...

— Tak, to co innego... Jestem zadowoloną z pana...

Panna Valentin pożegnała się, przyrzekła odwiedzić Magdalenę nazajutrz i odjechała.

— Walentyna ma rację—rzekł Celestyn, pozostawszy sam z Magdaleną.—Dla czego nie wyrzec się tego zabijającego cię życia gorączkowego?

— Nie doszłam jeszcze do celu — odrzekła ponuro.

— Uczyniliśmy wszystko, co jest w mocy ludzkiej, chodziliśmy wszędzie, przetrząsnęliśmy cały Pa-

ryż, zwiedziliśmy najtajniejsze kryjówki i nie znaleźliśmy. Doszedłem do przekonania, że poszukiwany przez nas nikczemnik opuścił Francję...

— Więc radzisz mi zaniechać zemsty i wyrzec się ukarania zbrodniarza?

— Czyż nie lepiej zaniechać jej, niż zabijać siebie tem życiem gorączkowem, co cię denerwuje i zabija? Wierz mi Magdaleno, zapomnij o nim! Pomyśl tylko, jak bylibyśmy szczęśliwi wtedy! Usunęlibyśmy się od świata, osiedlibyśmy w jakiem zakątku i żyli tylko dla siebie! Ty lubisz życie ciche i domowe, ja chętnie zgadzam się na nie.

— Poczekajmy jeszcze czas jakiś...

— I na co będziemy czekali?

— Jakieś przeczucie mi mówi, że poszukiwania moje, jakkolwiek bezowocne dotychczas, uwieńczone zostaną powodzeniem.

— I ty wierzysz w to przeczucie?

— Wierzę.

— Więc niech się stanie, jak sobie życzysz— odrzekł ze smutkiem Celestyn i powstał.

— Nie zostaniesz u mnie na obiedzie?—zapytała Magdalena.

— Nie, gdyż kazałaś mi iść do teatru, muszę więc pójść do siebie przebrać się, a następnie pójdę na obiad do klubu.

Magdalena nadstawiła czoło, na którem markiz złożył pocałunek i odszedł.

— Nie, przeczucie to nie myli mię — rzekła do siebie Magdalena. — Odszukam zabójcę mego dziecięcia!

IX.

Po wyjściu od Magdaleny Celestyn udał się do swego mieszkania, przebrał się i odjechał do klubu.

W pierwszym salonie zastał kilku znajomych, z którymi się przywitał i oczekując na obiad, zaczął przeglądać dzienniki. Po kilku minutach wszedł de Lucenay w towarzystwie hr. de Saint-Roman i br. Verveya. Był on w tak złym humorze, iż jeden z młodych ludzi, stojący niedaleko Celestyna, zapytał hr. de Saint-Roman.

— Co się stało Juljuszowi de Lucenay?

— Przegrał w karty pięćset luidorów.

— Uważałem go zawsze za bardzo dobrego gracza.

— I jest nim rzeczywiście. Może jest gniewnym z innego powodu, może Gabri wyprawiła mu jaką scenę...

Celestyn, usłyszawszy nazwisko de Lucenay, którego dotychczas nie znał, spojrzał na niego. W tej chwili baron de Vervey spostrzegł go i podstąpił ku niemu.

— Jak się masz Valandelle! Jaki wypadek sprowadził cię tutaj? Dawno już nie byłeś w klubie...

— Jadę do teatru i przybyłem na obiad.

— Cóżeś taki zamyślony? Czy może przegrałeś w karty?

— Od kilku miesięcy już nie miałem kart w ręku.

— Więc może jakie nieporozumienie przy ulicy de la Faisanderie?

— Nieporozumienie z taką przyjaciółką!—odrzekł Celestyn, wzruszając ramionami.—Czyż to rzecz możliwa?

— Czy wiesz jakie krążą pogłosk.

— Jakie?

— Mówią, że prędzej lub później ożenisz się z tą swoją przyjaciółką.

Baron powiedziawszy to, był pewnym, że markiz oburzy się na mezaljans, ale ten nie zdziwił się nawet i odpowiedział z całym spokojem:

— Jeżeli małżeństwo z nią zapewniłoby mi szczęście, to dla czegoż miałbym się go zrzekać? Nie zależę od nikogo i nie rozumiem, dla czego ludzie zajmują się mojemi interesami.

— To słuszne! Masz zupełne prawo dania pannie Magdalenie tytułu twej żony... To twoja rzecz...

— De Vervey, proszę cię, jedno słowo...

Baron odwrócił się w stronę, z której go wezwano. Juljusz Lucenay, leżąc na sofie, dał mu znak, by się przybliżył.

— Kto jest ten młody człowiek, z którym rozmawiałeś?

— Jakto, nie znasz go?

— Pierwszy raz go widzę.

— To markiz de Valandelle.

— Aha, markiz de Valandelle!—rzekł hrabia de Lucenay, nakładając binokle i przypatrując mu się z impertynencją.—Boże mój, jakiż zły gust miała Gabri—dodał, skrzywiwszy usta pogardliwie.

Celestyn spostrzegł giest hrabiego, jego uśmiech pogardliwy i usłyszał imię Gabri. Zadrżał i zbladł.

— Lucenay—rzekł żywo Vervey—nie rób awantury...

— Cóż za awantura? że patrzę na tego młodego człowieka? Zdaje się, że mam prawo.

Celestyn zapytywał siebie, czy nie należałoby podejść do hrabiego i wypoliczkować go, ale przyszła mu myśl, że w gruncie nie miał poważnego powodu

i że gdyby sam wszczął awanturę, wytłómaczonoby sobie, że się mści za odebranie mu Gabrjeli. Powstrzymał się więc, lecz wyszedł z klubu i udał się na obiad do innej restauracji. Jedząc zaś myślał:

— Ten pan de Lucenay bardzo mi się niepodoba i sprawiłoby mi to wielką przyjemność, gdybym mógł wpakować mu kulę w piersi lub parę cali żelaza w bok.

O godzinie wpół do dziewiątej wszystkie miejsca w teatrze były już zapełnione.

Hr. de Lucenay, hr. de Saint-Roman i br. Vervey wraz z Gabri i Walentyną zajmowali lożę parterową obok sceny, zaś markiz miał w trzecim szeregu orkiestry jeden z foteli, które dyrektorowie teatrów dają do rozporządzenia większym klubom na premjery.

Orkjestra ukończyła uwerturę i podniesiono kortynę.

Od pierwszej już sceny aluzje do świeżych wypadków i znanych osób zrozumiane zostały doskonale, ale publiczność zachowała się spokojnie.

W połowie aktu drugiego Celestyn rozglądając się po łożach, spostrzegł i poznał Juljusza de Lucenay, który, przechylony naprzód, lornetował fotele orkiestrowe. Spojrzenia ich skrzyżowały się.

— Patrz! patrz! ten mały markiz jest tutaj — rzekł tak głośno, że Celestyn go usłyszał.

— Cicho!—zawołało kilka głosów z miejsc wyższych.

Gabri spojrzała na hrabiego i spostrzegła, że przybył z obiadu nie zupełnie przytomnym.

— Mój drogi, nie pozwalaj, by ci publiczność rozkazywała—rzekła Gabri do Juljusza.

Lucenay chciał odpowiedzieć, lecz w tejże chwili jakiś dowcip wypowiedziany przez jednego z aktorów wywołał oklaski i przeszkodził rozmowie.

Gdy rozpoczął się akt trzeci i publiczność się uspokoiła, Gabrjela zapytała Juljusza:

— Dla czego tak późno przybyłeś do teatru?

— Jadłem obiad w klubie, a że wina były doskonałe, więc zabawiłem trochę dłużej.

— Widać to po tobie...

— Przynoszę ci nowinę... mały markiz żeni się.

— Kogo nazywasz małym markizem?

— Pana de Valandelle, starego twego znajomego, którego wybór, mówiąc nawiasem, nie tęgo świadczy o twym guście.

— Na serjo żeni się?

— Sam to oświadczył

— Z kim żeni się?

— Nie domyślasz się? Z Damą w szmaragdach.

— Co za żart!

— Wcale nie żart.

Gabrjela zbladła z gniewu. Więc to, co ją najwięcej drażniło, miało się urzeczywistnić: jej rywalka miała nosić tytuł, tak pożądany przez nią samą. Jakim sposobem przeszkodzić temu zamiarowi?

— Wszak mówiłeś, że Valandelle jest tutaj?— zapytała.

— Był... gdy wchodziłem do loży lornetował mię impertynecko... Patrz, to on tam siedzi... Co za niesmaczna figura! — dodał, wskazując palcem Celestyna, który, odwrócony tyłem do sceny, lornetował widzów w lożach.

Brwi Gabri ściągnęły się.

— Czy chcesz zrobić awanturę?—rzekł Vervey, nachyliwszy się do Juljusza.—Mój drogi, mów ciszej.

— Z jakiegoż to powodu mam mówić ciszej? Czyż nie mam prawa powiedzieć głośno, że ten jegomość mi się niepodoba?

Z kolei wmieszał się de Saint-Roman:

— Mój drogi, nie rób skandalu... proszę cię, przestań...

— Otóż właśnie będę mówił i nikt nie ma prawa przeszkodzić mi wyjawiania mych myśli!

Przypadek zdarzył, że w chwili gdy Juljusz wypowiadał te słowa, Celestyn odwrócił się ku jego loży i skierował lornetkę na Walentynę.

— Patrzaj, on się ośmiela lornetować mię—rzekła Gabri do Juljusza.—Przyglądać się mi gdy ja jestem z tobą, to zuchwalstwo!

Lucenay przechylił się i wyzywająco utkwił wzrok w Celestyna; ten spojrzał na niego w taki sam sposób, poczem wzruszył ramionami i odwrócił się tyłem.

Hrabia zadrżał z wściekłości. Była to doskonała chwila dla dolania oliwy do ognia.

— Czy widziałeś?—zapytała Gabri—czy widziałeś jak ten błazen uśmiechnął się szydersko i wzruszył ramionami? To jest umyślna obraza! Powinieneś mu dać dobrą lekcję!

Juljusz powstał i chciał wyjść z loży, lecz Vervey i Saint-Roman powstrzymali go.

X

Orkiestra odegrała krótką uwerturę i kurtyna podniosła się znowu.

— Gorąco mi—rzekła Gabri—przejdźmy się po foyer.

Powstała i zwracając się do Walentyny, dodała:

— Czy nie pójdziesz z nami?

Walentyna, która widziała gniew tryskający z oczu Gabri i przeczuwała mającą nastąpić awanturę, odrzekła:

— Nie, pozostanę.

— Jak chcesz.

Lucenay podał ramię Gabrjeli i wraz z nią, oraz w towarzystwie Verveya i hr. de Saint-Roman wyszedł z loży.

Juljusz był mocno pobudzony; wino rozbierało go coraz więcej i mroczyło jego umysł, a Gabri postanowiła skorzystać z tego stanu, by uczynić go narzędziem swych zamiarów. Wszyscy czworo udali się do foyer przepełnionego widzami. Lucenay szukał w tłumie Valandella, którego widział wychodzącego z pośród orkiestry, by dać mu dobrą lekcję, jak pragnęła Gabri. Zamroczenie umysłu nie dozwalało mu zastanowić się nad własną pozycją i nad skutkami skandalu.

Celestyn, spotkawszy w foyer dwóch przyjaciół, rozmawiał z nimi, gdy nagle uczuł silne potrącenie w rękę. Potrącenie to mogło być skutkiem niezręczności. Odwrócił się i spostrzegł naprzeciw siebie Gabrjelę i hr. de Lucenay.

Markiz zbladł.

— Bądź uważnym, głupcze! Potrąciłeś mię bałwanie!—zawołała Gabri, spoglądając zuchwale w oczy Celestynowi.

— Ja, panią? — tłómaczył się markiz zdziwiony.

— Co to takiego? — zapytał Lucenay, który nie wiedział co zaszło.

— Jest tu jakiś pan niegrzeczny—odrzekła Gabri—który potrąca kobiety i nawet nie raczy przeprosić. Możnaby przypuszczać, że ta niezręczność jest

Juljusz szyderskim wzrokiem zmierzył Celestyna i rzekł:

— Ach, ach, to mały markiz... potrzeba mu dać małą lekcję grzeczności...

Celestyn zacisnął pięście, lecz jeszcze się powstrzymał.

— Jestem rzeczywiście markizem de Valandelle, którego wyzywasz pan dzisiaj w nieznanym mi celu, lecz w stanie bardzo widocznym. Kto mię szuka, znajdzie... Jestem gotów udzielić panu odpowiedzi, pragnąłbym tylko, byś pan wtedy był naczczo.

Hr. de Lucenay podniósł rękę, lecz nie miał czasu jej opuścić, pochwycił ją bowiem br. Vervey, gdy tymczasem Saint-Roman szepnął:

— Lucenay, czyś zwarjował?

— Uważam pański giest za czyn—mówił dalej z zimną krwią Celestyn.—Odpowiesz mi pan za tę zniewagę.

— Jutro przyszlę mych świadków—wybełkotał hrabia.

— Przepraszam!—odparł Celestyn—to ja, jako obrażony przyszlę ich — poczem zwróciwszy się do dwóch młodych ludzi, z którymi rozmawiał, zaprosił ich na świadków.

— Z całego serca—odrzekli obaj.

— Baron de Vervey i hr. de Saint-Roman będą świadkami moimi—rzekł Lucenay.

Przyjaciele Juljusza skrzywili się. Narzucona rola nie podobała im się, wiedzieli bowiem powód zajścia, ale nie było sposobu uwolnienia się od niej. Ukłonili się więc tylko na znak przyzwolenia.

— Ci panowie porozumią się — rzekł Celestyn, podając hrabiemu swą kartę, który schował ją do kieszeni i wzamian dał swoją.

Czterej młodzi ludzie podstąpili ku sobie i zamienili kilka słów.

— Zabiję cię jutro, mały markizie! — zawołał Juljusz, odchodząc z Gabrjelą, która odwróciła się ku Celestynowi i dodała:

— Tak, i Dama w szmaragdach zostanie wdową bez tytułu margrabiny.

Valandelle lekko wzruszył ramionami.

— Co znaczy ta sprzeczka?—zapytał Celestyna de Nattes.

— Hrabia de Lucenay upił się i obraził mię.

— Czy miałeś z nim jakie zajście dawniej?

— Nigdy! Widzę go pierwszy raz w życiu.

— Nie rozumiem więc prowokacji...

— A ja ją rozumiem bardzo dobrze! — odrzekł Valandelle — i przewidywałem od początku przedstawienia. Lucenay spełnił tylko żądanie Gabrjeli...

— Więc Gabrjela cię nie lubi?

— Serdecznie.

— Za co?

— Zato, żem ją opuścił...

— I będziesz się bił z powodu tej nędznej istoty!

— Nie za nią, lecz za siebie. Czy zostałem obrażony, czy nie?

— Byłeś obrażony.

— W takim razie cóż mię obchodzi powód? Kiedy zejdziecie się ze świadkami hr. de Lucenay?

— Jutro o dziesiątej rano.

— Nie zapomnijcie, że jako obrażony, mam prawo stawić warunki.

— A naturalnie!

— Pragnę, by pojedynek odbył się jutro po południu.

— Dobrze. Jaką broń wybierasz?

— Szpadę. To mniej niebezpieczne od pistoletu, a wcale nie pragnę zabić mego przeciwnika.

— Gdzie ma nastąpić spotkanie?

— Czy znacie stację Cesson na kolei lyońskiej?

— Znamy, to ostatnia stacja przed Melun.

— Często odwiedzałem tam jednego z moich przyjaciół i zauważyłem pomiędzy Cesson i Seine-Port mały lasek, oddalony od mieszkań ludzkich. Nikt tam nam nie przeszkodzi, ani żandarmi, ani stróże polowi.

— Dobrze. O której godzinie?

— Pomiędzy czwartą i piątą po południu. Będę na was czekał od południa w kawiarni Angielskiej, poczem zjemy razem obiad i odjedziemy pociągiem. Tylko proszę was, nie mówcie o tym pojedynku nikomu.

— Bądź spokojnym—odrzekli i pożegnali go.

Juljusz de Lucenay wrócił z Gabrjelą do loży.

— No — rzekła ta ostatnia z tryumfującą miną do Walentyny—mały markiz nie zaślubi przyjaciółki twojej.

— Dla czego?

— Gdyż Lucenay zabije go jutro.

— Ach, mój Boże! Ależ ty nie mówisz tego na serjo?

— Jestto tak pewnem, że Dama w szmaragdach może zamówić już sobie suknię żałobną!

Walentyna zasłoniła twarz wachlarzem, by ukryć dwie łzy, które potoczyły się z jej oczu.

Przedstawienie bez żadnego ważniejszego wypadku skończyło się o północy.

XI.

Juljusz Claude powróciwszy do siebie po obiedzie z Dufourem, udał się natychmiast na spoczynek i spał snem, jakiego już dawno nie doznał.

Radość z odnalezienia miejsca pobytu Henryki, uwolniła go na chwilę od dręczących go myśli.

Następnego dnia wstał rano, wziął z sobą palto Dufoura i odesłał mu je przez posłańca z poleceniem odebrania własnego.

Dufour sięgnął do kieszeni i przekonawszy się, że papiery znajdowały się wszystkie w porządku, oddał palto Juljusza. Nie przyszło mu nawet na myśl, że Claude dzięki jemu zdobył tak pożądane informacje.

Walentyna, przyjaciółka Magdaleny, znała oddawna p. d'Aurillac, do którego o godzinie dziesiątej rano mieli przybyć świadkowie hr. de Lucenay, celem ułożenia warunków pojedynku.

Jakkolwiek więc powróciła z teatru późno, wstała rano, ubrała się pośpiesznie, wyszła na ulicę i zawołała fiakra.

— Dokąd mam jechać?—zapytał woźnica.

— Ulica Varenne, nr 15-ty. Zatrzymasz się naprzeciw tego domu po drugiej stronie ulicy.

O wpół do dziesiątej przybyła na miejsce i przez uchylone story zaczęła obserwować wejście do domu, w którym znajdowało się mieszkanie d'Aurillaca.

W kilkanaście minut przed domem tym zatrzymał się lekki powozik, z którego wysiadł de Nattes, a o dziesiątej drugi powóz, którym przybył br. de Saint-Roman.

— Panowie—rzekł gospodarz mieszkania, przywitawszy przybyłych — byliście wczoraj wieczorem świadkami opłakanej sceny i bezwątpienia przyznacie, że pojedynek między hr. de Lucenay i markizem de Valandelle jest nieunikniony.

— Przyznajemy to w zupełności — odrzekli świadkowie męża Henryki.

— Pozostaje nam więc tylko porozumieć się o warunki. Ponieważ markiz został obrażony, więc ma prawo wyboru broni. Czy zgadzacie się panowie na to?

— Zgadzamy się.

— Wybieramy więc szpady.

— Przyjmujemy.

— Każdy z przeciwników przywiezie swoją broń, a los zdecyduje o wyborze jej do walki.

Świadkowie hr. de Lucenay skłonili się na znak zgody.

— Przeciwnicy będą walczyli tylko do pierwszej krwi—ciągnął d'Aurillac—gdyż markiz de Valandelle, jakkolwiek ciężko obrażony, nie życzy sobie śmierci hrabiego. Czy zgadzacie się panowie na ten warunek?

— Zgadzamy się.

— Pojedynek odbędzie się dzisiaj.

Vervey i Saint-Roman spojrzeli po sobie.

— Nie przewidzieliśmy tego — odrzekli. — Dla czegoż taki niezwykły pośpiech?

— Jest on konieczny, gdyż markiz de Valandelle jutro opuszcza Paryż.

— W takim razie musimy się zgodzić. O której godzinie?

— O piątej po południu.

— Gdzie pojedynek się odbędzie?

— W lasku pod Cesson.

— Znamy go... leży on przy drodze z Cesson do Seine-Port i łączy się z lasem Fontainbleau.

— Ten sam.

— Czy mamy przywieść z sobą lekarza?

— Nie, mamy swego.

— Zdaje mi się, że to już wszystko?

— Wszystko... więc do widzenia.

— Do widzenia.

Hr. de Saint-Roman i br. Vervey oddalili się i udali się do hr. de Lucenay dla zdania mu sprawy z widzenia się ze świadkami markiza.

Następnego dnia hr. de Lucenay, przebudziwszy się uspokojony, tylko nieco zmęczony i z lekkim bólem głowy, zaczął zastanawiać się nad zajściem poprzedniego wieczoru. Zanadto brakowało mu serca, by mógł być zupełnie odważnym, ale odwagę do pojedynków posiadał, rozumiał bowiem, że człowiek jego pozycji, cofający się przed walką lub choćby wahający się tylko, jest w opinji zgubionym. Przytem wiedział, że doskonale strzela i wybornie bije się na szpady. Z tem wszystkiem z goryczą rozmyślał nad niepotrzebnie wywołaną fatalną awanturą i opłakanemi jej skutkami. Nie powątpiewał ani przez chwilę, że z pojedynku wyjdzie zwycięsko, ale nie o to mu chodziło. W świecie, do którego należał, pojedynek, pomimo największej dyskrecji świadków, wywołuje zawsze wiele gawęd. Jeżeli p. Dauray dowie się o nim, a dowie się napewno, jak również i o powodach, nie zbyt honorowych, to interesa hrabiego, jeśli nie teraz, to w przyszłości mogą bardzo ucierpieć.

— Popełniłem ogromne głupstwo!—rzekł do siebie ze złością. — Byłem pijany i uległem wpływowi Gabri. To jedyne usprawiedliwienie, ale niedostateczne. Ja, człowiek żonaty, mam się pojedynkować

o kobietę! To niedorzeczność, głupstwo, nawet śmieszność, jednak uniknąć jej nie mogę. Sam zaczepiłem i muszę się bić!... Ten Valandeile nie podoba mi się, sam nie wiem dla czego, ale to nie dostateczny powód do wywołania awantury. Zamiast słuchać się Gabri, która go nienawidzi, powinienem był wzruszyć ramionami... Byłem idjotą... warjatem... lecz cofnąć się już niepodobna! Muszę wypić piwo, jakiego sam nawarzyłem.

Zadzwonił na służącego.

— Powiedz panu Dufourowi, że mam do niego interes.

W kilka chwil *pan intendent* przybył.

— Pan hrabia raczył mię wezwać? — zapytał schylając się wpół.

— Tak, mam ci uczynić wymówkę.

Dufour pomyślał, że hrabia wiedział o jego wczorajszej wycieczce, ale nie mógł domyśleć się, jakim sposobem mogło to dojść do jego wiadomości.

— Wymówkę, mnie...

— Tak, i bardzo poważną. Poleciłem ci zupełne urządzenie pałacu, tymczasem zapomniałeś o rzeczy bardzo ważnej, mianowicie o broni...

— O broni... potrzeba panu hrabiemu broni i na cóż to?

— Żeby się bić.

— Ośmielam się przypuszczać, że pan hrabia nie ma do tego ochoty.

— Mam pojedynek...

— Boże miłosierny! Więc panu hrabiemu już życie dokuczyło i to wtedy, gdy wszystko się udaje, gdy egzystencja stała się dla pana hrabiego jedną ucztą!

— Owszem, bardzo pragnę żyć... — odrzekł Lucenay z uśmiechem.

— Panie hrabio, pojedynek jest rzeczą niedobrą; powiem więcej, czynem godnym potępienia i wzbronionym przez prawo.

— Nie pytam się o twoje przekonania, ale żądam broni...

— Ależ ja jej nie mam, panie hrabio... Mam wstręt do pojedynków, gdyż skutkiem ich może być śmierć!

— Weź powóz, jedź do Lepage'a i zażądaj dla mnie dwóch par pistoletów i dwóch par szpad pojedynkowych, dość giętkich i ciężkich w rękojeści; lubię czuć w ręku ciężar broni. Weźmiesz nadto dwa rewolwery kieszonkowe systemu Colta i wracaj natychmiast.

— Więc pan hrabia zdecydowany jest popełnić to szaleństwo! Pan hrabia pójdzie nadstawić pierś swoją na kulę lub szpadę jakiego nędznego zawadjaki, który przeszywszy ją, powali ciało na trawę, zbroczoną krwią szlachetną!...

Hrabia usłyszawszy ten frazes melodramatyczny nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Jedź prędzej! niema chwili do stracenia!

— To znaczy, że pan hrabia upiera się! Ja, który obiecywałem sobie zakończyć spokojnie dni moje, jako sługa pana hrabiego, widzę, że będę zmuszony szukać innego miejsca, lecz jestem pewnym, że nigdy nie znajdę tak dobrego pana!

— Ptaku złowieszczy — odrzekł Juljusz z niecierpliwością—mówisz, jak gdybym już nie żył i został pogrzebany! Dość tego! Jedź już!

— Jestem posłuszny, lecz protestuję—i rzekłszy to wzniósł oczy i ręce do nieba i wyszedł z giestem rozpaczy.

O godzinie jedenastej przybyli świadkowie.

— No i cóż?—zapytał Juljusz.

— A cóż, ułożyliśmy się.

— Kiedyż więc ma nastąpić spotkanie?

— Dzisiaj.

— Tem lepiej... pragnąłbym skończyć prędzej... Jaka broń?

— Szpady.

— Doskonale... I ja wybrałbym je... władam szpadą tak dobrze jak i bronią palną. O której godzinie?

— O piątej.

— Gdzie?

— W lasku pomiędzy Cesson i Seine-Port.

Hrabia de Lucenay poruszył się.

— Dla czegoż tam a nie gdzieindziej?

— Miejsce to wybrał Aurillac, zgodziliśmy się więc bez dyskusji.

— To dobrze... znam ten lasek... tam nam nikt nie przeszkodzi, abyście wy tylko dochowali sekretu.

— Możesz być tego pewnym.

— O której wyjeżdżamy?

— O trzeciej pociągiem do Cesson. Czy będziesz miał szpady?

— Posłałem po nie do Lepage'a, gdyż nie mam ieszcze skompletowanej zbrojowni.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy zjawił się Dufour z pakunkiem broni.

— Panie hrabio—rzekł głosem grobowym—spełniłem me zadanie niewdzięczne. Oto narzędzia zniszczenia... jest ich tutaj za czterysta siedmdziesiąt franków, t. j. prawie za cenę beczułki doskonałego bordeaux, a o ileż te pieniądze byłyby lepiej użyte na jego kupno! *Bonum vinum laetificat cor hominis!* co znaczy, że nic niema zdrowszego nad dobre wino, a nic niestrawniejszego nad szpady i broń palną.

Juljusz de Lucenay i jego świadkowie przyjęli ten wolny przekład wybuchem śmiechu.

— Brawo!—zawołał hrabia biorąc szpady z rąk Dufoura. — Dzień rozpoczyna się wesoło... to dobra wróżba!

Następnie poleciwszy przygotować obiad na godzinę ósmą, odjechał wraz ze świadkami na śniadanie do restauracji.

Valentine Valentin, czatująca przed mieszkaniem wicehrabiego d'Aurillac na ulicy, skoro tylko spostrzegła odjeżdżających br. Verveya i hr. de Saint-Roman, wysiadła z powozu i weszła do domu.

— Czy wicehrabia przyjmuje?—zapytała lokaja.

— Nie wiem, czy będzie mógł panią przyjąć, gdyż jest zajęty.

— Potrzebuję koniecznie widzieć się... powiedz, że przychodzę od markiza de Valandelle—i wręczyła swą kartę wizytową.

Wicehrabia chociaż znał Walentynę, zdziwił się bardzo tak ranną jej wizytą, lecz kazał prosić.

— Proszę o przebaczenie, panie wicehrabio — rzekła Walentyna wszedłszy do salonu, w którym zastała gospodarza domu, rozmawiającego z p. de Nattes — że użyłam kłamstwa, by zobaczyć się z panem. Potrzebowałam rozmówić się koniecznie i dla tego powiedziałam, że przychodzę od markiza de Valandelle.

— W każdym razie witam panią z przyjemnością—odrzekł Aurillac, uścisnąwszy podaną mu rękę. —Lecz dlaczego pani taka wzruszona?

— Czy pan Valandelle będzie się pojedynkował?—gorączkowo zapytała Walentyna.

— Będzie.

— Panie wicehrabio, nie można dopuścić do tego pojedynku, w przeciwnym bowiem razie zostanie pan wspólnikiem morderstwa z góry obmyślanego.

— Co pani mówi! — zawołał d'Aurillac zdziwiony.

— Mówię prawdę.

— Myli się pani! Jakim sposobem może pani przypuścić, aby pojedynek, w którym świadkami my będziemy, nie odbył się prawidłowo?

— Po panu de Lucenay nie można się spodziewać niczego honorowego.

— Co on uczynił, że sądzi go pani tak surowo?

— Znajduje się pod wpływem kobiety, która popycha go do popełnienia morderstwa.

— Czy pani mówi o Gabri?

— Tak, o tym potworze...

— Myślałem, że pani jest jej przyjaciółką.

— Ja, jej przyjaciółką? Niech mię Bóg strzeże!

— A jednak wczoraj wieczorem była pani w jej loży...

— To niczego nie dowodzi. Widuję Gabri, ponieważ obie należymy do tego samego świata zepsutego i ponieważ kilkakrotne spotkanie się z nią, zbliżyło mię do niej. Ale nie znałam jej dobrze, i niech mi pan wierzy, że dopiero wczoraj wieczorem przekonałam się, jak jest nikczemną i od tej chwili pogardzam nią. Gabrjela nienawidzi pana de Valandelle, gdyż opuścił ją dla innej kobiety, pięknej i uczciwej, którą kocha i która nie jest jego kochanką. Prawdopodobnie ożeni się z nią, a że Gabrjela sama pragnęła zostać jego żoną, więc go nienawidzi i przysięgła sobie zgładzić go ze świata! Pan de Lucenay jest nikczemnym, oddając szpadę swoją na usługi takiej kobiety i w takiej sprawie!

Walentyna mówiła to gorączkowo i z najwyższem oburzeniem.

— Jesteś pani szlachetną... Nie dziwi nas to, co pani mówi... Wiedzieliśmy w części o tem i markiz de Valandelle również ubolewa, że musi się bić z powodu takiej jak Gabri kobiety.

— Więc niech się nie bije — przerwała Walentyna. — Panowie, jako świadkowie, powinniście przeszkodzić...

— To rzecz niemożliwa...

— Dla czego?

— Ponieważ markiz został obrażony publicznie. Lucenay podniósł na niego rękę w foyer.

— Nikczemnik!

— Celestyn chce się bić i słusznie, my zaś nie możemy odwodzić go od tego.

— A jeśli pan Lucenay go zabije?

— Dlaczegoż ma go zabić? Celestyn potrafi się obronić...

— Gdyby on umarł, Magdalena nie przeżyłaby go... Jestem pewną... Ona jest moją przyjaciółką, kocham ją i szanuję, gdyż sto razy więcej warta odemnie. Nie lubi ona objawiać swego uczucia, ale wiem, że oddała swą duszę markizowi, i kto jego zabije, zabije ją zarazem. Gabri wie o tem i dla tego to pragnie śmierci markiza.

— Przykro nam bardzo, lecz my nie możemy zapobiedz temu pojedynkowi.

— Więc on ma nastąpić dzisiaj?

— Dzisiaj o piątej.

— Gdzie?

— Jakież pytanie niedyskretne!

— Niech pan powie, błagam pana...

— Nie powiem, gdyż naślesz pani na nas żandarmów—odrzekł de Nattes śmiejąc się.

— Nie wierzę, by pan na serjo podejrzewał mię o czyn podobny; zresztą nie posłużyłoby to do niczego, gdyż pojedynek odbyłby się innego dnia i w innem miejscu. Błagam pana, niech pan mi powie— prosiła, składając ręce.

— Czy pani wie, co możnaby z tego sądzić?

— Cóż takiego?

— Że pani bardzo zakochana jest w Celestynie...

— Myliłby się ktoby tak sądził. Mam dla Magdaleny głęboki szacunek i pragnęłabym jej ocalić tego, którego ona kocha.

— Więc chce pani przeszkodzić temu pojedynkowi — odrzekł d'Aurillac — a my nie możemy dopomagać do tego.

— Przysięgam panu, że nie mam najmniejszego zamiaru skompromitować honoru pana de Valandelle! Niech pan mi wierzy i nie odmawia mej prośbie.

— Dobrze, więc powiem. Pojedynek odbędzie się w lasku pomiędzy stacjami Cesson i Seine-Port.

— Czy pan mię nie wprowadza w błąd?

— Nie! Ale teraz ja zapytam panią. Co pani zamierza uczynić?

— Sama nie wiem jeszcze. Myśli moje poplątane... Dziękuję, panie wicehrabio... dziękuję serdecznie...—odrzekła i rozpłakała się.

Uspokoiwszy się cokolwiek, pożegnała pana d'Aurillac, wróciła do pozostawionego na ulicy fiakra i odjechała na ulicę Faisanderie.

— Dzielna dziewczyna!—zawołał wicehrabia po odejściu Walentyny.—Jaka szkoda, że tak źle pokierowała się w życiu. Jest w niej materjał na uczciwą kobietę!

— Ciekawym, co ona zrobi?—zapytał de Nattes.

— Nic nie zrobi... Po namyśle przekona się, iż niema na to rady i skończy na płaczu.

Walentyna po przybyciu do Magdaleny zastała ją jeszcze bardziej bladą i osłabioną niż dnia poprzedniego.

— Czy jesteś dziś więcej cierpiącą?—zapytała.

— Nie, ale więcej utrudzoną.

— Dla czego?

— Źle przepędziłam noc i wolałabym była nie spać wcale! Miałam sny gorączkowe, niespokojne... Wiem, że to nic nie znaczy, ale męczy... Dziękuję ci, żeś przybyła odwiedzić mię, opowiesz mi przynajmniej o wczorajszem przedstawieniu teatralnem.

— O przedstawieniu? alboż nie widziałaś się jeszcze z panem Valandelle?

— Widziałam się, ale bardzo krótko, gdyż miał jakiś ważny interes i nie mógł zabawić dłużej. Zresztą niewielebym się dowiedziała, gdyż po drugim akcie z powodu bólu głowy opuścił teatr.

— Więc—odrzekła Walentyna wahając się—nic ci nie mówił?

— O czem?

— O pewnym wypadku, jaki zdarzył się w foyer podczas międzyaktu.

— Między kobietami?

— Nie, między mężczyznami. Wyniknie z tego nawet pojedynek. Dziwna rzecz, że p. Valandelle nic ci o tem nie powiedział...

— Mówię ci, że bawił u mnie może dziesięć minut. Czy to byli panowie z wyższej sfery?

— Z najwyższej.

— Jak się nazywają?

— Jeden z nich hrabia de Lucenay.

— Ah, hrabia de Lucenay!... O cóż się pokłócili.

— O kobietę.

— Jaką?

— O Gabri.

Dreszcz przebiegł po ciele Magdaleny i jakaś myśl błysnęła w jej głowie.

— Z kim się bije?—zapytała żywo.

— Z kimś, którego znasz...

— Ah!—zawołała Magdalena blednąc.—Powiedz mi prawdę! Pewno z Celestynem?

— Tak, lecz uspokój się, moja droga...

— Więc Celestyn bije się o Gabri—wyszeptała Magdalena z goryczą.

— Nie mów tego! Odpędź od siebie podobne podejrzenie! Celestyn będzie się bił dla tego, że hr. de Lucenay go obraził... podniósł na niego rękę... a zniewaga ta była obmyślaną z góry. Hrabia działał pod wpływem Gabri, która nienawidzi Celestyna i pragnie jego śmierci!

— Jego śmierci!—zawołała młoda kobieta przerażona.—Więc Lucenay jest tak niebezpiecznym... jest tak pewnym siebie? I powodem jest ta marna dziewczyna! Ah, nikczemna! Ale ja nie chcę by on umarł —zawołała, zerwawszy się nagle z łóżka.—Nie chcę, by go zabito, bo ja go kocham, bo on jest szlachetnym, delikatnym, najlepszym z ludzi!

— Proszę cię, uspokój się, moja droga. Pamiętaj, że doktór zabronił ci wszelkich wzruszeń... Wahałam się, czy mam ci to powiedzieć... bałam się, a jednak potrzeba było, byś o tem wiedziała... Odwagi, droga... Pomówmy o tem spokojnie i pomyślmy z zimną krwią jakby przeszkodzić.

— Nie chcę, nie chcę — wołała Magdalena rozgorączkowana — by ten pojedynek doszedł do skutku! Widziałam, że Celestyn nie był dziś rano takim jak zwykle... powinnam była się domyśleć, że coś ukrywa

przedemną i zmusić go do powiedzenia mi... On milczał z obawy o mnie... Słuchaj, trzeba koniecznie przeszkodzić... Powiem mu to, czego nigdy jeszcze nie powiedziałam... powiem mu, że go kocham, że chcę, by on żył dla mnie... że nie pozwalam mu ryzykować życia... On usłucha mię.

Nacisnęła guzik dzwonka elektrycznego, przeznaczonego do wzywania pokojowej.

— Co ty chcesz robić?—zapytała Walentyna.

— Ubiorę się i pojadę szukać Celestyna...

— Pojedziesz, będąc tak osłabioną!

— Muszę... znajdę siły by go ocalić! Pójdę choćby na koniec świata!

Weszła pokojowa.

— Powiedz, by zaprzężono do powozu i przyjdź ubrać mię.

Po odejściu służącej Magdalena zwróciła się do Walentyny.

— Kiedy pojedynek ma się odbyć?

— Dziś o godzinie piątej.

— Czy wiesz nazwiska świadków?

— Wicehrabia d'Aurillac i p. de Nattes.

— Muszę zobaczyć się z nimi.

— Ja już się widziałam...

— Ty!—zawołała Magdalena zdziwiona.

— Tak, przed przybyciem do ciebie.

— W jakim celu?

— Chciałam ich prosić, by nie dopuścili do pojedynku.

Młoda kobieta rzuciła się na szyję Walentyny i uścisnęła ją serdecznie.

— Dziękuję ci — rzekła. — Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Cóż ci odpowiedzieli?

— Że w sprawach, dotyczących honoru, niema możności uniknąć pojedynku.

— Ah, zobaczymy!—zawołała Magdalena, wybuchając śmiechem nerwowym.—Ci panowie zapominają o przysłowiu, które nigdy nie kłamie: *Czego kobieta chce, Bóg tego chce!*

W tej chwili weszła pokojowa.

Magdalena odeszła z nią do garderoby, skąd po kwadransie wróciła zupełnie gotowa do wyjścia.

— Jedźmy—rzekła do Walentyny.

Siłą woli przezwyciężając osłabienie, zeszła ze schodów, nie opierając się nawet o poręcz i siadła do oczekującego powozu. Walentyna zajęła miejsce przy niej.

— Ulica Matignon... ile siły w koniach!—zawołała do stangreta.

Powóz popędził jak lokomotywa i w trzy minuty był na miejscu.

Magdalena wysiadła przed bramą pałacyku markiza i zadzwoniła.

— Ah, to pani!—zawołał odźwierny.

— Tak. Czy markiz w domu?

— Nie, proszę pani, pan markiz wyszedł

— Jak dawno?

— Przed dwoma godzinami.

— Kiedy powróci?

— Nie powiedział.

— Gdzie będzie na śniadaniu?

— Nie wiem. Zapewne w klubie.

— Czy mówisz mi prawdę?

— Dla czegoż miałbym przed panią kłamać?

Magdalena, ocierając chustką łzy płynące z oczów wróciła do oczekującej w powozie Walentyny.

— Niema go! Co tu robić?

— Pozostaje więc tylko jechać na miejsce, gdzie odbędzie się pojedynek.

— Jakto! więc ty wiesz gdzie się odbędzie?
— Wiem, powiedział mi p. d'Aurillac.
— Więc gdzie? Mów prędko!
— W lasku pomiędzy Cesson i Seine-Port.
— Którędy się tam jedzie?
— Trzeba się udać na pociąg lyoński. Ale z Cesson do tego lasku, który widziałam jadąc do Seine-Port, jest tak daleko, że ty, będąc osłabioną, nie dojedziesz...
— Więc jedźmy na stację i tam oczekujmy na Celestyna i świadków.
— A jeżeli oni już odjechali?
— Boże mój! Boże mój! — szeptała Magdalena zrozpaczona, ściskając skronie dłońmi.
Nagle przyszła jej myśl.
— Czy znasz drogę do Cesson i Seine-Port?— zapytała zwracając się do stangreta.
— Znam, proszę pani.
— Jak daleko jest z Paryża do Seine-Port?
— Około dziesięciu mil.
— Ile potrzeba czasu by tam dojechać?
— Za trzy godziny można być na miejscu.
Magdalena spojrzała na zegarek, który wskazywał godzinę drugą.
— Do Seine-Port!—zawołała—i nie żałuj koni!
— Dobrze, proszę pani.
Powóz ruszył pędem.

O godzinie wpół do piątej hrabia Lucenay i jego świadkowie byli już w umówionym lasku, na polance zupełnie czystej i otoczonej ze wszystkich stron drzewami i gęstemi krzakami.
— Doskonałe miejsce, jakby umyślnie stworzone do pojedynków—zawołał hrabia.—Grunt pod nogami twardy jak podłoga...

Następnie wziął od Verveya jedną ze szpad, prawą dłonią ujął rękojeść, lewa jej koniec, zgiął w łuk i puścił po kilku sekundach. Szpada wyprostowała się ze świstem.

— Dobra—zauważył i stanąwszy w pozycji walczącego, kilka pchnięć uczynił w powietrze.

W tej chwili o kilkanaście kroków w krzakach rozległ się krzyk przestrachu i między gałęziami przemknęła postać kobiety.

— Co to jest?—zapytał Vervey.

— Nic—odrzekł hrabia.—Tam jest dróżka; widocznie przechodziła nią jakaś kobieta i zobaczywszy mię ze szpadą w ręku, przestraszyła się i krzyknęła.

— Żeby tylko nie przeszkodzono nam...

— Nie mamy potrzeby obawiać się, gdyż w Seine-Port niema żandarmów.

— Dochodzi już piąta—zauważył Vervey—a tamtych panów jeszcze niema.

— Jeżeli za dziesięć minut nie przyjdą, powrócimy do Paryża—odrzekł Lucenay.

Kobietą, która spostrzegła hrabiego Juljusza ze szpadą w ręku, była Anusia, pokojowa hrabiny de Lucenay. Wyszła ona do sąsiedniej wioski po owoce dla swej pani i usłyszawszy głosy w bliskości, zatrzymała się. Podeszła kilka kroków bliżej, rozchyliła gałęzie i poznawszy hrabiego, krzyknęła z przestrachu, poczem pędem pobiegła do domu.

— Co ci się stało moje dziecko?—zapytała Henryka, spostrzegłszy ją zadyszaną, wpadającą do pokoju.

— Pan hrabia...—wyjąkała głosem urywanym.

— Pan hrabia jest tutaj? Cóż w tem dziwnego, czegożeś się tak przestraszyła?

— Nie... nie... niema go tutaj... ale widziałam go w lasku... ze szpadą w ręku...

— Czy jesteś pewną, że się nie mylisz?—zapytała Henryka blednąc.

— Jestem najpewniejszą... poznałam...

— Czy sam?

— Nie sam... było jeszcze jakichś dwóch innych panów...

— Więc zapewne pojedynkuje się?

— Tak, proszę pani...

— Pojedynek! Boże mój! Z jakiegoż powodu? Anusiu, prowadź mię tam czemprędzej... Hrabia de Lucenay jest moim mężem... obowiązkiem moim jest czynić wszystko, by nie dopuścić do tego pojedynku.

— Ależ pani, będzie już zapóźno! Musi być już wszystko skończone.

— Więc jeżeli jest ranny, przynajmniej go opatrzę... To moja powinność—mówiła, wkładając pośpiesznie okrywkę na ramiona.

W parę chwil wraz z Anusią biegła do lasku.

Powróćmy teraz do osób, które pozostawiliśmy na leśnej polance.

Hr. de Saint-Roman, wyglądający przeciwników na brzegu lasu, nagle na skręcie drogi, wiodącej z Cesson do Seine-Port, spostrzegł markiza de Valandelle.

— Otóż i oni idą — rzekł, zwracając się do hr. de Lucenay i Verveya.

Gdy nowoprzybyli podeszli do lasku, Celestyn zatrzymał się i rzekł do świadków:

— Należy przewidywać wszystko... mogę zostać zabitym... Gdyby to nastąpiło, to proszę was, weźcie z kieszeni mego paltota kopertę z napisem: *Mój testament* i po powrocie do Paryża wręczcie go mojemu notarjuszowi. Czy przyrzekacie mi?

— Przyrzekamy.

— Dziękuję—rzekł Valandelle i uścisnął ich ręce.

Za kilka chwil stanęli na polance.

Świadkowie przywitali się.

Hr. de Lucenay wyjął zegarek i rzekł tonem impertynenckim:

— Pozwólcie panowie uczynić sobie uwagę, że jest już cztery minuty po piątej.

— Przepraszamy za to opóźnienie—odrzekł Valandelle grzecznie—jeśli tylko ono jest rzeczywiste... jeżeli zegarek pański nie śpieszy się—a zwracając się do swych świadków, dodał: — Czyńcie panowie swoją powinność...

I powiedziawszy to, zdjął z siebie i rzucił na trawę pod brzozę palto, surdut i kamizelkę.

XII.

Świadkowie zmierzyli szpady i wyciągnęli losy.

Los padł na szpady hrabiego de Lucenay, co zresztą nie dawało mu żadnej przewagi, gdyż kupił je tego samego dnia rano i nie miał czasu wprawić się w ich użycie. P. de Nattes, ująwszy szpady za końce ostrza, podał je przeciwnikom. Wzięli i stanęli w pozycji ze zręcznością, dowodzącą doskonałego obznajomienia się z fechtunkiem.

Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, Lucenay z dzikim uśmiechem na ustach, Valandelle z twarzą nieruchomą, spokojną.

Nareszcie złożyli się i parę minut badali wzajemnie swą wprawę i system. Pierwszy Lucenay przeszedł do ataku poważnego.

Od pierwszej chwili walki czterej świadkowie, władający również doskonale bronią, przekonali się

o przewadze hrabiego i niebezpieczeństwie grożącem markizowi. Ale wyższość wprawy nie zawsze zapewnia zwycięstwo, pojedynek bowiem jestto gra hazardowa i nieraz niewprawni nowicjusze nadziewali na swe szpady największych fechtmistrzów.

Kilkakrotnie Celestyn był bardzo bliskim śmierci. Wtem hrabia, omyliwszy udanem pchnięciem czujność przeciwnika, pochylił się naprzód i końcem szpady dotykał już prawie piersi jego, gdy markiz wczas jeszcze zdołał cios odparować, ale uczynił to z taką gwałtownością, iż szpada hrabiego pękła na dwoje.

Lucenay odskoczył krok w tył.

— Panowie, pojedynek skończony!—zawołał d'Aurillac.

— Nie!—krzyknął hrabia z wściekłością.

— Nie!—zawołał Valandelle ze spokojem. Mieliśmy się bić do pierwszej krwi, a krwi jeszcze nie było... Niech hr. de Lucenay weźmie inną szpadę i zaczynajmy.

Trudno było co na to odpowiedzieć, wzięto więc broń Celestyna.

Zawiązała się walka nowa, nie mniej zacięta i straszna, jak pierwsza.

Celestyn de Valandelle, którego niższość dotychczas była widoczną, okazał teraz wprawę równą wprawie hr. de Lucenay. Ten ostatni do tego czasu zupełnie pewny siebie, spostrzegł na raz, że powinien zachowa wszelkie ostrożności.

Zawiódłszy się na szybkich jak błyskawica atakach, widząc ostrze szpady swego przeciwnika grożące naprzemian to twarzy, to piersiom, hrabia zaczą zasłaniać się szpadą jak tarczą. Tymczasem walka przedłużała się, a zarazem następowało zmęczenie Ręka zaczynała mu ciążyć, oddech stawał się cora częstszy i głośniejszy, przez mózg przechodziły złe wró

żby. Parę minut jeszcze, a nie będzie miał siły odeprzeć gwałtownych ataków markiza.

Uwaga świadków zwrócona była na zaciętą walkę, której tragiczne rozwiązanie było nieuniknione.

Wtem, nagle, tuż obok nich rozległ się krzyk i jakaś kobieta z pośród krzaków rzuciła się między walczących. Pochwyciła rękę markiza, wyrwała mu szpadę i nieruchoma, groźna, utkwiła wzrok w hrabiego de Lucenay.

— Magdalena!—zawołał Celestyn, cofając się.

Hrabia, blady, drżący, przerażony niespodziewanem zjawieniem się swej ofiary, którą uważał za zmarłą, cofnął się również.

— Magdalena Gallier... — wyjąkał stłumionym głosem, lecz tak cichym, że oprócz Magdaleny, nikt go nie słyszał.

— Pani... pani tutaj...—zaczął Celestyn.—Co to znaczy?

— Młoda kobieta giestem nakazała mu milczenie, poczem zbliżywszy się jeszcze więcej do hrabiego, którego przerażenie zdziwiło wszystkich, rzekła z szyderstwem:

— Przybywam wczas, panie hrabio de Lucenay, by cię ocalić!... Widziałam, że ten, którego przysiągłeś sobie zabić, miał twe życie w swych rękach!... Ale ty nie w ten sposób powinieneś skończyć!

I nachyliwszy się ku hrabiemu tak, iż usta jej dotykały się jego ucha, by nikt więcej nie usłyszał, dodała:

— Przypomnij sobie ową noc!... przypomnij cmentarz przy ulicy Marcadet! Szpada to broń uczciwych, a nie zbrodniarzy! Rzuć ją!

Hrabia upuścił swą szpadę.

— A teraz—mówiła dalej młoda kobieta —proś o przebaczenie markiza de Valandelle

Reszta dumy obudziła się w nikczemniku.

— Ja!—zawołał—ja!

— Proś o przebaczenie! — powtórzyła Magdalena—rozkazuję ci! Natychmiast, jeżeli nie chcesz, bym oświadczyła wszystkim tu zebranym, że jesteś mordercą kobiet i dzieci!

Błędne oczy hrabiego spotkały się ze wzrokiem jego ofiary i wyczytały w nim postanowienie nieodwołalne. Jeśliby nie usłuchał, zostałby zdemaskowany.

Chwiejąc się, podstąpił parę kroków ku markizowi de Valandelle, oniemiałemu ze zdziwienia, równi jak i wszyscy świadkowie, nie mogący zrozumieć odbywającej się przed ich oczami sceny.

— Panie de Valandelle—rzekła Magdalena—hr de Lucenay przyznaje się do winy i prosi pana o przebaczenie... Wszak to masz pan na myśli, wszak to chcesz powiedzieć, panie de Lucenay?

— Tak...—wybełkotał hrabia.—To chciałem powiedzieć... Nie miałem racji, przepraszam pana...

— Przyjmuję — odrzekł markiz — zapomnijmy o tem co zaszło...—i wyciągnął rękę ku upokorzonem przeciwnikowi.

— Nie!... nie!... nie podawaj pan ręki—zawołała pośpiesznie Magdalena, chwytając ją, zanim dotknęła dłoni hrabiego.

Poczem zwracając się do świadków, rzekła z dziwnym uśmiechem:

— To warto więcej niż krew, wszak prawda, panowie? Zabierzcie nieużyteczne już szpady, a ja tymczasem powiem parę słów hrabiemu.

Świadkowie oddalili się o parę kroków, pozostawiając hrabiego z Magdaleną.

— Widzisz pan, że miałam litość nad nim!... — rzekła pocichu. — Ale jeśli oszczędziłam cię dzisiaj,

nie oznacza to, że rachunek między nami skończony!... Będę oczekiwała na pana jutro u siebie o godzinie drugiej przy ulicy Faisanderie. Radzę panu przyjść! Jeśli nie zgubiłam pana teraz, to mogę to uczynić w każdej chwili!

Lucenay pochylił głowę.

— Przyjdę—odrzekł.

— Rachuję na to.

Była to chwila niespodzianek. Zaledwie bowiem Magdalena wypowiedziała te słowa, gdy na polankę wpadły dwie kobiety.

— Panie de Lucenay!...—zawołała Henryka, biegnąc do swego męża.

— Pani!—wyjąkał hrabia, osłupiały pod wrażeniem tego nowego zjawiska.—Co pani tu robi?

— Przyszłam przeszkodzić nieszczęściu i dzięki Bogu, w czas jeszcze! Czy nie jesteś pan rannym?

— Niech pani będzie spokojną — wtrąciła Magdalena, zbliżając się do Henryki.—Wypadkowa obecność moja w tem miejscu przerwała walkę... Mnie zawdzięcza pani życie jej męża, bo gdybym o minutę później nadeszła, byłaby pani wdową...

Henryka ze zdziwieniem spoglądała na mówiącą do niej, tak piękną, bladą i sympatyczną, nieznaną jej młodą kobietę.

— Pani—odrzekła z zakłopotaniem—nie wiem, jak mam pani podziękować...

— Niech pani mi nie dziękuje, gdyż nie wiem czy uczyniłam jej przysługę... — Poczem zwróciwszy się do markiza de Vaiandelle, zapytała:

— Czy będzie pan łaskaw odprowadzić mię do powozu?

Markiz podał ramię Magdalenie i wraz z nią opuścił polankę. Za nimi podążyli d'Aurillac, de Nat es i lekarz.

— Jakim sposobem znalazłaś się tutaj? — zapytał de Lucenay Henrykę.

— Anusia zobaczyła cię ze szpadą w ręku, przybiegłam więc w obawie...

— Czy sądzisz, że jestem ci wdzięcznym?—zapytał hrabia szydersko.—Widzisz przecież, że obecność twoja była zbyteczną, gdyż wpływ tamtej kobiety na mego przeciwnika był dostateczny...

— Co to za kobieta?—zapytała Henryka.

— Nie znam jej... widziałem ją pierwszy raz w życiu...

Panowie Vervey i Saint-Roman podeszli przywitać się z hrabiną, co bardzo było nie na rękę Juljuszowi. Lecz przeszkodzić było trudno.

— Dziękuję panom—rzekła Henryka—że raczyliście zostać świadkami mego męża w pojedynku, jak byliście już nimi w dzień jego ślubu.

— Pojedynek ten, pani, tem więcej jest opłakany, że nie było do niego poważnego powodu. Dwóch ludzi honorowych narażało swe życie dla bagateli. Szczęściem, wszystko skończyło się dobrze, lecz tylko dzięki wmieszaniu się tej nieznajomej kobiety, która zdaje się mieć wielki wpływ nad p. de Valandelle.

— Muszę cię opuścić...—rzekł Lucenay pocichu do swej żony—rozumiesz, że...

— Rozumiem...

Następnie dodał głośno:

— Powróć do swych przyjaciół, u których gościsz, ja zaś muszę odjechać do Paryża z tymi panami. Do widzenia, *do jutra*...

— Do widzenia.

Hrabia złożył pocałunek na czole żony i zwróciwszy się do świadków, rzekł:

— Chodźmy, panowie

Baron Vervey i hr. Saint-Roman, zdziwieni, gdyż literalnie nic nie rozumieli z tego co zaszło, ani obecności hrabiny de Lucenay, ukłonili się jej i odeszli z Juljuszem.

Podczas gdy odbywała się ta scena, powóz Magdaleny stał w niewielkiej odległości na drodze. Walentyna, zobaczywszy swą przyjaciółkę idącą pod rękę z Celestynem w towarzystwie świadków, wysiadła i rzuciła się jej na szyję.

— Widzisz, kochana Walentyno, udało mi się— rzekła Magdalena z uśmiechem.—Przyprowadzam go całego i zdrowego.

— Obecność pani dokonała cudu—zawołał d'Aurillac.—Nie przewidywaliśmy takiego rozwiązania.

— Co pani powiedziałaś temu człowiekowi, że go to tak w jednej chwili zgnębiło i upokorzyło?— zapytał Celestyn.

— Zapytałam go tylko: — „Więc pan nie nazywasz się już Juljusz Mercier?"

Valandelle rzucił się, usłyszawszy te słowa.

— Jakto! więc to on?

— Ten, którego poszukiwałam.

— I pani przeszkodziłaś mi zabić go, wtedy gdy życie jego miałem na końcu mej szpady...

— On należy do mnie! — odrzekła Magdalena i dała mu znak, by nie pytał ją więcej w tej kwestji.

XIII.

Następnie zwracając się do stangreta, zapytała:

— Czy będziemy mogli naszemi końmi dojechać do Paryża?

— Będziemy mogli, ale chyba po trzech godzinach odpoczynku.

— Trzy godziny, to za długo czekać... Pozostań więc z końmi w Cesson i wrócisz do domu jutro, my zaś odjedziemy koleją żelazną. Odwieź nas tylko do dworca...

Siadła do powozu z Walentyną, Celestyn zaś ze świadkami postępowali obok piechotą.

— Kochany doktorze—rzekła, podając mu rękę.— Byłam nieposłuszną twoim przepisom... Zalecałeś mi przedewszystkiem spokój, gdy tymczasem dzień dzisiejszy pełen był dla mnie strasznych wzruszeń.

— Mogły one zabić wątły organizm pani...

— Być może... a tymczasem nie tylko, że nie czuję się gorzej, lecz przeciwnie znacznie lepiej! Jestem przekonana, że utrudzenie i wzruszenia dnia dzisiejszego przyśpieszą mój powrót do zdrowia.

— Z naturą kobiecą wszystko jest możliwe!— odrzekł doktór śmiejąc się.—Sama logika nawet się myli...

— Panie Valandelle, wszak zaprosisz tych panów na obiad? — rzekła Magdalena do markiza, postępującego przy drzwiczkach powozu.

— Ależ naturalnie...

— Jeżeli przyjaciele pańscy zechcą uczynić mi przyjemność i zaszczyt, przyjmując moje zaproszenie, więc może zbierzemy się u mnie.

— Przyjmujemy z całego serca—odrzekli razem pp. d'Aurillac i de Nattes.

Przybyli do dworca kolejowego w Cesson, gdzie Celestyn zawiadomił telegrafem służbę Magdaleny o zamierzonem zebraniu się całego towarzystwa na obiad.

W dziesięć minut później pociąg uniósł wszystkich do Paryża

Mówimy *wszystkich*, gdyż hr. de Lucenay i pp. Vervey i Saint-Roman odjechali także tym samym pociągiem.

Hrabia i świadkowie pogrążeni byli w zadumie.

Po niejakim czasie Saint-Roman przerwał milczenie zapytaniem:

— Więc ty, kochany hrabio, znałeś Damę w szmaragdach?

Juljusz de Lucenay zadrżał, przeciągnął dłonią po czole, jak gdyby chciał odpędzić jakąś myśl przykrą i odrzekł:

— Znałem kobietę, lecz nie wiedziałem, że to ona nosiła to nazwisko.

— Co ona ci powiedziała, żeś się tak zmieszał, że aż szpada z rąk ci wypadła i przeprosiłeś Valandella, którego tak ciężko obraziłeś?

— Przypomniała mi pewien wypadek z przeszłości!... upuściłem szpadę, lecz byłbym ją nawet złamał, gdyby była tego żądała!... Byłbym ukląkł przed markizem de Valandelle, gdyby mi była rozkazała! Wiem, że to wam wydaje się dziwnem, lecz nie pytajcie mię o to—jestto tajemnica rodzinna.

— Cóż to za kobieta?

— Nie zrozumielibyście, choćbym wam nawet powiedział... Zapomnijcie więc lepiej o tem wszystkiem.

— W każdym razie—rzekł Saint-Roman—wmieszanie się jej wyszło na twoją korzyść... Ona ocaliła ci życie... Gdyby nie jej zjawienie się, szpada markiza przeszyłaby twoje piersi... Widocznie troszczy się o ciebie.

— Ona mię nienawidzi! — odrzekł gwałtownie hrabia. — Jeżeli zawdzięczam jej życie, to tylko dla tego, że miała jakiś cel nie dozwalając markizowi

zabić mię. Lecz tego dnia, w którym będę miał rzeczywiście umrzeć, zjawi się ona, tylko, że nie dla ocalenia mnie!

— Dziwna zagadka—mruknął baron Vervey.

— Tak, zagadka straszna... Nie mówmy o tem... i podajcie mi ręce... Ugodził we mnie wielki cios... potrzebuję waszego współczucia i serca.

Saint-Roman i Vervey, wzruszeni cierpieniem, jakie odmalowało się na obliczu Juljusza, życzliwie uścisnęli jego rękę.

— Bądź spokojnym, wypadek ten pozostanie między nami—rzekł Vervey—ale czy nie obawiasz się, by Valandelle i jego świadkowie nie rozgłosili takiego zakończenia pojedynku?

— Nie, nie lękam się.

— Dla czego?

— Ta, która kazała mi przeprosić, potrafi nakłonić ich do milczenia.

— Więc nie martw się. Skoro to sekret rodzinny, nie będziemy starali się przeniknąć go i zachowamy dla ciebie dawną przyjaźń.

— Wszak pojedziecie do mnie na obiad?—zaproponował hr. de Lucenay.

— Dobrze, przy winie szampańskiem prędko pierzchną twe czarne myśli.

Przybyli do Paryża, lecz wyszli z pociągu ostatni, nie chcąc spotkać się z Valandellem i jego świadkami.

Gabrjela Stellini z niecierpliwością wyczekiwała wiadomości o rezultacie walki, którą wywołała sama.

Czy Lucenay zabije Celestyna?

Nie wątpiła o tem i z góry już roskoszowała się trvumfem i cieszyła się z rozpaczy swej zniena-

widzonej rywalki. Lecz w gruncie rzeczy ten tryumf i rozpacz opierały się tylko na przypuszczeniach i od czasu do czasu nawiedzała ją obawa, gdy tymczasem ona potrzebowała pewności, faktu.

Dziwiło ją niezmiernie, że przez cały dzień Walentyna nie przyjechała do niej. Wiedząc, jak przyjacielskie stosunki łączyły ją z Magdaleną, lękała się, czy nie udała się do niej uprzedzić ją o tem co zaszło i naradzić się nad środkami przeszkodzenia walce. Postanowiła przekonać się i pojechała do Walentyny. Przybywszy do jej mieszkania dowiedziała się, że Walentyna wyszła z domu jeszcze rano i nie powiedziała dokąd. Odpowiedź ta zaniepokoiła ją jeszcze bardziej.

— Muszę dowiedzieć się, czy pojedynek się odbył—rzekła do siebie i kazała się zawieść do mieszkania hr. de Lucenay.

Nie wysiadając z powozu, kazała lokajowi przywołać Dufoura.

Pan intendent przybiegł natychmiast i poznawszy przyjaciółkę swego pana, wzniósł ręce do góry i zawołał:

— Więc to pani! pani!

— Ja. Dla czego moja obecność tak pana dziwi?

— Więc pani nie wie co się stało?

— Cóż takiego?—zapytała żywo Gabrjela.

— Pan hrabia... może już nie żyje...

— Nie żyje!

— Niestety! Kazał mi dziś rano zakupić cały arsenał broni... szpady, pistolety, rewolwery... Cały powóz niemi założyłem...

— I cóż uczynił z tą bronią?

— Zabrał szpady i odjechał z niemi.

Gabrjela odetchnęła.

— To znaczy, że miał się pojedynkować.

— Tak, pani... Czy pani wiedziała o tem?
— Wiedziałam.
— I pani mówi to tak obojętnie! pani nie drży?
— Widzisz pan, że nie.
— A jednak pojedynek to rzecz bardzo niebezpieczna!
— Hr. de Lucenay był obrażony, musiał więc bronić swego honoru; to rzecz bardzo prosta.
— Ja, proszę pani, gdy byłem jeszcze dekoratorem, również byłem nie raz obrażony, lecz drwiłem sobie z tych, co mi nie okazali należnego szacunku. A jeżeli który z takich był niezadowolony, tom mu dodał jeszcze z pół tuzina kułaków. Gdy i to nie wystarczało, no, to podstawiłem mu nogę i powaliłem, lub głową w brzuch i sprawa się kończyła... Ale żebym miał iść na plac ze szpadą lub pistoletem... nigdy w życiu! Na samą myśl otrzymania kuli w głowę, lub wpakowania mi kilku cali żelaza w brzuch, ciarki przechodzą po mnie! Brrr!
— Hrabia de Lucenay nie może się bić pięściami i nogami...
— Tak, to prawda... szlachectwo ma swoje prawa... W każdym razie kazałem przygotować obiad.
— Jaki obiad?
— Dla pana hrabiego i świadków... na godzinę ósmą... taki miałem rozkaz...
— To dowodzi, że hrabia był pewnym, iż powróci żywym... Gdzie pojedynek miał się odbyć?
— Nie wiem. Wiadomo mi tylko, że hrabia ze świadkami miał odjechać koleją lyońską.
— Czy jesteś pan pewnym, że hrabia powróci o ósmej?
— Jeżeli będzie żywym... gdyż hrabia jest punktualnym.
— Dziękuję, p. Dufour—rzekła Gabri i odjechała.

XIV.

Na kilka minut przed godziną siódmą wieczorem, zatrzymał się przed dworcem kolei lyońskiej zakryty powóz, w którym siedziała Gabri, pragnąca jak najprędzej dowiedzieć się o rezultacie wywołanego przez siebie pojedynku.

— Skoro Lucenay miał stanąć w domu o godzinie ósmej — rozumowała Gabri — to powinienby przybyć do Paryża pociągiem przychodzącym o wpół do ósmej.

Wkrótce rozległ się głos świstawki i nadbiegł pociąg.

Serce Gabri ścisnęło się obawą. Czy zostanie tryumfatorką, czy zwyciężoną? Czy Valandelle przypłacił życiem odtrącenie jej?

Pasażerowie zaczęli wychodzić na peron. Gabri rozdrażniona, niespokojna, pożerała wzrokiem wychodzących. Nagle zadrżała. Spostrzegła markiza de Valandelle, idącego pod rękę z Magdaleną, a za nimi Walentynę i pp. d'Aurillac i de Nattes.

Kilka kropli zimnego potu wystąpiło na skronie Gabri.

— Gdzież on?... on!... — szeptała, myśląc o Juljuszu de Lucenay.—Więc wysłałam go na śmierć! Celestyn zabił go! Więc sama spowodowałam własną zgubę! Wszystko runęło naraz, i moja zemsta i moja przyszłość!

I nie widząc już potrzeby czekać dłużej, sądziła bowiem, że stało się, jak przypuszczała, dała rozkaz stangretowi wrócić na ulicę Caumartin.

Zaledwie powóz jej odjechał, gdy Lucenay, który, jak wiemy, umyślnie ociągał się z wyjściem z po-

ciągu, wyszedł na peron z br. de Vervey i hr. de Saint-Roman.

Wsiedli do fiakra i odjechali na ulicę Cyrkową, dokąd przybyli o godzinie ósmej.

Dufour oczekiwał u wejścia do pałacu.

— Obiad gotów — wydeklamował — tymczasem pozwolę sobie powinszować panu hrabiemu pomyślnego rezultatu pojedynku, gdyż jak widzę, powrócił pan hrabia zdrów zupełnie.

— Dziękuję ci za tę punktualność.

— Ja wiem, że pan hrabia lubi to. Zawsze co do minuty! To samo powiedziałem niedawno pannie Gabrjeli.

— Czy była tutaj?

— Była i bardzo zaniepokojona. Lecz uspokoiłem ją o ile mogłem.

— Zobaczę się z nią jutro.

— Więc w takim razie tamten nie żyje? — zapytał Dufour.

— Kto nie żyje?

— Przeciwnik pana hrabiego.

— Ja żartowałem, a tyś uwierzył...—odrzekł Lucenay.—Nie było żadnego pojedynku. Jeździłem z tymi panami na wieś zjeść śniadanie.

Dufour osłupiał, lecz nie nalegał więcej.

Gdy Celestyn de Valandelle z Magdaleną i świadkami przybył na ulicę Faisanderie, służba oczekiwała już z obiadem.

— Muszę wam uczynić pewne wyznanie—rzekła Walentyna, siadając pierwsza do stołu.

— Jakie?—zapytali wszyscy.

— Umieram z głodu. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że nic jeszcze dziś w ustach nie miałam, a naniepokoiłam się dosyć.

— Jesteś szlachetna i prawdziwa przyjaciółka— rzekła Magdalena, całując ją—nie zapomnę ci tej przysługi, jaką mi dziś uczyniłaś.

Obiad przeszedł wesoło, a ponieważ Magdalena nie czuła się zmęczoną, nie śpieszono się więc z odejściem od stołu.

Gdy nareszcie de Nattes i d'Aurillac powstali by się pożegnać, Magdalena zatrzymała ich i rzekła:

— Mam do panów prośbę...

— Spełnimy ją najchętniej —odrzekł d'Aurillac.

— Wiem, że mówię do prawdziwych gentlemanów i nie potrzebuję wymagać od nich przysięgi, aby być pewną, że co przyrzekną, dotrzymają wiernie. Otóż proszę panów zachować w tajemnicy wszystko, co dzisiaj zaszło. Gdyby kto zapytywał panów o pojedynek pomiędzy markizem i hrabią de Lucenay, odpowiecie, że było to małe nieporozumienie i że pojedynku nie było... Czy przyrzekacie mi to panowie?

— Przyrzekamy — odrzekł de Nattes — ale nie możemy być pewni, czy świadkowie hrabiego nie popełnią niedyskrecji.

— Nie obawiam się tego—odparła Magdalena— gdyż i hrabia de Lucenay z pewnością, będzie również prosił swych świadków o sekret.

— Skąd pani zna tego Lucenaya, którego zachowanie się dzisiejsze wydaje mi się dziwnie dwuznacznem...

— Nie mogę na to odpowiedzieć... Jestto sekret, który nie tylko do mnie należy... A więc do widzenia, do jutra...

Celestyn chciał wyjść razem z innymi, lecz zatrzymała go i rzekła:

— Zostań pan jeszcze na chwilę... potrzebuję z panem pomówić.

Pozostali sami. Ona poważna, w nastroju uroczystym, on zamyślony i zaciekawiony.

*

* *

W pałacu przy ulicy Cyrkowej goście rozjechali wcześniej.

O godzinie jedenastej br. Vervey i de Saint-Roman pożegnali hrabiego, który napróżno w winie szampańskiem starał się utopić ponure, nachodzące go myśli. Upojenie nie przybywało, złowieszcze przypuszczenia dręczyły. Odprowadziwszy gości, wrócił się do sali stołowej, wychylił jeden po drugim cztery małe kieliszki rumu, następnie udał się do pokoju sypialnego i kazał wezwać do siebie Dufoura.

— Miałem zaszczyt otrzymać rozkaz stawienia się przed panem hrabią—wydeklamował Dufour wszedłszy do pokoju i zamknąwszy drzwi za sobą.

Hrabia chodził po pokoju krokami szybkiemi i urywanemi.

— Tak—odrzekł głosem chrapliwym, zatrzymując się przed swym lokajem.—Siadaj!—dodał.

— W obecności pana hrabiego! — zawołał Dufour zdziwiony. — Nigdy się nie ośmielę... za wiele mam szacunku...

— Siadaj!—powtórzył Juljusz.

— Ha, ale tylko przez posłuszeństwo...

Nastąpiło kilka minut milczenia.

— O ile cię poznałem — rzekł nareszcie hrabia, zatrzymując się — to jesteś człowiekiem zdolnym do wszystkiego...

— Pan hrabia łaskawie mię sądzi — odrzekł Dufour. — Rzeczywiście, nie chwaląc się, czuję się zdolnym do wielu rzeczy...

— I gotowym na wszystko...

— Być może, ale nie rozumiem, jak pan hrabia pojmuje ten wyraz *na wszystko.*

— Pojmuję, że jesteś człowiekiem, nie cofającym się przed niczem... przed żadnym czynem, chociażby czyn ten był zabroniony i karany przez prawo.

Dufour kilka chwil milczał, nareszcie odrzekł:

— Gotów jestem odważyć się na wiele, byle tylko być użytecznym i podobać się panu hrabiemu.

— Więc jesteś do mnie przywiązany?

— Pan hrabia może być tego pewnym...

— Przywiązany dla korzyści...

— Pan hrabia nie zna mnie! Nie powoduje mną korzyść... Tylko... nie jestem bogatym... myślę więc o przyszłości... a każdy trud zasługuje na zapłatę...— i mówiąc to, w duchu zapytywał siebie: — Czego on u djabła może chcieć odemnie?

— Słowem, jeżeli będziesz dobrze zapłaconym to odważysz się na wszystko?

— W życiu za wszystko się płaci—odrzekł sentencjonalnie Dufour.

— Przypuśćmy, że w danej chwili, może nawet bardzo bliskiej, powiedziałbym ci: *Potrzebuję ciebie!* Co byś mi odpowiedział?

— Naprzód, że jestem gotów, a następnie zapytałbym o co chodzi.

— A gdybym ja odrzekł: *Pewna osoba przeszkadza mi na tym świecie...*

— I dodałby zapewne pan hrabia: *Daję tyle, by ją usunąć.*

— W takim razie jestto tylko kwestja cyfry?

— Pan hrabia określa rzecz doskonale... Kwestja cyfry—bardzo trafne wyrażenie.

XV.

— Dobrześ odpowiedział — rzekł hrabia klepiąc go po ramieniu.—Nie omyliłem się na tobie... Zasługujesz na to, byś został bogatym i bądź spokojnym, uczynię cię nim.

— Pan hrabia tak łaskaw na mnie — odrzekł Dufour. — Dla takiego pana potrzeba sługi wzorowego... Pochlebiam sobie, że jestem nim... Czy pan hrabia ma jeszcze co do powiedzenia mi?

— Nie, a przynajmniej nie dzisiaj... jestem zmęczony... pójdę spać...

— Czy jutro mam obudzić pana hrabiego wcześnie?

— Nie.

— A gdyby panna Gabrjela dowiadywała się o pana hrabiego, co mam odpowiedzieć?

— Że nie powróciłem.

— Ale ona wie, że obiad był przygotowany dla pana hrabiego.

— Powiedz, żeś go sam zjadł.

— Mam zaszczyt życzyć panu hrabiemu spokojnej nocy.

— Dobrej nocy.

Dufour skłonił się głęboko i odszedł. Idąc zaś do swego pokoju, myślał: — Więc od małych rzeczy przechodzimy do wielkich... Wierzę, że mię zbogacisz... Usłużę ci dobrze, ale nie za byle co!

Po odejściu Dufoura hrabia de Lucenay, jakkolwiek strudzony, nie poszedł na spoczynek, lecz padł na fotel i przez kilka minut siedział nieruchomy z zamkniętemi oczyma i zaciśniętemi dłońmi.

Po chwilowem zgnębieniu fizycznem i moralnem nastąpiło w nim przebudzenie się życia i myśli.

Z rozpaczą ujął głowę w dłonie i ściskając, jakby chciał ją strzaskać, szeptał głosem stłumionym:

— Więc wszystko ma runąć?... Magdalena żyje! A ten człowiek, co spotkał mię w Wenecji i znieważył, mówił, że zmarła! Stanęła przedemną, by mię przerazić i obezwładnić, by przypomnieć mi przeszłość, którą uważałem wraz z nią za pogrzebaną w grobie! Grozi mi niebezpieczeństwo, którego istnienia nawet nie domyślałem się. Zdradziłem się w chwili przestrachu i uniesienia. Odkryłem moją tajemnicę Gabrjeli, ale ona należy do mnie i zależy odemnie, mogę więc ją zmusić do milczenia... Człowiek, którego spotkałem w Wenecji, nie powinien mieć żadnego interesu zgubienia mnie; a zresztą, gdyby nawet chciał mię oskarżyć, to na poparcie swego oskarżenia nie posiada dowodów żadnych... W tej chwili więc jedna tylko Magdalena przyszłość i szczęście moje trzyma w swych rękach... może mię zesłać na galery, a może nawet na rusztowanie!... Jutro będzie na mnie czekała u siebie o godzinie drugiej... Czego ona chce odemnie? Zemścić się? Ma prawo... Przyrzekłem jej przyjść... i pójdę... potrzeba...

Powstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Tak, pójdę—mówił znowu do siebie.—Gdybym nie poszedł, może byłoby gorzej... Lepiej jest spojrzeć nieprzyjacielowi w oczy i ocenić jego siłę... Przytem powinienem dowiedzieć się o warunkach, jakie chce mi narzucić... Jakąż męczarnię zamierza mi zadać?...

Dziki śmiech wyrwał się ze skrzywionych konwulsyjnie ust jego.

— Warunki... męczarnie...—powtórzył.—No, to zobaczymy jeszcze!... Dufour zdolny jest do wszystkiego. Spełnienie zbrodni to dla niego kwestja cyfr... Naznaczę cenę, a on dokona tego, co nie

udało mi się przed rokiem przy ulicy Ernestyny... Chybiłem... ale on nie chybił...

Gdy Juljusz de Lucenay prowadził z samym sobą tę rozmowę, przy ulicy de la Faisanderie Magdalena mówiła do markiza de Valandelle:

— Czy nie domyślasz się pan, dla czego zatrzymałam go?

— Domyślam się w części. Chcesz mi pani powiedzieć co o nikczemniku, którego życie miałem w swych rękach, a któregoś pani ocaliła.

— Nikczemnik ten jest człowiekiem, którego szukałam! Nie nazywał się on ani Juljusz Mercier, ani Karol Brisson, ale hrabia Juljusz de Lucenay! Rozumiesz więc pan, że on należy do mnie i że nikt oprócz mnie nie ma prawa do jego życia. Przeczucie moje, że dojdę do celu, nie myliły mię... To sprawiedliwość boska skierowała kroki moje do lasku Seine-Port i wydała w me ręce zbrodniarza! Teraz mam go już! Nie wymknie mi się więcej! Zemsta moja będzie straszną... oddam mu cierpienie za cierpienie, hańbę za hańbę. Do mnie należy jego życie, a potrafię uczynić zeń jedną długą męczarnię!

Celestyn był przerażony słowami i postawą Magdaleny. Jej drżący głos wywoływał dreszcz w jego ciele. Słuchał i milczał.

— Dla czegoż pan nic nie mówisz?—zapytała.— Skądże to zdziwienie? Przecież wiedziałeś pan co spoczywa na dnie mej duszy...

— Droga pani—odrzekł Celestyn—gdyś powiedziała mi, że szukasz pewnego człowieka, nad którym chcesz się zemścić za spawioną ci krzywdę, ofiarowałem ci pomoc, nie pytając się o szczegóły... Zanadto cię kochałem, bym miał nie uszanować twej tajemnicy. Zdarzyła się sposobność usłużenia ci i okazania ci poświęcenia mego — i to mi wystarczało

Dzisiaj, wyznaję, stopień twej nienawiści napełnia mię przestrachem. Co uczynił ten człowiek, że wywołał w tobie tak straszne pragnienie zemsty?

— Co uczynił?—odrzekła Magdalena z gniewem —co uczynił? Dowiesz się pan nakoniec!... Żeby się mię pozbyć, gdyż uważał mię za zawadę, chciał mię zamordować i sądząc, że nie żyję, zabił przybyłe na świat moje i jego własne dziecię!... a nazajutrz wzięto mię umierającą i jako dzieciobójczynię osadzono w więzieniu, gdy on tymczasem się ukrył!

— Ah, nikczemnik!—zawołał Valandelle ze zgrozą.—Ah, zbrodniarz!...

— Więc pojmujesz pan teraz, dla czego szukałam go tak uporczywie?

— Tak... ależ ten zbrodniarz należy do sądu.

— Do sądu!—powtórzyła młoda kobieta z goryczą — do sądu, który nie potrafił odszukać go! Nie! nie!... On należy tylko do mnie!

— Cóż pani z nim uczynisz?

— Wiesz pan, że pragnę się zemścić...

— W jaki sposób?

— Nie wiem jeszcze sama, gdyż myśli moje są poplątane, ale pragnęłabym wiedzieć, czy i na przyszłość mogę tak samo rachować na pana, jak byłam pewną jego pomocy dotychczas?

— Może pani rachować... jestem cały na usługi pani... duszą i ciałem!

— Masz pan serce szlachetne i jesteś przyjacielem rzadkim! — odrzekła Magdalena, łagodząc ton swego głosu.—Dziękuję panu z całego serca... potrafię być wdzięczną!

— Nie o wdzięczność proszę cię, Magdaleno— szepnął Celestyn — lecz o uczucie inne, tysiąckroć droższe... o twoje serce...

— Celestynie — odrzekła Magdalena głosem poważnym—czy przypominasz sobie, com ci powiedziała wtedy, gdy zgodziłeś się zostać mym sprzymierzeńcem?

— Powiedziałaś mi: „Gdy dzięki tobie dopnę celu, może wtedy cię pokocham.“

— Otóż zadanie moje już prawie spełnione i nic mi już nie stoi na przeszkodzie dla dojścia do celu... Nie będę już długo zwlekała z wyznaniem, które niejednokrotnie szeptały usta moje... Celestynie, kocham cię...

— Kochasz mię... jak siostra kocha brata?— rzekł markiz blady i drżący.

— Nie... kocham cię inaczej... kocham cię tak, jak pragniesz być kochanym...

— A więc — zawołał młody człowiek upojony, biorąc obie jej ręce i pociągając ku sobie — a więc zgadzasz się zostać margrabiną de Valandelle?

Fala krwi oblała twarz Magdaleny.

— Pytasz, czy się zgadzam?—szepnęła—czy zgadzam się urzeczywistnić takie marzenie? Gdyż zdaje mi się, że to sen!... Ja, twoją żoną! Czyż to rzecz możliwa? Zapominasz chyba...

— Chcę o wszystkiem zapomnieć—przerwał Celestyn z uniesieniem, kładąc rękę na jej usta. — Nie chcę o niczem wiedzieć, prócz tego, żeś cierpiała niewinnie... Znam twoją duszę i serce... Bóg je uczynił z najczystszego metalu... Kochałem cię, kocham i będę kochał zawsze... Będę szczęśliwym, będę dumnym ofiarując ci swoje nazwisko!... A teraz idź na spoczynek, droga, ukochana Magdaleno... potrzebujesz go po dzisiejszych strasznych wzruszeniach i utrudzeniu... a ja pragnę byś żyła i była zdrową...

— Ja również pragnę żyć—odrzekła młoda kobieta — żyć dla ciebie, i — dodała ciszej — dla mej zemsty!

Markiz z szacunkiem dotknął ustami jej czoła i wyszedł.

Magdalena pozostawszy sama, padła na kolana.

— Boże mój—szeptała—obok złych postawiłeś dobrych!... Obok rąk okrutnych, zadających rany krwawe, pomieściłeś szlachetne, kojące... Bądź błogosławiony, o Boże! Dzięki temu, najlepszemu ze wszystkich człowiekowi, dziecię moje będzie pomszczone, a ja zostanę kobietą uczciwą i szczęśliwą... Boże, bądź błogosławiony!...

Po tej krótkiej dziękczynnej modlitwie, Magdalena powstała, udała się do pokoju sypialnego i bezpieczna o przyszłość, zasnęła snem spokojnym.

XVI.

Następny dzień był obfity w wypadki.

Gabri, wróciwszy do siebie wściekła z doznanego zawodu, zamknęła się w pokoju, by swobodniej wypłakać się.

Gdy po przejściu paroksyzmu uspokoiła się cokolwiek, zaczęła rozmyślać.

— Z mojej woli nastąpił ten pojedynek... to ja wysłałam go na śmierć... Oh, pomszczę go, zemszczę się na Celestynie, który go zabił i na tej Magdalenie, której stokrotnie oddam to, co ona mi uczyniła!

Zawiadomiono ją o podaniu obiadu. Gabrjela chcąc uniknąć domysłów służby, siadła do stołu, lecz nic jeść nie mogła. Resztę wieczoru przepędziła w nudach i udała się na spoczynek, mówiąc sobie:

— Noc przyniesie radę.

Ale spać nie mogła i po całonocnem rozmyślaniu doszła tylko do przekonania, iż potrzeba szukać wyjaśnień, gdyż nic nie dowodzi, że przypuszczenia jej są prawdziwe. Hrabia de Lucenay może żyje i jest tylko ranny, a w takim razie najważniejszą rzeczą dowiedzieć się, czy przywieziony został do Paryża.

— Wstała, ubrała się pośpiesznie i kazała się zawieść do barona de Vervey.

— Czy pan baron w domu?—zapytała lokaja.

— Nie, pani... wyszedł.

— Tak wcześnie!

— Hr. de Saint-Roman przybył do mego pana i zabrał go z sobą nie dawniej jak przed dziesięcioma minutami.

— Czy nie wiesz dokąd się udali?

— Nie wiem.

— Czy pan baron późno wrócił wczoraj do domu?

— Prawie o wpół do dwunastej.

— Czy nic nie mówił o wypadku wczorajszym?

— Nie mówił nic.

— Czy wyglądał jak zwykle?

— Zauważyłem, że był jakiś zamyślony.

— I nie wiesz z jakiej przyczyny?

— Wiem, że baron i hr. de Saint-Roman mieli być wczoraj świadkami w jakimś pojedynku, ale nadto nic więcej, gdyż baron nie ma zwyczaju zwierzać się mi.

Gabrjela odjechała jeszcze bardziej niespokojna.

Ponieważ baron i hrabia odjechali razem, widocznie więc musieli się udać do hr. de Lucenay, zmarłego lub rannego.

— Na ulicę Cyrkową! — zawołała do stangreta, siadając do powozu.

Dufour, zawiadomiony przez lokaja o przyjeździe panny Stellini i pamiętając rozkaz swego pana, zeszedł na dół i podstąpił do powozu z odpowiednio ułożoną fizjonomją.

Gabri spojrzawszy nań, przestraszyła się.

— Z pańskiego oblicza widzę, że stało się nieszczęście!

— Niestety, pani, wszystkiego lękać się należy! Obiad, stosownie do rozkazu pana hrabiego, podany został o godzinie ósmej...

— I cóż?—przerwała Gabri.

— Pan hrabia nie przybył.

— Więc nie żyje!

— Nie wiem, czy żyje, czy zabity, ale faktem jest, że dotychczas nie dał o sobie żadnej wiadomości.

— Czy panowie Vervey i hr. de Saint-Roman nie przyjeżdżali?

— Nie, pani.

— I pan nie zgłaszałeś się do nich?

— Owszem, posyłałem, lecz nie było ich w domu.

— Mój Boże, mój Boże, zostawać w takiej niepewności!... Nawet niewiadomo gdzie zasięgnąć objaśnienia...

— I ja to samo mówię sobie...

— Co tu robić?

— Mam zamiar uprzedzić teścia hrabiego, pana Dauray...

— Możeby lepiej było wstrzymać się jeszcze...

— Dla tego też nie uczyniłem tego dotychczas.

— Gbybyś pan otrzymał jakie wiadomości, zakomunikuj je mi pan natychmiast.

— Zawiadomię panią bezzwłocznie... Mój biedny pan, taki zawsze akuratny! a obiad był taki dobry!...
I odszedł śmiejąc się z łatwowierności Gabri.
— Co tam się stało?—zapytywała się ze złością, odjeżdżając.—Muszę wiedzieć.
Kazała stangretowi jechać do mieszkania Walentyny.
— Ach, to pani! — zawołała pokojowa. — Czy wszyscy ludzie powstawali dzisiaj równo ze wschodem słońca!
— Czy panna Walentyna w domu?
— Nie, pani. Wyszła...
— Jak dawno?
— Przed trzema kwadransami.
— Dokąd?
— Słyszałam, że kazała się zawieść na ulicę Faisanderie.
Gabrjela rzuciła się ze złości.
— Czy późno wczoraj wróciła? — zapytała po chwili.
— Było już po północy.
— Czy nic ci nie mówiła?
— O czem?
— O pojedynku, który wczoraj się odbył.
— Nie, nie mówiła nic. Powiedziała tylko, przepędzi dzień na wsi.
— Gdzie mianowicie?
— W okolicy Seine-Port.
— Dziękuję ci.
Wróciła do powozu i kazała zawrócić do domu w drodze zaś myślała:
— Widocznie dzieje się coś nadzwyczajnego.. Skoro tak starają się zachować ten pojedynek w sekrecie, to z dwóch przeciwników jeden musiał zostać zabitym; a ponieważ widziałam markiza de Valandelle

żywego, więc padł ofiarą Juljusz de Lucenay. Pojadę do Seine-Port...

Weszła do mieszkania, zjadła śniadanie, kazała sobie podać „Przewodnik kolejowy", z którego dowiedziała się o czasie odejścia pociągów na kolei lyońskiej i zaraz po południu wyruszyła do Cesson.

*

* *

Juljusz Claude wiedząc już, że hrabina de Lucenay mieszka w Seine-Port i pragnąc jak najprędzej odebrać swą córkę, postanowił działać bez straty czasu i tego dnia, w którym Gabrjela Stellini miała odjechać do Cesson, puścił się pieszo w tym samym kierunku.

Poranek był piękny, co wydało mu się dobrą wróżbą, szedł więc w wesołem usposobieniu, krokiem miarowym i pewnym.

Przybywszy do Seine-Port, zaszedł wprost do oberży.

— Czego pan sobie życzy?—zapytała gospodyni.

— Zrobiłem kawał drogi i jestem głodny. Czy mogę dostać co do zjedzenia?

— I owszem, jeżeli pan nie bardzo wybredny, gdyż w ciągu tygodnia nie miewamy tu gości, więc i produktów nie sprowadzamy.

— Ma pani kury?

— Mam ich aż dwanaście.

— I ogród jest?

— A jakże.

— Więc znajdzie się co potrzeba. Przyrządzi mi pani talerz jajecznicy, z ogrodu przyniesie trochę sałaty, do tego doda pani kawałek sera i będzie śniadanie królewskie.

— Będzie pan miał to wszystko i nadto w dodatku szklankę kawy.

Podeszła do okna i zawołała:

— Joasiu!

— Idę, mamo — odrzekła dziewczynka, bawiąca się na ulicy z gromadką dzieci.

— Idź do kurnika i przynieś sześć jaj, następnie pójdziesz do ogrodu i narwiesz trochę sałaty.

Dziewczynka wybiegła.

— Nie wesoło tu chyba—zauważył Juljusz, chcąc rozpocząć rozmowę.

— W dni powszednie smutno tu rzeczywiście, ale w niedziele ruch wielki. Pan chyba tu nigdy nie był?

— Nie byłem.

— Okolica tu ładna, szczególniej nad brzegiem Sekwany...

— Więc muszą tu być i wille?

— Jest kilka, nawet bardzo ładnych...

— Pani zapewne zna osoby w nich mieszkające?

— Wszystkich nie znam, gdyż zmieniają się często, mieszkają zaś tylko przez lato.

Dziewczynka przyniosła jajka i sałatę a matka jej zajęła się przygotowaniem śniadania.

Gdy Juljusz zabierał się do jedzenia, do oberży weszło dwóch ludzi z torbami pełnemi ryb. Był to oberżysta i syn jego.

— Gdybym był wiedział, że mąż pani jest rybakiem, byłbym prosił o ryby—rzekł Juljusz do gospodyni.

— Może pan mieć ryby na obiad — odrzekła — jeżeli pan zostanie do wieczora.

Oberżysta z synem i córeczką siadł do stołu, na którym gospodyni zastawiła im obiad.

— A nie zapomnij posłać parę funtów ryb do domu nad rzeką, do którego wczoraj posyłaliśmy.

— Do nowych lokatorów p. Bretona, gdzie jest mamka?

— Tam... Pokojowa tej pani przychodziła nad rzekę i zamówiła dwa funty...

Juljusz usłyszawszy wyraz *mamka*, podniósł głowę i zaczął przysłuchiwać się rozmowie uważniej.

— Ja zaniosę, mamusiu—zawołała dziewczynka. —Ta piękna pani dała mi wczoraj dziesięć sous i dzisiaj z pewnością da mi tyle samo.

— Kto to jest ta pani?—zapytała oberżystka.

— Nie wiem—odrzekł rybak—zresztą, cóż mię to obchodzi? Kupują u mnie ryby i płacą dobrze, to dla mnie dosyć. Po co jesteś taka ciekawa? W twoim wieku to niedobrze...

— Jaka ta pani piękna! — odezwała się dziewczynka — a to dzieciątko, co nosi mamka, to takie śliczne jak aniołek.

— Cicho bądź, smarkata!—zawołał ojciec—jedz co masz pod nosem!

— Za cóż krzyczysz na dziecko? przecież ona nic złego nie powiedziała—wtrąciła matka.

— Nie lubię, gdy dzieci rozprawiają o rzeczach, które do nich nie należą...

— Tutaj nic się nie dowiem—myślał Juljusz — ale z tych kilku słów jestem pewnym, że to mowa o hrabinie de Lucenay.

Zapłacił należność i wyszedł z oberży.

— Odeszlą ryby przez tę dziewczynkę — myślał.—Obserwując ją, będę mógł się dowiedzieć gdzie mieszka Henryka.

Po kilku minutach przybył nad brzeg Sekwany, ocienionej wysokiemi topolami, oparł się o pień jednej

z nich i udając, że przypatruje się rybakom łowiącym ryby, czekał na dziewczynkę z oberży i rozglądał się w miejscowości.

Nareszcie po upływie pół godziny córka oberżysty z koszykiem w ręku pokazała się na drodze. Szła powoli, zatrzymując się często i przypatrując się motylom i ptakom. Gdy podeszła do Juljusza, spojrzała nań i uśmiechnęła się jak do znajomego. O sto kroków dalej zatrzymała się przed bramą ogrodu, wspięła się na palce nóg, by dosięgnąć guzika od dzwonka i pociągnęła go ku sobie. W kilka minut Juljusz spostrzegł młodą kobietę, idącą ku bramie i poznał ją odrazu, była to bowiem Anusia, którą już widział w Wenecji.

— A więc tutaj mieszka...—rzekł do siebie.

Anusia i dziewczynka weszły do ogrodu.

Wtedy Juljusz odszedł od drzewa i kryjąc się po za gałęziami żywego zielonego płotu, oddzielającego wille od drogi, poszedł w kierunku, w którym udała się dziewczynka. Przez kraty spostrzegł w końcu alei domek szwajcarski, którego wszystkie okna były otwarte. Naprzeciw samej bramy, po za rozwartemi oszklonemi drzwiami, wiodącemi do pokoju stołowego, siedziała Henryka, a przy niej stała piastunka z dziecięciem na ręku.

Przez kilka sekund wpatrywał się w ten obraz, poczem nagle odszedł i o kilkanaście kroków dalej ukrył się w gąszczu krzewów. Brama rozwarła się znowu i Anusia wypuściła dziewczynkę, która z pustym koszykiem zawróciła ku domowi.

— Teraz, gdy już znam dom—myślał Juljusz— pozostaje mi tylko dowiedzieć się, gdzie sypia mamka, gdyż zapewne i na noc nie rozstaje się z dzieckiem... Wedrzeć się do domu łatwo... ale nie powinienem tu dłużej bawić... należy wracać...

Pomimo pośpiechu, z jakim Gabri pragnęła dostać się do Seine-Port, gdzie spodziewała się znaleść Juljusza rannego lub zmarłego, przybyła ona na dworzec lyoński w samej chwili odejścia pociągu.

Zła i dręczona niepokojem, postanowiła czekać na pociąg następny, odchodzący za dwie godziny.

W tym samym czasie Juljusz de Lucenay posłuszny rozkazowi, otrzymanemu dnia poprzedniego, wchodził do pałacyku przy ulicy Faisanderie.

— Czy panna Magdalena Gallier w domu?—zapytał lokaja.

— Pani czeka na pana hrabiego — odrzekł służący, rzuciwszy okiem na kartę podaną przez Juljusza.—Raczy pan hrabia wejść do salonu, ja tymczasem zawiadomię panią.

Lucenay wszedł do salonu. Mimo gorąca przejmowało go zimno, dreszcz wstrząsał całem jego ciałem. Uczynił wysiłek, by zapanować nad wzruszeniem.

— Nie powinienem w chwili walki tak upadać na duchu — mówił do siebie. — Należy zebrać całą energję... Cóż mię zresztą obchodzą warunki, jakie chce mi ona narzucić? Mogę bez wahania zgodzić się na wszystko, nie będę przecież dotrzymywał, skoro o losie jej już postanowiłem!

Podniósł głowę do góry i oczekiwał.

Po kilku chwilach otworzyły się drzwi i weszła Magdalena. Czarny strój podnosił jeszcze więcej bladość jej twarzy.

Juljusz skłonił się w milczeniu.

— Więc przybyłeś pan—rzekła głosem stłumionym—dziwi mię to.

— Dla czego? Alboż nie żądałaś pani tego?

— Rzeczywiście... zdziwienie moje jest niedorzeczne.. Zawsze jesteś pan tym samym... zawsze

łączysz w sobie bezczelność z tchórzostwem! Po tem co zaszło wczoraj, każdy inny na miejscu pańskiem, powróciwszy do domu, odebrałby sobie życie...

Hrabia obruszył się, lecz Magdalena ciągnęła dalej tonem morderczej pogardy.

— Powinnam była znać pana dostatecznie, aby być pewną, że nie zdobędziesz się na odwagę i nie przybędziesz... Z tem wszystkiem przyszedłeś pan..

— Przyszedłem dowiedzieć się, czego pani żądasz odemnie...

— I ażeby spełnić moje żądania, wszak prawda? Tak, jakkolwiek mogą być one hańbiące, spełnisz je pan!... Zgodzisz się pan raczej na nie, aniżeli na ławę oskarżonych, gdyż nie masz odwagi umrzeć!

Lucenay przeciągnął ręką po wilgotnem czole.

— Byłeś pan przekonany, że nie żyję, żeś mię zadusił — mówiła dalej—i nie wiedziałeś, że ocalona cudem, oskarżona o dzieciobójstwo, tylko dzięki brakowi dowodów nie zostałam potępioną! Będąc pewnym, że zbrodnia uszła ci bezkarnie, gdyż przekonany byłeś, że nie żyję, przybrałeś swe prawdziwe nazwisko, które przedemną ukrywałeś i skorzystałeś z niego, by poślubić kobietę, posiadającą miljony!... Jesteś pan dobrym graczem! A jednak popełniłeś jeden błąd!... Nie należało pozostawiać mię żywą!... Przed wyjściem z domu przy ulicy Ernestyny należało przekonać się, czy rzeczywiście nie żyłam!... Tymczasem, widzisz pan, żyję i jestem zdrową! Trzymam cię teraz w swych rękach i wymogę na tobie posłuszeństwo mej woli! Co uczyniłeś pan z mojem dziecięciem?

— Wiesz pani com uczynił, gdyż sama mówiłaś mi o cmentarzu Marcadet—odrzekł hrabia z bezczelnym cynizmem.

Magdalena spoglądała nań osłupiała, przerażona.

— Więc nie starasz się pan nawet usprawiedliwić!—wyjąkała—nawet nie zaprzeczasz!

— Nie przybyłem tu, by rozprawiać o przeszłości, ale dla dowiedzenia się o żądaniach pani.

— Więc powiem je panu. Nie pragnę pańskiej śmierci... dowiodłam tego... Gdybym nie przeszkodziła wczoraj, szpada markiza de Valaudelle dokonałaby sprawiedliwości i nie żyłbyś pan już dzisiaj... Śmierć pańska nie pomściłaby mnie dostatecznie! Pragnę byś żył i cierpiał... Pragnę ci oddać cierpienie za cierpienie... pragnę by hańba twoja była publiczną i byś doznawał pogardy całego świata!...

Hrabia wzruszył ramionami.

— Frazesy!—odrzekł.—Cóż dalej? Czekam...

— Więc cóż pan masz tutaj? — zapytała gwałtownie młoda kobieta, dotykając się palcem lewej strony piersi hrabiego — co pan tu masz na miejscu serca? Znieważam cię i ty nie rzucasz się na mnie, by udusić!

Jakiś dziwny uśmiech przemknął na ustach hrabiego.

— To nazwisko Lucenay, które prawnie mnie się należało, gdyż Bogu i tobie wiadomo, że byłam niewinną, sprzedałeś za posag!.. Poślubiłeś kobietę nie kochając jej, bo ty nic nie kochasz... chyba tylko pieniądze i rozpustę!... Z początku miałam zamiar wydać cię w ręce sprawiedliwości i wysłać na galery hrabiego de Lucenay, ale wczoraj, gdy zobaczyłam twą żonę, tak piękną, tak nieszczęśliwą, uczułam dla niej głęboką litość. Ponieważ nie mogłam ochronić jej od nieszczęścia, postanowiłam oszczędzić jej najwyższej hańby: noszenia nazwiska galernika... To historyczne nazwisko, z którego jesteś pan tak dumnym, ma swoją wartość! Otóż uwolnisz pan od

niego tych, co zapłacili ci za nie tak drogo i sam będziesz je wlekł w błocie... ale nie będzie już ono należało do twej żony i twoja hańba nie dotknie jej czystej duszy!...

Hrabia poruszył się niecierpliwie.

— Patrzę na panią i zapytuję się, czyś nie dostała pomieszania zmysłów? Słucham panią i nie rozumiem jej. Przecież pani wiesz, że nie mogę pozbawić mej żony nazwiska hrabiny de Lucenay!...

— Owszem, to bardzo łatwo.

— A to jakim sposobem?

— Wziąć rozwód. Czy pan sądzisz, że żona pańska stawiać będzie trudności i gdy zechce nie otrzyma go? Gdy będzie wiedziała, gdy dowiedzie, że ożeniwszy się z nią przed półrokiem zaledwie, afiszujesz się bezwstydnie ze znanemi w całym Paryżu kobietami upadłemi? Istota ta jest godną pana towarzyszką! Żądam, by przed upływem roku Gabrjela Stellini, dzisiejsza kochanka pańska, została hrabiną de Lucenay.

— A gdybym ja nie zgodził się na to?

— Zgodzisz się pan! To jedyna furtka ocalenia, jaką przed panem otwieram, a jakkolwiek jest niską, przejdziesz pan przez nią! Masz pan wybierać między galerami i Gabrjelą... Nie wybierzesz galer... Czy spełnisz pan me żądanie?

Juljusz zawahał się na chwilę, poczem z uśmiechem na ustach odrzekł:

— Spełnię.

— Wiedziałam, że się pan zgodzisz, ale ponieważ chcę być pewną, iż dotrzymasz zobowiązania, musisz mi dać pewne gwarancje...

— Jakie?

— W tej chwili dowiesz się pan...

Magdalena nacisnęła guzik dzwonka, na głos którego wszedł lokaj.

— Przynieś mi tutaj przyrządy do pisania— rzekła.

Gdy lokaj spełnił rozkaz, dodała:

— Połóż to na stole, wyjdź do drugiego pokoju i bądź gotowym wejść natychmiast na moje wezwanie.

Po odejściu służącego, Magdalena, wskazując Juljuszowi krzesło przy stole, rzekła:

— Siadaj pan i pisz co ci podyktuję.

Hrabia lekko wzruszył ramionami, lecz siadł.

— Śpiesz się ze swym tryumfem, szalona! — myślał—nie długo on potrwa! Sama wydałaś na siebie wyrok śmierci.—Głośno zaś dodał:—Czekam.

Magdalena zaczęła dyktować:

„Niechaj nikogo nie obwiniają o śmierć moją. Odbieram sobie życie dla uniknięcia zasłużonej kary i przed śmiercią wyznaję moje zbrodnie. Dnia 16-go lipca r. 1881-go chciałem zamordować Magdalenę Gallier, zabiłem jej dziecko, którego byłem ojcem i pochowałem trupa na opuszczonym cmentarzu przy ulicy Marcadet.“

Hrabia słuchał osłupiały. Nagle zerwał się z krzesła.

— Ja nie napiszę tego!—zawołał.

— Napiszesz pan i podpiszesz się!

— Nigdy!

— Powtarzam panu, że napiszesz!

— Żadna siła ludzka nie zmusi mię do tego!

— Tak pan myślisz?... Poczekaj pan chwilkę... Proszę, zbliż się do okna i spójrz na ulicę... Czy widzisz pan tych dwóch policjantów?... Otrzymali oni rozkaz na wszelki wypadek stać przed moim domem.

— Więc cóż mię to obchodzi?

— Powinno obchodzić bardzo wiele, gdyż jeżeli nie zechcesz pan napisać, to zawezwę ich przez lokaja i każę cię zaaresztować!

— Chyba uważasz mię pani za dziecko! — odrzekł Juljusz szyderczo. — Żeby zaaresztować kogo, potrzeba mieć na to rozkaz, a na uwięzienie mnie niema rozkazu!

— Jest coś lepszego niż rozkaz aresztowania!... jest wyrok sądowy!...

— Kłamiesz pani!

— Więc muszę powiadomić pana o wszystkiem, o czem jeszcze nie wiesz! Tego dnia, w którym sąd mnie uniewinnił, zaocznie skazał Juljusza Mercier na dwadzieścia lat ciężkich robót! Jeżeli zaś mi pan nie wierzysz, to przeczytaj oto ten numer „Gazety sądowej“, w którym znajdziesz sprawozdanie z tego procesu—i podała mu gazetę, którą hrabia, blady jak płótno, odtrącił ręką.

— Nie trudno będzie dowieść—ciągnęła dalej— że hr. de Lucenay i Juljusz Mercier, szlachcic i bandyta są jedną i tą samą osobą, a co się tycze dowodów rzeczowych, dostarczy je Juljusz Claude, gdy opowie co widział w ową noc zbrodni i wskaże sądowi miejsce na cmentarzu Marcadet, w którem spoczywa zamordowane me dziecię! Zasiądziesz wtedy na ławie oskarżonych, a i ja stanę przed sądem, nie jako obwiniona, lecz w charakterze świadka i może jeszcze stać się, że sąd ciężkie roboty zamieni ci na gilotynę! Więc czy napiszesz teraz?

Juljusz Lucenay z twarzą zmienioną, czołem mokrem od potu, padł na krzesło, z którego przed chwilą był powstał.

— Dyktuj pani — szepnął głosem zaledwie zrozumiałym.

Magdalena dyktowała po raz wtóry i hrabia posłusznie zapisał jej słowa.

— Podpisz się pan!—zawołała gdy skończył—lecz pełnem imieniem, nazwiskiem i tytułem.

Hrabia podpisał.

Wzięła skrypt, przeczytała i rzekła:

— Dobrze! Mam teraz pewność, że dotrzymasz pan zobowiązania i trzymam cię teraz w mych rękach. Zanim rok upłynie Gabrjela Stellini zostanie hrabiną de Lucenay. W dzień pańskiego ślubu będę się uważała pomszczoną i wrócę panu to pismo; ale gdybyś chciał wyłamać się z pod mej woli, to za rok sprawiedliwość wkroczy w swe prawa i ona pomści zamordowane przez ciebie me dziecię!... A teraz precz z przed moich oczu!—zawołała, wskazując ręką drzwi.

Lucenay, zataczając się jak pijany, opuścił salon, nie śmiejąc nawet spojrzeć na nią.

Gdy wyszedł na ulicę i minął stojących przed pałacem policjantów, zatrzymał się.

— Myślisz, że mię trzymasz w swych rękach—szepnął, rzucając groźnym wzrokiem ku pałacowi—ale się mylisz.—Zanim rok upłynie, ty i Juljusz Claude będziecie już gnili w ziemi, a pismo moje wróci do rąk moich!

Zaledwie Juljusz de Lucenay wyszedł z salonu, Magdalena wróciła do pokoju, w którym pozostawiła Walentynę i schowawszy do biurka pismo hrabiego, rzekła do swej przyjaciółki:

— Dokończ-że historji, którą rozpoczęłaś przed mojem odejściem. Mówiłaś mi, że doktór Vernon odprowadzając cię do domu, opowiadał o Gabrjeli Stellini...

— Tak...

— Więc cóż dalej?

— Otóż ta słynna Gabri nie nazywa się *Stellini*, lecz bardzo skromnie *Pitou*.

— To rzecz mała... Nazwisko *Pitou* nie tak pięknie dźwięczy, nic więc dziwnego, że zmieniła je...

— Ale poczekaj-no... Wiesz, co zresztą wiadome jest wszystkim, że Gabri była z początku modelką, pozującą w pracowniach artystów w Montmartre, a następnie występowała w trzeciorzędnych teatrzykach. Ale o czem ani ty, ani nikt nie wie, to fakt, że zanim została modelką, Gabrjela Pitou skazaną była na trzynaście miesięcy więzienia.

— Czyż to być może?—zapytała Magdalena.

— Przyjaciel markiza de Valandelle, doktór Vernon, który był ordynatorem w szpitalu św. Łazarza w epoce, gdy ona odsiadywała karę, twierdzi stanowczo, a on nie kłamie nigdy!

— Cóż ona przewiniła?

— We współce z jakimś rzezimieszkiem, którego obdarzała swemi względami, okradła kogoś w Saint-Cloud.

— Czy mówiłaś o tem Celestynowi?

— Opowiadałam mu dziś rano.

— Cóż on powiedział?

— Nic, ale widziałam, że po śniadaniu rozmawiał z doktorem i domyślam się, że o Gabri.

— Ah! — myślała Magdalena — jakże ja dobrze uczyniłam, łącząc tę złodziejkę z tym zbrodniarzem! godni są siebie.

Głośno zaś dodała:

— Przejedziesz się ze mną? Odetchniemy trochę świeżem powietrzem.

— Dobrze; a dokąd pojedziemy?

— Za miasto.

— Do lasku bulońskiego?

— Ah, nie, nie!—odparła żywo Magdalena.
— Więc dokąd?
— Nie chcę pokazywać się ludziom, którzy mię znają i myślą, że mają prawo pogardzać mną... Jedźmy do lasku Vincennes.
— Zgoda...
— Podczas gdy Magdalena odjeżdżała z Walentyną, do gabinetu prefekta policji wchodził przyjaciel jego doktór Vernon, wraz z markizem de Valandelle.

Markiz, dowiedziawszy się od Walentyny o przeszłości Gabri, uczuł się skompromitowanym i przestraszył się. Jakto, on był jawnym protektorem złodziejki, skazanej przez sąd!—i ta nikczemnica chciała za pośrednictwem hrabiego de Lucenay zgładzić go ze świata i prześladowała swą nienawiścią Magdalenę, którą kochał i która miała zostać jego żoną! Potrzebował przeciw Gabrjeli broni strasznej i dzięki doktorowi Vernon miał ją otrzymać.

— Nie mogę panu wydać kopji wyroku, skazującego Gabrjelę Pitou—rzekł szef bezpieczeństwa publicznego — zabraniają mi tego przepisy, ale nic łatwiejszego, jak kopję taką zastąpić dokumentem innym.
— Jakim?—zapytał doktór.
— Czy znane panu: data, miejsce urodzenia, imiona ojca i matki skazanej?
— Znane... oto jest notatka.
— Ponieważ Gabrjela Pitou—rzekł prefekt policji, odczytawszy notatkę—urodzona jest w Paryżu, mogę więc panu wydać metrykę urodzenia i świadectwo konduity, w którem będzie wzmianka o wyroku. Każę sporządzić kopje i jutro po południu przyślę je panu do domu.

Markiz i doktór podziękowali i wyszli.

— Kochany doktorze—rzekł Valandelle—dopóki nie będziemy mieli w rękach tych dokumentów, nic nie mów o tem wszystkiem Magdalenie.

— Dobrze...

XVII.

Gabrjela Stellini, zdenerwowana w najwyższym stopniu długiem oczekiwaniem na pociąg, przybyła o godzinie czwartej do stacji Cesson.

Straciwszy napróżno tyle czasu i pragnąc jak najprędzej dowiedzieć się o Juljuszu, zwróciła się z prośbą o informacje do zawiadowcy.

— Proszę pana, przybyłam tu w śmiertelnym niepokoju...

— Z jakiego powodu?

— Wczoraj w lasku Seine-Port miał się odbyć pojedynek... Mąż mój był jednym z walczących i do tej chwili do domu nie powrócił... Nie mam o nim żadnej wiadomości i nie mogę odszukać świadków... Lękam się nieszczęścia... Pan, mieszkając tak blisko, musiał coś słyszeć...

— Niech pani raczy spocząć...

Gabrjela padła na krzesło, podane jej przez zawiadowcę.

— Nie, pani, nie słyszałem...

— Więc żadnego śladu!... Boże mój, Boże!...

— Nic nie wiem pewnego... ale po południu widziałem wysiadających z dwóch oddzielnych pociągów, nieznanych mi młodych ludzi, z wyjątkiem jednego...

— Kogo mianowicie?

— Nie wiem jego nazwiska, lecz często widywałem go wysiadającego na tutejszej stacji lub wsiadającego do pociągu. Przed trzema tygodniami lub przed miesiącem przybył on w te okolice w towarzystwie teścia i teściowej i oczekiwał na swą żonę z dzieckiem; wszyscy mieli bilety wydane w Marsylji.

— To hrabia—pomyślała Gabrjela—lokował wtedy swą żonę w Seine-Port. Jeżeli został zabitym lub rannym, to do niej musiano go odwieść.

Głośno zaś zapytała:

— Ilu było tych młodych ludzi?

— Trzech w pierwszym pociągu i czterech w drugim... Przypominam sobie, że jeden z każdej grupy miał jakiś przedmiot długi w futerale zielonym, a sądząc z tego co pani mówi, byłyby to szpady.

— Więc widocznie pojedynek odbył się—zawołała Gabrjela.—A później? cóż dalej?

— Około godziny szóstej czterej, którzy przybyli później, siedli znowu do pociągu, lecz już w towarzystwie dwóch pań, które przybyły z Paryża powozem i konie zostawiły w Cesson.

— Powóz Magdaleny — pomyślała Gabrjela. — A drudzy?—zapytała głośno.

— Nie widziałem ich.

— A dziś rano nic pan nie słyszał?

— Nic.

Gabrjela powstała.

— Pojadę do Seine-Port—rzekła.

— To niedaleko, piechotą można dojść za godzinę.

— Gdzie znajduje się ten lasek?

— W połowie drogi idąc stąd, na lewo.

— Dziękuję panu.

Zawiadowca odprowadził Gabrjelę do drzwi i wskazał drogę.

— Jeżeli jest ranny i znajduje się u swej żony—myślała, idąc szybkim krokiem—nie będę mogła go zobaczyć, ale to rzecz mała... będę wiedziała, że żyje i że tryumf Celestyna będzie trwał krótko... a o to mi tylko chodzi.

Juljusz Claude wrócił się do wsi, wstąpił do oberży, gdzie wypił szklankę piwa i puścił się w dalszą drogę.

— Niema co się namyślać—myślał idąc—poczekam aż do zmroku, powrócę do Seine-Port, zjem obiad w oberży, a gdy już wszyscy udadzą się na spoczynek, pójdę obserwować dom Henryki.

Gdy przybył do punktu drogi naprzeciw lasku, w którym odbył się pojedynek, spostrzegł małą, wiodącą doń ścieżkę i wszedł na nią.

— Poczekam w tym lasku—myślał—tu mię nikt nie zobaczy...

Na brzegu polanki wybrał zacienione miejsce, położył się na mchu i założywszy obie ręce na głowę, zaczął obmyślać plan przyszłej wyprawy.

Gabrjela Stellini, którą opuściliśmy wychodzącą ze stacji Cesson, nie przywykła do chodzenia, uszedłszy kilkaset kroków, uczuła się już zmęczoną. Zwolniła kroku lecz szła dalej. Doszedłszy do brzegu lasu, spostrzegła podeptaną trawę i ślady przejścia kilku osób. Poszła za temi śladami i wkrótce znalazła się na polance.

Szmer odsuwanych przez nią gałęzi doszedł uszu Juljusza Claude, leżącego pod drzewem. Powstał i zaczął się rozglądać.

Zdziwienie jego było wielkie, gdy o kilka kroków przed sobą spostrzegł sylwetkę kobiety młodej i eleganckiej.

— Kto to jest? — zapytywał siebie. — Co ona tu robi?

I nie zmieniając pozycji, obserwował jej ruchy.

Tymczasem Gabrjela, doszedłszy do miejsca stratowanego stopami walczących, zatrzymała się.

— Więc to tutaj odbył się pojedynek—rzekła do siebie—może znajdę ślady krwi.

Nachyliła się i zaczęła przyglądać się ziemi i kępkom trawy.

— Ah!—zawołała nagle, podnosząc ostry kawałek stali, długości dziesięciu centymetrów.—To odłamany koniec szpady... ale krwi nie widać nigdzie... to dziwne...

Odrzuciła i szukała dalej, zakreślając coraz większe koło.

Wtem pomiędzy opadłemi liśćmi spostrzegła coś białego i pochwyciła pośpiesznie.

Był to kawałek papieru, złożony w formie listu.

— Pismo Celestyna—rzekła i przeczytała napis: „Mój testament.“

Przez chwilę stała nieruchoma ze wzrokiem utkwionym w litery, poczem gniewnie rozerwała pieczątkę, rozwinęła papier i przeczytała głośno:

„Cały mój majątek bez żadnego wyłączenia zapisuję Magdalenie Gallier, którą kocham nad wszystko na świecie. Markiz Celestyn de Valandelle.“

— Wszystko dla tej Magdaleny Gallier!—zawołała Gabrjela z wściekłością.

Nagle, w tej samej chwili rozległ się krzyk, drugi — Juljusz Claude jednym skokiem rzucił się z za drzewa i położył rękę na jej ramieniu.

Gabrjela, przerażona w najwyższym stopniu, sądząc, że chcą ją zamordować, padła na kolana i złożywszy ręce, zaczęła błagać:

— Nie zabijaj mię pan... weź wszystko... portmonetkę... brylanty... ale daruj mi życie... Panie złodzieju... nie zabijaj mię!

— Oh! niech pani się uspokoi — odrzekł artysta głosem drżącym ze wzruszenia.—Nie jestem ani zabójcą ani złodziejem... nie sięgam na życie pani i nie potrzebuję jej pieniędzy. Odpoczywałem pod drzewem i widziałem jak podniosłaś pani naprzód kawałek szpady, następnie list i wymówiłaś nazwisko kobiety, którą kocham jak siostrę i którą uważałem za zmarłą. Dzięki Bogu, myliłem się! Jej nazwisko napisane jest na tym papierze, więc i jej adres być tam musi... Ah, pani, powiedz mi, wszak Magdalena żyje...

Gabrjela, uspokojona postawą Juljusza i jego widocznem wzruszeniem, odzyskała przytomność i spojrzała naokoło siebie.

Artysta zrozumiał wyraz jej wzroku.

— Jestem sam — mówił dalej — niech pani nie lęka się zasadzki. Pragnę tylko dowiedzieć się od pani, czy Magdalena żyje i gdzie mieszka.

Skromne ubranie Juljusza wskazywało, iż stojący przed nią mężczyzna nie należał wcale do sfery wyższej.

— Jakiem prawem—zapytała wyniośle—pozwalasz pan sobie zapytywać mię? Kto pan jesteś?

— Jestem artystą nieznanym i nazywam się Juljusz Claude. Wiem, że nie mam prawa pytać panią, ale pani jesteś kobietą, musisz być dobrą, gdyż jesteś piękną, więc nie powinnaś odmawiać mi tego prawa. Przed chwilą wymówiłaś pani nazwisko biednej istoty, która wiele wycierpiała i którą z tego powodu kochałem i szanowałem. Uważałem ją za zmarłą i opłakiwałem. Zapewniając mię o jej życiu, uczyni mię pani szczęśliwym.

Magdalena Gallier należała do tego rodzaju ludzi, których Gabrjela nienawidziła najwięcej, to też słowa wielkiego szacunku, z jakiemi odzywał się o niej Juljusz, tembardziej odstręczały ją od niego.

— Nie mogę powiedzieć panu czy żyje — odrzekła.

— Dla czego?

— Ponieważ nie wiem.

Juljusz spostrzegł, że Gabrjela nie mówi prawdy.

— Pani nie wie!—odrzekł—daruje pani, lecz nie wierzę. W liście, który trzyma pani w ręku, jest o niej mowa i właśnie po przeczytaniu go wypowiedziała pani jej nazwisko. Gdyby ona nie żyła, dla czegoż więc pani interesowałaby się nią?

— A panu co do tego?

— Pani jest okrutną!

— Wszystko mi jedno.

W Juljuszu z gniewu zawrzała krew.

— A jeśli ja zmuszę panią odpowiedzieć mi? — zapytał unosząc się.

— Będę krzyczała o pomoc.

— Nikt nie przybędzie! Okolica pusta, jesteśmy sami i wśród lasu. Niech pani nie doprowadza mię do ostateczności. Proszę mi oddać ten list!

— Nie oddam!—zawołała, usiłując schować list za stanik.

Juljusz schwycił jej rękę i ścisnął z całą siłą.

— Ah!—syknęła z bólu.

— Oddaj mi pani ten list!

— Nie oddam! Na pomoc! na pomoc!—piskliwym głosem wołała Gabrjela.

— Cicho bądź pani! We własnym jej interesie radzę jej milczeć — i wyrwał papier z ręki Gabrjeli.

Ona rzuciła się, by mu go odebrać, lecz Juljusz zdołał przeczytać trzy wiersze listu.

— Ależ to jest testament! — zawołał. — Jakiem prawem ośmieliłaś się pani otworzyć go?

— A panu co do tego?

— Osobiście nic mi do tego, lecz pani popełniłaś czyn haniebny. Wiem już, co potrzebowałem wiedzieć. Testament ten, zapisujący majątek Magdalenie Gallier, nosi datę wczorajszą, a że nikt nie zapisuje majątku zmarłym, więc Magdalena żyje i ja ją odszukam... Ah, pojmuję teraz co tutaj zaszło i co panią tu sprowadziło. Na tej polance odbył się pojedynek... pani przyszłaś szukać trupa, może tego markiza de Valandelle... Znalazłaś pani ten testament, zgubiony przez niego w chwili, gdy zdejmował z siebie ubranie i dowiedziałaś się z niego o jakimś zawodzie dla siebie. Domyślam się kim pani jesteś i nie mylę się chyba przypuszczając, że to pani wywołałaś ten pojedynek!

Oczy Gabrjeli tryskały piorunami gniewu.

— Oddaj mi pan to pismo! — wołała głosem chrapliwym.

— Za nic w świecie! Oddam je temu, który je pisał, a jeśli nie żyje, Magdalenie Gallier—odrzekł i odwróciwszy się od Gabrjeli, oddalił się szybko.

— Ah, Juljusz Claudel—szepnęła—odszukam ja ciebie... odpowiesz ty mi za to... Jakim sposobem człowiek ten poznał Magdalenę?... Może jaki kochanek dawny... Nie lękam się go i zgniotę ich oboje!...

Uspokoiła się cokolwiek i zaczęła znowu przypatrywać się ziemi.

— Najmniejszego śladu krwi! Niema potrzeby szukać dalej... Pójdę do Seine-Port i muszę się czegoś dowiedzieć.

Przebyła lasek, weszła na drogę i pomimo utrudzenia, wkrótce przybyła do wsi. Spotkawszy przechodzącego wieśniaka zaraz przy pierwszej chacie, podeszła ku niemu.

— Czy nie wiecie czasem, gdzie mieszka hrabina de Lucenay?

— Wiem; w domku szwajcarskim nad brzegiem rzeki.

— A może wam wiadomo, czy hrabia jest teraz u siebie?

— Niema go, proszę pani.

— Jesteście pewni?

— Jestem zupełnie pewnym, gdyż jako najemny ogrodnik, cały dzień przepędziłem u nich w ogrodzie.

— I nie przyjeżdżał choć na czas krótki?

— Nie; ani dziś, ani wczoraj. Hrabia bardzo rzadko bawi tutaj.

— Ponieważ jesteście tutejsi, to czy nie słyszeliście przypadkiem o pojedynku, jaki się tu odbył wczoraj w lasku między Seine-Port i Cesson?

— Nie słyszałem i z pewnością, że nie było żadnego pojedynku, gdyż ojciec mój jest dozorcą tego lasku, często go obchodzi, zauważyłby więc i nie ukrywałby przedemną.

— Dziękuję—rzekła Gabrjela i odeszła.

XVIII.

W tej chwili przechodził omnibus, wiozący pasażerów do stacji kolejowej.

Gabrjela dała znak konduktorowi i zapytała:

— Czy na pociąg odchodzący o siódmej?

— Tak; niech pani siada prędko, bo się spóźnimy!

Gabrjela weszła do omnibusu i konie ruszyły kłusem.

O ósmej była już w Paryżu, a w pół godziny później wchodziła do swego mieszkania.

— Czy nikt nie przychodził? — zapytała pokojowej.

— Był hrabia de Lucenay.

— Ah, więc żyje!—zawołała Gabri zdziwiona.— Czy ranny?

— Zdrów zupełnie!

— Zdrów i żywy! — myślała Gabri — cóż więc tam zaszło takiego?

U drzwi rozległ się głos dzwonka. Pokojowa poszła otworzyć i za chwilę hr. de Lucenay wszedł do salonu.

Powróćmy teraz do Juljusza Claude.

Oddaliwszy się o paręset kroków od miejsca, w którem pozostawił Gabrjelę, siadł na trawie pod drzewem i zaczął rozmyślać.

— Więc Magdalena nie zmarła i tylko pragnęła bym wierzył, że odebrała sobie życie... To źle... Ale rozumiem ją... Nie chciała zasmucić mię wiadomością, że pragnienie zemsty było w niej silniejsze nad chęć pozostania uczciwą. Przeważyła w niej myśl odkrycia zabójcy jej dziecka! Na poszukiwania potrzebowała mieć pieniądze za jaką bądź cenę! Powiem jej jak się on nazywa i gdzie się znajduje. I ja mam z nim rachunek!... Biedna Magdalena, jak wielkiej radości dozna, gdy dowie się, że ów poszukiwany przez nią bezskutecznie Juljusz Mercier, jest hr. Juljuszem-Armandem, de Lucenay—Charente!... Co to za kobieta, która bez wahania tak gwałci tajemnice testamentowe? Dowiem się zapewne o tem od Magdaleny

Za nadejściem zmroku artysta powstał, wyszedł z lasku i udał się do Seine-Port. Gdy przybył do wsi, noc już była zupełna. Wszedł do oberży, przed którą stał omnibus idący do Cesson, zjadł razem z pasażerami obiad, zapłacił i wyszedł w chwili, gdy konduktor wezwał ich do odjazdu.

Ciemność zapadała coraz większa i duszące powietrze zapowiadało burzę.

Juljusz doszedł do brzegu Sekwany. W rozrzuconych wśród ogrodów willach, okna były gdzieniegdzie jeszcze oświetlone i przez rozwarte szeroko oszklone drzwi można było widzieć rodziny siedzące przy stole. Artysta skierował się do domku zamieszkałego przez hrabinę de Lucenay, ukrył się w grupie krzewów i spostrzegł Henrykę, podobnież jak rano siedzącą przy stole, a przy niej mamkę. Anusia usługiwała do obiadu.

Wtem dał się słyszeć płacz dziecka i mamka, wziąwszy ze stołu zapaloną świecę, wyszła z pokoju stołowego.

Juljusz śledził miejsce, w którem miało się zjawić światło i po chwili spostrzegł oświetlone okna obok pokoju stołowego.

— Więc to jest pokój mamki i dziecka — szepnął — dobrze jest wiedzieć, że jedzą obiad późno i że mała śpi podczas obiadu... Ale gdzie pokój matki? Dowiem się niedługo.

Po minucie mamka ze świecą wróciła do pokoju stołowego.

— Cóż? — zapytała Henryka.

— Nic, proszę pani, usnęła znowu.

— A czy zamknęłaś okno?

— Zamknęłam.

Wieczór był tak cichy, że artysta słyszał wymówione słowa tak dobrze, jak gdyby był w ogrodzie o kilka kroków od domu.

— Jaka to szkoda, że niema rolet u okien — zauważyła Henryka.

— W pokoju pani są—odrzekła Anusia.

— Tak, ponieważ tamte okna wychodzą na wieś. Czy zamknęłaś drzwi korytarza wychodzące na ogród?

— Jeszcze nie. Zamykam je zwykle kładąc się spać.

— A któraż godzina teraz?

— Dochodzi dziesiąta.

— Pójdę już spać, gdyż jestem zupełnie złamana wzruszeniami dnia wczorajszego.

— Rozumiem, proszę pani, wzruszenie musiało być straszne.

— Ah, moja Anusiu, zdaje mi się, że grozi mi jakieś wielkie nieszczęście. Wszystkiego się lękam i mam jakieś smutne przeczucie. Chciałabym być teraz w willi jaworowej, przy rodzicach byłabym spokojniejszą.

— Jak pan Dauray zmartwi się, gdy się dowie o tem wszystkiem! On, który narzucił to małżeństwo!—zawołała pokojowa, składając ręce!

— Nie przeżyłby tego, moja Anusiu, i dla tego ukryję w sobie moje cierpienia... Gdy przypominam sobie, że ten człowiek, nazywający się moim mężem, przysięgał mi miłość i przyrzekał kochać moje dziecię i porównywam jego postępowanie ze mną obecne, przejmuje mnie oburzenie na jego bezwstydną komedję! Zaślubiwszy mię zaledwie przed pół rokiem, już mię opuścił!... Nie, ja się nie mylę... ten wczorajszy pojedynek... to wmieszanie tej nieznanej kobiety, dowodzi, że on się bił o nią... Nie skarżę się na zła-

manie przyrzeczonej mi wiary... on nigdy nie starał się zdobyć mego serca, więc nie serce mię boli, ale opuszczenie, ta samotność ciągła, tak dotkliwa w mym wieku. Pomyśl tylko, moja Anusiu, toż ja nie mam nawet ośmnastu lat jeszcze! Dla czego Bóg przeznaczył mi żywot tak męczeński?

Powstała i nie mając siły dłużej panować nad sobą, wybuchnęła łkaniem.

Napróżno Anusia uspakajała ją i pocieszała.

Juljusz Claude z rozmowy tej nie stracił ani jednego słowa; łzy spływały mu po policzkach.

— A więc to ten Lucenay pojedynkował się wczoraj — myślał — a kobieta, którą dziś spotkałem w lasku, musi być kochanką tego nikczemnika!

Hrabina, oparta na ramieniu Anusi, odeszła od stołu i za chwilę Juljusz spostrzegł sylwetki dwóch kobiet za spuszczonemi firankami pokoju mamki.

— Poszła ucałować swe dziecię—myślał—dziecię, które jej wkrótce pochwycę. Powiększę tem jeszcze więcej jej cierpienie i wiem, że pozbawię ją ostatniej pociechy, ale nie mogę pozostawić mego dziecięcia w rękach człowieka, który go nienawidzi, człowieka gotowego na wszystko! Zamordował dziecko własne, dla czegoż miałby oszczędzać cudze? Nie, nie mogę, nie chcę, nie powinienem pozostawiać mej córki w jego rękach! Ale biedna matka ileż cierpieć będzie!

Sylwetki kobiet znikły. Anusia zgasiła lampę w pokoju stołowym i zamknęła oszklone drzwi. W całym domu zaległa ciemność z wyjątkiem słabego światła nocnej lampki w pokoju mamki.

— Mówiły o drzwiach zamykających korytarz, wychodzący na ogród warzywny—szepnął—gdzie ten ogród? Zapewne za domem, ale otaczający mur czy oddziela go od innej willi? Trzeba się przekonać...

Okrążył sztachety i uszedłszy paręset kroków, doszedł do rogu uliczki, do której przylegał mur, oddzielający wille od pól uprawnych. Idąc wzdłuż tego muru i obserwując ciągle, by nie stracić z oczu domu zamieszkałego przez Henrykę, wkrótce doszedł na jego wysokość i spostrzegł oświetlone drzwi, prowadzące na korytarz. Wspiął się na palcach i uchwyciwszy się rękami za wierzch muru, przekonał się, iż łatwo będzie mógł go przesadzić.

Zadowolony z rezultatu swych obserwacji, wrócił przed front domu, spojrzał nań po raz ostatni i szybkim krokiem oddalił się ku wsi i następnie do Cesson. Gdy przybył do stacji, stał właśnie pociąg idący do Paryża.

Po upływie półtory godziny był już w swem mieszkaniu.

XIX.

Gabrjela, zobaczywszy Juljusza, doznała takiej radości, jakiej doświadcza wierzyciel, dowiadujący się o kwitnącym stanie interesów swego dłużnika, którego uważał za zrujnowanego.

Pragnąc nadać swemu szczęściu pozory bezinteresowności, rzuciła mu się na szyję, poczem zawołała:

— Wytłómacz mi nareszcie te zagadki! Żyjesz i nie jesteś ranny... chwała Bogu! Ten idjota Valandelle ma się doskonale... widziałam go wczoraj wracającego z Magdaleną, Walentyną i świadkami. A ty nie pokazałeś się przez cały dzień, pozostawiając mię na pastwę rozpaczy! Cóż tam się stało?

— Rzecz bardzo prosta—odrzekł Juljusz—pojedynek nie przyszedł do skutku...

— To nieprawda!—zawołała Gabri.

— Jakto nieprawda?

— Nie oszukuj mię!... ja wiem wszystko!...

— Uwierzyłaś plotkom...

— Żadnym plotkom, gdyż nikt mi nic nie mówił. Jeździłam sama do Seine-Port, widziałam polankę w lasku i ziemię stratowaną, znalazłam nawet kawałek szpady.

Juljusz spoglądał na Gabrjelę osłupiały.

— Jeździłaś do Seine-Port!—zawołał.

— Więc ty przypuszczasz, że mogłam znosić obojętnie brak wiadomości o tobie? Zobaczywszy Valandella zdrowego, przypuszczałam, żeś został zabity lub ranny i myślałam, że zwarjuję z boleści i przestrachu. Wszystko zdawało się potwierdzać, że padłeś. Świadków nie mogłam odszukać, jak gdyby się kryli przedemną... Głowa mi gorzała! Nie jesteś w stanie pojąć ile ja wycierpiałam. Ale nareszcie widzę cię i mam cię znowu. Opowiedz mi jak to było, ale nie kłam!

Czytelnicy wiedzą, jak trudno było hrabiemu powiedzieć prawdę.

— Ależ...—wyjąkał.

— Ah!—zawołała żywo Gabri—nie śmiesz mówić... Rozumiem i domyślam się teraz wszystkiego, więc ja ci opowiem!

Juljusz uczuł dreszcz przebiegający po ciele.

— Magdalena, uprzedzona o pojedynku przez Valandella—ciągnęła Gabri—przybyła na miejsce spotkania i przeszkodziła... Prosiła cię i błagała, byś oszczędził Valandella. Do jej próśb świadkowie dołączyli swoje, a wobec łez i błagań tej kobiety, której nienawidzę z całej duszy, zmiękłeś... Nie umiesz oprzeć się prośbom kobiet... jesteś słabym.

— Tak, rzeczywiście — podchwycił Juljusz jej myśl. — Uważałem, że grzeczność nakazywała mi ustąpić...

— Cóż znaczy ta szpada złamana?

— To szpada markiza pękła w pierwszem starciu... Mieliśmy dalej bić się innemi...

— Słowem, zapomniałeś, że bronisz sprawy mojej i bijesz się za mnie!

— Nie zapomniałem, lecz niepodobna było zostać nieubłaganym.

— I nie przyszło ci na myśl, że Valandelle będzie teraz rozgłaszał wszędzie, żeś go się uląkł.

— Nie powie tego.

— Dla czego?

— Ponieważ ta słabość, o którą mię obwiniasz, istnieje tylko w twojej wyobraźni. I ja również nienawidzę Valandella, a jeżeli ustąpiłem teraz, to tylko dla tego, by zadać mu cios straszniejszy...

— Jakto, odbierając mu Magdalenę? — zapytała Gabri, marszcząc brwi.

— Nie... przysięgam ci... — odrzekł, wzruszając ramionami.

— Więc jakiż masz zamiar?

— Uwolnić się na zawsze od tej kobiety, której nienawidzimy oboje.

— A to jakim sposobem?

— Nie obmyśliłem jeszcze sposobu, lecz szuka[m] i znajdę go... Jeżeli do dojścia do celu będę potrz[e]bował ciebie, czy mi pomożesz?

— Możesz rachować na mnie!—zawołała Gabr[i].

— Dobrze; więc pozwól mi obmyślić plan i cz[e]kaj cierpliwie. Odwetujemy sobie — przysięgam ci[!]

— Będę czekała. Lecz dla czego nie był[eś] w domu dziś rano?

— To małe nieporozumienie. Byłem strudzony i chciałem się wyspać, kazałem więc Dufourowi mówić odwiedzającym, że nie powróciłem.

— Nawet mnie?

— Czyż mogłem przypuszczać, że przyjdziesz do mnie?—odrzekł hrabia z uśmiechem.

— Rzeczywiście... Jestem dobrą i uznaję okoliczności łagodzące... Czy zostaniesz u mnie na obiedzie?

— Dobrze.

— W takim razie jedźmy do restauracji, gdyż w domu nic niema gotowego.

Lucenay wydawał się spokojnym i był nim rzeczywiście, jak człowiek, który zdecydował się już na jakiś krok stanowczy.

Postanowienie to było bardzo proste. Miał sobie zapewnić spokój na przyszłość przez pozbycie się dwóch zagrażających mu osób, Magdaleny Gallier i Juljusza Claude. Nie wątpił, że Claude, ten tajemniczy świadek zbrodni przy ulicy Marcadet, był tym samym człowiekiem, który znieważył go w Wenecji na placu św. Marka i obserwował mieszkanie jego w Poveglia. Ale gdzie znaleść tego nieprzyjaciela? Claude powiedział mu wówczas, że Magdalena odebrała sobie życie. A więc uważał ją za zmarłą i nie starał się jej odszukać. Zapewne znajduje się on dotychczas w Wenecji, lecz może powrócić, połączyć się z Magdaleną i działać przeciw niemu z nią razem.

Potrzeba za jakąbądź cenę nie dopuścić do porozumienia się ich, a można to osiągnąć tylko przez jak najśpieszniejsze usunięcie Magdaleny. Lecz jakim sposobem wykonać to tak zręcznie, by nie pozostawić śladów? Jakim sposobem uniknąć podejrzenia, a jednak zerwać ostatecznie nić wiążącą dzisiejszego

miljonera, hr. de Lucenay, z awanturnikiem Juljuszem Mercier, skazanym na dwadzieścia lat ciężkich robót?

O tem to myślał bezustannie mąż Henryki, układał scenarjusz strasznego dramatu, jemu poświęcił całą swą inteligencję.

Zobaczymy go wkrótce przy wykonaniu go.

Juljusz Claude podczas przejazdu z Cesson do Paryża i po powrocie do mieszkania rozmyślał nad sposobami odszukania Magdaleny. Z początku miał zamiar udać się wprost do markiza de Valandelle, o którego nie trudno byłoby dopytać się, oddać mu testament, opowiedzieć w jakich okolicznościach go znalazł i w rozmowie zapytać się o adres Magdaleny. Po głębszem jednak zastanowieniu się, powiedział sobie:

— A nuż przyznanie się do znajomości z nią skompromituje ją i zamiast przysługi wyrządzę jej przykrość? Nie znam jej obecnej pozycji i mogę być przyjętym niechętnie...

Następnie przyszła mu na myśl odźwierna z domu przy ulicy Marcadet.

— Niepodobna—myślał—by ona nie wiedziała, że Magdalena żyje... Wprowadziła mnie ona w błąd z jej rozkazu, biedna kobieta bowiem, nie mając odwagi przyznać się przedemną do swego upadku, wolała bym wierzył, że odebrała sobie życie...

Nazajutrz udał się na ulicę Marcadet, lecz dowiedział się, że dawna odźwierna została sparaliżowana i znajduje się w szpitalu Lariboisière. W szpitalu tym odwiedzać chorych można było tylko w czwartki i niedziele. Musiał więc czekać jeszcze dni parę.

Korzystając z tego czasu zrobił wycieczkę do dzielnicy Belleville, by rozejrzeć się w domach przy ulicy du Pré, których większość posiada wielkie ogrody, podzielone na małe ogródki, oddawane do użytku lokatorów każdej nieruchomości.

Spostrzegłszy na jednej z nich napis: *Mieszkanie do najęcia*, wszedł w bramę i zbliżywszy się do loży, zapytał odźwiernej:

— Jakie to mieszkanie jest do najęcia?

— Jestto mały, oddzielny pawilonik, umeblowany, w ogrodzie.

— W jakiej cenie?

— To zależy od terminu najęcia.

— Przypuśćmy, że najmę na cały rok.

— W takim razie ośmset franków.

— Czy jest obecnie wolny?

— Wolny.

— Czy można obejrzeć?

— Można; służę panu — odrzekła odźwierna i wziąwszy pęk kluczów, weszła w aleję topolową, na końcu której, wśród ogródka stał mały domek pokryty dzikiem winem. Mikroskopijny ten domek składał się z pokoiku stołowego, sypialni i kuchenki.

— Czy niema wilgoci?—zapytał artysta.

— Niema.

— Kiedy można wprowadzić się?

— Choćby dziś nawet.

— Najmuję na cały rok.

— W takim razie zechce pan zapłacić za kwartał z góry.

Wrócili do loży, gdzie Juljusz wypłacił dwieście franków, wziął kwit i prosił o wymycie podłóg, okien i przewietrzenie.

— Dziś jeszcze przyniosę białe firanki, które założy pani na okna, jutro zaś przyprowadzę osobę, dla której to mieszkanie nająłem.

— Więc pan nie dla siebie najął?

— Nie; dla kobiety, mamki, której powierzam moje dziecko.

— Będzie im tutaj dobrze.

Juljusz wsunął w rękę odźwiernej luidora i wprost z loży udał się do magazynu, gdzie kupił gotowe już firanki, bieliznę dziecięcą i kołyskę. Obciążony temi sprawunkami w parę godzin odwiózł je do pawilonu. Następnie udał się do kantoru najmu mamek i z przedstawionych sobie kilkunastu kobiet wybrał jedną.

— Chciałbym ci powierzyć kilkotygodniową dziewczynkę, którą z pewnych powodów muszę odebrać od jej mamki dotychczasowej.

— Dobrze... upewniam pana, że dziecię nie straci na zmianie pokarmu.

— Dom, do którego wejdziesz, nie jest bogaty, lecz nie będzie ci brakowało niczego. Będziesz mieszkała sama z dzieckiem w małym domku, położonym w ogrodzie. Sama będziesz kupowała produkty do życia i sama będziesz gotowała. Ile chcesz na miesiąc?

Młoda kobieta wymieniła sumę, na którą artysta zgodził się i z góry zapłacił za cały miesiąc.

— Czy mam zaraz iść z panem?

— Nie. Jutro o dziewiątej rano przyjdę po ciebie i zawiozę na miejsce.

— Dobrze. Przywiozę swe rzeczy do kantoru i będę na pana oczekiwała.

Wieczorem odwiózł do najętego mieszkania pozostałą po matce pościel, bieliznę stołową i inne rzeczy, zaś następnego dnia rano zabrał mamkę z kantoru

— Dziś jeszcze pojadę na wieś po dziecię, ale po-
nieważ mogę powrócić późno, oczekuj więc na mnie—
rzekł do mamki.

— Będę czekała, proszę pana.

— A teraz — dodał, wyjmując pugilares i dając
jej bilet stufrankowy—to masz na zakup produktów.

— Umiem, proszę pana, pisać—odrzekła mamka
śmiejąc się—będę więc notowała wydatki.

Kobieta ta obdarzona była usposobieniem weso-
łem, co bardzo podobało się Juljuszowi.

Wyszedłszy z pawilonu, Juljusz wstąpił do loży.

— Muszę panią uprzedzić—rzekł do odźwiernej
—że nocy tej, wyjątkowo, powrócę bardzo późno.

— Nic nie szkodzi. Gdy zadzwoni pan otworzę
natychmiast.

*

* *

Doktór Vernon następnego dnia po wizycie u pre-
fekta policji, otrzymał od niego świadectwo konduity
Gabrjeli Pitou, znanej w świecie paryskim pod na-
zwą Gabrjeli Stellini.

Nie mylił się. Gabrjela Pitou i Gabri były je-
dną i tą samą osobą. Świadectwo konduity wzmian-
kowało nie tylko o wyroku, skazującym na więzienie
za kradzież, lecz i o pięciu latach nadzoru. Ta osta-
tnia wzmianka była bardzo ważną. Ponieważ osoby
zostające pod nadzorem, nie mogły przebywać w Pa-
ryżu, więc pierwszy lepszy policjant mógł ją zatrzy-
mać i odprowadzić na naznaczone miejsce pobytu.

Doktór Vernon udał się też natychmiast do mar-
kiza de Valandelle.

— Kochany markizie, przynoszę ci czegoś pra-
gnął. Masz teraz Gabrjelę w swych rękach i gdyby
chciała przedsięwziąć cośkolwiek przeciw Magdalenie

lub tobie, możesz ją w każdej chwili osadzić w areszcie.

— I ja tak kompromitowałem się z tą łotrzycą!—zawołał Valandelle, przeczytawszy dokument.

— Tłomaczy pana to, żeś nie wiedział o jej przeszłości. A teraz muszę pana pożegnać, gdyż czekają na mnie pacjenci.

Po odejściu doktora markiz udał się na ulicę Faisanderie.

— Czy pani nie obawiasz się niczego ze strony Gabrjeli Stelhini?—zapytał Magdaleny.

— Obawiam się wszystkiego, ale mam się na ostrożności... Zresztą dziś jeszcze po śniadaniu jadę do niej.

— Pani do niej!—zawołał Celestyn ze zdziwieniem.—Na serjo?

— Na serjo! Mam jej postawić pewne warunki.

— Niech pani tego nie robi!... Ona pani nienawidzi!

— Czy myślisz pan, że nie wiem o tem?

— Ależ ona w przystępie gniewu zdolna jest panią zabić!

— Nie lękam się tego. Dla poskromienia jej wystarczy jedno moje słowo. Znam jej przeszłość.

— Od kogo dowiedziałaś się pani o tem? — pytał markiz coraz więcej zdumiony.

— Od Walentyny, która dowiedziała się od doktora. Czy to może chciałeś mi pan powiedzieć?

— Tak. Ale jest jeszcze jedna rzecz, o której pani nie wiesz. To, co ci wiadome, nie wystarczy do zyskania nad nią władzy zupełnej, gdyż na pogróżki twoje może ci odpowiedzieć: A pani co do tego? Odpokutowałam za swoje! — i na pozór miałaby rację. Na szczęście, ja mam w rękach broń, która uczyni ją twoją niewolnicą, drżącą i klęczącą u stóp twoich!

— Pan posiadasz broń taką!

— Posiadam. Wiadomo pani, że Gabrjela Pitou, zwana Stellini, skazana była za kradzież na karę więzienia, ale o czem pani nie wiesz, że po wyjściu z więzienia oddana została na pięć lat pod nadzór policji.

Magdalena i Walentyna wydały okrzyk zdziwienia.

— Otóż—mówił dalej Celestyn—Gabrjela opuściła tajemnie naznaczone jej miejsce zamieszkania i zmieniła nazwisko... W Paryżu nie ma prawa przebywać i dość napisać parę słów do sądu, a osadzą ją natychmiast w areszcie...

— Czyż to być może?—zawołała Magdalena.

— Może być, bo jest pewne.

— Jaki masz pan dowód?

— Oto jest — odrzekł Valandelle — podając jej dokument policyjny.

— Ah, więc ją mam nareszcie! Mam ich oboje!

— Cóż pani zamyśla uczynić?

— Pójdę do niej, jak to już miałam zamiar i powiem, czego od niej żądam. A mając taką broń w ręku, nie lękam się odmowy. Nie marzyłam nawet o zemście tak doskonałej!

Po śniadaniu Magdalena siadła do powozu i kazała się zawieść na ulicę Caumartin. Na zapewnienie odźwiernego, że pani Stellini nie wychodziła, udała się na górę, lecz serce jej tak gwałtownie biło ze wzruszenia, iż gdy miała już zadzwonić, zatrzymała się na chwilę. Odzyskawszy siłą woli spokój, dotknęła guzika dzwonka elektrycznego. Otworzyła jej pokojowa Marjetta, nieznająca Magdaleny.

— Czy zastałam panią Stellini?

— Pani jest w domu, lecz nie wiem czy przyjmuje... Raczy pani dać swoją kartę....

— Proszę powiedzieć pani, że Dama w szmaragdach pragnie się z nią zobaczyć.

Marjetta wyszła zostawiając drzwi na pół uchylone. Po jej odejściu Magdalena otworzyła drzwi, weszła do salonu i usłyszawszy w sąsiednim pokoju głosy, nadstawiła uszu.

XX.

— Jakaś dama chce się z panią widzieć—rzekła pokojowa.

— Co za dama? — zapytała Gabrjela. — Czy ją znam? Dała swą kartę?

— Nie, kazała tylko powiedzieć, że nazywa się Dama w szmaragdach.

Magdalena, która nic nie widziała, ale słyszała wszystko, domyśliła się, że Gabrjela zerwała się z krzesła i zawołała:

— Dama w szmaragdach tutaj, u mnie!

— Tak, proszę pani.

— Gdzie ona jest?

— Zostawiłam ją w przedpokoju.

— Ja nie chcę jej widzieć... Wypędź ją! Prędzej!...

Szyderczy uśmiech przebiegł po ustach Magdaleny. Zbliżyła się do drzwi, za któremi toczyła się ta rozmowa, otworzyła je nagle i zatrzymując się na progu, zapytała spokojnie:

— Dla czegoż to wypędzić?

Na ten niespodziewany widok Gabrjela cofnęła się przestraszona, gdy tymczasem pokojowa dyskretnie wyszła z pokoju, przyrzekając sobie wysłuchać rozmowy pod drzwiami.

Gabrjela, odzyskawszy w tejże chwili przytomność, zawołała wyniośle:

— Co znaczy to bezwstydne zuchwalstwo? Pani śmiesz wchodzić do mego mieszkania mimo mej woli!

— Śmiem, gdyż jestem tutaj — odparła chłodno Magdalena.

Po chwilowym przestrachu w Gabrjeli wszystka krew zawrzała z gniewu. Schwyciła ze stołu mały, służący do przecinania kartek książki sztylet stalowy i podeszła do Magdaleny.

— Jesteś tu! — zawołała — ale nie pozostaniesz długo! Wychodź! rozkazuję ci, bo inaczej nie odpowiadam za siebie!

— Nie wyjdę—odrzekła Magdalena.

— W takim razie strzeż się!

— Czego? Tej zabawki, którą wywijasz, jakby w piątym akcie melodramatu? Wiedz o tem, że nie lękam się ciebie.

Ta zimna krew, jak strumień zimnej wody podziałała na wzburzoną Gabrjelę.

— Więc zostań, lecz ja wyjdę.

— Zabraniam ci wychodzić! — zawołała Magdalena.

— Zabraniasz mi wyjść!

— Tak.

— Jakiem prawem?

— Dowiesz się o niem natychmiast!... Chcę z tobą pomówić.

— Ale ja nie chcę cię słuchać.

— A jednak musisz.

— Nie, nie będę cię słuchała! Co może być wspólnego między Damą w szmaragdach i Gabrjelą Stellini?

— Przychodzę rozmówić się nie z Gabrjelą Stellini—odrzekła Magdalena zimno.

— Więc z kim?

— Z Gabrjelą Pitou.

Gabrjela zzieleniała.

— Z Gabrjelą Pitou—ciągnęła dalej Magdalena —skazaną przez sąd za kradzież na trzynaście miesięcy więzienia i pięć lat nadzoru policyjnego.

— Ah, więc ty wiesz o tem—zawołała Gabrjela głosem chrapliwym.—Nie powtórzysz drugi raz tego —i z nożykiem do przecinania kartek rzuciła się ku Magdalenie.

Ta, nie cofnęła się, lecz z rękami złożonemi na piersiach oczekiwała.

Odważna postawa jej zmieszała Gabrjelę, zresztą może promyk rozsądku nasunął jej myśl, że gniew mógłby zaprowadzić ją za daleko.

— Wyłamałaś się z pod wyroku—mówiła dalej Magdalena—więc należysz do sądu. Jeżeli zechcę, za pięć minut możesz zostać aresztowaną i odprowadzoną do więzienia.

Gabrjela, przerażona odrzuciła od siebie nożyk.

— Czyś mię już zadenuncjowała?—zapytała głosem drżącym.

— Jeszcze nie... Uspokój się i pomówmy.

— Czego chcesz odemnie?

— Dowiesz się... Rozumiesz, że znając twoją przeszłość i posiadając dowody w rękach, mogę cię w każdej chwili oddać w ręce policji... Jesteś na mojej łasce... Czy pojmujesz to?

— Pojmuję...—szepnęła Gabrjela.—Więc chcesz mię zgubić?

— Nie wiem jeszcze... to zależy od ciebie samej.

— A to jakim sposobem?

— Zaraz ci to wytłomaczę, lecz przedewszystkiem powinnaś mię poznać...

— Znam cię.

— Zdaje ci się, że mię znasz, lecz mylisz się.

— Nazywasz się Magdalena, przezwana Damą w szmaragdach... Oczarowałaś markiza de Valandelle, który opuścił mię dla ciebie.

— Jestem Damą w szmaragdach, lecz jestem nadto jeszcze kimś.

— Kim?

— Magdaleną Gallier, ofiarą hrabiego de Lucenay-Charente.

Gabrjela zadrżała całem ciałem.

— Tą, którą on chciał udusić...—wyjąkała—tą, którą on uważał za nieżywą, której dziecko zamordował...

— Ah, więc wiesz o tem! Ten nikczemnik miał tyle cynizmu, że wyznał to przed tobą, co dowodzi, żeście godni jedno drugiego. Okoliczność ta skróci moje objaśnienie.

— Masz zamiar zemścić się nad nim i zemstą swą ogarnąć mnie...

— Powiem ci: — *Musisz być posłuszną moim rozkazom!* a jeżeli wyraz *rozkaz* rani twą dumę, to: *przyjąć moje warunki.* Ty kazałaś hr. de Lucenay prowokować markiza de Valandelle i zabić go.

— To nieprawda!

Magdalena wzruszyła ramionami.

— Nie zaprzeczaj napróżno. Zaprzysięgłaś zgubę markizowi i mnie. Otóż wiedz, że tego dnia, w którym choćbym tylko miała podejrzenie, że spiskujesz bądź przeciw niemu, bądź przeciw mnie, przyjaciel mój, którego nie znasz, uda się do sądu i wręczy dowody tożsamości Gabrjeli Stellini, modnej kobiety, jednej z gwiazd paryskich i Gabrjeli Pitou, zbiegłej z naznaczonego jej miejsca zamieszkania. Oto co cię czeka, jeżeli nie będziesz mi posłuszną.

Gabri, zgnębiona, pochyliła głowę.

— Rozumiesz więc teraz, dla czego markiz de Valandelle nie został zabity przez hr. de Lucenay. Zjawiłam się na miejscu walki, wśród zapaśników i nikczemnik, który uważał mię za nieżyjącą, upuścił na mój widok swą szpadę. On wie, że jedno słowo moje może go wysłać na galery lub gilotynę, tak samo jak ciebie osadzić w Saint-Lazare. Prosił mię, bym się ulitowała nad nim. a ja zgodziłam się pod warunkami, które on przyjął. I nad tobą się ulituję, jeżeli równie jak on zgodzisz się na moje warunki. Nie będziesz wtedy potrzebowała obawiać się mnie... zapomnę, że Gabrjela Stellini i Gabrjela Pitou są jedną i tą samą kobietą... zapomnę o nienawiści twej do markiza de Valandelle i do mnie, zapomnę nawet o zasadzce w lasku Seine-Port — lecz musisz mi być posłuszną!

— I dokąd mię doprowadzi to posłuszeństwo?— zapytała nieśmiało Gabrjela.

— Do majątku—odrzekła Magdalena.

— Do majątku?—powtórzyła Gabri.

— Tak... nie tylko że będziesz bogatą, lecz zostaniesz nadto hrabiną.

— Nie rozumiem.

— A jednak to rzecz bardzo prosta... Chcę, abyś przed upływem roku, nazywała się hrabiną de Lucenay-Charente.

— Wiesz przecież, że to rzecz niemożliwa.

— Dla czego?

— Żona hrabiego żyje, a nie przypuszczam, byś wymagała odemnie spełnienia zbrodni.

— Bądź o to spokojną... Chcę, aby zanim rok upłynie, zbiegła skazana została hrabiną de Lucenay.

— Więc to jest twoja zemsta...

— Tak... i trudno wymarzyć lepszej... Czy będziesz mi posłuszną?

— Będę.

— A ja zapomnę... Lecz ty pamiętaj!—i po tych słowach wyszła z buduaru, zeszła na dół i siadła do oczekującego powozu.

Gabrjela, przed chwilą jeszcze przybita, powstała nagle.

— Ależ, ostatecznie, nie tak bardzo zły interes zrobiłam... Ona chce bym została hrabiną, by morderca jej dziecka został mężem złodziejki i zbiegłej... Przecież i ja tego pragnęłam... Wpradzie, zanim to nastąpi, spełnioną zostanie zbrodnia... lecz cóż mię to obchodzi? Nie ja ją spełnię i nie będę nawet wspólniczką... Zresztą Lucenay jest człowiekiem zręcznym, pozbędzie się swej żony tak, że nie zostanie śladów ani podejrzenia... a ja tymczasem będę miała tytuł, którego tak pożądałam i będę bogatą. Jakie to szczęście dla mnie, że ona chce się zemścić!

XXI.

Juljusz Claude, opuściwszy domek przy ulicy du Pré, w którym ulokował mamkę, udał się do swego mieszkania przy ulicy des Abbesses, gdzie, po kilku minutach głębokiego namysłu napisał list i włożył go do pugilaresu, następnie wziął na siebie ubranie ciemne, zabrał parę pantofli, siadł do fiakra i kazał się zawieść na dworzec kolei lyońskiej.

Pociąg idący do Melun odchodził o godzinie trzeciej. Juljusz kupił bilet i o czwartej był na miejscu. Przybywszy, udał się natychmiast do kantoru najmu powozów.

— Ile potrzeba czasu, by jednym koniem dojechać do Seine-Port?—zapytał.

— Jadąc dobrze pięć kwadransów.

— Więc proszę mieć dla mnie gotowy powóz na godzinę siódmą.

— Odkryty czy zakryty?

— Zakryty... Ile będzie kosztować?

— Czterdzieści franków.

— Oto dziesięć franków zadatku.

— Dobrze, powóz będzie gotów.

Juljusz był pewnym, że po zniknięciu dziecka hr. de Lucenay będzie się starał uniknąć rozgłosu i o ile można zacieśni zakres swych poszukiwań, by nie dopuścić do skandalu i wstydu w świecie, w którym nazwisko jego było szanowane. Nie mniej przeto artysta, by zatrzeć ślady za sobą, zachowywał wszelkie ostrożności. Zjadł obiad w restauracji i o siódmej wieczorem odjechał powozem zamówionym.

O zachodzie słońca podniósł się wiatr zachodni i niebo pokryło się gęstemi chmurami, które, zbliżając się coraz więcej ku sobie, zaciemniły horyzont i dozwalały przewidywać burzę.

Rzeczywiście o ósmej zaczął padać deszcz. Ciemno już było, gdy Juljusz przebył lasek, w którym spotkał się z Gabrjelą.

— Jedź prosto aż do rzeki—zawołał do woźnicy.

Przybywszy nad brzeg Sekwany, wysiadł, zmienił kamaszki na pantofle i kazał woźnicy jechać za sobą wzdłuż rzeki.

Deszcz padał ciągle, wiatr zaś dmący gwałtownie, nie dozwalał słyszeć słabego turkotu kół toczących się po mokrej ziemi. Przechodząc przed domem Henryki, artysta rzucił nań wzrokiem. Niepogoda nie pozwoliła otworzyć okien, jak dnia poprzedniego, lecz sala stołowa była oświetlona i przez okno sąsiedniego pokoju połyskiwało mdłe światło.

— Henryka siedzi przy stole i dziecko śpi — myślał Juljusz. — Ten deszcz posłużył mi bardzo — nikt nie wyjdzie z domu, a ogród pusty.

Gdy przybył do uliczki wychodzącej na pole, o której już wspominaliśmy, kazał woźnicy wjechać w nią, zawrócić i stanąć pod murem, sam zaś odszedł, przyrzekając mu powrócić niedługo.

Doszedł do muru oddzielającego ogród warzywny, zatrzymał się na chwilę, jakby się namyślał, lecz po chwili szepnął:

— Zapóźno już wahać się... niema czasu do stracenia.

Tymczasem burza zwiększała się. Gwałtowny wicher ze świstem huczał w powietrzu, zginając wierzchołki drzew w ogrodach.

Juljusz wspiął się na palcach nóg, uchwycił dłońmi wierzchołek muru, przesadził go i zeskoczył do ogrodu warzywnego. Znalazłszy się tam, podszedł ku drzwiom domu, za któremi przed dwoma dniami widział Anusię, otworzył je cicho i wszedł w korytarz oświetlony małą lampką. Następnie orjentując się bez trudności, dostał się do pokoju mamki. Wilgotne pantofle dozwalały mu przejść bez sprawienia szmeru. By nie zostać pochwyconym niespodziewanie, ostrożnie zamknął drzwi na rygiel.

Następnie otworzył okno i zabezpieczywszy sobie w ten sposób odwrót, podstąpił do kołyski, stojącej obok łóżka mamki. Różowa twarzyczka dziecięcia z przymkniętemi oczkami i napół otwartemi usteczkami, zdawała się uśmiechać do niego.

Zadrżały mu ręce i ogarnęło go wzruszenie, a oczy zaszły łzami. Ostrożnie wziął na ręce dziecię i obwinął je w biały szal kaszmirowy, leżący na łóżku mamki.

Dziecina nie przebudziła się.

Juljusz z bijącem sercem zagasił lampkę, położył na posłanie kołyski list napisany przed wyjazdem z Paryża, zbliżył się do okna, wstąpił na nie i zeskoczył do ogrodu.

Wicher huczał bez przerwy.

Juljusz pośpiesznie dopadł do furtki od frontu ogrodu, otworzył ją i wybiegł na uliczkę, gdzie oczekiwał nań powóz.

— No! w drogę do Melun—zawołał.—Dostaniesz dwadzieścia franków na piwo, jeżeli zajedziesz za godzinę.

— Będziemy prędzej niż za godzinę! — odrzekł woźnica i zaciął konie.

Teraz dopiero Juljusz odetchnął głęboko i uchyliwszy szal, pokrywający twarzyczkę dziecięcia, z niewymownem uczuciem szczęścia dotknął jej swemi ustami. Dziecina przebudziła się i zakwiliła. Juljusz przestraszył się. Zaczął ją bujać na rękach i dziecko wkrótce usnęło znowu.

— Istotko droga—szeptał—córko moja... Więc mam cię nareszcie... Lecz biedna, nieszczęśliwa matka twoja ile wycierpi, ile łez wyleje! Ale powrócisz do niej, gdy zbrodniarz zostanie ukarany!

Powóz toczył się z coraz większym pośpiechem. Widocznie woźnica chciał sprawiedliwie zapracować przyrzeczone mu dwadzieścia franków.

Biła dziesiąta, gdy koń pokryty pianą zatrzymał się przed dworcem kolejowym w Melun. Juljusz z dziecięciem na rękach, jak gdyby z małym pakunkiem, wysiadł z powozu i wręczając woźnicy pięćdziesiąt franków, rzekł:

— Trzydzieści franków dla twego pana, gdyż dałem mu już dziesięć, a dwadzieścia dla ciebie. Dziękuję ci.

— To ja panu dziękuję—odrzekł woźnica.

Pociąg idący do Paryża miał odejść za pięć minut. Juljusz kupił bilet pierwszej klasy i z zawiniątkiem na rękach przeszedł do sali pasażerskiej. W sali nie było nikogo.

XXII

Zaledwie powóz unoszący Juljusza Claude i jego córkę wyjechał z wioski, gdy hrabina de Lucenay powstała od stołu z zamiarem odejścia do swego pokoju.

Mamka wzięła świecę i odeszła dla zabaczenia dziecka. Nacisnęła klamkę, lecz ku wielkiemu jej zdziwieniu drzwi nie ustąpiły. Pchnęła gwałtownie, ale i tym razem usiłowanie jej było próżne.

— Proszę pani, Anusiu!—wołała—kto to zamknął drzwi z wewnątrz?

Henryka i pokojowa podbiegły żywo.

— Ja nie zamykałam!—rzekła hrabina.

— Ani ja także...—oświadczyła Anusia.

Z kolei Anusia probowała otworzyć, lecz bezskutecznie.

— Widocznie zamknięte na rygiel...

— Więc trzeba wysadzić je!—zawołała mamka.

Pod silnem parciem ramion obu kobiet, zamek ustąpił i drzwi otworzyły się, lecz w tejże chwili spowodowany tem przeciąg zagasił świecę.

— Okno otwarte na rozcieżl—zawołała Anusia.

Henryka wpadła do pokoju i kierując się omackiem, zbliżyła się do kołyski. Sięgnęła ręką—kołyska była pusta.

Wydała krzyk rozpaczy i przerażenia.

— Moja córka! Zabrano mi córkę moją... Światła, światła prędzej!

Anusia pobiegła do stołowego pokoju i przyniosła stamtąd lampę.

Hrabina, blada, utkwiła na pół obłąkany wzrok w kołyskę i nie widziała nawet pozostawionego prze' Juljusza listu.

— Moja córka! — powtarzała. — Zabrano mi ją ukradziono! Kto to mógł uczynić?

Po chwili dodała gniewnie:

— A któżby jeśli nie on? On, mój mąż, któr; nienawidzi mnie i mego dziecka. Musi mi je oddać To moje dziecię! Trzy miljony zapłaciłam za praw(posiadania go i kochania!... Anusiu, dawaj mi kapelusz i okrycie...

— Boże mój, co pani chce robić?

— Co chcę robić?—powtórzyła gwałtownie Henryka.—Pójdę upomnieć się o moje dziecię! Musi mi j(oddać!

Pobiegła do swego pokoju, pochwyciła kapelus i okrycie i trzymając je w rękach, wybiegła do ogrodu. Przez pozostawioną otworem przez Juljusza furtkę wyszła na ulicę.

— Ja pójdę z panią—rzekła Anusia.

— Nie, zostań, zostań! — zawołała w ciemnośc z drogi wiodącej do wsi, zadyszana, chwiejąca się za każdym krokiem, popychana przez wiatr i utrzymująca się na nogach tylko siłą woli.

Gdy mijała ostatni dom we wsi, usłyszała za sobą turkot kół. Obróciła się i spostrzegła dwie latarnie, zbliżające się ku niej. Był to omnibus obsługujący kolej żelazną.

— Czy jest miejsce?—zapytała woźnicy.

— Są wszystkie, jadę z pustym. Niech pan siada.

Hrabina weszła do omnibusu, konie ruszyły. Po przybyciu na stację Cesson, kupiła bilet pierwszej klasy do tego samego pociągu, w którym siedział już Juljusz Claude.

Artysta, wciśnięty w róg wagonu, wpatrywał się w swą córkę z niemym zachwytem.

Gdy maszynista dał pierwszy sygnał, Juljusz wyjrzał przez okno, lecz w tejże chwili, blady jak płótno, cofnął się w głąb wagonu. Na peronie, oświetlonym latarniami, spostrzegł Henrykę.

Hrabina zwróciła się do przedziału, w którym on się znajdował.

Juljusz, drżąc całem ciałem, zerwał się z siedzenia, by wyjść na drugą stronę plantu.

Tymczasem konduktor otworzył drzwiczki przeznaczonego dla dam przedziału sąsiedniego i zaprosił do niego hrabinę.

Juljusz odetchnął.

— Dokąd ona jedzie?—zapytywał siebie.—Zmiana jej twarzy dowodzi, że spostrzegła zniknięcie dziecka. Czyżby nie znalazła mego listu i jedzie zawiadomić hrabiego? Jeżeli mię spostrzeże z dziecięciem, wszystko stracone!... Stracone? Kto wie? A gdybym zdobył się na odwagę i sam poszedł do niej! Gdybym jej wyznał mą zbrodnię i mą pokutę? Gdybym jej powiedział: To dziecię jest moje... kocham je równie jak pani... Czyż pani mi je odbierze?... Nie, to rzecz niemożliwa!... Nie przebaczyła mi ona zbrodni, która ją zgubiła... Ona musi mię nienawidzieć. Odebrałaby moją córkę, a mnie odpędziła z pogardą! Zresztą starać się zbliżyć do niej przed ukaraniem jego, byłoby szaleństwem. Prawnie on jest ojcem... Jestem bezbronnym w obec niego... Więc płacz biedna matko... łzy twoje padają na moje serce

i palą je jak ogniem... Ale jeżeli czynię cię dziś nieszczęśliwą, to dla tego, by zapewnić ci szczęście na przyszłość!

Czas przejazdu dla hrabiny i Juljusza wydał się wiekiem.

Nakoniec pociąg zatrzymał się na stacji kolei obwodowej.

Juljusz ujął dziecię i wyszedł z wagonu.

— Przynajmniej nie spotkam jej przy wysiadaniu—myślał.

Oddał konduktorowi bilet, wziął fiakra i wskazał woźnicy adres domu przy ulicy du Pré.

Dochodziła już pierwsza po północy, gdy przybył na miejsce.

— Zatrzymuję cię—rzekł do woźnicy, dzwoniąc u drzwi.

Mamka, usłyszawszy kroki, wyszła na jego spotkanie.

W tej chwili dopiero dziecko przebudziło się i zaczęło płakać.

— Niech pan mi je daje prędzej—zawołała Małgorzata (takie było imię mamki) i zaczęła je karmić.
—A jak się nazywa?—zapytała po chwili.

Juljusz usłyszawszy to pytanie, zmieszał się, gdyż sam nie wiedział imienia dziecięcia. Ale ponieważ milczenie mogłoby wydać się mamce dziwnem, a przyszły mu na myśl imiona jego protegowanej, odrzekł więc:

— Marja-Magdalena.

— Śliczne imiona — rzekła Małgorzata, całując dziecię.—Bobo małe, kocham cię!

— A teraz muszę was, Małgorzato, opuścić.

— A kiedy pan przyjdzie znowu?

— Jutro.

— Dobrze; niech pan będzie spokojnym. Będę pamiętała o dziecku, jak gdyby było moje własne.

Juljusz ucałował twarzyczkę dziecka, siadł do oczekującego nań fiakra i odjechał do swego mieszkania.

XXIII.

Hrabina de Lucenay wysiadłszy z wagonu, wzięła fiakra i kazała się zawieść na ulicę Cyrkową.

W miarę zbliżania się do mieszkania swego męża, oburzenie przeciw niemu wzrastało w niej z każdą chwilą.

Zadzwoniła.

Odźwierny, przebudzony ze snu, wstał z fotelu, na którym śpiąc oczekiwał na swego pana, pociągnął za sznurek i stanął na progu loży.

Henryka weszła żywo i chciała przejść na dziedziniec, lecz odźwierny zastąpił jej drogę.

— Przepraszam... pani zapewne omyliła się.

— Nie omyliłam się—odrzekła—wszak to jest pałac hrabiego de Lucenay?

— Tak, lecz pana hrabiego niema.

— Więc poczekam...

— To rzecz niemożliwa... nie mam na to rozkazu.

— Ustąp!—zawołała młoda kobieta tonem, niedopuszczającym odpowiedzi. — Przybywam do siebie.. Jestem hrabina de Lucenay.

Odźwierny, zmieszany, zgiął się aż do ziemi, wybąkał kilka słów, wrócił do loży i dzwonkiem elektrycznym dał ostrzegawczy znak służbie pałacowej.

Hrabina przebyła oświetlony dziedziniec i przez drzwi oszklone weszła do przedsionka.

W progu czekał już Jan Dufour, który spostrzegłszy w tak spóźnionej porze nieznaną sobie kobietę, równie jak odźwierny, zagrodził jej sobą drogę.

— Czego pani sobie życzy?

— Czy to prawda, że pana hrabiego niema?

— Tak, pani.

— Więc poczekam...

— Ależ...

— Zaprowadź mię do mego apartamentu.

— Do apartamentu pani! — powtórzył Dufour zdziwiony, mówiąc do siebie:—To jakaś warjatka! Po djabła ten odźwierny ją puścił!

— Wszak nazywasz się Jan Dufour i jesteś kamerdynerem pana hrabiego?

— Intendentem, pani, i jego powiernikiem.

— Rozumiem twe zdziwienie i wahanie, gdyż nie znasz mię... Jestem żoną twego pana... powinieneś więc słuchać mię jak jego samego. Wskaż mi drogę...

Dufour cofnął się o krok, zgiął się jak sprężyna i zawołał:

— Pani hrabino! pani hrabino!...

— Prowadź mię! — powtórzyła Henryka po raz trzeci.

Dufour, ogłuszony, pochwycił świecę z konsoli.

— Pani hrabina pozwoli mi pójść przodem? — wyjąkał, zwracając się ku schodom.

Hrabina poszła za nim.

— Oto apartament pani hrabiny—rzekł.—Na lewo znajduje się buduar, a na prawo pokój sypialny.

Hrabina weszła do pokoju i wskazując na kandelabry stojące na kominku, kazała zapalić w nich świece.

— Teraz pozostaw mię samą i skoro tylko hrabia powróci, powiedz mu, że czekam na niego.

Dufour zgiął się znowu we dwoje, cofnął się i zamknął drzwi za sobą.

Hrabina podeszła do klęcznika, przed którym na ścianie wisiał krzyż z kości słoniowej, uklękła, zakryła twarz dłońmi i pogrążyła się w modlitwie.

Dufour zaintrygowany i niespokojny wrócił do swego mieszkania.

— Pani hrabina—mówił do siebie—tutaj, w nocy i tak niespodziewanie, gdy hrabia jej nie oczekiwał... co to znaczy? Czyżby dowiedziała się, że hrabia buja sobie po Paryżu, gdyż nudzi się na wsi?... Zobaczymy...

Tymczasem pozostałe w Seine-Port Anusia i mamka rozpaczały, zwłaszcza Anusia, znająca tajemnice i cierpienia swej młodej pani.

Mamka włoszka, która przywiązała się do dziecięcia, płakała rzewnemi łzami i wzywała Madonnę. Pomimo deszczu obchodziły ogród i obcasami swych trzewików robiły ślady, gdy tymczasem obuwie bez obcasów Juljusza nie pozostawiło ich wcale.

— Pani chyba umrze! — zawołała Anusia z rozpaczą.

— Czy nie masz podejrzenia na kogo?—zapytała mamka.

Zapytana nic nie odrzekła, bo chociaż równie jak i Henryka obwiniała hrabiego de Lucenay o porwanie dziecka, ale nie mając dowodów, nie śmiała swych podejrzeń wypowiedzieć głośno.

— I dziecko nawet nie zapłakało, gdyż byłybyśmy usłyszały...—narzekała mamka... Zbrodniarz zabrał nawet szal, który położyłam na łóżku...

— Jesteś pewna?

— Jestem najpewniejszą, chyba, że hrabina włożyłą go do kołyski—i rzekłszy to, podeszła do kołyski i zdjęła kołdrę.

Z fałdów kołdry wypadł na posadzkę list.

— Co to jest?—zawołała Anusia.—Jakiś list!

Wzięła go do ręki i zaczęła oglądać.

— Zapieczętowany, lecz bez adresu... widocznie położył ten bandyta, który ukradł dziecko.

— Trzeba go otworzyć—zaproponowała mamka.

— Otworzyć... nie mam prawa, bo chociaż niema adresu, ale to zapewne do pani...

Schowała list za gorset i powiedziawszy mamce, by udała się na spoczynek, odeszła do swego pokoju. Ale treść listu niepokoiła ją niezmiernie. Ciekawość, a jeszcze więcej przywiązanie do pani, pobudzało ją do otwarcia go.

— A jeśli w tym liście—myślała—znajduje się jaka wskazówka? Zresztą pani nie będzie się za to gniewała, gdyż zrozumie, że zrobiłam to dla tego, by jej usłużyć...

I nie namyślając się dłużej, złamała pieczątkę, wyjęła list i przeczytała następujące kilka wierszy:

„Zdecydowałem się po bardzo długim namyśle; nie mam prawa dłużej zwlekać... powinienem działać. Dziecku pani grozi niebezpieczeństwo. Człowiek, którego nazwisko pani nosi, nienawidzi go, a wiem do czego on zdolny, gdy chodzi o uwolnienie się od dziecka, które mu zawadza. Niech pani nie lęka się o swą córkę; jest ona w tej chwili tysiąc razy bezpieczniejszą, aniżeli w domu pani. Zobaczy ją pani, przysięgam, lecz ponieważ hr. de Lucenay jest dla niej obcym i nieprzyjacielem, nie chcę więc by dziecię to nazywało go kiedyś swym ojcem. Wiem, że rozdzieram pani serce i niech mi pani wierzy, że

sprawia mi to straszną boleść, ale zadając pani to cierpienie czasowe, ocalam ją, być może, od żałoby całego życia. Niech pani przyjmie ten cios z rezygnacją. Dziecię będzie później pani zwrócone. Obecnie znajduje się ono pod opieką wielkiego winowajcy pokutującego, pragnącego oddać życie swoje za przebaczenie mu jego zbrodni, pod opieką człowieka, który panią kocha i czci nad wszystko na świecie, pod opieką swego *ojca*...“

Anusia ukończywszy czytanie, krzyknęła ze zdziwienia.

— Ah! więc to ojciec je wykradł i z pewnością ten młody nieznajomy, który obserwował nasz dom w Poveglia, i którego rysy pani moja, zobaczywszy go jeden raz tylko pod tarasem w Chennevières, zapamiętała tak dobrze... To musi być on!... Dobrzem zrobiła, otwierając ten list... A więc dziecku nie grozi żadne niebezpieczeństwo... widać, że je kocha... dowodem tego ten list... On kocha moją panią i poważa ją... lecz zapóźno, gdyż stał się powodem całego nieszczęścia. Ale przynajmniej dziecko nie będzie stracone... mówi, że odda je... a kto może przewidzieć tajemnice przyszłości?

Schowała list do biurka poszła na spoczynek.

Wróćmy teraz do pałacu przy ulicy Cyrkowej.

Wybiła godzina druga, a Henryka jeszcze modliła się. Nagle wśród ciszy nocnej rozległ się głos dzwonka. Młoda kobieta zadrżała i podniosła głowę, wydając się na pozór obojętną i spokojną.

Dufour, oczekujący w loży odźwiernego, na głos dzwonka podbiegł do drzwi.

— Ah, panie hrabio!—zawołał, podnosząc swoim zwyczajem ręce do góry.

— Co takiego?—zapytał Juljusz gniewnie, przegrawszy bowiem znaczną sumę w baccara, był w humorze fatalnym.

— Nowina!

— Jaka? Mówże, bydlę!

— Pani hrabina...

— Jaka hrabina? Moja żona?

— Tak panie hrabio.

— Cóż się stało? Czy może umarła?

— Nie, panie hrabio, lecz znajduje się w pałacu.

— Moja żona tutaj!... To być nie może!...—zawołał hrabia ze złością.

— Jest panie hrabio. Przybyła o wpół do dwunastej i gdy powiedziałem, że pana hrabiego niema, kazała się zaprowadzić do swego apartamentu. Ponieważ nie miałem zaszczytu znać pani hrabiny, więc wziąłem ją z początku za jakąś warjatkę, lecz gdy powiedziała nazwisko i oświadczyła, że znajduje się u siebie, musiałem być posłusznym... Oczekuje na pana hrabiego.

Juljusz z pochmurną twarzą i namarszczonemi brwiami pogrążył się w zadumie.

— Henryka w Paryżu... sama... o tej porze... to dziwne... Co tam się stało?—zapytywał siebie.

Przebył dziedziniec i wszedł do salonu.

— Czy będę potrzebny panu hrabiemu?—zapytał Dufour.

— Nie; możesz iść spać.

Henryka, usłyszawszy głos męża, doznała silnego wzruszenia. Serce jej biło gwałtownie i chwilowy spokój uleciał. Lękała się. Kilka miesięcy przepędzonych z mężem w Poveglia dało jej możność poznać jego charakter imponujący i gwałtowny. Co on odpowie na jej wyrzuty i błagania? Zapewne, że jest panem domu i ma prawo robić co mu się podoba.

A jeżeli ona zaprzeczy temu prawu, czy nie odważy się na jaką brutalność? Obawa ta wszakże trwała krótką chwilę.

— Nie ośmieli się—szepnęła.—Zresztą, mniejsza o to...

Drzwi otworzyły się i Lucenay, blady, wzruszony, wszedł do pokoju.

— Nie chciałem wierzyć memu kamerdynerowi i teraz prawie nie wierzę oczom moim!—zawołał.— Czyś pani zwarjowała! Pani w Paryżu, podczas nocy... w tym domu! Ależ to szaleństwo! Co panią tu sprowadziło?

Henryka z utkwionym wzrokiem w jego oczy, odrzekła:

— Przychodzę zapytać, coś pan uczynił z mojem dzieckiem?

— Com uczynił z dzieckiem pani? — zapytał ze zdziwieniem. — A więc miałem rację przed chwilą, mówiąc, żeś pani postradała zmysły! Więc w paroksyzmie gorączki przybyłaś pani tutaj!

— Nie postradałam zmysłów i nie mam gorączki!—odrzekła gwałtownie.—Przybyłam tutaj dla tego, iż nocy dzisiejszej wykradziono mi dziecko!

Szatański uśmiech przemknął po ustach hrabiego.

— Wykradziono pani dziecko — powtórzył szyderczo—i pani przychodzisz dopominać się u mnie!

— Przychodzę upominać się u pana, gdyż pan jeden tylko możesz go nienawidzieć!... u pana, który zaślubiając mię dla mojego posagu, przysiągłeś uczynić mię szczęśliwą i kochać moje dziecię! Przysięga twoja była kłamstwem! Dowiodłeś tego wiele razy od owego czasu! Usunąłeś się odemnie pod pozorem czuwania nad honorem swego nazwiska! Pozostawiasz

mię samotną, a pojedynkujesz się o jakieś kobiety. Moje dziecię kompromitowało cię, zawadzało, więc zostało pochwycone... U kogoż mam się upominać o nie, jeśli nie u ciebie panie de Lucenay? Wykradłeś moje dziecię!... oddaj mi je!

Hrabia, wściekły, rzucił się ku Henryce, uchwycił ją za ręce i ścisnął z całej siły.

— Ah! strzeż się! — zawołał z nienawiścią. — Strzeż się, nie doprowadzaj mię do ostateczności!

— Torturuj mię, dręcz, znęcaj się nademną, lecz oddaj mi moją córkę!

— Twoją córkę!... Ten żyjący dowód twej hańby!...

— Znieważaj mię!... to czyn godny ciebie! lecz oddaj mi dziecię, któreś mi ukradł.

Lucenay puścił ręce Henryki i przeciągnął dłonią po czole, jak gdyby starał się uspokoić.

— Czy to komedja? Jeżeli dziecko zniknęło, czyż pani przychodzisz na prawdę upominać się u mnie? U mnie?

— Tak, gdyż pan jeden tylko miałeś interes w jego zniknięciu.

— Czyż to ja je dozorowałem? Trzeba było lepiej pilnować!

— Alboż ja mogłam przewidywać podobną nikczemność?

— Ah, domyślam się—zawołał nagle hrabia tonem szyderczym. — Wykradziono córkę pani... to zapewne... Rozumiem teraz, jak dalece oszukałaś mię pani... Sądziłem, że pojmuję za żonę pannę Henrykę Dauray, niewinną ofiarę zbrodni!... a tymczasem przekonywam się, że poślubiłem wspólniczkę jakiegoś kochanka sekretnego! Bądź pani pewną, dziecko musi być w rękach ojca!

— Jego ojcem pan jesteś, coś go przyjął za swoje i sprzedałeś mu swe nazwisko!

— Powtarzam, że dziecko jest w rękach ojca, wspólnika twego, a pani przychodzisz odegrać mi tutaj komedję rozpaczy! Niebardzo to uczciwe, ale dość zręczne!

— Komedję rozpaczy! — zawołała Henryka, łamiąc ręce. — Więc ten człowiek ma dla mnie tylko taką odpowiedź! Znieważa mię, zamiast mi oddać pochwycone dziecię! Byłam spokojną, nie obawiałam się, nie miałam najmniejszego przeczucia... Pozostawiłam uśpione dziecię moje w pokoju sąsiednim... Rozmawiałam z Anusią i piastunką... Było już późno... chciałam przed odejściem na spoczynek uścisnąć moją dziecinę... drzwi okazały się zamknięte na rygiel... Kto je zamknął? Wyłamano drzwi... Okno było otwarte i lampa zgaszona... Podbiegłam do kołyski... była pustą!... Nie było dziecka, ukradziono mi je!... Kogoż mogę obwiniać o tę kradzież? Pana, tylko pana, który nienawidzisz oboje nas... który wstydzisz się nas!

I biedna kobieta wybuchła łkaniem.

— Błagam cię!... ulituj się nademną!... Czyż mam się czołgać u nóg twoich? Dobrze, i na tom gotowa —rzekła, klękając przed Juljuszem.—Bierz sobie cały mój majątek... oddaję ci go chętnie... ale wróć mi moją córkę... Oddaj mi moje dziecię!...

Juljuszowi przyszła nowa myśl, czy porwania dziecka nie dopuściła się Magdalena. Podnosząc Henrykę, rzekł głosem łagodnym:

— Uspokój się, moja droga, słuchaj mię i wierz mi, że mówię prawdę. Przysięgam ci, że nie miałem najmniejszego udziału w zadaniu ciosu, który sprawia ci tyle boleści! Nie wiem nic o zniknięciu twej córki... Jadłem u siebie obiad z kilkoma przyjaciółmi,

poczem udałem się do klubu. Ani na chwilę nie wyjeżdżałem z Paryża i nigdy nie przychodziła mi do głowy myśl pozbawienia cię dziecięcia! Przysięgam ci to na Boga!

— Czyż to prawda?—wyjąkała hrabina, składając ręce.

— Najświętsza prawda.

— Czy przysięgasz mi na swój honor, na swe nazwisko?

— Przysięgam ci na mój honor szlachecki, na me nazwisko de Lucenay.

— Wierzę ci... chcę ci wierzyć... Byłoby niegodnem oszukiwać mię w ten sposób! Lecz kto mógł się dopuścić zbrodni pochwycenia matce jej dziecięcia?

— Gdybym znał tego nikczemnika, poszedłbym doń natychmiast i w godzinę miałabyś swą córkę.

— Czy nie podejrzewasz kogo?

— Podejrzewam kogoś i przed chwilą, uniosłszy się gniewem, słowami, których teraz żałuję, wypowiedziałem me podejrzenie.

Henryka spąsowiała i ukryła twarz w dłonie.

— Nie... nie... to być nie może!—szepnęła.

— Dla czego?

— Sprawca pierwszej zbrodni nie dopuściłby się drugiej.

— Nie dopuściłby się zbrodni, o którą mnie obwiniałaś pani! mnie! — zawołał hrabia brutalnie. — Więc pani znasz człowieka, którego obwiniam? Więc pani znasz go o tyle, iż sądzisz, że jest niewinnym?

— Więc do cierpienia, jakie mię przytłacza, potrzeba jeszcze pańskich zniewag — odrzekła z godnością.—Wiesz pan dobrze, że gdybym znała ojca mego dziecięcia, nie zaślubiłabym pana nigdy! Obelgi pańskie są chybione i pan wiesz o tem!

— I pani nie szczędziłaś mi zniewag i obrażających podejrzeń, lecz przebaczam ci je przez wzgląd na twą boleść i oddaję się do twej dyspozycji. Co mam czynić?

— Co masz pan czynić? Wykradziono naszą córkę...

— Córkę pani...—przerwał hrabia.

— Dziecię, noszące pańskie nazwisko — mówiła dalej Henryka—i pan zapytujesz się co masz czynić? Jesteś pan okrutnym! Zaślubiając mię, wziąłeś na siebie wszystkie obowiązki ojcowskie i zarówno przed prawem jak i przed światem jesteś ojcem wykradzionego dziecka. Ojciec, któremu ukradziono dziecko, ma drogę wytkniętą... donieść właściwej władzy i domagać się odszukania winowajcy.

— Tego nie uczynię!—zawołał hrabia.

— Ah, pan nie uczynisz tego?—powtórzyła Henryka z oburzeniem.

— Nie.

— Więc ja to uczynię!

— I pani tego nie zrobisz!

— Tak pan sądzisz?

— Jestem pewnym.

— Ależ to jest szaleństwo! Jakto, ukradziono mi dziecko i ja nie mam się starać o odebranie go? Ależ to potworne! Dzięki Bogu są jeszcze prawa we Francji, prawa, karzące podobne zbrodnie i sędziowie, potępiający takich przestępców! Udam się do sadu...

— Doprawdy?—przerwał Juljusz z szyderstwem. —Powiedz mi też, moja Henryko, z łaski swej, kto tu jest panem: ja czy ty?

— Wiem o tem, że ty jesteś panem, gdyż dajesz mi to uczuć aż nadto, ale wypowiedziane wobec

przygniatającego mię nieszczęścia słowa twoje pozbawiają cię tego prawa... Dziwi cię to i oburza, spostrzegając we mnie wolę własną, we mnie, tak dotychczas pokornej i uległej! Tak... podnoszę głowę!... Bez ciebie i pomimo ciebie będę usiłowała odzyskać mą córkę, skoro Bóg zachował mi zmysły w chwili, gdym zobaczyła kołyskę pustą!...

— Będziesz milczała zarówno jak i ja!—odrzekł hrabia nieporuszony—i nie udasz się na drogę sprawiedliwości...

— Któż mi przeszkodzi?

— Ja.

— Ależ dla czego? Dla czego?

— Nie rozumiesz pani?

— Nie rozumiem.

— A więc wytłomaczę jej. Dla ocalenia honoru otoczyliśmy urodzenie córki pani tajemnicą, a pani chcesz dać obcym klucz do niej... Rozumiesz pani teraz? Czy pójdziesz ogłaszać hańbę swoją?

— Nawet w przewidywaniu wstydu, o którym wiesz, że jest niezasłużonym, nie zrzeknę się poszukiwań mojego dziecięcia!

— Nazwisko, które pani nosisz, jest mojem—odrzekł hrabia wyniośle—mam więc prawo żądać, by pozostało ono bez skazy, pozostało takiem, jakiem było w chwili, gdy je ofiarowałem dla ocalenia honoru pani i jej rodziny. Czy jesteś pani ofiarą czy występną, plama pozostałaby, skoroby tylko świat zaczął cię podejrzewać, a zostałaś pani hrabiną de Lucenay dla tego właśnie, by cię nikt nie podejrzewał. Potrzeba przyjąć konsekwencje małżeństwa, zawartego w takich warunkach!... Zresztą, by przekonać panią, iż nie pragnę działać jako jej władca nieubłagany, proponuję: jedźmy jutro, lub dziś jeszcze do Chennevières i zdajmy się na sąd ojca pani...

— Więc—rzekła Henryka—nie masz pan litości nad mą rozpaczą, nad mą męczarnią, nad memi łzami! Nie uczynisz nic dla odszukania mej córki! Ależ nie zwracając się do władzy można rozpocząć poszukiwania za pośrednictwem ajentów... Możemy szukać sami...

— To inna rzecz... Na tej drodze nie odmawiam pomocy.

— Dziękuję ci z całego serca i przepraszam za przykre me słowa. Powinieneś mię wytłómaczyć... ja tyle cierpiałam!

— Zapomnijmy o tem! Pomówimy, gdy odpoczniesz i uspokoisz się... naradzimy się nad środkami, jakie mamy przedsięwziąć i pojedziemy do Chennevières.

— A możeby zawiadomić Anusię, by przyjechała powiedzieć nam, co stało się tam po moim wyjeździe?

— Nie zapomnę o niczem, co może ci przynieść ulgę w twej boleści. Lecz ponieważ już późno, więc idź na spoczynek i staraj się zasnąć.

XXIV.

Hr. de Lucenay opuścił pokój swej żony i udał się do swego apartamentu.

— To Magdalena uczyniła!—mówił do siebie.— To ona zwala nowy kłopot na me ramiona... Więc rozpoczyna już swą zemstę! Lecz jakim sposobem dowiedziała się o przybyciu na świat tego dziecka?... A więc wie wszystko! Zgodziła się na zawieszenie broni, jeżeli przystanę na jej warunki i na drugi dzień łamie je i wypowiada wojnę! Trzeba skończyć z nią jak najprędzej!... niepodobna zwlekać... Co do

dziecka... cóż mię ono obchodzi? Wcale nie mam interesu by ono żyło! Jeżeli umrze, a ja nie będę podejrzewany o jego śmierć, to mogę mieć trzy miljony więcej!

Dufour, pomimo otrzymanego pozwolenia nie udał się jednak na spoczynek i czekał w garderobie na swego pana.

— Ty tutaj! — zawołał hrabia zdziwiony, spostrzegłszy go.

— Myślałem, że może pan hrabia będzie mię potrzebował.

— Myliłeś się; nie potrzebuję cię już dzisiaj.

— Więc pan hrabia nie ma nic do powiedzenia mi?

— Względem czego?

— Względem pewnego planu, którego wykonanie miał mi pan hrabia powierzyć.

— Widzę, mój kochany—rzekł hrabia z uśmiechem—że masz ochotę zbogacić się prędko.

— Jestto ambicja bardzo chwalebna — odparł lokaj.

— Jakaż cyfra stanowi dla ciebie majątek?

— Bardzo skromna. Dwanaście tysięcy franków renty. Oto całe moje marzenie.

— Do licha! Trzykroć sto tysięcy franków kapitału! Za wiele cenisz swoją pomoc.

— Nie mogę pracować za sumę mniejszą.

— Jak chcesz! Ale i ja nie dam ci pracy za tak wysokie wynagrodzenie.

Dufour zrozumiał, że w wymaganiach swych posunął się za daleko, dla tego też dodał:

— Gdy chodzi o poświęcenie się dla tak dobrego i ukochanego pana, można uczynić pewne ustępstwa.

— Więc uczynisz je?

— Lepiej zrobię, gdy zdam się zupełnie na wspaniałomyślność pana hrabiego.

— Dobrze... pomówimy o tem później... może nawet niedługo... Teraz jestem strudzony i pójdę spać...

Dufour wyszedł.

Henryka, dręczona cierpieniem, przepędziła resztę nocy w fotelu. Gdy rano hrabia wszedł do jej pokoju, zastał nieszczęśliwą kobietę nieruchomą, sztywną, bladą, z zaczerwienionemi powiekami, blademi usty, z twarzą zmienioną.

— Więc pani nie kładłaś się spać!—zawołał.

— Nie—szepnęła.

— To bardzo źle! Pani się zabijasz!

— Nie dbam o życie...

— Mówi się tak w chwili zniechęcenia, lecz nie myśli się w rzeczywistości. Smutek rujnuje siły, a ty będziesz ich potrzebowała wiele. Popraw swą toaletę, przemyj zimną wodą zaczerwienione oczy i oczekuj na mnie. Wychodzę, lecz na krótko... Zatelegrafuję tylko do Seine-Port i zrobię pewne kroki w sprawie twego dziecka.

Henryka podniosła głowę i promień radości zabłysnął w jej oczach.

— Jak ci się zdaje, czy odszukasz je? Czy podejrzewasz kogo?

— Gdybym miał choć cień podejrzenia, powiedziałbym ci... Kazałem podać śniadanie na jedenastą... zjemy i odjedziem do Chennevières.

Wyszedł, udał się do biura telegraficznego, skąd wysłał depeszę do Anusi, polecając jej przybyć natychmiast do Chennevières, następnie pojechał na ulicę Faisanderie.

Godzina, w której hrabia przybył do Magdaleny Gallier, była tak niewłaściwą, że odźwierny z trudnością przyjął jego kartę wizytową, rachując, że pani jego śpi jeszcze. Lecz mylił się, gdyż Magdalena wstała już oddawna. Zdziwiła się jednak niezmiernie, gdy służący oświadczył jej o wizycie hrabiego de Lucenay. Hrabia u niej o dziewiątej rano! Co może sprowadzać go tak wcześnie? Wyszła do salonu i milcząca, napozór obojętna, podeszła ku niemu.

— Nie zatrzymam panią długo — rzekł Juljusz, kłaniając się — lecz potrzebuję z panią rozmówić się koniecznie.

— Czego pan chcesz odemnie?—zapytała zimno.
— Oświadczyłam panu mą wolę i rachowałam, że ujrzę cię dopiero wtedy, gdy ją spełnisz.

Zimny ton głosu Magdaleny, wywołał dreszcz w ciele hrabiego.

— Chcę pomówić właśnie o warunkach narzuconych mi przez panią.

— W jakim celu? Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. Zgodziłam się pozostawić pana na swobodzie i nie oddawać go w ręce sprawiedliwości pod warunkiem, że przed upływem roku, Gabrjela Stellini, pańska kochanka, zostanie twą żoną.

— Czy to wszystko?

— Wszystko. To wystarczy dla mej zemsty. Chcę byś pan został mężem Gabrjeli i to musi nastąpić.

— Więc dla czego mieszasz się pani do mego życia w sprawach innych?

— Mieszam się do pańskiego życia, ja?

— Tak.

— Z jakiego powodu mówisz mi pan to? O co chodzi?

— O moją córkę.

— O pańską córkę! — zawołała Magdalena. — Więc pan masz córkę?

— Wiesz pani o tem dobrze, gdyż kazałaś mi ją wykraść...

— Ja nie kradnę dzieci — odrzekła głosem syczącym—ale pan zabijasz je!

— Więc pani zaprzeczasz, że z jej rozkazu pochwycono matce jej dziecię?

— Zaprzeczam i możesz mi pan wierzyć, gdyż ja nie kłamię nigdy! Nie wiedziałam, że ożeniwszy się przed pół rokiem, jesteś już ojcem. Odkrycie to wskazuje mi źródło pańskiego majątku! Pozostawało panu już tylko nazwisko i sprzedałeś je! Ofiarowano ci miljony za pokrycie hańby i przyjąłeś je! Winszuję panu takiego targu! Godny on ciebie zupełnie!

Ah, miałeś życie obfite w wypadki i jeżeli kiedy przyjdzie ci fantazja napisać autentyczne pamiętniki pod tytułem: *Historja łotra*, nie zabraknie ci materjału!

Nie wiedziałam, że jesteś ojcem i choćby mi to było wiadomem, nie zadałabym ci ciosu przez porwanie dziecka, jako obcego, znienawidzonego przez cię... Pan nienawidzisz nawet własnych dzieci i mordujesz je... Zresztą, gdybym i wiedziała, że cios ten ugodzi cię boleśnie, nie wymierzyłabym go przez litość nad biedną matką. Przychodzisz pan do mnie po swoją córkę... nie mam jej... Szukaj pan gdzieindziej. Żądaj pan pomocy policji, a cały świat się dowie, że hr. de Lucenay uznaje dzieci cudze.

Zdaje mi się, że mi pan wierzysz... Wszystko, co nie ma związku z małżeństwem z Gabrjelą Stellini, jest dla mnie obojętnem i powtarzam panu, że jeżeli po za myślą tego małżeństwa zajmuję się panem, to tylko by zabezpieczyć się od niego, gdyż czytam w twych oczach, że gdybyś mógł mię zadusić

jak to usiłowałeś uczynić przy ulicy Ernestyny, uczyniłbyś to z prawdziwą rozkoszą i tym razem nie chybiłbyś pewno! Radzę panu myśleć o tem jak najmniej, gdyż jestem bardzo ostrożną. Po tem wszystkiem nie mamy nic więcej do powiedzenia sobie i nie potrzebuję dodawać, że widok pana jest dla mnie wstrętnym.

Dotknęła ręką dzwonka, na głos którego wszedł służący.

— Odprowadź pana hr. de Lucenay — rzekła opuszczając salon, nie raczywszy nawet kiwnąć głową żegnającemu ją hrabiemu.

Juljusz wyszedł z zaciśniętemi zębami i ponurym ogniem, połyskującym w oczach.

— Próżne twe ostrożności—myślał—nie ujdziesz rąk moich!... Masz sprawę z silniejszym!

Siadł do powozu i odjechał na ulicę Cyrkową.

XXV.

— Więc wzamian za miljony dał swe nazwisko dziecku—myślała Magdalena pozostawszy samą.— Jestto rzecz haniebna, lecz nie dziwi mię ona. Wiem, że jest on zdolny do wszystkiego, nawet do zamordowania mnie... a na ten raz nie chybiłby! Kto wie, czy nie wolałby nawet raczej mnie się pozbyć, aniżeli zaślubić Gabrjelę Pitou, tembardziej, że rozwód pozbawi go znacznej części majątku, którym rozporządza dzisiaj. Że też ta myśl nie przyszła mi dotychczas... A jeżeli jemu przyszła do głowy, to nie osobiście będzie się starał mnie zgładzić, ale poszuka wspólnika. Jakimby sposobem mieć wiadomości co się tam dzieje u niego w domu? Czy też ma między

swą służbą ludzi, którzy za dobrą zapłatę gotowi byliby na wszystko?... Trzeba będzie dowiedzieć się. Wszystko można zrobić za pieniądze, a Celestyn nie pożałuje mi ich na opłacenie szpiega w otoczeniu tego nikczemnika.

Wszedł służący i zaanonsował wizytę panny Walentyny.

Gdy hr. de Lucenay powrócił do siebie, Henryka podbiegła ku niemu.

— Cóż, odkryłeś co?

— Nie—odrzekł.

— A telegrafowałeś do Anusi?

— Telegrafowałem.

Po śniadaniu siedli oboje do powozu i odjechali do Chennevières.

Juljusz Claude, jakkolwiek późno poszedł na spoczynek, wstał jednak wcześnie i udał się naprzód na ulicę du Pré, uścisnąć swe dziecię, następnie pojechał do szpitala Lariboisière, w którym znajdowała się na kuracji sparaliżowana odźwierna z ulicy Marcadet.

Odźwierna długi czas wzbraniała się przyznać, iż wie, że Magdalena żyje, dopiero gdy Juljusz opowiedział jej zdarzenie swoje w lasku i pokazał jej testament, mocą którego markiz de Valandelle czynił Magdalenę spadkobierczynią całego swego majątku, powiedziała mu adres.

— Ale proszę pana nie mówić, że dowiedział się pan odemnie.

— Nie powiem; przysięgam pani.

— Niech pan do mnie później zajdzie i przyniesie mi o niej wiadomość.

— Przyjdę na pewno.

Pożegnał chorą, wziął fiakra i odjechał na ulicę Faisanderie.

Serce mu biło, gdy stanął przed pałacykiem, którego już sama powierzchowność zapowiadała wielki majątek i przepych. Jakaż to zmiana od owego dnia, w którym, pod ciemnem sklepieniem więzienia oczekiwał na wychodzącą zeń Magdalenę, uniewinnioną, lecz bez przytułku i chleba! O ileż Magdalenę ówczesną stawił wyżej nad dzisiejszą, nędzarkę lecz uczciwą, nad elegancką kobietę, sprzedającą swą piękność! Co ona powie zobaczywszy go? Czy zechce go przyjąć?

Zadzwonił.

— Czy tutaj mieszka panna Magdalena Gallier?

— *Pani* Magdalena Gallier—poprawił odźwierny.—Czego pan sobie życzy?

— Chciałem się widzieć z panią Gallier.

— Pani nie przyjmuje.

— Gdyby pani Gallier wiedziała moje nazwisko przyjęłaby mnie.

— Czy pani zna pana?

— Zna—odrzekł artysta wzruszony.

— W takim razie niech pan da swój bilet wizytowy.

— Nie mam przy sobie biletu.

— To niech pan będzie łaskaw wejdzie do loży i napisze swe nazwisko ołówkiem na kawałku papieru, a ja poślę go do pani.

Gdy Juljusz napisał, odźwierny zadzwonił, przebył dziedziniec i wręczył kartkę pokojowej, która zjawiła się na peronie.

Magdalena rozmawiała z Walentyną, gdy weszła pokojowa.

— Jakiś młody człowiek, czekający w loży, pragnie się widzieć z panią—rzekła, wręczając swej pani kartkę.

Magdalena przeczytawszy nazwisko, zachwiała się i zbladła.

— Juljusz Claude — szepnęła, przyciskając ręką serce.

— Co ci się stało? — zapytała Walentyna przestraszona.

— Nic — odrzekła Magdalena, usiłując odzyskać spokój.—To nazwisko przyjaciela z lat dziecinnych.

— Czy pani przyjmie?—zapytała pokojowa.

— Ależ naturalnie! Wprowadź tego pana do salonu—i zwróciwszy się do Walentyny, dodała:—Czekaj na mnie.

W parę minut Juljusz Claude, równie wzruszony jak ona, przestąpił próg salonu.

— Magdaleno... szepnął artysta.

— Juljusz! — zawołała Magdalena, podbiegając ku niemu.

Padli sobie w ramiona, jak brat i siostra, którzy spotkali się po długiej rozłące.

W chwili, gdy Juljusz Claude wchodził do pałacu przy ulicy Faisanderie, hrabia Lucenay z żoną wysiadał z powozu w willi jaworowej.

Pani Dauray, spostrzegłszy swą córkę bladą i ledwie trzymającą się na nogach, wydała krzyk boleści i podbiegła ku niej.

— Henryko!...—zawołała przerażona.—Co ci się stało?

Pani Lucenay padła w ramiona matki i szepnęła:

— Ah, matko moja, jestem najnieszczęśliwszą z kobiet!

Eks-bankier, którego twarz przybrała nagle wyraz groźny, zwróciwszy się do zięcia, zapytał:

— Co to jest, panie?

Juljusz nie miał czasu odpowiedzieć, gdy Henryka dodała łkając:

— Wykradziono mi córkę moją!

— Wykradziono córkę twoją!—powtórzyli państwo Dauray zdziwieni.

— Wczoraj wieczorem, gdy przed udaniem się na spoczynek, poszłam ją ucałować, znalazłam kołyskę próżną.

Filip Dauray zwrócił pytający wzrok na Juljusza.

— Henryka przyjechała do mnie dziś w nocy z tą smutną wiadomością.

— Więc pan nie byłeś w Seine-Port?

— Nie byłem; interesa powołały mię do Paryża.

— Cóżeś pan uczynił dla odszukania dziecka?— zapytała pani Dauray.—Zawiadomiłeś pan policję?

— Przed rozpoczęciem poszukiwań chciałem naradzić się z państwem, gdyż państwo tylko i Henryka możecie decydować w kwestji tak delikatnej natury.

Eks-bankier zrozumiał znaczenie słów hrabiego i umilkł, lecz pani Dauray zawołała prawie z gniewem:

— Pan potrzebujesz pytać o radę mego męża? Wykradziono pańską córkę i pan pozostajesz obojętnym! Patrzysz pan na rozpacz swej żony, widzisz jej łzy i przybywasz do nas po radę, zamiast zawiadomić prokuratora, prefekta policji i domagać się sprawiedliwości! Postępowanie twe, panie de Lucenay, jest dziwne.

— Ja znajduję je bardzo naturalnem — odrzekł zimno hrabia — i zdziwiłbym się, gdyby pan Dauray był przeciwnego zdania. W każdym razie gotów jestem spełnić, co państwo postanowicie.

— Dobrześ pan uczynił nie uciekając się do policji—odezwał się eks-bankier.

— Ależ dla czego? dla czego? — pytała pani Dauray zdumiona.

— Tłómaczysz go! — zawołała Henryka zdziwiona.

— Tak, pani. Dziecku groziło niebezpieczeństwo od tego, który przysiągł kochać je i panią i który przysięgając, kłamał podwójnie. Hrabia oddawna już wywoływał we mnie przestrach mimowolny. Widziałam, zrozumiałam i domyśliłam się wielu rzeczy... To człowiek gotów na wszystko... Ten, który pisał ten list, nie chce, by córka jego nazywała hrabiego de Lucenay swym ojcem! I ma słuszność, proszę pani. On żałuje swego postępku, kocha panią i ubóstwia swe dziecię! Kto wie, czy on właśnie nie ocali pani...

Henryka pomyślawszy kilka chwil, szepnęła:

— Może ty masz rację... Oceniłam go więc dobrze... W rojeniach moich widziałam go takim, jakim być powinien... jakim jest rzeczywiście... Jego zbrodnia i miłość są męczarnią jego życia... on kocha mnie i swą córkę... A jednak mi ją wykradł...

— Dla tego, żeby ją ocalić... — odrzekła pokojowa.

— Więc ty sądzisz, że hrabia ośmieliłby się...

— Czy hrabia zyskałby co na tem, gdyby dziecko nie żyło?

— Naturalnie, że zyskałby.

— Niech Bóg przebaczy mi, jeżeli sądzę niesprawiedliwie, ale jestem przekonaną, że dziecku groziło niebezpieczeństwo. Niech pani pomyśli, jak to łatwo pozbawić życia tak drobną istotę, nie wzbudziwszy nawet podejrzenia. Przysięgam pani, że wykradzenie to jest ocaleniem córki pani...

— W takim razie dobrze zrobił, że ją wykradł... ale czuję, że umrę, jeśli nie będę jej widziała długo.

— Cierpliwości i odwagi, droga pani. Ja mam jakąś ufność...

Czas jakiś jeszcze rozmawiały, poczem Henryka udała się na spoczynek.

Wieczorem hrabia de Lucenay pod pozorem poszukiwań dziecięcia odjechał do Paryża.

Powróćmy teraz do pałacyku przy ulicy Faisanderie, gdzie pozostawiliśmy Magdalenę i Juljusza Claude.

— Ah!—zawołała Magdalena, ukrywając w dłónie twarz swoją—co pan musisz myśleć o mnie! Pragnęłam byś pan nie dowiedział się nigdy o mem postanowieniu.

— I dla tego byłaś pani tak okrutną i kazałaś mi wierzyć, że nie żyjesz!

— Wolałam, byś mię opłakiwał jako zmarłą, niż pogardzał żyjącą!

— Niech pani nie mówi mi takich rzeczy w chwili, w której jestem tak szczęśliwy z odszukania pani. Z jakiej racji miałbym pogardzać panią? Uczyniłaś pani to, co uważałaś za właściwe... Byłaś pani wolną i miałaś prawo rozporządzać sobą. Z jakiejże racji miałbym panią sądzić i potępiać?

— Miałeś pan prawo, gdyż dzięki tobie znalazłam przytułek i pracę. Powinno to było mi wystarczyć do życia w spokoju... ale pragnienie zemsty było silniejsze nad moją wolę... doprowadzało mię ono do szaleństwa... I oto co się stało... Czy sądzisz mię pan niezdolną do kłamstwa?

— Zawsze wierzyłem słowom pani.

— Więc słuchaj mię pan i wierz mi, bo jakkolwiek to, co usłyszysz, wyda ci się nieprawdopodobnem, przysięgam jednak na Boga, jest szczerą prawdą!

I opowiedziała historję znajomości swej z markizem de Valandelle i jego zachowanie się delikatne i szlachetne. Przyznała się, że tknięta do głębi serca jego miłością czystą i poświęceniem tak bezinteresownem, pokochała go również szczerze.

— Wkrótce przed Bogiem i ludźmi zostanę jego żoną, lecz dzisiaj w oczach wszystkich, jestem tylko *Damą w szmaragdach*, zaliczaną do kobiet upadłych!

— Dla mnie będziesz pani zawsze dawną Magdaleną... Masz pani słuszność kochając tego młodego człowieka, który abnegację swej miłości posuwa aż do heroizmu.

— Czy przed przybyciem tu znane panu było jego nazwisko?

— Znałem.

— Kto panu je powiedział?

— Dowiedziałem się o niem przypadkiem. Pan Valandelle pojedynkował się przed kilkoma dniami..

— Jakto, i o tem pan wiesz? Od kogo?

— Od jakiejś kobiety, która przyszła na miejsce spotkania, gdzie i ja znalazłem się przypadkiem.

— Kobiety! To musiała być Gabrjela Stellini! Przysięgłabym, że to ona!

— Nie znam jej, lecz zdaje mi się, że ona nienawidzi pani...

— A więc to ona napewno.

— Wyrwałem jej z rąk pewną rzecz...

— Cóż takiego?

— To... — odrzekł Claude, wyjmując z kieszeni papier i wręczając go Magdalenie.—Jestto testament p. de Valandelle, pisany przed pojedynkiem i zgubiony w lasku Seine-Port. Znajdzie w nim pani nowy dowód miłości dla siebie.

— Drogi Celestyn!—zawołała ze łzami w oczach po przeczytaniu kartki.—Ostatnia myśl jego była

o mnie! Chciał mię widzieć, jeżeli nie mogłam być szczęśliwą, przynajmniej niezależną. Czyż mogę go kochać zanadto, dość wywdzięczyć mu się za jego dobroć?

— Będzie wynagrodzony sowicie — odrzekł Juljusz uśmiechając się.—Jestem tego pewnym.

— Jeszcze jedna kwestja... Jakim sposobem testament ten dostał się w ręce tej kobiety?

— Podniosła go w moich oczach z ziemi, gdzie szukała śladów krwi. Złamawszy pieczęć, wymówiła imię pani z niewymowną nienawiścią. Siłą więc odebrałem jej ten papier, z którego dowiedziałem się, że pani żyje. Wtedy zacząłem panią szukać i dzięki niebu, znalazłem.

— Jaki pan dobry jesteś! Nie wyobrażasz pan sobie, jak się ucieszyłam, przeczytawszy na kartce pańskie nazwisko! Ah, gdybyś pan wiedział, co się działo we mnie! Nie zapomniałam o panu, codzień myślałam o nim... Tobie winnam, żem nie umarła z głodu, ale byłabym wolała raczej umrzeć, aniżeli się sprzedać dla tego tylko by żyć! Panu zawdzięczam moją zemstę!

— Przychodzę ułatwić pani tę zemstę.

— A to jakim sposobem?

— Odszukałem człowieka z cmentarza Marcadet, Juljusza Mercier.

— Więc zapisane było, że nie ujdzie rąk moich, bo i ja podczas owego pojedynku znalazłam go również.

— I pani wiesz, że w rzeczywistości nazywa się on hr. Juljusz-Armand de Lucenay-Charente?

— Wiem, jak wiem również i to, że zaślubił on córkę bankiera Filipa Dauray, nieszczęśliwą ofiarę nieznanego uwodziciela, której sprzedał swe nazwisko za kilkomiljonowy posag. Wiem nawet, że dziecię to

zostało wczoraj wykradzione. Nie wiem tylko przez kogo, lecz to mnie nie obchodzi.

Juljusz słuchając tych szczegółów, uczuł dreszcz przechodzący po ciele i by się nie zdradzić, powstał.

— Już pan idziesz?

— Muszę już iść do pracy.

— Odwiedzisz mię pan jeszcze?

— Odwiedzę napewno i to niedługo.

— Przyjdź pan; opowiesz mi w jaki sposób spotkałeś Juljusza Mercier i dowiedziałeś się o jego nazwisku prawdziwem.

— Mogę to pani powiedzieć natychmiast. Wykonywałem roboty dekoracyjne w pałacu hr. de Lucenay przy ulicy Cyrkowej. Raz zobaczyłem go idącego i poznałem w nim człowieka z ulicy Marcadet. Zacząłem się rozpytywać i od jego lokaja, a zarazem intendeuta, wielkiego łotra, dowiedziałem się o jego nazwisku.

— Ah — zawołała Magdalena, usłyszawszy ostat tnie słowa.—Więc intendent hrabiego de Lucenay jest łotrem?

— Godnym swego pana.

— Jak się nazywa?

— Jan Dufour.

— Jakim sposobem poznałeś go pan?

— Pracowaliśmy razem u jednego przedsiębiorcy. Dawniej był on lokajem hrabiego de Lucenay, lecz wypędzony za cóś, wziął się do dekoratorstwa i pracował, dopóki pan jego, potrzebując zapewne pomocy jego do jakiegoś szelmostwa, nie wziął go napowrót do służby. Jestto pijak, złodziej i z pewnością skończy na szubienicy. Spaliłby cały Paryż, byle urzeczywistnić swe marzenie, to jest zdobyć dwanaście tysięcy franków rocznej renty.

— Masz pan rację mówiąc, że godny swego pana.

— Ale teraz muszę już panią pożegnać.

— Nie śmiem więc zatrzymywać pana dłużej, lecz mam pańską obietnicę, że mię wkrótce odwiedzisz.

— Przyjdę na pewno.

Pożegnał się i wyszedł.

— Szczęśliwą jestem, żem go zobaczyła — mówiła do siebie Magdalena, pozostawszy samą. — To przyjaciel wierny i niezawodny, a przytem oddał mi dzisiaj podwójną przysługę: raz przynosząc mi ten testament, a powtóre informując mię o tym Dufourze, którego dobrze opłaciwszy, będę mogła użyć za szpiega w domu hrabiego de Lucenay.

Powróciła do czekającej na nią Walentyny, gdzie zastała już markiza de Valandelle.

— Mam panu uczynić wielką wymówkę—rzekła podając mu rękę.

— Wymówkę! za co?

— Za roztargnienie nie do przebaczenia!

— Nic nie rozumiem... Niech pani powie wyraźniej.

— Kto pisze rzeczy poważne, to nie powinien ich gubić w lesie.

Valandelle zarumienił się.

— Ależ...—wyjąkał.

— Zaczynasz pan domyślać się... Wiesz pan o czem mówię?

— Domyślam się... Zgubiłem list zapieczętowany.

— Który został znaleziony, przeczytany i następnie dostał się do mnie.

— I pani czytała go?

— Czytałam.

— Więc pani wie...

— Wiem — odrzekła Magdalena, zmieniając ton mowy — że jesteś najlepszym i najszlachetniejszym z ludzi—i zwracając się do Walentyny, dodała:—Czy domyślasz się, co on uczynił przed pojedynkiem?

— Magdaleno... Magdaleno—wołał Celestyn gło sem błagalnym.

— Napróżno żądasz pan odemnie bym milczała. Masz, Walentyno, czytaj i podziwiaj!—rzekła, podając jej testament markiza.

Walentyna przebiegła list oczyma.

— To mnie nie dziwi—odrzekła przeczytawszy. —Umie kochać!

— Ale i ja także umiem kochać!—zawołała Magdalena, drąc testament na drobne kawałki.

Valandelle ucałował jej rękę z uniesieniem.

— Czy kazałeś pan obserwować hrabiego de Lucenay?—zapytała następnie.

— Kazałem.

— Niema nic nowego?

— Nic ważnego. Hrabia część nocy przepędził w klubie i przegrał w karty grubą sumę.

— Rozumiem dla czego... Jest zajęty... Mam prosić pana o pewną przysługę.

— Jaką?

— Niech pan zasięgnie wiadomości o Janie Dufourze, lokaju, intendencie i powierniku hrabiego de Lucenay i jak się zdaje, wielkim łotrze.

— Dobrze. Będę mógł udzielić informacji o nim może nawet dziś wieczorem jeszcze, gdyż przypominam sobie, że słyszałem coś o nim od mego tapicera. Pojadę do niego zaraz.

Tapicer ten, który meblował pałac przy ulicy Cyrkowej, należący do hr. de Lucenay, dał markizowi informację następującą:

— Gdy skończyłem roboty, wręczyłem Dufourowi rachunek, wynoszący 195,000 franków. Sumę tę przyniósł mi on po trzech dniach i zażądał trzy procent, które przy umowie mu przyrzekłem. „Zapomniałem wziąć z sobą pańskiego rachunku — dodał — niech pan mi wyda pokwitowanie z otrzymania należności.“ — Jakkolwiek była to drobna nieformalność, ale ten sposób postępowania nie podobał mi się. Zacząłem więc domagać się rachunku koniecznie. Na to on z całą bezczelnością wyjmuje go z kieszeni i podaje mi. Rzuciłem okiem i spostrzegam ze zdziwieniem, że ogonek u 9 jest podskrobany i zrobione zero, a 1 przerobione na 2; tym sposobem wyszła cyfra 205 tysięcy franków, czyli o dziesięć tysięcy franków więcej, które Dufour schował sobie do kieszeni. Naturalnie, uniosłem się, lecz łotr z najzimniejszą krwią odpowiedział mi: — „To trudno, każdy żyć musi.“ — Powiedziałem mu, że zawiadomię o tem jego pana, lecz tylko rozśmiał się na to. Mógłbym go wprawdzie zaskarżyć do sądu za sfałszowanie mego rachunku, ale zawiele kosztowałoby to mnie czasu i kłopotów. Pokwitowałem go więc z rzeczywistej cyfry i odesłałem do djabła.

— Czy zachowałeś pan rachunek sfałszowany?

— Rozumie się i zagroziłem mu, że zrobię z niego użytek, jeżeli popełni jakie nowe szelmostwo. Nie rozumiem, jak p. Lucenay może trzymać podobnego służącego.

— I ja także; ale widocznie ma jakieś powody.

Celestyn podziękował tapicerowi i wrócił na ulicę Faisanderie.

— Już?—zawołała Magdalena, zobaczywszy go.

— Już i z bardzo dobrym skutkiem.

— Cóż pan się dowiedział?

Celestyn opowiedział jej wszystko, o czem dowiedział się od tapicera.

— Ależ właśnie takiego mi potrzeba!—zawołała Magdalena—tylko on będzie kosztował drogo.

— To bagatela—odrzekł markiz.—Szpieg w domu nieprzyjaciela nigdy nie kosztuje zbyt drogo.

Magdalena siadła do biurka i napisała list następujący:

„Pan Jan Dufour proszony jest o przybycie jutro, we własnym jego interesie, na ulicę Faisanderie pod nr 22-gi. Chodzi o sprawę ważną. Zechce zgłosić się do Damy w szmaragdach.“

Włożyła w kopertę, zaadresowała i kazała wrzucić do skrzynki pocztowej.

Gabrjela już od dwóch dni nie widziała hrabiego de Lucenay, nie dziwiła ją jednak tak długa jego nieobecność, wiedziała bowiem, że ma on teraz rzecz ważniejszą na głowie.

Widzenie się z nią Magdaleny dowodziło, że musiało również nastąpić spotkanie pomiędzy byłym Juljuszem Mercier i jego dawną ofiarą.

— Magdalena—myślała Gabrjela—musiała, zarówno jak i mnie narzucić pewne warunki hrabiemu. Wymaga ona zapewne, by uzyskał rozwód i ożenił się ze inną. Na zemście tej zyskałabym... Niepodobna, by Juljusz nie rozumiał, że rozwód pozbawi go większej części majątku i dla tego zechce nie zaślubić mię, ale skłonić do współdziałania w pozbyciu się Magdaleny, przyrzekając, rozumie się, złote góry, gdyż po śmierci Magdaleny pozostanie wolnym. W takim razie pozostałabym czem jestem, gdy tymczasem pragnę zostać hrabiną de Lucenay... Jeżeli Magdalena żyć będzie, to marzenie moje może się urzeczywistnić... Potrzeba więc, by Magdalena żyła!...

Hrabia de Lucenay wracając z Chennevières, zastanawiał się nad wypadkami ostatnich dwóch dni i myślał o przyszłości. Czuł się zagrożonym i analizował swą sytuację z obojętnością noża operującego na trupie.

— Przed rokiem chciałem zamordować Magdalenę—mówił do siebie—i zabiłem jej dziecko. Posiada ona świadka, tego Juljusza Claude i dowód rzeczowy, jeszcze bardziej stanowczy niż zeznanie świadka, mianowicie zwłoki, pochowane na cmentarzu Marcadet. Jeżeli zechce mię zadenuncjować, to bardzo łatwo dowiedzie, że hr. de Lucenay jest owym Juljuszem Mercier, skazanym zaocznie na dwadzieścia lat ciężkich robót.

„Mam żonę, której nie kocham, ale która za nazwisko dała mi majątek... Używam szacunku powszechnego... Daurayowie, ludzie dobroduszni i nie widzący dalej końca swego nosa, uważają mię za wzór zięciów... Po ich śmierci odziedziczę miljony, któremi będę mógł rozporządzać dowolnie... Słowem, jestem szczęśliwym... tymczasem chcą pozbawić mię tego szczęścia... chcą bym wziął rozwód i zawarł z Gabrjelą małżeństwo, które pozbawiłoby mię trzech czwartych majątku i ośmieszyło w całym Paryżu!

„Szatańska ta kombinacja Magdaleny, daje mi do wyboru: galery lub Gabrjelę. Nie mogę zgodzić się ani na jedno ani na drugie! Śmierć Magdaleny uwolni mię i od galer i od Gabrjeli. To była pierwsza myśl moja i dobra... Umrze więc, ale tym razem obmyślę środki tak dobre, iż podejrzenie mię nie dosięgnie.. Mam pod ręką doskonałe narzędzie... Dufoura. Oprócz niego będę mógł się posłużyć nadto Gabrjelą... Przez moją nieostrożność, popełnioną w Wenecji, za wiele ona dowiedziała się o mnie, ale jeżeli bądź dobrowolnie, bądź mimo swej woli, zostanie wspólniczką

zbrodni, będę miał ją w rękach i nie będę potrzebował się obawiać, by mię zdradziła w chwili zazdrości lub złego humoru.

„Żona moja odgadła mnie... i powiedziała mi wyraźnie, co myśli o mnie, ale zachowując względem niej delikatność i udając, że poszukuję jej córki, zrobię z nią co zechcę.

„Pozostaje Juljusz Claude, który znieważył mię i jest niebezpieczny. Przypadek tylko może postawić go na mojej drodze, nie mam więc potrzeby zajmować się nim teraz... Jeśli się nie mylę, to on musi być ojcem dziecka i on je wykradł. Posiada już czego pragnął i będzie siedział spokojnie z obawy, by nie odebrano mu jego zdobyczy.

„Jedynie więc pilną rzeczą jest śmierć Magdaleny i wciągnięcie do wspólnictwa Dufoura i Gabrjeli. Potrzeba zająć się tem natychmiast!"

Przybył do Paryża i kazał zawieść się wprost do Gabrjeli, której zamiary były wręcz przeciwne zamiarom jego.

— Ah, jesteś nakoniec!—zawołała Gabri, udając czułość.—Gdybym nie była przekonaną, że mię kochasz i gdybym nie ufała ci zupełnie, myślałabym, że chcesz zerwać ze mną! Dwa dni nie byłeś u mnie! Dla czegoż to?

— Nie obwiniaj mię, moja droga! Miałem przez ten czas tyle kłopotów!

— Rzeczywiście, jesteś zmieniony! Cóż to było takiego?

— Jestem nieszczęśliwy...

— U siebie, w domu?

— Wszędzie!

— Nawet tutaj?

— Tutaj jestem u szczerej przyjaciółki, mogę więc otworzyć me serce przepełnionione goryczą i obawą.

— Obawa! Czy lękasz się, by świat nie dowiedział się prawdy o twem małżeństwie i o powodach pobytu w Wenecji?

— Jestem zagrożony ze wszystkich stron, szczególniej lękam się tej kobiety, która może mię zgubić.

— Ah, może tej Magdaleny, za którą mnie wziąłeś wówczas w Wenecji! Czyżby ona żyła?

— Żyje, na nieszczęście!

— Żyje!—zawołała Gabrjela.

— Żyje i grozi mi.

— Skądże wiesz o tem?

— Sama mi powiedziała.

— Więc widziałeś się z nią?

— Słuchaj—rzekł Lucenay, udając nagłe postanowienie—wyznam ci wszystko... W chwili, w której wziąłem ciebie za ową przeklętą istotę, odkryłem przed tobą tajemnicę mej przeszłości.

— Czy lękasz się, bym cię nie zdradziła?

— Oh nie! Jestem pewnym zarówno twej dyskrecji jak i miłości. Jesteśmy jak gdyby stworzeni dla siebie!"

— To prawda, dla tego też tem większy żal, że twoja żona stanęła między nami.

— To nie żona dzieli nas, ale tamta kobieta, Magdalena. To ona powstrzymała pojedynek z Valandellem, którego życie trzymałem już na końcu szpady.

— Dama w szmaragdach?

— Eh, Dama w szmaragdach jest Magdaleną Gallier... Magdaleną, której zjawienie się sparaliżowało me ramię i przejęło mię przerażeniem! Jej słowa wówczas: „Rzuć szpadę, gdyż inaczej zadenuncjuję cię," zmusiły mię do przeproszenia Valandella, którego nienawidzę! Magdalena potrzebuje powiedzieć jedno słowo, by mię zesłano na galery.

— Dobrze — podam ją jako licytantkę. Czy na przejazd do Londynu potrzeba brać paszport?

— Nie trzeba, tylko podczas pobytu w Anglji nie nazywaj się własnem nazwiskiem.

— Więc jak się mam nazywać?

— Jak chcesz, byle tylko pseudonim był prawdopodobnym... ot naprzykład Juljusz Claude.

Dufour, usłyszawszy to nazwisko, aż rzucił się ze zdziwienia.

— Co ci się stało?—zapytał hrabia.

— Juljusz Claude!—powtórzył Dufour.—Wszak pan hrabia tak powiedział?

— Tak... przyszło mi na myśl to nazwisko, bo jest pospolite...

— To dziwne!...

— Dla czego dziwne? Czy znasz kogo noszącego to nazwisko? — zapytał hrabia patrząc mu bystro w oczy.

— Znam, panie hrabio, nawet bardzo dobrze.

— Naprawdę?

— Przecież nie śmiałbym żartować z pana hrabiego.

— A więc istnieje na świecie jaki Juljusz Claude?

— Żyje...

— Skoro tak, to rzeczywiście dziwne. Cóż to za jeden ten Juljusz Claude?

— Jest malarzem dekoratorem i nawet bardzo zdolnym. Maluje przytem wcale dobre obrazy... Widziałem się z nim przed tygodniem.

— Tutaj? W Paryżu?

— Tutaj, ponieważ on mieszka w dzielnicy Montmartre... To on wykonał malowidła w salonie i buduarze w tym pałacu.

— On pracował w moim pałacu?

— Przez cały czas, gdy pan hrabia przebywał zagranicą.

— Od jak dawna go znasz?

— Od owego dnia, w którym spotkałem pana hrabiego idącego do Saint-Ouen i dałem swój adres. Szczęśliwe spotkanie! Tylko, że wracałem wtedy z pogrzebu, więc byłem cokolwiek nie swój... W kilka dni później całe nasze towarzystwo dekoratorów udało się na wycieczkę zamiejską do mostu Chennevières. A że nie lubiłem tego Juljusza Claude, gdyż chciał pozować, stronił odemnie i nie pił, skorzystawszy więc z chwili, dolałem do jego wina mocnej wódki, od czego tak się strąbił, że musieliśmy go zostawić na trawie pod tarasem.

— W Chennevières? — zapytał hrabia i namarszczył brwi.

— Tak, panie hrabio. Taras ten należy do bardzo ładnej willi.

Juljusz de Lucenay zapanował już nad wrażeniem.

— To dziwne, że nazwisko tego nieznajomego tak mi przypadkiem przyszło na myśl. Zresztą to nic nie znaczy... Możesz się tak nazwać... to nie skompromituje go... Wyjedziesz jutro o ósmej rano.

— Dobrze, panie hrabio. Czy nie będę już potrzebny dzisiaj?

— Nie; możesz iść spać.

Dufour udając się na spoczynek, myślał:

— Albo się mylę, albo w tej nagłej manji urządzenia zbiorów, a zwłaszcza kupna tej lornetki, kryje się jakiś zamiar chytry... Gdy kto ma jaką manję i zamiary podejrzane, najłatwiej wtedy łowić ryby w mętnej wodzie... Będę łowił... i kto wie czy z tego wszystkiego nie wypłynie dla mnie dwanaście

tysięcy renty?... Los zaczyna mi się uśmiechać... Hrabia odjeżdża jutro do Chennevières, skorzystam więc z jego nieobecności i pojadę do Damy w szmaragdach. Czego ona może chcieć odemnie? Dowiem się jutro, a teraz śpijmy!

XXVIII.

— A więc Dufour zna Juljusza Claude—mówił do siebie hrabia de Lucenay,—kładąc się do łóżka.—Dziwny wypadek oddaje mi w ręce człowieka, który znieważył mię w Wenecji, szpiegował w Poveglia, wykradł dziecię Henryki, którego napewno jest ojcem... gdyż teraz zaczynam pojmować wszystko! To on pozostawiony był pod tarasem w Chennevières! Wiem teraz gdzie go znaleść, lecz później ureguluję z nim mój rachunek, a będzie on strasznym! W tej chwili posłużę się nim... ukryję się za nim i za Gabrjelą... Gdy rozpocznie się sprawa sądowa o zabicie Magdaleny za pośrednictwem lornetki Lobba, to kupno jej przez Juljusza Claude dla Gabrjeli Stellini, wytworzy komplikację, którą najsprytniejsi ajenci policyjni nie zdołają rozwikłać... Dufoura nie mam potrzeby obawiać się... Ten łotr pragnie tylko pieniędzy, a ponieważ dam mu ich wiele, więcej, niż mógłby mu dać ktokolwiekbądź inny, mogę więc polegać na nim bezwarunkowo.

Następnego dnia rano hrabia odjechał do Chennevières.

Dufour, korzystając z nieobecności swego pana, ubrał się starannie i udał się na ulicę Faisanderie.

— Byłam pewną, że pan przybędziesz — rzekła doń Magdalena, nie raczywszy na jego głęboki ukłon

nawet kiwnąć głową—gdyż zapraszałam pana w jego interesie. Wszak jesteś pan paryżaninem?

— Tak, pani.

— Zdaje mi się, że przed kilkoma miesiącami mieszkałeś pan w Belleville przy ulicy des Envierges?

— Rzeczywiście—odrzekł Dufour, zapytując się w duchu, co mają znaczyć te badania wstępne.

— Przed trzema lub czterema laty służyłeś pan za lokaja u hr. de Lucenay?

— Rzeczywiście.

— A gdy hrabia z powodów, o których niema potrzeby wspominać, oddalił cię, wróciłeś pan do dawnego zajęcia, t. j. do dekoratorstwa?

— Tak jest — odrzekł Dufour głośno, w duchu zaś zapytywał siebie:—Skąd u djabła ona wie o tem?

— Ale dekoratorstwo nie podobało się panu, to też gdy hrabia posiadł znowu majątek i przebaczył dawne winy, wziął pana do siebie napowrót i nawet awansował. Z lokaja zostałeś pan intendentem...

— Pełnomocnikiem — sprostował Dufour. — Pani jest doskonale poinformowaną; lecz niech mię djabli porwą jeśli domyślam się...

— Od kogo mam te informacje?

— Tak. Źródło ich bardzo naturalne — niema w tem żadnej tajemnicy. Otrzymałam je od dobrze znajomej mi osoby, którą i pan znasz — od Juljusza Claude.

Dufour zadrżał mimowoli. Ta nieznajoma mówiła mu o Juljuszu Claude, którego nazwisko wczoraj wieczorem niby przypadkiem wymienił i hrabia. Dziwna rzecz! Owładło nim nagle instyktowne niedowierzanie i postanowił trzymać się na ostrożności.

— Ale to rzecz mniejsza — ciągnęła dalej Magdalena. — To, co powiedziałam, może być znane całemu światu tak dobrze jak i mnie. Wiem inne

szczegóły, ciekawsze i nowsze, a otrzymałam je od mojej policji, ponieważ mam swoich ajentów policyjnych, służących mi doskonale. Kosztują mię oni bardzo drogo, ale jestem dość na to bogatą i nie zwykłam się targować z osobami, dobrze mię obsługującemi.

Dufour coraz więcej zachodził w głowę, a dodać należy, że ten wyraz *policja*, sprawił na nim wrażenie nieprzyjemne.

— Widzisz pan więc, że nawet najskrytsze myśli pańskie są mi wiadome.

— Moje myśli najskrytsze...—powtórzył Dufour osłupiały.

— Tak, i bardzo łatwo mogę to panu dowieść. Powiem panu nadto cel życia pańskiego.

— Ciekawym!

— A raczej marzenie pańskie, którem jest zrobienie majątku.

— Każdy człowiek myśli o tem i pragnie uciułać sobie jakiś kapitalik na stare lata.

— Ale kapitalik, jakiego pan pragniesz, nie bardzo maleńki, gdyż chcesz posiadać dwanaście tysięcy franków rocznej renty.

Dufour, usłyszawszy te słowa, otworzył usta i wytrzeszczył oczy.

— Czyż nieprawda?—zapytała Magdalena.

— Rzeczywiście pani... — wybełkotał — marze o tem... ale dwanaście tysięcy franków renty...

— Reprezentuje kapitał najmniej trzystu tysięcy franków.

— Tak... lecz czy podobna bym zebrał taką sumę?

— Kto wie! Wypadek czasem przychodzi w pomoc tym, którzy nań rachują. Jesteś pan inteligentnym...

— Nie mogę temu zaprzeczyć... to dar natury...
— Masz pan sumienie łatwe...
— Czy mam to wziąć za komplement czy za naganę?
— Za komplement.
— W takim razie przyznaję chętnie, że będąc obdarzony umysłem bystrym i rozległym, nie robię sobie kłopotu z bagażem przestarzałych skrupułów.
— A więc gdybyś pan znalazł na ulicy pugilares z trzystoma tysiącami franków, co byś uczynił?
— Nie zawahałbym się.
— Oddać go?
— Zachować sobie.
— I ja tak myślałam. Rada jestem, żem dobrze oceniła pana.
— Ale—nieśmiało zauważył Dufour—wszak nie dla tego co usłyszałem dotychczas, raczyła mię pani wezwać... W liście swym żądała pani, bym przybył *we własnym interesie.*
— Tak jest. Powiedziałam, że posiadam policję sekretną...
— I przekonała mię pani o tem.
— Dodałam nadto, że opłacam ją drogo.
— To rzecz naturalna: kto skąpi, nie może być dobrze obsłużonym — sentencjonalnie zauważył Dufour.
— W tej chwili właśnie potrzebuję człowieka pewnego i oddanego mi zupełnie.
— Mogę nim być...
— Inteligentnego i zręcznego.
— Jestem nim także. A ponieważ pani była ze mną otwartą, więc i ja będę szczerym. Poświęcenie bywa trzech stopni, stosownie do zapłaty... Jaki stopień potrzebny jest pani?
— Stopień pierwszy.

— Wobec takich warunków, to możemy się porozumieć łatwo, tembardziej, że pani uwzględni zapewne smutek, jakiego doznam opuszczając służbę u hrabiego de Lucenay, który jest panem dobrym...

— Nie opuścisz pan służby u niego.

— Nie opuszczę służby u hrabiego?—powtórzył Dufour zdziwiony.—Nie rozumiem pani. Ja myślałem, że pani chodzi o to, bym przyjął służbę u niej.

— Rzeczywiście, pragnę byś mi pan służył, lecz nie opuszczając hrabiego de Lucenay. Zamiast jednego, będziesz miał tylko dwóch panów, a tym sposobem i dwa zarobki. Jeżeli okażesz się pan godnym mego zaufania, marzenia pańskie staną się rzeczywistością dotykalną! W nagrodę otrzymasz pan dokument, zapewniający ci dwanaście tysięcy franków renty dożywotniej.

Dufour zbladł, następnie zarumienił się.

— Dwanaście tysięcy franków renty dożywotniej...—bełkotał—dla mnie?

— Dla pana i w przeciągu dwóch godzin gwarancję tak pewną, byś nie mógł pan powątpiewać o mojej obietnicy.

— Jestem gotów na wszystko! Ale dla osiągnięcia tego trzeba będzie robić rzeczy nadzwyczajne?

— Przeciwnie, bardzo małe.

— Cóż mianowicie?

— Zawiadamiać mię o wszelkich czynnościach hrabiego de Lucenay.

— Ah!...

— Potrzebuję wiedzieć nie tylko to co robi, ale wszystkie, na pozór nawet nic nie znaczące słowa. Chcę, byś pan przewidywał jego myśli i zawiadamiał mię o nich.

— Będzie pani wiedziała... będę szpiegował hrabiego w dzień i w nocy. W razie potrzeby za-

krądnę się nawet do jego sypialni i jeśli przez sen będzie mówił głośno, podsłucham go.

— Właśnie tego potrzebuję.

— Zadanie jest ciężkie, ale czuję się na siłach. Jak długo trwać będzie ten nadzór?

— Cały rok licząc od dnia dzisiejszego.

— Trzysta sześćdziesiąt pięć dni... długo!

— Dwanaście tysięcy franków dożywotniej renty... pomyśl-no pan tylko!

— To prawda...

— Bardzo jednak być może, że jeszcze przed upływem roku zwolnię pana z tego zobowiązania.

— Ale renta pozostanie?

— A naturalnie.

— Jakaż gwarancja?

— Gwarancją będzie kapitał złożony u notarjusza. Czy zgoda?

— Najzupełniejsza! Należę do pani duszą i ciałem! Niech pani mną rozporządza.

— Więc nie myliłam się rachując na pana. A teraz porozumiejmy się o szczegóły. Każdego wieczoru zredagujesz pan rodzaj protokółu o czynnościach dziennych hrabiego, podpiszesz go swem nazwiskiem i przyślesz go do mnie.

— Dobrze.

— Jeżeli z jakiejkolwiek wskazówki wywnioskujesz pan, że hrabia zamierza cokolwiekbądź przeciw markizowi de Valandelle, mnie lub komubądź innemu, uprzedzisz mię natychmiast...

— Przysięgam, nie stracę ani sekundy czasu. Ale potrzebuję wiedzieć prawdziwe nazwisko mej szlachetnej dobrodziejki...

— Nazywam się Magdalena Gallier... Hr. de Lucenay nienawidzi mnie i pragnie zgładzić ze świata... Ja zaś chcę się bronić... Rozumiesz więc pan...

— Ah! sapristi! rozumiem aż nadto dobrze! Życie to rzecz bardzo droga!

— Pańskim więc obowiązkiem będzie czuwać nad mojem, a pobudzać cię powinien i własny interes, gdyż jeżelibyś pan nie ostrzegł i stałoby się jakie nieszczęście, to osoby zobowiązane do pomszczenia nas, uważałyby pana za wspólnika i byłyby dla cię bez litości.

Dufour zadrżał.

— To nie nastąpi—odrzekł jednak z pewnością siebie—będę pilnował dobrze.

— Czy możesz pan przybyć tu za dwie godziny?

— Mogę, gdyż pan hrabia odjechał do Chennevières. Cały dzień mam wolny.

— Zanotuj pan teraz na papierze swe imię, nazwisko, miejsce i datę urodzenia, gdyż szczegóły te będą potrzebne do spisania aktu, o którym panu mówiłam.

Dufour spełnił polecenie.

— Dobrze; teraz możesz pan odejść, lecz wróć za dwie godziny.

Pan intendent ukłonił się aż do ziemi i wyszedł.

— No, muszę przyznać sobie, że mam nos—myślał, wracając do domu. — Domyśliłem się odrazu, że mój czcigodny pan, hr. de Lucenay, zamyślał coś nieczystego. Rozumiem teraz tę nagłą ochotę urządzenia muzeum nowego rodzaju. Wiem już co zamierza zrobić z lornetką Lobba... Odkrycie moje warte czegoś... Dobrzem uczynił zamilczając o niem... Przyda mi się ono, gdy będę posiadał już w kieszeni dokument, gwarantujący mi rentę... Dufourze, mój przyjacielu, zdaje mi się. że marzenie twoje wkrótce stanie się rzeczywistością! Co to znaczy być człowiekiem sprytnym!

Zniknięcie dziecka Henryki i jej boleść wywarły na p. Dauray, wrażliwego z natury, wpływ bardzo silny. Zdrowie jego, zachwiane od niejakiego czasu, nie wytrzymało tego ciosu. Walczył on odważnie i nie poddawał się, lecz z twarzy było widać, iż dni jego są policzone.

Spostrzegł to hrabia de Lucenay i tajona radość napełniła jego duszę.

— Czy jeździłeś pan do Seine-Port? — zapytał eks-bankier hrabiego.

— Nie jeździłem.

— Dla czego?

— Czekałem na powrót Anusi, chciałem się bowiem naprzód dowiedzieć, co stało się tam po jej odjeździe, ale to nie przeszkodziło mi myśleć o naszem dziecku.

— I cożeś uczynił?

— Byłem już w jednej z policyjnych ajencji prywatnych, umówiłem się z bardzo zręcznym ajentem i dałem mu pewne wskazówki.

Niepodobna było z większą bezczelnością kłamać bardziej prawdopodobnie. P. Dauray wierząc mu w zupełności, uścisnął jego rękę.

— Dziękuję ci za ten pośpiech—rzekł wzruszony. Gdyby dziecko się nie znalazło, nasza biedna Henryka umarłaby. A teraz chciałbym pomówić z tobą o rzeczy tylko mnie dotyczącej...

Wziął obie ręce hrabiego, uścisnął je serdecznie i mówił dalej:

— Byłem cierpiącym, nawet bardzo cierpiącym.. lecz mogłem jeszcze walczyć i żyć nawet dość długo... Wykradzenie córki Henryki...

— Niech pan powie naszej córki — przerwał hrabia.

— Wykradzenie waszej córki zadało mi cios, który powalił mnie ostatecznie. Nie powstanę już więcej...

— Co pan mówi! — zawołał żywo hrabia. — Z jakiego powodu nachodzą pana te myśli czarne i przeczucia smutne? Na szczęście, pan się myli, jestem przekonany... będzie pan żył jeszcze długo dla naszego szczęścia.

— Nie chciałbym zasmucać ciebie — odrzekł p. Dauray, potrząsając głową—lecz godzina złudzeń już przeszła! Jakkolwiek przywiązanie twoje do mnie jest wielkie, przygotuj się do tego, że mnie wkrótce utracisz.

— Na miłość Boga, niech pan tego nie mówi!

— Powinienem mówić, gdyż to jest prawdą! Za kilka tygodni, a może nawet za dni kilka, nie będzie mnie już między wami. Wiem, czuję to i dla tego to chciałem pomówić z tobą o przyszłości!

— Przyszłość jeszcze należy do pana!

— Pozwól mi mówić dalej. Mam nadzieję, że dzięki twym staraniom, dziecię Henryki zostanie odszukanem. Po mojej śmierci odziedziczy ona połowę naszego majątku... Połowa ta wyniesie cztery miljony.

Juljusz de Lucenay usłyszawszy te cyfrę, uczuł rozkoszne drżenie po całem ciele.

— Dopóki Henryka żyć będzie — ciągnął dalej eks-bankier—to stosownie do warunków intercyzy, korzystać będziesz z dochodów od tej sumy, w razie zaś jej śmierci suma ta jak również i trzy miljony posagu należeć będzie do jej... pańskiej córki, której zostaniesz opiekunem naturalnym, a znam cię zanadto dobrze, bym nie wierzył, że będziesz administrował jej majątkiem jak dobry ojciec rodziny... Oprócz kapitałów, o których wspomniałem, znajdują się jeszcze

posiadłości ziemskie. Możesz je sprzedać jeśli będziesz uważał za właściwe, wszakże z wyjątkiem położonej pod Lagny, gdzie pochowani są moi rodzice, gdzie i ja pragnąłbym być pogrzebanym. Czy przyrzekasz mi, że uszanujesz moją wolę?...

— Przysięgam ci ojcze!—zawołał Lucenay, udając wzruszenie. — Ale błagam pana, odpędź od siebie te smutne myśli... rozrywają mi one serce! Dobry i miłosierny Bóg przedłuży życie pańskie dla szczęścia drugich!

P. Dauray otarł łzę.

— Niech się spełni wola Boga! Bez obawy będę czekał śmierci. W całem życiu mojem nie uczyniłem krzywdy nikomu, a starałem się robić dobrze. Choć dusza moja jest smutną, lecz sumienie spokojne... Powiedziałem ci już, co pragnąłem byś wiedział... i nie mówmy o tem więcej.

W parę godzin hr. de Lucenay pod pozorem udania się do Seine-Port dla przeprowadzenia ścisłego śledztwa w sprawie zniknięcia dziecka, pożegnał się z państwem Dauray i Henryką i odjechał do Paryża.

— Cztery miljony więcej — myślał w drodze — i to w krótkim czasie, gdyż ten poczciwiec Dauray ma zupełną rację, mówiąc, iż niedługo pociągnie. I ja miałbym usłuchać się Magdaleny... Byłbym warjatem starając się o rozwód, gdyż straciłbym to wszystko! Jeszczeby czego brakowało!... Nie głupim... Jeżeli nie uda mi się pozbyć Magdaleny, to pomyślę o uwolnieniu się od Henryki... Lepiej zostać wdowcem niż brać rozwód! Zachowałbym wszystko!

Dufour nie zapomniał o przyrzeczeniu swem zgłoszenia się po dwóch godzinach do Damy w szmaragdach, lecz z obawy by go kto nie zobaczył, siadł

do powozu zakrytego, opuścił story i kazał woźnicy wjechać w dziedziniec.

Magdalena, stojąca w oknie, spostrzegłszy go wysiadającego z powozu, szepnęła:

— Ostrożny łotr!...—domyśliła się bowiem powodów tej przezorności.

Następnie zamknęła okno i położyła na stole sporządzony przez notarjusza akt, zapewniający Dufourowi rentę dożywotnią, czysty arkusz papieru stemplowego, kałamarz, pióro i trzy bilety bankowe po tysiąc franków każdy.

Gdy pokojowa wprowadziła *pana intendenta* do salonu, Magdalena, wziąwszy ze stołu akt notarjalny, podała mu go i rzekła:

— Czytaj pan!

Dufour drżącą ręką pochwycił papier i zaczął czytać powoli, rozważając każde zdanie, każdy wyraz. W miarę czytania niewymowna błogość zarysowywała się coraz bardziej na jego szerokiej twarzy, której szkarłatny kolor zdawał się nabierać jeszcze ciemniejszego odcienia.

— No cóż? — zapytała Magdalena, gdy Dufour skończył czytanie.

— Zdaje mi się, że akt napisany z zachowaniem wszelkich formalności.

— Tak jest rzeczywiście... Z dokumentu tego dowiedziałeś się pan, że renta wypłacaną będzie kwartalnie i pierwsza rata z góry... A teraz siadaj pan, weź pióro i pisz na tym stemplu to, co ci podyktuję.

Dufour patrzał na Magdalenę zdziwiony.

— Jestto konieczne—rzekła—pan masz gwarancję, więc i ja jej potrzebuję.

— Ma pani rację... — odrzekł.

Usiadł i zaczął pisać:

„Ja, niżej podpisany, Jan Dufour, pozostający obecnie w służbie u hrabiego Juljusza Armanda de Lucenay-Charente, zamieszkałego w Paryżu przy ulicy Cyrkowej, zobowiązuję się składać pani Magdalenie Gallier, zamieszkałej w Paryżu przy ulicy Faisanderie, codziennie sprawozdanie z czynów, mowy i giestów mojego pana, przez czas jednego roku, zaczynając od dnia dzisiejszego. Zobowiązuję się nadto zawiadamiać panią Magdalenę Gallier o wszelkich usiłowaniach mego pana, hr. de Lucenay, skierowanych bądź przeciw niej, bądź przeciw markizowi de Valandelle, bądź przeciw komu innemu. W nagrodę za te usługi markiz de Valandelle przyznał mi urzędowym aktem, sporządzonym przez notarjusza Emila Pinguet, zamieszkałego w Paryżu przy ulicy des Pyramides pod nr 18-ym, dożywotnią rentę w wysokości dwanaście tysięcy franków. W razie gdybym zdradził zaufanie pani Magdaleny Gallier przez zaniedbanie ścisłego powiadamiania jej o czynach i zamiarach mojego pana, akt przyznający mi rentę uważać będę za nieważny i niebyły.“

— Ależ jakim sposobem—zauważył Dufour przerywając pisanie—może pani sprawdzić ścisłość moich raportów?

— Bądź pan o to spokojny... Wysyłaj mi je pan tylko codzień regularnie... Znajdę sposób skontrolowania...

Dufour pochylił głowę.

— A teraz przeczytaj pan, podpisz datę i nazwisko swe... rozumie się, jeżeli pan się zgadzasz...

— Ależ zgadzam się i podpisuję obu rękami!

Gdy podpisał, Magdalena wzięła papier, przeczytała i rzekła:

— A teraz możesz pan zabrać akt notarjalny.

Dufour drżącą ręką pochwycił dokument, złożył go w czworo i schował do pugilaresu.

— A oto trzy tysiące franków, jako pierwsza rata renty.

Pan intendent nie dał sobie powtórzyć tego dwa razy i schował pieniądze do kieszeni.

— Jutro wieczorem oczekuję od pana pierwszego raportu—rzekła Magdalena.

— Jutro nie będę mógł przysłać raportu.

— Dla czego?

— Gdyż wyjeżdżam do Anglji.

— Czy do Londynu?

— Tak pani; a ponieważ już od tej chwili obowiązany jestem zdawać pani sprawę z czynów i zamysłów hr. de Lucenay, uczynię więc to teraz ustnie.

— Ze słów pańskich wnoszę, że to hr. de Lucenay wysyła pana do Londynu?

— Tak pani.

— W jakim celu?

— Dla zakupienia lornetki teatralnej.

— Żartujesz pan chyba?

— Nie, pani; mówię prawdę. Nie chodzi tu o zakupienie lornetki zwyczajnej, ale innej, osobliwej, mającej posłużyć hrabiemu za fundament muzeum, jakie pragnie założyć w pałacu.

— Jakiegoż to rodzaju muzeum?

Dufour opowiedział szczegółowo znaną już czytelnikom wczorajszą rozmowę swą z hr. de Lucenay.

Magdalena słuchała go z osłupieniem. Gdy skończył, zapytała:

— Czy to wszystko?

— Nie, pani. Mam jeszcze ciekawe szczegóły. Nigdyby się pani nie domyśliła, na czyje nazwisko mam dokonać kupna tej lornetki...

— Na czyje?

— Na imię pani Gabrjeli Stellini.
— Jego kochanki!
— Ah, więc pani wie o tem?
— Wiem o wszystkiem, co się tyczy mr. de Lucenay.
— Jeszcze jedna rzecz... Hrabia życzy sobie, abym podczas podróży i w samym Londynie nazywał się Juljuszem Claude...
Magdalena zadrżała.
— Juljuszem Claude!—powtórzyła.—Skąd hrabia wie o nim?
— I ja zapytywałem go o to, lecz odpowiedział mi, że nie wie nawet czy istnieje na świecie człowiek tego nazwiska.
— Więc skądże je wziął?
— Mówi, że przyszło mu na myśl przypadkiem i że powiedział je tak, jak mógłby powiedzieć każde inne.
— To nieprawda.
— I mnie wydaje się to nieprawdopodobnem.
Magdalena zamyślona, zaczęła chodzić po salonie. Nagle stanęła i dłonią uderzyła się w czoło.
— Przypominam sobie—szepnęła—to ja wymówiłam przed nim nazwisko Juljusza. Dla tego to hrabia uważa jego za mego sprzymierzeńca i swego nieprzyjaciela... Jestem pewną, że ta lornetka ma posłużyć mu do spełnienia jakiejś zbrodni. Lecz któż ma być ofiarą?... On sam tylko wie... Może ja... może Celestyn... może hrabina de Lucenay, jeżeli postanowił odziedziczyć i po niej majątek przed zaślubieniem Gabrjeli... a może zamierza pozbyć się naraz i Gabrjeli i Juljusza Claude... Za zamordowanie swej żony uczynić odpowiedzialną Gabrjelę we spółce z Juljuszem Claude—przyznać trzeba, że to kombinacja szatańska i godna tego nikczemnika. Na szczęście, wiem o tem, będę czuwała i przeszkodzę!

Dufour, widząc z twarzy Magdaleny, że pracuje myślą, zapytał:

— Znalazła pani co?

— Jeszcze nie... szukam...

— Czy życzy sobie pani wprowadzić jakie zmiany w programie wytkniętym mi przez hr. de Lucenay?

— Żadnych... Zmiana mogłaby skompromitować pana i ściągnąć na niego podejrzenie hrabiego. Proszę wykonać jego polecenie co do joty. Kiedy wrócisz pan?

— Powrócę za kilka dni.

— Więc oczekuję pańskiego raportu następnego dnia po powrocie.

— Będę akuratnym — odrzekł, głęboko ukłonił się kilka razy i wyszedł.

Gdy znalazł się w swem mieszkaniu, zacierając ręce, rzekł do siebie:

— Więc moje marzenie oblekło się w rzeczywistość!... Mam dwanaście tysięcy franków renty!... Dufourze, mój przyjacielu, sprytnyś... jestem z ciebie kontent!...

XXIX.

Hrabia de Lucenay przybywszy do Paryża, udał się wprost do Gabri, zjadł z nią śniadanie i zakomunikował radosną nowinę o spodziewanej niedalekiej śmierci p. Dauray, następnie powrócił do domu, gdzie wręczył Dufourowi znaczną sumę na kupno lornetki i koszta podróży do Londynu; wieczór zaś i noc przepędził na wesołej hulance z towarzyszami w paru kawiarniach.

Pan intendent następnego dnia przed północą stanął w Londynie i stosując się do rozkazu hrabiego, zapisał się w hotelu jako Juljusz Claude. Przespał się i około dziesiątej rano udał się do ratusza, gdzie miała się odbyć licytacja.

Tłum, złożony z osób należących do sfer rozmaitych, zapełniał przedsionek tak, że Dufour z trudnością zdołał przecisnąć się do sali, gdzie w szafach oszklonych spoczywały wystawione na widok publiczny przedmioty. Każdy z nich zaopatrzony był w kartkę, na której wypisane było nazwisko zbrodniarza i data usiłowanej zbrodni lub kary przestępcy. Ale największą ciekawość wzbudzała słynna lornetka. Wyglądała ona z pozoru bardzo niewinnie i elegancko; wokoło miała inkrustacje ze złota i srebra, wszystkie zaś widzialne części mechanizmu były cyzelowane bogato.

Jakiś anglik lat pięćdziesięciu, długi i suchy, ze zwieszonemi siwemi faworytami i binoklem między dwoma łukami brwi, pożerał ją wzrokiem chciwym.

Dwóch nieruchomych policjantów stało po bokach witryny. Nie dozwalali oni jednej i tej samej osobie stać przed nią i utrzymywali kolej przyglądających się.

Dufour, zmuszony postępować w szeregu, zatrzymał się przed lornetką na chwilę, przypatrzył się jej i wyszedł z sali. Następnie dla zabicia czasu zwiedzał przez resztę dnia osobliwości Londynu, wieczór zaś spędził w teatrze.

Nazajutrz o jedenastej rano wraz z tłómaczem hotelowym udało mu się zająć w sali licytajnej miejsce tuż przy stole, oddzielającym publiczność od przedmiotów sprzedawanych. O kilka kroków od niego stał niebezpieczny konkurent, widziany poprzedniego dnia chudy anglik, z katalogiem w ręku.

Licytacja rozpoczęła się o godzinie dwunastej. Z początku sprzedawano przedmioty mniejszej wagi,

dopiero gdy woźny ogłosił sprzedaż lornetki Lobba i położył ją na stole, nastąpiło głuche milczenie.

— Dziesięć funtów szterlingów—wygłosił woźny.

— Dwadzieścia funtów—odpowiedziano ze wszystkich stron sali.

— Trzydzieści funtow...

— Pięćdziesiąt...

— Sto funtów...

— Dwieście funtów...

— Pięćset funtów...

— Tysiąc funtów...

Nastąpiła chwilowa pauza. Dwadzieścia pięć tysięcy franków za lornetkę!... cyfra stawała się poważną. Wygłosił ją anglik z siwemi faworytami i był przekonany, że nikt wyżej nie postąpi.

Dufour przez cały ten czas milczał i uśmiechał się.

Woźny powtórzył ostatnią cyfrę po raz wtóry. Dufour szepnął parę wyrazów do ucha swemu tłómaczowi, który powstawszy, zawołał głośno:

— Tysiąc dwieście funtów szterlingów.

— Tysiąc trzysta—odparł anglik.

Teraz walka rozpoczęła się już tylko między anglikiem i Dufourem i ceny szybko podskakiwały po sto funtów.

— Tysiąc dziewięćset funtów! — zawołał anglik z wściekłością.

Tłómacz, spojrzał na Dufoura, który dał mu znak potwierdzający.

— Dwa tysiące funtów!—zawołał tłómacz.

Anglik potrząsnął głową.

— Ci ludzie umówili się, by mię pędzić w górę —szepnął.—Nie dam się złapać.

Pisarz widząc, że nikt nie postępuje, dał znak woźnemu, który, powtórzywszy ostatnią cenę trzy

razy, uderzył młotkiem i ogłosił kupno za dwa tysiące funtów szterlingów, t. j. pięćdziesiąt tysięcy franków.

Dufour wyjął pugilares i na stole kasjera złożył pieniądze.

— Pańskie nazwisko?—zapytał kasjer.

— Juljusz Claude... kupiłem dla pani Gabrjeli Stellini i proszę o wydanie kwitu na jej imię...

Otrzymawszy kwit, zabrał lornetkę i opuścił salę. Ale zaledwie znalazł się na korytarzu, gdy uczuł, że ktoś położył mu rękę na ramieniu. Obejrzał się zdziwiony i ujrzał młodego i eleganckiego człowieka.

— Przepraszam, że pana zatrzymuję — rzekł nieznajomy czystą francuzczyzną.

— Nic nie szkodzi—odrzekł Dufour—nie rozumiem tylko...

— Czego sobie życzę?—zaraz się pan dowiesz.—Wszak papier, który pan w tej chwili schowałeś do kieszeni, jest pokwitowaniem z wypłacenia sumy za kupioną lornetkę Lobba?

— Tak jest, lecz dla czego pyta pan o to?

— Dla tego, że chcę uczynić panu pewną propozycję.

— Jaką?

— Byś mi pan sprzedał to pokwitowanie.

— Pan chyba żartuje! — odrzekł Dufour, wzruszając ramionami.

— Wcale nie żartuję i proponuję na serjo.

— Na cóż panu ten kwit?

— Ot, tak sobie..a zbieram takie rzeczy... tak jak pan lornetki...

— W tej Anglji — rzekł Dufour śmiejąc się — co człowiek to zbieracz osobliwości. Nie mogę panu sprzedać tego kwitu, gdyż muszę przedstawić dowód ile zapłaciłem.

— Wróć się pan do sali, powiedz kasjerowi, żeś wydany kwit zgubił, dasz mu jeden lub parę funtów i otrzymasz nowy.

— Być może, lecz wolę ten, który mam w ręku.

— Daję panu pięćdziesiąt luidorów.

Dufour, który chciał już odejść, wstrzymał się.

— Pięćdziesiąt luidorów...—powtórzył.—Więc to nie żart?...

— Mówię na serjo.

— A więc, jeżeli dajesz mi pan pięćdziesiąt luidorów, to pokwitowanie to warto więcej.

— Dowcipny pan jesteś!—zauważył młody człowiek śmiejąc się.—Sto luidorów!

— Niech pan jeszcze postąpi.

— Dwieście!

— Pięć tysięcy franków!—zażądał Dufour.

— Zgoda.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— Potrzebuję pierwej dowiedzieć się, czy mogę dostać kwit nowy.

— Idź więc pan... Będę na pana czekał w hotelu Francuskim.

— I ja tam mieszkam. Niech pan idzie, ja wkrótce przyjdę.

W pół godziny Dufour wysiadał przed hotelem, przed którym na progu czekał nań nieznajomy. Weszli do salonu, gdzie Dufour wydał kwit, schował pieniądze do kieszeni i poinformowawszy się o czasie odejścia parostatku, w kilka godzin opuścił Londyn.

Następnego dnia po południu był już w swem mieszkaniu przy ulicy Cyrkowej.

Tymczasem w willi jaworowej eks-bankier już od dni kilku nie opuszczał pokoju. Zżółkła, zeszczupłała twarz jego, zapadnięte oczy i wzrastające z dniem każdym osłabienie przestraszały otaczające go osoby. Pani Dauray, idąc za radą hrabiego de Lucenay, który wydawał się bardzo zasmuconym chorobą swego teścia, prosiła lekarza o wyegzaminowanie go i nieukrywanie przed nią rzeczywistego stanu.

— Żądała pani odemnie — rzekł doktór wróciwszy od chorego — bym wyznał prawdę, jakkolwiek byłaby bolesną...

— Błagam pana o to.

— Otóż, muszę wyznać pani, że stan zdrowia p. Dauray jest bardzo poważny.

Pani Dauray wybuchła płaczem.

— Więc mąż mój jest chory niebezpiecznie?

— Niebezpiecznie.

— I życie jego jest zagrożone?

— Jakieś wzruszenie, nieprzewidziane wstrząśnienie moralne może go zabić.

— Cóż to za choroba?

— Choroba straszna... anewryzm.

Pani Dauray ukryła twarz w dłonie i przez kilka minut płakała w milczeniu.

— Czyż niema sposobu przedłużenia jego życia?

— Będę probował wszelkich środków, ale Bóg tylko może go ocalić... Zapiszę lekarstwo, lecz należy je kazać przyrządzić w Paryżu, gdyż apteka prowincjonalna nie posiada zapewne potrzebnych, wchodzących w jego skład substancji.

— Ja zajmę się tem—rzekł pośpiesznie Juljusz de Lucenay — pojadę sam natychmiast, każę przyrządzić i odeszlę nie zwlekając ani chwili.

— Użycie tego lekarstwa bardzo proste—mówił doktór po napisaniu recepty.—Do jakiegokolwiek bądź

napoju używanego przez pana Dauray, lecz ściśle do jednego litra, należy wsypać cały proszek i dwa razy dziennie dawać choremu po szklance. Nie potrzebuje on wiedzieć, że to jest lekarstwo, a łatwo będzie to przed nim ukryć, gdyż proszek ten nie zmieni smaku napoju, bądź wina, bądź buljonu.

— Ja sama będę mu podawała — rzekła pani Dauray.

— Ale niech pani zachowa wielką ostrożność i pamięta, aby nikt inny nie kosztował tego napoju.

— Dla czego?

— Dla tego, że środek ten, który w cierpieniu p. Dauray sprowadzi ulgę i przedłuży życie, zażyty przez osobę zdrową wywoła konsumcję ciała, mogącą się skończyć śmiercią, powolną ale nieuniknioną...

— Niech pan będzie spokojny... odpowiedzialność biorę na siebie. Będę bardzo ostrożną.

— Jestem tego pewnym—odrzekł doktór, wręczając receptę hrabiemu.

Juljusz schował ją do pugilaresu, pożegnał się z obecnymi, siadł do faetonu i odjechał. W parę godzin przyrządzone lekarstwo wysłał przez posłańca do willi jaworowej dla wręczenia do własnych rąk pani Dauray. Z apteki udał się na ulicę Cyrkową, gdzie ku wielkiemu zadowoleniu zastał oczekującego nań Dufoura.

— No cóż, udało się?—zapytał Juljusz.

— Najzupełniej.

— Gdzież lornetka?

— Oto jest?—odrzekł Dufour, wręczając ją.

Hrabia otworzył futerał, wyjął lornetkę i ostrożnie wyprobował jej mechanizm. Sprężyny wyskakiwały i za pokręceniem w kierunku odwrotnym znikały znowu.

— Ileż kosztuje?

Dufour wręczył hrabiemu pokwitowanie.

— Pięćdziesiąt dwa tysiące pięćset franków! — zawołał hrabia. — Słono zapłacona! Ale jestem kontent z ciebie, spisałeś się dobrze! Przed wyjazdem twym oprócz czeku wręczyłem ci trzy tysiące franków w złocie. Ile z tej sumy wydałeś?

— Prawie pięćset franków — odrzekł Dufour.— Zapisywałem wszystkie wydatki i rachunek wręczę panu hrabiemu.

— Niepotrzeba. Pozostałe dwa tysiące pięćset franków daję ci jako gratyfikację.

— Pan hrabia zasypuje mię dobrodziejstwami! Czy będę jeszcze potrzebny panu hrabiemu?

— Nie; możesz iść odpocząć po podróży.

Juljusz de Lucenay pozostawszy sam, myślał:

— Za kilka dni nie będę już potrzebował obawiać się Magdaleny Gallier!

Wyszedł z pałacu, siadł do powozu i odjechał.

Na chwilę tę oczekiwał Dufour i zaledwie brama za jego panem zamknęła się, wziął fiakra i kazał się zawieść na ulicę Faisanderie.

Człowiek ten *uczciwie* pracował na swe dwanaście tysięcy franków renty i lojalnie spełniał wszystkie warunki kontraktu.

Zatrzymał się naprzeciw pałacyku i kazał woźnicy zawrócić w dziedziniec, gdy wtem brama otworzyła się i na ulicę wyjechał powozik, w którym siedział młody człowiek.

Dufour spostrzegłszy go, zaledwie zdołał powstrzymać okrzyk zdziwienia. W wyjeżdżającym poznał nieznajomego, który w Londynie za pięć tysięcy franków kupił od niego kwit lombardowy.

Był to markiz Celestyn de Valandelle.

— Sapristi!—szepnął wierny sługa hrabiego de Lucenay—to mi kombinacja! Ta Dama w szmaragdach to tęga głowa!

Wjechał w dziedziniec, wysiadł i kazał się zameldować.

— Więc powróciłeś już pan...

— Tak, pani, i wierny przyjętym na się zobowiązaniom, przybywam zdać szczegółowy raport z mej podróży—odrzekł Dufour, wręczając Magdalenie sprawozdanie na piśmie.

Młoda kobieta przeczytała je uważnie.

Gdy doszła do ostatnich wierszy, Dufour, który nie spuszczał z niej oczu, spostrzegł, iż zmarszczyła brwi.

— Więc pan to nazywasz raportem szczegółowym i rzetelnym?

— Ależ, pani, zdaje mi się...

— Źle się panu zdaje! Opuściłeś pan jedną rzecz.

Dufour zrozumiał i zarumienił się.

— Rzeczywiście, pani...

— Widzisz pan, jak dalece mam rację rozciągając nad panem nadzór.

— Pani zapewne mówi o pokwitowaniu lombardowem?

— Które kupiono od pana za pięć tysięcy franków.

— To przez zapomnienie tylko nie uczyniłem o niem wzmianki.

— A przecież płacą panu za dobrą pamięć!

— To prawda; przysięgam, że to się więcej nie powtórzy.

— Gdzie w tej chwili znajduje się lornetka?

— Wręczyłem ją hrabiemu.

— A on co z nią zrobił?

— Schował do szufladki swego biurka.

— Potrzebuję wiedzieć, co z nią się stanie, uważaj więc pan dobrze. Nie zatrzymuję pana dłużej.

Dufour ukłonił się, wyszedł, siadł do fiakra i odjechał do domu.

Im bardziej zbliżał się dzień, w którym hrabia de Lucenay miał nadzieję pozbycia się Magdaleny, tembardziej czuł potrzebę życia gorączkowego, upojenia, zapomnienia dręczących go myśli. Pojechał po Gabrjelę i zabrał ją z sobą do lasku. Tam spotkał kilku przyjaciół i zaprosił ich na obiad. Gdy wesołe towarzystwo wstało od stołu, było już dobrze podchmielone. Po wyjściu z restauracji udali się do teatru, gdzie zająwszy dwie loże, zachowywali się tak hałaśliwie, że aż komisarz policji zagroził wyprowadzeniem z teatru. Wypadek ten z wymienieniem nazwisk ogłoszony został następnego dnia w kilku dziennikach. Z teatru znowu udali się na kolację. Juljusz stał się od niejakiego czasu tak niewstrzemięźliwym, iż zdawało się, że pił dla tego tylko by się upić. Gabri zamiast powstrzymywać go, nakłaniała jeszcze. Owładnięta myślą zostania hrabiną, chciała doprowadzić go do równego z sobą poziomu.

Hrabia po całonocnej orgji nie wrócił do domu Przespawszy się snem niespokojnym parę godzin w fotelu w restauracji, obudził się około dziesiątej rano z ociężałą głową, utrudzony, złamany. Sądząc, że ruch i świeże powietrze orzeźwi go, udał się piechotą na ulicę Cyrkową. I rzeczywiście po przejściu kilku ulic resztki ociężałości zniknęły i hrabia odzyskał zupełną przytomność umysłu.

Na ulicy Królewskiej machinalnie zatrzymał się przed wystawą magazynu z przedmiotami sztuki i osobliwości i przyglądał się pomieszczonym za szybą szkatułkom. Jedna z nich, srebrna, ślicznie cyzelowana, zwróciła szczególnie jego uwagę.

Hrabia chciał już wejść do magazynu, gdy jakiś elegancki młody człowiek uprzedził go, wszedł

i powiedział parę słów do kupca. Ten podszedł do witryny, wziął obserwowaną przez Juljusza szkatułkę i wręczył ją przybyłemu. Juljusz stanął w drzwiach i udawał, że przypatruje się innym przedmiotom. Tymczasem przybysz z kupcem targowali się.

— Widzi pan cenę napisaną na kartce... Dwa tysiące franków... nie mogę odstąpić ani grosza.

— Widzę, ale to za drogo... Tysiąc pięćset franków... to dość...

— Napróżno pan się targuje... Nie mówiąc już o wartości samego metalu, niech pan zwróci uwagę na robotę artystyczną. To arcydzieło i do tego z końca zeszłego wieku.

— Tysiąc ośmset franków; więcej dać nie mogę.

— Nie oddam nawet za tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

— W takim razie przepraszam pana za subjekcję—rzekł młody człowiek i wyszedł z magazynu.

Kupiec postawił szkatułkę na dawne miejsce.

— Ten targujący się amator—myślał hr. de Lucenay—nasunął mi doskonałą myśl zatarcia wszelkich śladów w razie, gdyby nastąpiło śledztwo sądowe.

Oddalił się od sklepu, uszedł ulicą kilkadziesiąt kroków i zbliżył się do posłańca publicznego.

— Czy znasz tamten sklep z przedmiotami sztuki?—zapytał hrabia, wskazując mu go.

— Znam; to magazyn Artura Mosèsa.

— Rzecz w tem... Targowałem tam przed chwilą szkatułkę srebrną, cyzelowaną i dawałem tysiąc ośmset franków, ale Mosès nie zgodził się i żądał koniecznie dwa tysiące. Nie kupiłem więc, ale teraz żałuję...

— To może pan wrócić się—zauważył logicznie posłaniec.

— Zapewne, ale nie pozwala mi na to miłość własna... Nie chcę powiedzieć mu, że zgadzam się, gdy oświadczyłem stanowczo, że nie ustąpię... Więc masz oto dwa tysiące franków i powiedz, że przychodzisz od tego młodego człowieka, który przed chwilą targował szkatułkę.

— Dobrze—rzekł posłaniec i odszedł.

W kilka minut Juljusz był w posiadaniu szkatułki, owiniętej w papier, dał posłańcowi dziesięć franków i nie chcąc by go widziano idącego z paczką w ręku, siadł do fiakra i odjechał na ulicę Cyrkową.

Dufour, który z okna swego pokoju czatował na powrót hrabiego, spostrzegłszy go idącego przez dziedziniec i ukrywającego pod paltocikiem jakiś przedmiot, rzekł do siebie:

— Sapristi! Co też pan hrabia niesie? Muszę się dowiedzieć... może wiadomość ta przyda się Damie w szmaragdach...

Hrabia de Lucenay zabawił u siebie parę godzin, zjadł śniadanie, poczem odjechał.

Dufour, jak wiemy, dumnym był ze swego sprytu. Jako lokaj, potrzebujący być świadomym wszystkich tajemnic swego pana, by w danym razie z nich skorzystać, meblując pałac, był tyle przezornym, że do wszystkich drzwi i mebli kazał dorobić po dwa klucze.

— Tym sposobem—mówił do ślusarza—uniknie się kłopotu w razie zatracenia klucza.

Zdaje się, że nic prostszego i logiczniejszego.

Wszedł do swego mieszkania, wyjął z zamkniętego kuferka pęk kluczów i odczepił jeden mały z przyczepioną doń kartką, na której był napis B. P. H. Litery te oznaczały: Biurko pana hrabiego.

Dufourowi można było zarzucić wiele rzeczy, ale nigdy braku uszanowania. Gdyby śmierć jego pana mogła mu przynieść korzyść wielką, bez najmniejszego skrupułu dopuściłby się morderstwa, ale spełniając je, wyraziłby się z całem uszanowaniem:

— Będę miał zaszczyt palnąć w łeb panu hrabiemu.

Był to szubienicznik, lecz nigdy nie pozwalający sobie na jakąkolwiek poufałość.

Zaopatrzywszy się w klucz, wrócił do gabinetu hrabiego, otworzył szufladę biurka, w której spostrzegł przedmiot jakiś obwinięty w papier.

— Co to może być?—szepnął.

Odjął papier i jako znawca zaczął przyglądać się szkatułce z zajęciem.

— Bardzo ładna rzecz!—mówił do siebie.—Ale dla czego hrabia, kupiwszy przedmiot sztuki, zamiast położyć go na miejscu widocznem, chowa w szufladce?

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Kluczykiem wiszącym u zamka otworzył szkatułkę i włożył w nią lornetkę Lobba. Pasowała doskonale.

— Więc mam rozwiązanie zagadki! — szepnął, zachwycony swą domyślnością.—Założyłbym się o własną głowę, że pan hrabia kupił tę szkatułkę, by posłać w niej komuś lornetkę. Ale komu?... Dowiem się...

Położył wszystko na swojem miejscu, zamknął szufladę i wrócił do swego mieszkania.

W kufrze, o którym wspominaliśmy, Dufour, oprócz kluczów posiadał wiele innych narzędzi, jak młotki, gwoździe, obcęgi, rozmaitych rozmiarów świderki, dłutka i t. d. i umiał obchodzić się z tem bardzo zręcznie. Wybrał jeden świderek, udał się

powtórnie do apartamentu hrabiego i w drzwiach prowadzących do gabinetu, zasłoniętych portjerami, wywiercił w niewidocznem miejscu mały otwór. Zebrał okruchy drzewa, przyłożył do otworu oko, uśmiechnął się z zadowolenia, poczem ze śpiewką na ustach powrócił do swego mieszkania.

Hr. de Lucenay po wyjeździe z domu udał się do klubu, gdzie spotkawszy się z kilkoma towarzyszami, przepędził z nimi kilka godzin tak wesoło, iż gdy zaproszeni przez niego na obiad, weszli na dziedziniec pałacu, Dufour ze zdziwieniem spostrzegł, iż chwiali się na nogach.

Przy obiedzie również nie żałowano sobie wina.

O jedenastej w nocy goście odjechali, pozostawiając hrabiego zupełnie pijanym. Juljusz przecież miał tyle jeszcze przytomności, że o własnych siłach udał się do pokoju sypialnego. Rozbierając się, rzucał ubranie lokajowi, poczem zawołał:

— Odejdź! Nie chcę by mię szpiegowano!

Lokaj wyszedł pośpiesznie i spotkawszy na schodach *pana intendenta*, odezwał się:

— Nasz pan dzisiaj strasznie czegoś gniewny!

Dufour uśmiechnął się tylko i poszedł dalej. Gdy przybył na pierwsze piętro, zagasił świecę, wszedł do salonu graniczącego z gabinetem hrabiego i dla zabezpieczenia sobie odwrotu, zostawił za sobą drzwi otwarte. Na palcach, powoli i by nie potrącić się o jaki przedmiot, z rozpostartemi rękami przebył cały salon, doszedł do drzwi gabinetu, uchylił portjerę i przyłożył oko do wywierconego rano otworu.

Hrabia blady, z włosami rozrzuconemi, stał nieruchomy przy biurku. Po kilku chwilach wyjął z kieszeni klucz i otworzył nim szufladkę biurka, wyjął szkatułkę, otworzył ją i przekonawszy się, że lornetka

jest na swojem miejscu, zamknął na powrót, pozostawiając kluczyk w zameczku.

— Dziwna rzecz, jak trafnie przewidziałem!... Mam nos...—mówił do siebie Dufour.—Pan hrabia kupił szkatułkę umyślnie dla pomieszczenia w niej lornetki Lobba.

Hrabia obwinął szkatułkę w papier, obwiązał wstążeczką, następnie wziąwszy z biurka świecę, chwiejąc się, wyszedł do pokoju sypialnego.

— Po co on tam poszedł?—zapytywał się Dufour zaciekawiony.

Po kilku minutach hrabia wrócił z pugilaresem w ręku i z pośród znajdujących się w nim papierów wyjął kartę wizytową. Umieścił ją na szkatułce pod wstążeczką i przypiął szpilką. Poczem położył napowrót szkatułkę do szufladki i zamknął ją na klucz.

Przez cały czas tej czynności jakieś dzikie światło tryskało z oczu jego i złośliwy uśmiech błąkał się po ustach.

— Więc jutro—szeptał—zemszczę się nakoniec!

Wziął świecę, odszedł do pokoju sypialnego i zamknął drzwi za sobą.

Dufour nieruchomy stał przy drzwiach cierpliwie. Nareszcie po półgodzinnem oczekiwaniu przypuszczając, że hrabia musiał już zasnąć, ostrożnie wśliznął się przez drzwi i na palcach zbliżył się do biurka. Otworzył kluczykiem szufladę, zapalił zapałkę i zbliżywszy ją do szkatułki, spostrzegł na niej bilet wizytowy z napisem: *Markiz Celestyn de Valandelle*, ulica Matignon, 17.

Dufour ze zdziwienia zaledwie mógł stłumić okrzyk. Zamknął szufladę, wyszedł z gabinetu, w salonie zapalił świecę i udał się do swego mieszkania.

Znalazłszy się w swoim pokoju, *pan intendent* padł na fotel.

— Markiz de Valandelle...—szeptał głosem drżącym—więc to markiza de Valandelle chce się pozbyć! Nie mógł zabić go w pojedynku, więc chce go zamordować i dla tego to kazał mi pod nazwiskiem Juljusza Claude kupić lornetkę Lobba na rachunek Gabrjeli Stellini i pragnie na nich zwalić odpowiedzialność za zbrodnię... Plan dobrze obmyślany, panie hrabio, ale nic z niego nie będzie! O Juljusza Claude i Gabrjelę nie dbam... niech co chce dzieje się z nimi, nie będę przeszkadzał, ale co do markiza de Valandelle, mego dobroczyńcy, który ofiarował mi rentę dożywotnią... inna rzecz! Hola, panie hrabio de Lucenay... nie dosięgniesz go! Potrzeba uprzedzić Damę w szmaragdach i markiza samego!... Trzeba wszelkiemi środkami przeszkodzić zbrodni! Tu niema co się namyślać... Czasu mam dość. Hrabia śpi i z pewnością nie wyprawi szkatułki w nocy. Jutro, zanim się obudzi, uprzedzę markiza de Valandelle i prześlę raport p. Magdalenie Gallier.

Uspokoiwszy się takiem rozumowaniem co do swej renty dożywotniej, Dufour siadł do stołu, napisał dzienny raport, poczem poszedł na spoczynek.

O godzinie szóstej rano spał jeszcze w najlepsze, gdy hrabia de Lucenay, przebudziwszy się prawie o świcie, ubrał się pośpiesznie i przeszedł do gabinetu.

— Musi się udać—mówił do siebie.—Wyprawię szkatułkę tak wcześnie, by markiza tam jeszcze nie było. Gdy Magdalena zadzwoni na swą pokojowę, ta wejdzie i wręczy jej posyłkę. Dołączona karta wizytowa, którą otrzymałem w zamian za moją w foyer teatru w wigilję pojedynku, upewni Magdalenę, że to markiz de Valandelle przysyła jej jakiś prezent... Kobiety są ciekawe... więc i ona rozwinie posyłkę, by przekonać się, co w sobie zawiera. Obejrzawszy

szkatułkę, otworzy ją, spostrzeże lornetkę i wyjmie ją z futerału. Pierwszym jej ruchem, ruchem naturalnym, instynktowym, będzie przyłożenie do oczu dla przekonania się, czy dobrą jest dla jej wzroku... Poruszy mechanizm i nie wydawszy nawet okrzyku, padnie martwą... Będę nareszcie pomszczony i za obawę jaką wywołuje we mnie i za sprawione mi upokorzenie... I będę wolnym!... Będą szukali sprawcy... niech szukają, jestem spokojny... nie trafią na ślad rzeczywisty.

Nacisnął guzik połączony przewodem elektrycznym z dzwonkiem w pokoju Dufoura.

Pan intendent tylko co się ubrał i zabierał się do wyjścia, gdy usłyszał wezwanie.

— Do djabła!—zawołał z gniewem—więc hrabia już wstał i wzywa mię. Nie mogę wyjść... Oby się choć nie spóźnić.

Zdjął z siebie palto i pobiegł do hrabiego.

— Pan hrabia już wstał!—zawołał, udając zdziwienie.

— Jak widzisz—odrzekł Lucenay.

— Co za nierozwaga!

— Dla czego?

— Pan hrabia był wczoraj cierpiącym i potrzebuje spoczynku.

— Byłem tylko trochę zmęczonym.

— Pan hrabia dziś bledszy niż zazwyczaj.

— Źle spałem.

— Pan hrabia dzwonił na mnie... czy pan hrabia ma mię gdzie posłać?

— Nie. To ja muszę wyjść wcześnie. Powiedz, by zaprzężono konie na wpół do dziewiątej.

— Czy pan hrabia powróci na śniadanie?

— Nie. Przepędzę cały dzień w Chennevières.

— Czy pan hrabia pozwoli mi zapytać, jak obecnie zdrowie pani hrabiny?

— Lepiej. Czy półmiesięczne rachunki twe gotowe?

— Gotowe.

— Rozpatrzę je przed wyjazdem. Przyślij mi lokaja.

Dufour wyszedł, gryząc wargi ze złości.

— Możnaby przypuszczać, że umyślnie stara się przeszkodzić mi wyjść. Na szczęście, dopóki sam nie wyjdzie, niema niebezpieczeństwa!

W kilka minut przyniósł rachunki i wręczył je hrabiemu.

Juljusz zaczął je przepatrywać, lub przynajmniej udawał, że przepatruje, lecz mimo uderzająco wygórowanych cyfr, nie uczynił żadnej uwagi.

O wpół do dziewiątej zaszły konie i hrabia odjechał.

Zaledwie wrota zamknęły się za powozem, Dufour pobiegł do gabinetu, w którym widzieliśmy go w nocy i otworzył szufladę biurka.

Szkatułki nie było!

Hr. de Lucenay, siadając do powozu, ukrył ją pod paltocikiem tak zręcznie, iż Dufour, pomimo zważania na wszystkie jego ruchy, nie dostrzegł jej wcale.

Ścisnął pięście ze złości, zamknął z trzaskiem szufladę, pobiegł do swego mieszkania, pochwycił pośpiesznie palto i kapelusz i wypadł na ulicę. Pędem, że aż przechodnie zwracali nań uwagę, skierował się na ulicę Matignon do pałacyku markiza de Valandelle.

Hrabia przybywszy na bulwar Magdaleny, kazał woźnicy zatrzymać się i ukrywając szkatułkę pod paltotem zwieszonym na ręku, rzekł:

— Czekaj na mnie przed kawiarnią de la Paix.

Woźnica odjechał. Wtedy Lucenay pieszo udał się na ulicę św. Łazarza i spotkawszy posłańca publicznego, zatrzymał go i zapytał:

— Czy znasz ulicę de la Faisanderie?

— Znam. To w Passy, zaczyna się od alei Lasku Bulońskiego.

— Zaniesiesz tę paczkę pod nr 22-gi dla p. Magdaleny Gallier. Czy nie zapomnisz nazwiska?

— Nie zapomnę.

— Zresztą omylić się nie powinieneś, gdyż pałacyk ten stoi oddzielnie, a ta pani mieszka w nim sama. Wręczysz paczkę odźwiernemu, a jeżeli ten zapyta się, kto cię przysłał, wskażesz mu ten bilet wizytowy — rzekł Juljusz, okazując posłańcowi bilet markiza de Valandelle, przypięty szpilką do papieru, w której obwinięta była szkatułka.

— Stąd na ulicę de la Faisanderie kurs jest długi, więc weź fiakra, na co ci daję trzy franki, a oto masz pięć franków za twoją fatygę.

— Dziękuję panu.

Hrabia Lucenay oddalił się dopiero wtedy, gdy spostrzegł posłańca wsiadającego do fiakra i usłyszał wymówiony adres: nr 22-gi przy ulicy Faisanderie.

Spokojny, że polecenie jego spełnione będzie bez zwłoki, udał się do swego powozu i odjechał do Chennevières.

Wywołany w teatrze przez hr. de Lucenay skandal, do którego wmieszała się aż policja, stał się głośnym w całym Paryżu, tembardziej, iż dnia następnego w jednym z najbardziej poczytnych dzienników pojawił się artykuł następujący:

„Wczoraj w teatrze „Vaudeville“ odbyło się przedstawienie nie tylko na scenie, lecz i na sali

widzów. Tylko, że drugie z tych przedstawień, w najwstrętniejszym rodzaju, tak wielce zgorszyło publiczność, iż interwencja policji okazała się nieunikniona. Kilku młodych ludzi, należących do eleganckiego świata, a między nimi bohater niedawnego pojedynku, okrytego, nie wiemy dla czego, pewną tajemnicą, zajmowało dwie loże pierwszego piętra, w towarzystwie pewnej damy, aż nadto dobrze znanej. Panowie ci wraz z swą towarzyszką wszczęli taki hałas i zachowywali się tak nieprzyzwoicie, że trzeba było aż zagrozić im wydaleniem, by powstrzymać w granicach przyzwoitości.

Smutna rzecz wyznać, iż bohater tajemniczego pojedynku i przywódca tego kółka, tytułowany protektor dobrze znanej damy, nosi jedno z piękniejszych nazwisk francuskich, jest hrabią, jest bogatym, przynajmniej przez swą żonę, gdyż przed kilkoma miesiącami zaślubił młodą i zachwycającą córkę jednego z najbardziej szanowanych naszych finansistów.

Co zaś smutniejsze, że gdy mąż urządza nocne orgje w gabinetach restauracyjnych i skandale w teatrach, młoda małżonka jego leży chora, może umierająca, w domu rodziców swych w okolicach Paryża, w willi nad rzeką Marną, w Chennevières. Czyż może być boleśniejszy dramat domowy?

Usłuchaj naszej rady panie hrabio J. de L...-C... i odjedź raczej do żony, która cierpi i płacze. To będzie lepiej niż dawać się poskramiać przez publiczność i trudzić komisarzy policyjnych!“

XXX.

Artykuł ten pomieszczony był w jednym z prenumerowanych przez p. Filipa Dauray dzienników i czytywanym przez niego z przyjemnością.

W willi jaworowej otrzymywano dzienniki o dziewiątej rano, pan Dauray zaś przeglądał je przed obiadem.

Zażyte w wigilję tego dnia lekarstwo wywarło skutek przewidziany przez doktora. Eks-bankier spał przez siedm godzin zrzędu, co mu się nie zdarzyło już od dość dawna. Wstał orzeźwiony, spokojny i weselszy.

— Zdaje mi się, że pan ma się dziś znacznie lepiej—rzekł Germain uradowany, wszedłszy o dziewiątej do pokoju eks-bankiera.

— Nie mylisz się, mój poczciwy Germainie; rzeczywiście czuję się dziś lepiej.

— Chwała Bogu!

— Ale czas już wstawać.

— Tak wcześnie? Nie boi się pan utrudzenia?

— Nie; czuję się silnym. Przeciwnie, pozostawanie w łóżku zmęczyłoby mię.

Germain ubrał swego pana, poczem przytoczył do okna szeroki i głęboki fotel, przy którym ustawił mały stolik i złożył na nim świeże gazety.

Eks-bankier zasiadł w fotelu i zaczął przeglądać swój ulubiony dziennik. Naprzód z przyzwyczajenia przebiegł oczyma kursa na giełdzie i dowiedziawszy się o sytuacji wielkiego targu kapitałów, zabrał się do czytania kroniki paryskiej, wypadków i wiadomości z teatru.

Gdy zaczął czytać artykuł o bohaterze pojedynku świeżego i tajemniczego, zamyślił się i rzekł do siebie:

— Dziwny zbieg okoliczności! P. Lucenay miał także pojedynek, którego powód nie wydaje mi się dość jasnym... Ale to tylko zbieg okoliczności...

I czytał dalej.

— Co to znaczy?—szepnął, namarszczywszy brwi, gdy doszedł do miejsca: „jest hrabią, jest bogatym, przynajmniej przez swą żonę, gdyż przed kilkoma miesiącami zaślubił młodą i zachwycającą córkę jednego z najbardziej szanowanych naszych finansistów.“

— Ależ to mowa mnie!—zawołał przestraszony.—To Henryka! Czy ja marzę?

Niestety, nie marzył. Wkrótce przekonał się o tem, czytając dalej: „Co zaś smutniejsze, że gdy mąż urządza nocne orgje w gabinetach restauracyjnych i skandale w teatrach, młoda małżonka jego leży chora, może umierająca w domu rodziców swych w okolicach Paryża, w willi nad rzeką Marną, w Chennevières.“

Dalsze powątpiewanie było niemożliwe, tembardziej, iż wymienione następnie pierwsze litery imienia i nazwiska J. de L...-C... wyraźnie oznaczały: Juljusz de Lucenay-Charente!

Dauray upuścił dziennik i blady, drżący z gniewu, zawołał:

— Nikczemnik!... Jego żona leży chora, a on kompromituje się w teatrach z kochanką i zachowuje się tak skandalicznie, że aż dzienniki obrzucają go błotem. Łotr! On myśli, że mu wszystko wolno, lecz się myli! Jeszcze mi Bóg użyczy tyle życia, bym mógł go ukarać!

W chwili, gdy Dauray wymawiał te wyrazy, turkot powozu, wjeżdżającego na dziedziniec, doleciał jego uszu.

Jakkolwiek cały przejęty oburzeniem, machinalnie spojrzał w okno i spostrzegł wysiadającego z powozu hrabiego de Lucenay.

Wszystka krew uderzyła mu do głowy. Zdawało się, że padnie, rażony apopleksją, ale po kilku sekundach oprzytomniał i zadzwonił gwałtownie

Nadbiegł Germain.

— W tej chwili przyjechał hr. de Lucenay... idź naprzeciw niego i poproś, by przyszedł do mnie natychmiast... Czekam na niego...—rzekł Dauray tonem stosunkowo spokojnym, nie chcąc wywoływać komentarzy wśród służby.

W dwie minuty hr. Juljusz de Lucenay z uśmiechem na ustach wszedł do gabinetu swego teścia i wyciągnął ku niemu dłoń.

Eks-bankier nie podał swej. Stał nieruchomy, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z dzikim ogniem, tryskającym mu z pod powiek.

Jeden rzut oka wystarczył Juljuszowi do zdania sobie sprawy z nieprzyjacielskiej postawy jego teścia, który dotychczas przyjmował go z taką serdecznością.

Więc musiało się coś tu stać niezwykłego. Ale co?

— Życzył pan sobie, bym przyszedł natychmiast, przybyłem więc, nie powitawszy nawet żony mojej...

— Tak...—odrzekł p. Dauray. — Chciałem z panem pomówić... Nie mogłem czekać...

— Jestem na pańskie rozkazy... O cóż to chodzi?

— Nie domyślasz się pan?

— Skądże mogę domyślić się?

— Więc sumienie pańskie nic nie mówi?

— Wytłómacz się, kochany teściu. Nie rozumiem cię...—odrzekł hrabia tonem lekceważącym, który wywołał w p. Dauray nowy wybuch gniewu.

— Panie de Lucenay—zawołał—oszukałeś mię niegodziwie!

„O czem on może wiedzieć?" zapytywał się hrabia, a głośno rzekł:—Daję panu słowo honoru, że nic nie rozumiem.

— Zaślubiając mą córkę, niewinną ofiarę zbrodni, mówiłeś, że spełniasz czyn poświęcenia rycerskiego i honor nasz zasłaniasz swoim...

— Alboż nie spełniłem tego?

— Nie spełniłeś pan!

— Czyż nie pokryłem plamy mem nazwiskiem?

— Nie dałeś go pan, lecz sprzedałeś!... W małżeństwie tem szukałeś pan tylko majątku...

— Panie...—zawołał Juljusz, chcąc odpowiedzieć.

Eks-bankier, którego gniew wzrastał z każdą chwilą, przerwał mu:

— Tak, majątku i tylko majątku! Miljonów, któreby dozwoliły ci pędzić dalej życie rozpustne! Miljonów dla opłacenia kochanek i wyprawiania orgji! Skłamałeś, panie Lucenay! Jesteś hipokrytą i łotrem!

Juljusz pomimo swego cynizmu, zbladł.

— Pan mnie znieważasz!—wybełkotał—a zarówno od pana jak od nikogo nie ścierpię słów podobnych!

— Doprawdy? a jednak musisz je przyjąć i ode mnie i od innych! Cały Paryż wie w tej chwili, że gdy twoja żona leży cierpiąca w domu rodziców, ty wyprawiasz skandale w teatrach, do których przychodzisz pijany w towarzystwie kochanki i przyjaciół, pijanych równie jak ty!

— To kłamstwo!—odparł bezczelnie Juljusz, nie mógł bowiem domyślić się na czem teść jego opierał swe oskarżenie.

— I pan zaprzeczasz?

— Zaprzeczam stanowczo! Kto mię tak niegodziwie oczernił przed panem?

— Więc czytaj! — odrzekł eks-bankier, podając mu dziennik.—Czytaj! a zobaczysz swe nazwisko wydane na pogardę publiczną! Czytaj!

Lucenay pochwycił dziennik, przebiegł wzrokiem artykuł, następnie podarł dziennik i z wściekłością rzucił kawałki na posadzkę.

— Cóż mię obchodzą kłamstwa dzienników?—odrzekł tonem wyzywającym, podnosząc głowę.—Widzę, że szukasz pan sporu ze mną. Wszystko to jest zmyślenie i fałsz! Ale przypuśćmy, że byłoby nawet prawdą... Czyż nie jestem człowiekiem niezależnym?...

— Nie, nie jesteś pan swobodnym, jeżeli czyny pańskie przynoszą hańbę drugim.

Hrabia wzruszył ramionami.

— Wierz mi pan, panie Dauray—odrzekł z bezczelnością demaskującego się bandyty—lepiej pan uczynisz, nie mówiąc o honorze innych. Cóżby się stało z pańskim, gdybym go swym nie zasłonił?

Eks-bankier wydał głuchy okrzyk i zachwiał się.

— Nikczemny!—zawołał głosem stłumionym, postępując ku hrabiemu.

— To co uczyniłem, mnie tylko obchodzi — odrzekł Lucenay z cynizmem.—Co zaś do miljonów, których użycie wyrzucasz mi pan, zarobiłem je słusznie, dając moje nazwisko pańskiej córce! Nie tak to łatwo było wydać zamąż pannę Henrykę Dauray! Los wam posłużył, nastręczając mię na zastępcę ojca...

— Podły! — zawołał eks-bankier i dał policzek swemu zięciowi.

Hrabia podniósł rękę, by go uderzyć, ale nie miał już czasu. P. Dauray wydał krzyk chrapliwy, rękami uderzył kilka razy w powietrzu i blady, z rozwartemi szeroko oczyma, jak bezwładna masa runął na posadzkę.

Juljusz Lucenay na chwilę przerażony, cofnął się o krok, ale prawie natychmiast zbliżył się i nachylił nad ciałem.

— Nie żyje—rzekł do siebie—i oto paroksyzm gniewu uczynił mię panem czterech miljonów! Jakaż szczęśliwa gwiazda przywiodła mię dziś rano do Chennevières!

Zebrał pośpiesznie kawałki podartego dziennika i schował je do kieszeni. Następnie zadzwonił gwałtownie, otworzył drzwi i głośno zaczął wzywać pomocy.

Na krzyk jego nadbiegł stary lokaj.

— Germain... Germain...—wołał, udając przerażenie—poślij natychmiast po doktora i proś tu panią Dauray...

— Boże mój, co się stało?—jęczał Germain cały drżący...

— Pan Dauray dostał apopleksji... Upadł i nie oddycha...

— Ah!... Boże miłosierny!... Mój biedny pan...

Nadbiegła pani Dauray.

Usłyszawszy ostatnie wyrazy, wpadła do pokoju i odpychając hrabiego, który udawał, że chce ją powstrzymać, krzyknęła strasznie i z jękiem rzuciła się na kolana przy ciele męża.

Doktór, znajdujący się w pokoju Henryki, uprzedzony dyskretnie przez Germaina, nadbiegł z kolei, nachylił się nad eks-bankierem i przyłożył rękę do serca.

— Doktorze... doktorze... — wołała p. Dauray łkając i składając ręce—on żyje, nieprawdaż? Pan go ocalisz?...

— Niestety! pani — odrzekł lekarz powstając — nie mogę nawet dać nadziei... nie żyje... Stan p. Dauray budził obawy, ale nie przypuszczałem katastrofy tak bliskiej!... Co tu się stało?...

— Gdy przybyłem—rzekł hr. de Lucenay—zastałem mego teścia siedzącego... Usiadłem naprzeciw niego i rozmawialiśmy najspokojniej. Nagle podniósł się i głosem zmienionym powiedział:—„To dziwne... Słabo mi...“—I w tejże chwili zbladł i zachwiał się... Chciałem go podtrzymać i rzuciłem się ku niemu, ale za nim zdołałem pochwycić go, padł na posadzkę...

— To było nieuniknione, wcześniej czy później—szepnął lekarz.—Niech pan się stara, aby pani de Lucenay nie dowiedziała się o tym bolesnym wypadku. Wiadomość ta przy dzisiejszym jej stanie zdrowia, mogłaby ją zabić.

— Po mężu córka! — jęknęła p. Dauray powstając. — To za wiele na raz, doktorze! Nie przeżyłabym!...

— Uspokój się, moja matko — rzekł Juljusz, obejmując panią Dauray i przyciskając ją do serca. — Bóg ulituje się nad nami i ocali naszą drogą Henrykę.

Doktór dał znak hrabiemu, by wyprowadził p. Dauray. Zrozpaczona, prawie nieprzytomna, dała się odprowadzić.

Ciało eks-bankiera złożono na łóżku i przebrano; Germain złożył na jego piersiach krzyżyk, ustawił i zapalił świece.

Doktór zalecił Anusi, by starała się nie dopuścić do swej pani wiadomości o śmierci ojca, mogłaby bowiem wpaść w recydywę.

— Będę milczała—odrzekła pokojowa.—Potrafię ukryć mą boleść.

I dotrzymała słowa. Pani Dauray, nie czując się zdolną zamknąć w sobie swej rozpaczy i okazywać spokój, nie zachodziła tego dnia do pokoju córki. Wytłomaczono jej nieobecność chwilową niedyspozycją i powiedziano, że eks-bankier w interesach wyjechał na dni kilka.

Głębokie wzruszenie panowało w willi jaworowej, gdyż eks-bankier, jak wiemy, uwielbiany był przez swą służbę.

Juljusz de Lucenay polecił Germainowi udać się do merostwa z zawiadomieniem o zgonie p. Dauray, sam zaś odjechał do Paryża dla poczynienia przygotowań do pogrzebu, który trzeciego dnia rano miał się odbyć w Chennevières. On także miał wyprawić listy do przyjaciół z zaproszeniami na tę smutną ceremonję.

Gdy straszny ten dramat, którego powód miał zostać dla wszystkich w tajemnicy, odbywał się w Chennevières, oto co współcześnie działo się w Paryżu.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że Dufour zaraz po wyjeździe hr. Lucenay pobiegł do pałacyku markiza de Valandelle. A ponieważ z ulicy Cyrkowej na ulicę Matignon było blisko, w kilka więc minut zmęczony, zadyszany, znalazł się u drzwi i zadzwonił gwałtownie.

— Czego pan chcesz?—zapytał odźwierny otwierając drzwi i starając się mu zagrodzić drogę.

Ale Dufour przepchnął się siłą i zawołał głosem urywanym:

— Pan markiz de Valandelle...

— Tutaj... Ale czego pan chcesz?

— Potrzebuję się z nim zobaczyć.

— Pan markiz nie przyjmuje...

— Mówię panu, że muszę się zobaczyć...

— To być nie może...

— Zobaczymy... Czy przyniesiono tu przed chwilą jaki pakiet dla pana markiza?

— A panu co do tego?

— Słuchaj-no, panie odźwierny. Nie przez ciekawość pytam się o to, lecz dla tego, by przeszkodzić zbrodni.

— Zbrodni!—powtórzył odźwierny zdziwiony.

— Tak, zbrodni okropnej! Odpowiedz mi pan więc, czy przynoszono tu dziś rano pakiet obwinięty w papier, przewiązany wstążeczką różową?

W tej chwili Celestyn wyszedł na peron, by siąść do oczekującego nań powozu. Spojrzał na człowieka rozmawiającego żywo z odźwiernym i od pierwszego rzutu oka rozpoznał Dufoura.

— Co to takiego?—zapytał.

Dufour odwrócił się i ze swej strony również poznał młodego człowieka, który w Londynie kupił od niego kwit z opłaty za lornetkę Lobba i którego dnia poprzedniego spotkał przy wyjściu od Damy w szmaragdach.

— Ah, więc to pan markiz de Valandelle!—zawołał, podbiegając ku niemu.

— Ja nim jestem...

— Dzięki Bogu, przybyłem wczas jeszcze! Więc pan markiz żyje!

— Żyję—odrzekł Celestyn z uśmiechem.—Alboż życiu memu groziło niebezpieczeństwo?

— Straszne! Czy nie przyniesiono dziś rano panu markizowi jakiego pakietu?

— Nie.

— Więc przyniosą lada chwila, ‿ęcz pakiet ten to śmierć!

— Wytłómacz się pan jaśniej.

— To dla pana markiza przeznaczona była kupiona w Londynie lornetka Lobba ze swym szatańskim mechanizmem...

— Jesteś pan pewny?

— Jakto, czy jestem pewny? Widziałem na własne oczy! Dziś w nocy hr. de Lucenay schował ją w srebrną szkatułkę...

— I cóż dalej?

— Obwinął w papier, obwiązał wstążeczką i na wierzchu przypiął bilet wizytowy pana markiza.

— Chcesz pan powiedzieć zapewne, że na bilecie napisał mój adres...

— Ależ nie... adres był wylitografowany pod nazwiskiem. Był to bilet wizytowy pana markiza. Zdaje się, że bilet ten przypięty był dla tego, by posłaniec nie zapomniał nazwiska i adresu pana markiza.

— Moje nazwisko... mój adres... mój bilet—mówił Celestyn, nie rozumiejąc dobrze o co chodzi.

Nagle w umyśle jego zrobiło się jasno i krzyk zgrozy wyrwał się z ust jego.

— Co panu markizowi stało się? — zapytał Dufour niespokojny.

— Nikczemnik! zbrodniarz!—zawołał Valandelle. —To nie mnie chciał on zgładzić!

— Kogo więc?

— Panią Magdalenę Gallier... Boże mój! Boże! Obyśmy choć w czas przybyli! Siadaj pan czemprędzej do mego powozu... Niech otwierają bramę! Józef! ulica Faisanderie! ile konie wyskoczą!

Odźwierny otworzył bramę, przez którą wypadł powóz i popędził ku Polom Elizejskim.

Uprzedźmy markiza de Valandelle w pałacyku przy ulicy Faisanderie.

Magdalena dnia tego wstała i ubrała się wcześnie. Oczekiwała na Walentynę, z którą, oraz z markizem de Valandelle miała uczynić wycieczkę do Ville-d'Avray i zjeść tam śniadanie w restauracji, położonej w malowniczej miejscowości na brzegu jeziora. Walentyna przybyła o wpół do dziesiątej. Obie przyjaciołki siedziały w salonie i rozmawiały. Powóz zaprzężony oczekiwał w dziedzińcu.

Wybiła godzina dziesiąta, Magdalena zaczęła się niecierpliwić.

— Dziwna rzecz, że Celestyn, tak zawsze akuratny, dotychczas nie przybył.

Zaledwie wymówiła te słowa, u drzwi rozległ się dźwięk dzwonka.

— To on, z pewnością — zawołała Walentyna, biegnąc do okna, lecz po kilku sekundach dodała: — Nie, to nie on, to jakiś posłaniec...

— Oby choć tylko nie przyniósł odwołania dzisiejszej wycieczki — rzekła Magdalena, stojąc pod lustrem i poprawiając włosy.—Czy ma list w ręku?

— Nie; wręcza jakiś pakiet odźwiernemu.

Po chwili do salonu weszła pokojowa z pakietem.

— Co to jest?—zapytała Magdalena.

— Jakaś posyłka dla pani.

— Od kogo?

— Od pana markiza de Valandelle — odrzekła pokojowa, kładąc pakiet na stole.

Magdalena podeszła do stołu i spojrzała na bilet przypięty do papieru.

— Znowu jakiś zbytek! — rzekła śmiejąc się. — Pewnie brylanty lub coś podobnego. Dla tego to się i spóźnił. W drodze musiał zatrzymać się dla wypra-

wienia sprawunku i lada chwila przybędzie sam, by patrzeć na mój podziw.

— Lecz co to może być?—zapytała Walentyna.

— Ciekawa jesteś?

— Trochę... co chcesz, jestem córką Ewy aż do paznokci.

— To nie będę cię dręczyła... Zaraz zobaczymy. Odwiązała wstążeczkę, odjęła papier i pokazała cyzelowaną szkatułkę srebrną.

— Ah! jakież to ładne!—zawołały obie.

— Ale to rzecz stara, ja znam się na tem! — dodała Walentyna.—To prawdziwa osobliwość i przedmiot sztuki.

— Celestyn ma gust dobry—zauważyła Magdalena — i wszystko co kupuje, jest piękne, ale ponieważ te zakupy powtarzają się codziennie, wkrótce więc nie będę miała miejsca na ich pomieszczenie.

— Obfitość dobrego nie szkodzi nigdy!—odrzekła Walentyna śmiejąc się.

Magdalena zaczęła przyglądać się delikatnej rzeźbie na szkatułce.

— Ależ ona jest cięższą niż myślałam — zauważyła.

— Może w niej co jest — rzekła Walentyna. — Otwórz.

Magdalena zakręciła kluczyk i podniosła wieczko.

— Lornetka teatralna w futerale!—zawołała.— Co za dziwactwo! mam ich już chyba z pół tuzina.

Wspomnienie lornetki Lobba było od jej myśli dalekie, zresztą nie wątpiła, że prezent ten pochodził od Celestyna.

Położyła szkatułkę na stole i wyjęła lornetkę z futerału.

— Ah, jakaż piękna! — zawołała Walentyna, składając ręce z zachwytem. — Warta takiej szkatułki! Musi być dobra...

— Prawdopodobnie równie dobra, jak piękna... Zresztą zaraz się przekonamy. Chcesz zobaczyć?

— Dobrze, ale później... zobacz ty pierwej...

Magdalena wzięła lornetkę i podeszła do okna, wychodzącego na ogród, ciągnący się za pałacykiem. Usunęła firanki, otworzyła okno i podniosła lornetkę na wysokość oczu.

— Popatrzę na ten kiosk w dole — rzekła, kładąc palec na kółku, poruszającem tuby.

W tejże chwili drzwi salonu nie otworzyły się, ale raczej jednem gwałtownem uderzeniem zostały wysadzone i Celestyn blady, z oczami obłąkanemi, wraz z Dufourem wpadł do środka.

Magdalena, wystraszona niespodziewanym hałasem, nie miała czasu obrócić kółkiem i odwróciła się nagle.

Markiz rzucił się ku niej i wyrwał z rąk lornetkę.

— Dziecko nieszczęśliwe!—zawołał głosem zmienionym—to śmierć!

Spostrzegłszy markiza tak zmienionego, zadyszanego i towarzyszącego mu Dufoura, równie jak on przestraszonego, Magdalena teraz dopiero zrozumiała grożące jej niebezpieczeństwo i krzyknęła przerażona:

— Ta lornetka?

— To lornetka Lobba!

Dreszcz przeszedł po całem jej ciele.

— Pułapka była zastawiona zręcznie! — zauważyła. — Ah! zbrodniarz!

— Jeszcze pół sekundy, a nieżyłaby już pani!— rzekł Dufour.

— Winnaś życie p. Dufourowi, droga Magdaleno! — rzekł Celestyn. — Nie domyślałem się niczego i gdyby nie on, byłbym cię zastał już nieżywą.

— Potrafię być wdzięczną — rzekła Magdalena do rozpromienionego Dufoura.

Valandelle trzymając w lewej ręce lornetkę, palcami prawej poruszył jej mechanizm.

— Patrzcie... patrzcie...—mówił.

Dwa stalowe ostrza zatrute wyskoczyły z tub. Przerażenie odmalowało się na wszystkich twarzach.

— Jakim sposobem stało się, żeś pan przybył razem z p. de Valandelle?—zapytała Magdalena Dufoura.

Zapytany opowiedział, jak uważając przypięty bilet wizytowy za adres, udał się z całym pośpiechem do markiza.

— Skąd on mógł wziąć mój bilet?—zapytał markiz, zapomniawszy o wyzwaniu w teatrze.

— Mniejsza o to, skoro niebezpieczeństwo minęło!—odrzekła Magdalena.—Jakiś instynkt mi mówił, że człowiek ten będzie raczej usiłował zamordować mię, aniżeli spełnić moje żądania! Gdzie znajduje się obecnie hrabia de Lucenay?—dodała, zwracając się do Dufoura.

— W Chennevières.

— Kiedy powróci?

— Hrabia powiedział mi, że cały dzień przepędzi przy hrabinie, która podobno jest bardzo chora.

— Dobrze. Oto co masz pan teraz czynić: jak tylko hrabia powróci do Paryża, nie trać go pan z oczu ani na jedną chwilę; a gdy się uda do pani Stellini, uprzedź mię pan o tem natychmiast.

— Może pani rachować na moją gorliwość.

— Masz pan raport codzienny?

Dufour wyjął z kieszeni złożony w czworo arkusz papieru i wręczył go Magdalenie

— Dziękuję... Możesz pan teraz odejść. Wdzięczną panu jestem za ocalenie mi życia i dowiodę mej wdzięczności.

Dufour uradowany, zgiął się prawie aż do posadzki i odszedł.

— Cóż teraz będziemy robili? — zapytał Valandelle.

— Róbmy, co mieliśmy robić—odrzekła Magdalena.—Dla czegoż mamy zmieniać nasz program, ułożony na dzień dzisiejszy? Jedźmy na wieś na śniadanie... Schowam tylko tę lornetkę...

Młoda kobieta odeszła do swego pokoju, włożyła lornetkę do futerału, następnie do szkatułki srebrnej, którą wraz z raportem Dufoura schowała do szuflady biurka, mieszczącej w sobie wszystkie dowody, dotyczące hrabiego de Lucenay. Poczem powróciła do oczekujących na nią markiza i Walentynę i zadzwoniła na pokojowę.

— Wiktorjo — rzekła do niej — zdaje mi się, iż jesteś dla mnie życzliwą. Otóż, dasz mi dowód życzliwości, jeżeli z całą ścisłością spełnisz to, co ci powiem. Natychmiast po naszym wyjeździe pozamykaj wszystkie okna i spuść rolety. Gdy zaś wyjdziesz na miasto, rozgłoś, że dziś rano stałam się ofiarą wypadku, zagrażającego memu życiu. Powiedz odźwiernemu i innym służącym, by również to samo rozgłaszali. Jeżeli uczynią to zręcznie, dostaną gratyfikację. Dopóki nie otrzymasz nowego polecenia, niech drzwi będą zamknięte dla wszystkich z wyjątkiem markiza de Valandelle, panny Walentyny i p. Jana Dufoura, który przed chwilą stąd wyszedł. Czy zrozumiałaś mię?

— Zrozumiałam.

— I spełnisz akuratnie moje polecenie?

— Mam nadzieję, że pani o tem nie wątpi. Będę opowiadała, że zdarzył się pani wypadek, lecz co powiem, gdy pytać mnie będą o szczegóły?

— Powiesz, że jakiś wypadek tajemniczy, niezrozumiały, słowem będziesz mówić ogólnikami.

— Dobrze, pani.

Magdalena dawszy to polecenie, zwróciła się do Celestyna i Walentyny.

— Jeżeli chcecie, możemy odjechać...—rzekła.

W pięć minut później powóz uniósł trzy te osoby ku laskowi Bulońskiemu, który trzeba było przebyć, by dostać się do mostu Suresnes.

W dziesięć minut po ich odjeździe, polecenie Magdaleny zostało spełnione i pałacyk przy ulicy Faisanderie ze swemi spuszczonemi roletami wydawał się opuszczonym.

XXXI.

Hr. Juljusz de Lucenay po przybyciu do Paryża zajechał przedewszystkiem do swego kapelusznika, gdzie kazał nałożyć na kapelusz szeroki pas krepy czarnej.

Następnie udał się do administracji zakładu pogrzebowego, z którą porozumiał się o ceremonję pogrzebu swego teścia. Pogrzeb, rozumie się, klasy pierwszej, miał się odbyć dnia trzeciego.

Czynności te nie przeszkadzały mu myśleć o innych rzeczach ważnych, nawet ważniejszych nad tamte, gdyż dotyczących go osobiście.

Myślał o Magdalenie.

Czy dała się złapać w pułapkę? Czy nie żyje?

Naprzód już uczuwał dziką radość na myśl o chwili, w której się dowie, że nieubłagana jego nieprzyjaciółka nie istnieje na świecie. Wprawdzie nie uniesie ona z sobą do grobu strasznego wyznania, jakie napisał na jej rozkaz pod groźbą natychmiastowego aresztowania i podpisał swem nazwiskiem. Ale ten dokument oskarżający nie bardzo go niepokoił. Znajdzie sposób wydostania go w swe ręce. W razie potrzeby można przecież będzie nawet spalić pałacyk.

Kazał stangretowi zwrócić się ku Polom Elizejskim i przez aleje Trocadero jechać na ulicę Faisanderie.

Skoro tylko powóz wjechał na tę ostatnią, Juljusz, ukryty za spuszczonemi do połowy storami, zaczął szukać wzrokiem pałacyku Damy w szmaragdach.

Wkrótce spostrzegł go i dziki uśmiech na widok zasłoniętych okien zarysował się na jego ustach.

— Udało mi się!...—szepnął—śmierć krąży nad tym domem!

Przejechał jeszcze kilka ulic i kazał stangretowi zawrócić na ulicę Cyrkową.

Dufour, spodziewający się go dopiero wieczorem, zobaczywszy go, osłupiał.

Czarna krepa na kapeluszu zwróciła jego uwagę.

— Czy pozwoli mi pan hrabia uczynić sobie jedno pytanie?

— Pozwalam.

— W rodzinie pana hrabiego stało się jakieś nieszczęście?

— Tak...—odrzekł hrabia obojętnie.—Dziś rano straciłem mego teścia.

— P. Dauray?

— Zmarł nagle na anewryzm serca...

— W takim razie... w takim razie... pan hrabia odziedziczy...

— Prawdopodobnie kilka miljonów... Ale jestem jeszcze naczczo... Powiedz, niech mi zaraz podadzą cokolwiek bądź, choćby jajek na miękko i jakich przekąsek... Ja tymczasem pójdę zmienić ubranie— i odszedł do swego apartamentu.

Gdy Dufour przybył doń z zawiadomieniem, że podano do stołu, hrabia rzekł:

— Dobrze. Podczas, gdy będę jadł śniadanie, weź powóz i pojedź na ulicę Caumartin. Zobaczysz się z p. Stellini, opowiesz jej co się stało i dodasz, że będąc zmuszony przepędzić w Chennevières dwa lub trzy dni, zobaczę się z nią dopiero po powrocie.

— Dobrze, panie hrabio.

— Jedź i wracaj prędko, gdyż będę cię potrzebował.

— Nie stracę ani chwili—odrzekł Dufour i wyszedł.

Uprzedźmy go.

Była godzina druga po południu.

Marjetta, pokojowa Gabrjeli, tylko co wprowadziła do salonu hr. de Saint-Roman, który z powodu poufałych stosunków z hr. de Lucenay, stał się jej gościem częstym.

— Co za wypadek sprowadza pana do mnie? — zapytała młoda kobieta, ściskając jego rękę.

— Chęć zobaczenia cię, o najpiękniejsza z najpiękniejszych.

— To bardzo grzecznie z pańskiej strony! Przynosisz pan jakie wiadomości?

— Przynoszę jedną, ale za to ciekawą!

— Dobrą czy złą?

— To zależy od okoliczności. Nowina to nie wesoła, ale dla pani dobra.

— Cóż to takiego?

— Pewien wypadek.

— Wypadek! to niejasne... Komuż on się zdarzył?

— Domyśl się pani!

— Napróżno będę trudziła głowę... nie mam zdolności do odgadywania rebusów.

— Czy masz pani wiele nieprzyjaciołek?

— Mam tylko jedną.

— Otóż to jej...

— Damie w szmaragdach! — zawołała Gabri, marszcząc brwi.

— Zgadłaś pani.

— Jakiż to wypadek?

— Nie wiem, lecz zapewne bardzo poważny, gdyż utrzymują, że umrze...

— Od kogo słyszałeś pan tę wiadomość?

— Od jednego z przyjaciół Celestyna.

— A od kogo on ją zaczerpnął?

— Z samego źródła. Przejeżdżając około jedenastej ulicą Faisanderie, widział w pałacyku Damy w szmaragdach pozasłaniane wszystkie okna. Zaintrygowany tem, zapytał odźwiernego, czy pani jego wyjechała. Odźwierny ze smutnym wyrazem twarzy odpowiedział, że pani Gallier rano stała się ofiarą wypadku strasznego, zagrażającego jej życiu... i nic więcej nie powiedziawszy, zamknął drzwi. Wiesz więc pani teraz tyle co i ja. Cóż pani myślisz o tem wszystkiem?

Gabri zdawała się być wzburzoną, głęboka fałda zarysowała się na jej czole.

— Możnaby sądzić—zawołał de Saint-Roman— że wiadomość moja raczej boleśnie dotknęła panią, aniżeli ucieszyła!

— To tylko dowodzi, kochany hrabio—odrzekła Gabrjela — że uważałeś mię za bardzo złą, lecz sądząc tak, myliłeś się. Wiele dałabym, by wypadek, o którym mówiłeś, nie pociągnął za sobą skutków fatalnych...

Saint-Roman osłupiał, lecz po chwili zaczął się śmiać.

— Na honor — rzekł następnie — prawdę ktoś powiedział:

Kobieta zmienną jest
Sercem i główką,
Z uczuciem słówko
Rzadko się zgadza!

I wydeklamowawszy to, powstał.

— Już pan opuszcza mię?—zapytała Gabri.

— Z żalem, ale muszę. Mam schadzkę w klubie. Widziała pani dzisiaj naszego przyjaciela Juljusza?

— Nie widziałam, lecz spodziewam się go w ciągu dnia.

Saint-Roman miał już się pożegnać, gdy weszła Marjetta z doniesieniem, że intendent hrabiego pragnie widzieć się z nią na osobności.

— Poczekaj pan na mnie chwilkę. Zaraz wrócę — rzekła Gabri do swego gościa i pośpieszyła do Dufoura.

— Wiem, co pana tu sprowadza — odezwała się żywo—masz mię zawiadomić o pewnym wypadku...

— Tak, pani, o śmierci...

— O śmierci! więc nie przeżyła!

— Nie przeżyła!—powtórzył Dufour zdziwiony. — Nie rozumiem... o kim pani mówi?

— O Damie w szmaragdach.

— Nie znam żadnej Damy w szmaragdach...

— Więc o czyjej-że śmierci masz mi pan powiedzieć?

— O śmierci pana Dauray.

— Teścia hrabiego?

— Tak, pani.

— Czy wypadek ten był spodziewany?

— Nie. P. Dauray zmarł dziś rano nagle, prawie na rękach swego zięcia.

— A więc pan hrabia był w Chennevières?

— Tak, pani. Wyjechał z Paryża przed dziewiątą, a wrócił przed godziną w celu zajęcia się pogrzebem. Przysłał mię zaś z oświadczeniem, że z powodu braku czasu nie będzie mógł widzieć się z panią przez dwa lub trzy dni.

— Rozumiem...

— Czy każe mi pani powiedziec co od siebie panu hrabiemu?

— To tylko, aby przybył do mnie skoro będzie mógł, gdyż potrzebuję z nim pomówić.

Dufour skłonił się i odszedł.

Gabrjela pozostawszy samą, chwilę stała zamyślona.

— Dziś rano był w Chennevières — myślała — i Dauray umarł na jego rękach. Więc myliłam się podejrzewając go, że to on wywołał wypadek, którego ofiarą padła Magdalena. Zdaje się, że to rzecz niemożliwa, a jednak gdyby Magdalena umarła, to z jej śmiercią zniknie wpływ jej wywierany na niego, jej projekt się rozchwieje, a ja zamiast stać się hrabiną de Lucenay, pozostanę pospolitą Gabri, istotą wykolejoną. Hrabia tak wielki ma interes w pozbyciu się Magdaleny, że pomimo pozorów przeciwnych, musiał mieć udział w tym wypadku... Tylko, że [illegible] się, uważając się wolnym. Zapomina o mnie[illegible]

znam jego przeszłość i w razie potrzeby skorzystam z tej tajemnicy.

Poczem odeszła do oczekującego na nią hr. de Saint-Roman.

— Zakomunikowano mi ważną wiadomość... hr. Lucenay stracił swego teścia, który dziś rano umarł nagle.

— Szczęśliwy ten hrabia—odrzekł gość śmiejąc się.—Żona jego i tak już bogata, znowu odziedziczy kilka miljonów, a ponieważ hrabia rozporządza majątkiem, pożywi się dobrze...

Pożegnał Gabrjelę i odszedł.

Gabri wezwała Marjettę.

— Czy zna cię kto w pałacyku Damy w szmaragdach?

— Nie, pani; nikt mię tam nie zna, z wyjątkiem jej samej, która widziała mię wtedy, gdy przybyła tutaj, a pani chciała ją kazać wypędzić.

— Dobrze! weźmiesz więc powóz i pojedziesz na ulicę Faisanderie nr 22-gi.

— Cóż mam tam robić?

— Powiesz, że przybyłaś zasięgnąć wiadomości o zdrowiu pani Magdaleny Gallier.

— Czy jest chora?

— Tak mówią, a ja chcę wiedzieć, czy to prawda. Łatwo się dowiesz, badając zręcznie odźwiernego. Jedź i wracaj prędko.

— Czy mam powiedzieć, że przybywam z rozkazu pani?

— Broń Boże!

— Więc w takim razie?

— Gdyby się o to ciebie pytano, powiesz, że [illegible]hywasz od jednej z przyjaciołek panny Walentyny.

[illegible]arjetta w godzinę była już z powrotem.

[illegible] No cóż?—zapytała Gabrjela.

— Prawdą jest to co opowiadają. Pani Gallier dziś rano stała się ofiarą jakiegoś wypadku. Opowiadał mi odźwierny, bardzo zasmucony.

— Jakiż to wypadek?

— Nie mogłam wybadać tego, lecz zdaje się, bardzo poważny, gdyż zagrożona jest śmiercią.

— Dobrze... dziękuję ci.

— Jeżeli Magdalena umrze — mówiła do siebie Gabri, po odejściu pokojowej — ja poprowadzę dalej rozpoczęte przez nią dzieło. Muszę zostać hrabiną!

Dufour opuściwszy mieszkanie Gabrjeli, bezzwłocznie wrócił na ulicę Cyrkową, gdzie oczekiwał nań hr. de Lucenay.

Jadąc zaś, myślał:

— W pierwszej chwili zdziwiłem się, usłyszawszy p. Gabrjelę mówiącą o śmierci Damy w szmaragdach, ale zastanowiwszy się, zrozumiałem wszystko. Widocznem jest, że p. Magdalena pragnie, aby hrabia był przekonany, że udał mu się podstęp z lornetką Lobba. Zdaje mi się, mój panie hrabio, że ta kobietka zagra ci i ty potańczysz, tylko, że taniec ten nie wyjdzie ci na zdrowie... Widocznie, nie wiesz co się dzieje... Będzie tu uciecha...

Dufour pisał kaligraficznie. Hrabia oczekiwał nań, by polecić mu napisanie adresów na listach z zaproszeniami na pogrzeb.

— Czy zastałeś panią Stellini?—zapytał.

— Zastałem, panie hrabio, i miałem zaszczyt zawiadomić o bolesnej stracie, poniesionej przez pana hrabiego.

— Cóż odpowiedziała?

— Że prosi pana hrabiego o odwiedzenie jej po ukończeniu swych przykrych obowiązków, gdyż potrzebuje z panem hrabią rozmówić się koniecznie

— Nic więcej?

— Nic. Wszakże winienem dodać, że na początku rozmowy zdarzyło się pewne *qui pro quo*.

— Jakie?

— Donosiłem pani Stellini o jednej śmierci, a ona mówiła o drugiej.

— Jakiej drugiej?

— Osoby dobrze znanej, o której może i pan hrabia słyszał...

— O kimże to?

— O Damie w szmaragdach.

Juljusz Lucenay zadrżał.

— Czy pan hrabia ją znał?—zapytał Dufour.

— Znałem... spotkałem ją w towarzystwie parę razy. Więc mówisz, że nie żyje?

— Podobno spotkał ją jakiś wypadek i stracono nadzieję uratowania jej.

— Cóż to za wypadek?

— Nie wiem, ale podobno straszny...

— Biedna kobieta!—szepnął hrabia tonem żalu. — Smutna to rzecz umierać w wieku tak młodym!

— Do licha!—pomyślał Dufour, zapominając, że za dwanaście tysięcy franków rocznej renty gotów był pomagać hrabiemu może jeszcze w gorszej zbrodni — do licha, muszę przyznać, że mój pan jest skończonym łotrem! No, co za nikczemność i przewrotność!

— Napiszesz adresy na tych listach—rzekł hrabia, wskazując ręką na biurko.—Oto masz listę osób i śpiesz się, by dziś jeszcze zostały wyprawione. Ja odjeżdżam do Chennevières.

— Czy mam kazać zaprzęgać konie?

— Już kazałem.

— Czy pan hrabia powróci jutro do Paryża?

— Nie.

— Więc mam pojutrze z całym personelem służby pana hrabiego udać się na ceremonję pogrzebową?

— A naturalnie. Porozumiej się z krawcem i poleć mu, by na czas przygotował liberję żałobną dla całej służby.

— Natychmiast po napisaniu adresów udam się sam do niego.

Hrabia wydał jeszcze parę drobnych poleceń i odjechał.

— Ah! bandyta!... ah! zbrodniarz!... ah! wyrzutek ludzkości!—szeptał Dufour, pozostawszy sam i zabierając się do pisania.—Odjechał zadowolony, w przekonaniu, że lornetka Lobba pozbawiła panią Gallier oczu! Ależ to łotrzyk zdolny do wszystkiego. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby mi powiedziano, że zadusił swego teścia, byle tylko prędzej zagarnąć po nim miljony! Muszę przyznać sobie, że jeden mój palec wart więcej niż cała jego osoba! Naprzód, wymagania moje są skromne i od czasu, gdy posiadam dwanaście tysięcy renty uczciwie zapracowanej, nie uczyniłbym krzywdy nawet musze.

Nie potrzebujemy przypominać, jak uciążliwemi wydawały się Juljuszowi de Lucenay obowiązki zajęcia się pogrzebem teścia.

Wolałby pozostać w Paryżu, aniżeli przesiadywać w Chennevières, gdzie nudził się śmiertelnie, ale powaga chwili nie pozwalała mu wyłamywać się od powinności. Musiał więc przybrać na twarz maskę smutku udanego i nosił się z nią z prawdziwym artyzmem.

Po przybyciu do Chennevières zastał swą teściowę cokolwiek spokojniejszą, lecz pogrążoną w głębokiej

boleści. Anusia siłą woli tłumiła w sobie głęboki smutek wywołany śmiercią p. Dauray i na chwilę nie opuszczała swej pani. Henryka miała się już znacznie lepiej; nie groziło jej już niebezpieczeństwo, chyba w razie recydywy, ale głębokie wstrząśnienie, sprawione zapaleniem mózgu, zaciemniło jej umysł i do tej chwili nie mogła jeszcze odzyskać przytomności.

Po południu tego dnia, w kilka godzin po nagłej śmierci p. Dauray, Henryka przebudziwszy się po długim śnie, odzyskała nareszcie jasność umysłu. Spostrzegłszy swą pokojowę, uczyniła jej przyjazny znak głową i zaczęła powoli wodzić wzrokiem po pokoju. Widocznie jakaś praca odbywała się w jej pamięci.

Anusia, uradowana, śledziła oczami najmniejsze poruszenie swej pani.

— My jesteśmy w Chennevières...—rzekła nagle głosem słabym.

Anusia wzięła ją za rękę. Dotknięcie to wywołało u chorej dreszcz, ale zarazem i blask w jej oczach.

— Przypominam sobie—mówiła—przypominam.. Moja córka... gdzie moja córka?

Anusia położyła palec na swych ustach.

Henryka spoglądała na nią zdziwiona i mówiła dalej gorączkowo:

— Chcę ją widzieć... Nie lękaj się wzruszenia na jej widok... Jestem już silniejszą, zresztą wzruszenie radośne nie szkodzi nigdy. Pamiętam wszystko... Porwano mi córkę, ale ona już odnaleziona, nieprawdaż? Anusiu, mów! Odpowiedz mi, prędko!

— Pani moja droga—odrzekła pokojowa—niech pani przypomni sobie, że dziecię było zagrożone...

— To prawda — odrzekła Henryka, pochylając głowę.

— Obecnie nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo i ten, który je ocalił, zatrzymuje przy sobie, by później wrócić pani.

— Ojciec...—odrzekła Henryka.—Dla czego go tu niema? Dla czego nie przychodzi pocieszyć mię, wracając mi córkę?

— Ponieważ jego obecność w tym domu byłaby dla pani zniewagą. Zresztą pojedynek między nim i p. hr. de Lucenay byłby wtedy nieunikniony.

— To prawda... masz rację... p. Lucenay zabiłby go! Niech lepiej nie przybywa! Od jak dawna znajduję się już tutaj?

— Od dwóch tygodni...

— Od dwóch tygodni! Tak, przypominam sobie. Przywiózł mię tu p. Lucenay, a ty przyjechałaś z Seine-Port. Przyprowadziłaś mię do tego pokoju i dałaś mi przeczytać...

Nagle urwała, położyła obie dłonie na czoło i po kilku chwilach rzekła z przestrachem:

— Mój Boże... mój Boże! co się stało z tym listem? ja go miałam... ktoś mi go zabrał...

— Niech pani nic nie mówi—rzekła Anusia.

— Więc ty go masz? — zapytała Henryka, mówiąc ciszej.

— Mam.

— Daj mi go... daj, chcę jeszcze raz odczytać.

Anusia wyjęła list z biurka i podała go swej pani, która powoli, wyraz po wyrazie, odczytała go w całości.

— Dwa tygodnie nie mam już żadnej wiadomości! — wyjąkała i wybuchła łkaniem. — Jeżeli dziecię moje umarło...

— Niepotrzebnie przypuszcza pani do głowy takie myśli. Jeżeliby córka pani umarła, to ten, który ją zabrał, nie dozwoliłby pani cierpieć tak długo! On

panią kocha i z pewnością dręczy się tem, że jest zmuszony sprawiać pani taką boleść...

— Anusiu, powiedz mi, czy na prawdę wierzysz w to, że on mnie kocha?

— Ja o tem nie wątpię i pani chyba jest również przekonaną. On panią ubóstwia, a żal jego równy jest miłości. Poświęceniem, okazanem dziecku i pani, chce okupić swą zbrodnię. Pani zobaczy swe dziecię...

— Masz rację, Anusiu, potrzeba mieć ufność... Lecz cóż zrobić, cierpienie silniejsze nad moc mej woli.

— Niech pani stara się zapominać o chwili obecnej, a myśli tylko o przyszłości. Proszę panią o ten list, schowam go. Pani tylko i ja powinnyśmy o nim wiedzieć.

Henryka gorączkowo przycisnęła papier do ust, poczem oddała go pokojowej.

— Gdzie moja matka?—zapytała następnie.

— Zapewne w swoim pokoju.

— Jak-że się ma?

— Trochę cierpiąca. Pani Dauray wiele nocy bezsennych przepędziła podczas choroby pani i jest nieco utrudzoną...

— Biedna moja matka—szepnęła Henryka z rozczuleniem.—A ojciec?

Serce Anusi zadrżało z bólu, opanowała jednak wzruszenie i odrzekła:

— P. Dauray wyjechał...

— Czy do Paryża?

— Nie; wyjechał dziś rano w kilkodniową podróż...

— W podróż!

— Tak, w jakimś interesie...

— I ja nie widziałam go!

— Pożegnał panią przed wyjazdem, ale pani spała.

Po chwili wahania Henryka zapytała:

— A mój mąż?... p. Lucenay?... zapewne go niema?

— Owszem, pani; pan hrabia jest w tej chwili u starszej pani.

Henryka opuściła głowę na poduszkę i nie pytała więcej. Owładło nią utrudzenie, zasnęła.

W tej chwili drzwi pokoju lekko się uchyliły i wszedł hr. de Lucenay. Anusia, siedząca przy łóżku, pośpiesznie powstała.

— Pani hrabina zasnęła—rzekła pocichu.

— To nie będę przeszkadzał — odrzekł hrabia i cofnął się na palcach.

Wiadomość o tajemniczym wypadku, którego ofiarą padła Dama w szmaragdach, opowiedziana przez hr. de Saint-Roman, szybko rozeszła się w Paryżu i spowodowała wizyty wielu przyjaciół Celestyna, pragnących zasięgnąć informacji.

Gdy Magdalena o dość późnej porze powróciła wieczorem do domu i dowiedziała się o tych dowodach sympatji, ucieszyła się, gdyż nie tylko, że pochlebiały one jej miłości własnej, lecz nadto służyły jej projektom.

Odźwierny otrzymał polecenie odpowiadać odwiedzającym, że stan pani jest coraz groźniejszym i że niewiele pozostaje nadziei utrzymania jej przy życiu. Rolety w oknach pozostały i nadal zapuszczone.

Następnego dnia po śmierci Filipa Dauray, Dufour, pewny, że hr. de Lucenay nie powróci do Paryża, skorzystał z jego nieobecności i udał się na ulicę Fai-

sanderie. Oddał Magdalenie zwykły raport i zawiadomił ją o nagłej śmierci eks-bankiera, oraz o pragnieniu Gabrjeli Stellini zobaczenia się z hr. de Lucenay po jego powrocie.

Magdalena poleciła Dufourowi, by zawiadomił ją o dniu i godzinie, w której hrabia po przybyciu do Paryża ma udać się do Gabrjeli.

Następnego dnia odbyła się ceremonja pogrzebu. Zbity tłum ludzi, na których twarzach odbijał się smutek i szacunek, zebrał się w Chennevières, ale tłum ten, uprzedzony o chorobie Henryki, trzymał się zdala w milczeniu, z obawy, by najmniejszy zgiełk nie doszedł do jej uszu i nie wywołał w jej umyśle podejrzenia o nieszczęściu, jakie ją dotknęło. O godzinie dziesiątej wyruszył z willi żałobny orszak, w którym znajdowali się liczni przyjaciele zmarłego, a między nimi prawie wszyscy bankierzy i wielcy przemysłowcy, którzy przez tyle lat utrzymywali z nim stosunki i teraz pragnęli złożyć dowód swego żalu i szacunku.

O godzinie dwunastej w południe ceremonja była skończoną.

Ten człowiek uczciwy, mąż dobry, ojciec niezrównany, złamany nagle, prawie w sile wieku, nieszczęściem i zbrodnią niespodzianą, spoczywał już na małym cmentarzu w Chennevières, gdzie kazał wybudować grób familijny.

Pani Dauray, upadająca pod ciężarem boleści, wróciła do domu, w którym niegdyś była tak szczęśliwą.i w którym podwójne nieszczęście dotknęło ją tak nieprzewidzianie.

Dufour, w charakterze intendenta brał udział w ceremonji pogrzebowej na czele służby hrabiego poczem na jego rozkaz powrócił do Paryża.

— Do licha! — mówił do siebie, wchodząc do swego mieszkania przy ulicy Cyrkowej — smutna to rzecz pogrzeb, nawet osoby nieznanej... Cały przesiąkłem żałobą... Gdybym wiedział, gdzie odszukać Juljusza Claude, poszedłbym z nim na parę butelek Chateau-Canteloup... to by mnie orzeźwiło. Na nieszczęście, nie wiem gdzie go znaleść...

XXXII.

Juljusz Claude codzień odbywał wycieczki na ulicę du Pré, by uścisnąć swą córką i dozorować piastunkę, jakkolwiek ta ostatnia wcale nie potrzebowała nad sobą kontroli. Pokochała ona powierzone sobie dziecię, jak prawdziwa, dobra matka i pielęgnowała je troskliwie.

Artysta, pomimo szczęścia, jakiego doświadczał z powodu, iż udało mu się uchronić swą córkę od niebezpieczeństwa, zagrażającego jej ze strony hr. de Lucenay, nosił jednak w swem sercu ranę krwawą. Myślał bezustannie o Henryce, wyobrażał ją sobie zrozpaczoną, płaczącą dniem i nocami i oddychającą coraz większą nienawiścią do człowieka, który po zatruciu jej życia zbrodnią pierwszą, popełnił drugą, wydzierając jej córkę, jedyną pociechę w świecie.

— Czy ona mi kiedy przebaczy? — zapytywał siebie z boleścią i prawie zawsze odpowiadał: — Nie, nigdy! Jedynym łączącym nas węzłem było to dziecię, a ja zabierając je, zdwoiłem jej męczeństwo. Na próżno usiłowałbym oddać ostatnią kroplę krwi, by jej oszczędzić choć jedną łzę! Jakaś fatalność uczyniła mię dla niej istotą znienawidzoną! Stałem się

jej nieprzyjacielem! Cierpię strasznie, a myśl o jej nienawiści i pogardzie zabija mię! Nie mam nawet prawa skarżyć się! Popełniłem zbrodnię, powinienem ją odpokutować!... To sprawiedliwość!

W kilka dni po umieszczeniu Marji Magdaleny z jej mamką w pawilonie przy ulicy du Pre, Claude, nie mogąc zapanować nad cierpieniem, udał się do Seine-Port dla zasięgnięcia wiadomości. Po przybyciu na miejsce spostrzegł, że w domku, zajmowanym przez Henrykę, wszystkie okna były szczelnie zamknięte, a na bramie wisiała karta z napisem: *Posesja do najęcia.*

Cóż stało się z Henryką? Dokąd wyjechała?

Rozpytywał się mieszkańców wioski, lecz nikt nie mógł mu dać objaśnienia. Wiedziano, że młoda pani wyniosła się, lecz nadto nic więcej. Nikt nie słyszał nawet o wykradzeniu jej dziecka.

Artysta po powrocie do Paryża zaczął krążyć około pałacu przy ulicy Cyrkowej. Kilka razy widział hrabiego, swego brata, wyjeżdżającego powozem, ale nie odkrył nic, coby mu wskazywało, że hrabina mieszkała w pałacu. Pozostawało mu tylko zobaczyć się z Dufourem, lecz od tego postanowienia powstrzymywała go myśl, że *pan intendent* posiadając zaufanie hrabiego, musiał wiedzieć o porwaniu dziecka i gdyby powziął najmniejsze przeciw niemu podejrzenie, nasadziłby na niego szpiegów, którzy śledząc każdy krok jego, z łatwością odkryliby schronienie jego córki. Wobec tego niebezpieczeństwa artysta zdecydował się zwrócić swe poszukiwania w drugą stronę i udać się do Chennevières, gdzie, rachował, być może, uda mu się znaleść jaką wskazówkę. W tym celu pewnego poranka pojechał na dworzec kolei Vincennes.

Była godzina jedenasta.

Paląc cygaro machinalnie, Claude stał na peronie i oczekiwał przybycia pociągu, gdy przed stację zajechał powozik, z którego wysiadł hr. Lucenay w żałobie.

Artysta, spostrzegłszy szeroką krepę czarną na kapeluszu, zadrżał. Straszna myśl błysnęła w jego umyśle.

— Henryka nie żyje—szepnął—umarła z rozpaczy, spowodowanej porwaniem jej dziecięcia!... Jestem zabójcą!

Zdawało mu się, że ziemia usuwa się i otwiera przepaść, która go pochłonie. Przymknął oczy i gdy po kilku sekundach je otworzył, hrabia znikł wśród pasażerów zebranych w sali.

— Henryka nie żyje!—powtarzał.

Trupia bladość pokryła twarz jego i dwie łzy spłynęły po policzkach.

— Niepodobna żyć dłużej w tak strasznej niepewności!... Muszę dowiedzieć się, choćbym się miał wydać, a nawet zgubić!

I zamiast udać się do kasy dla wykupienia biletu, skierował się na plac Bastylli, siadł do fiakra i kazał się zawieść na ulicę Cyrkową.

Dufour, spostrzegłszy wchodzącego do swego pokoju artystę, pod którego nazwiskiem z rozkazu swego pana przebywał w Londynie, przestraszył się tak, że zmieszanie odmalowało się na jego obliczu.

— Pan!... Pan tutaj!...—zawołał głosem zdradzającym niepokój.

Artysta, zaniepokojony również, lecz z powodów innych, widząc pomieszanie Dufoura, zapytywał siebie:

— Czyżby podejrzewano mnie o porwanie dziecka?

Zdecydowany wytrzymać burzę, skądkolwiek by nadeszła, odrzekł z wymuszonym spokojem:

— Cóż tak dziwnego? Interesa sprowadziły mię do tej dzielnicy, nie chciałem więc minąć pańskiego mieszkania, nie powiedziawszy panu dzień dobry.

Dufour, uspokojony temi słowami, żałował, że nie umiał zapanować nad sobą i uśmiechając się, podał mu rękę.

— Czy wiesz pan, gdy wszedłem, to wyglądałeś tak, jakbyś się mię przestraszył.

— Przestraszył? Cóż znowu! Wszedłeś pan niespodzianie, więc się zdziwiłem. Ale bardzo się cieszę z pańskiego przybycia... słowo honoru!... tembardziej, że miałem zamiar pisać do pana...

— Pisać do mnie?—zapytał Juljusz zdziwiony.

— Do pana i do pańskiego pracodawcy.

— Czy masz pan jakie roboty?

— Tak, i ważne nawet.

— Tutaj?

— Nie; w naszej willi jaworowej, w Chennevières.

— W Chennevières? — zapytał Juljusz, tłumiąc wzruszenie.

— Tak... Otrzymaliśmy spadek...

Zimny pot wystąpił na czoło artysty.

— Otrzymaliście spadek... — wyjąkał po chwili.

— Otrzymaliśmy. Byłem na pogrzebie na czele całego personelu służby pana hrabiego. Wspaniały był pogrzeb!... Z jakim szykiem!...

— Ale któż umarł?—zapytał Juljusz, nie mogąc dłużej panować nad sobą. Kto?... Czy pani hrabina?...

— Nie—odrzekł Dufour—umarł p. Dauray, jej ojciec, miljoner.

— Ah, p. Dauray — odrzekł artysta, odetchnąwszy swobodniej.

— Rozumiesz pan teraz, że pożywiliśmy się ładną sumką.

Juljusz odzyskał już spokój.

— Hrabina de Lucenay musi być bardzo zmartwioną?

— Nie wie o katastrofie... ukrywają przed nią..

— Czyż to rzecz możliwa?

— Leży w łóżku, jest chora.

— Czy bardzo chora?—zapytał Juljusz z obawą.

— Niestety, bardzo i to już od kilku tygodni. Miała zapalenie mózgu i było już z nią nawet źle... Hrabia jest o nią niespokojny... Wszakże doktór robi nadzieję ocalenia.

Dufour nie wiedząc o tem, słowami swemi torturował Juljusza.

— Otóż—ciągnął dalej—oprócz miljonów dostała się nam w spadku i willa jaworowa. Pan hrabia chce ją upiększyć, dać nowe malowidła i w tym interesie właśnie miałem pisać do pana i pańskiego pracodawcy i prosić go, by udał się na miejsce dla porozumienia się z panem hrabią.

— Zobaczę się z nim—odrzekł Juljusz—i zakomunikuję mu to.

— Proś go pan, by pojechał dziś jeszcze.

— Dobrze. A czy pani hrabina znajduje się w Chennevières?—zapytał Juljusz tonem obojętnym...

— W Chennevières.

Juljusz dowiedziawszy się o czem potrzebował wiedzieć, pożegnał Dufoura, siadł do oczekującego nań fiakra i pojechał do swego pracodawcy zakomunikować mu wiadomość o nowej robocie.

Jadąc myślał:

— Chora na zapalenie mózgu! Smutek ją zabija! Tęskni do dziecka swego! Boże mój, co robić, co robić? Gdybym mógł ją zobaczyć, uspokoić! Zapewne, te roboty ułatwiłyby mi wstęp do willi, ale gdybym się tam zjawił, poznanoby mię... A jednak muszę znaleść jaki sposób...

Zakomunikował przedsiębiorcy żądanie hrabiego i prosbę, by tego samego dnia jeszcze udał się do Chennevières.

— Owszem, jestem dziś wolny; mogę jechać nawet zaraz. Jak pan tu przybyłeś?

— Mam fiakra przed domem.

— Dobrze, biorę go. Jedź pan zemną.

— Pragnąłbym, ale nie mogę — odrzekł Juljusz po chwilowym namyśle. Muszę widzieć się z moim nabywcą obrazów.

— Więc pojadę sam.

Po przybyciu do Chennevières przedsiębiorca rozmówił się z hrabią de Lucenay, który żądał odnowienia wewnątrz salonu i sali bilardowej, zewnątrz zaś gzemsów i obramowania okien.

— Prace zewnętrzne będą wymagały wzniesienia rusztowania—zauważył przedsiębiorca.

— Rób pan wszystko, co się okaże potrzebnem, byle tylko prędko. Ile czasu wymagać będą wszystkie roboty?

— Trzy tygodnie przy największym pośpiechu.

— Dobrze!

— Jutro wyślę rusztowanie i robotników.

— Rachuję na pańską akuratność.

Juljusz de Lucenay, jakkolwiek od czasu śmierci swego teścia, dwa razy już robił wycieczkę do Paryża, nie zachodził jednak do Gabrjelli Stellini. Zresztą nie miał nawet czasu. Gabri, znając jego chwilowe zajęcia, nie dziwiła się jego nieobecności. Oczekiwała cierpliwie, wiedziała bowiem, że hrabia przybędzie do niej skoro tylko będzie mógł. Codziennie posyłała po wiadomości na ulicę Faisanderie i codziennie przynoszono jej odpowiedź, że stan Magdaleny Gallier jest bardzo niebezpieczny i żadnego polepszenia dotychczas niema.

I hrabia Lucenay każdego poranka z gorączkową niecierpliwością przeglądał dzienniki i szukał w nich wiadomości o śmierci Magdaleny. Nie znajdując ich, zaczynał doświadczać niepokoju.

— Zapewne prowadzą śledztwo sekretne—mówił do siebie, lecz prędko się uspokajał i dodawał:— Nie lękam się... mogą szukać... nie trafią na mój ślad!... Obmyśliłem dobrze!

Przedsiębiorca spełnił przyrzeczenie i zaraz następnego dnia wysłał do willi jaworowej rusztowanie i dekoratorów, którzy natychmiast wzięli się do roboty.

Pani Dauray w matczynej czułości czerpała siłę, by ukryć swą rozpacz przed Henryką, którą gwałtowne wzruszenie mogło zabić. Wydawała się spokojną i nie opuszczała pokoju swej córki.

Młoda hrabina, chociaż osłabiona jeszcze i zawsze smutna, powoli odzyskiwała zdrowie.

Gdy sprawy sukcesji zostały uregulowane, hrabia powiedział sobie, iż teraz nie ma potrzeby krępować się konwenansami i na kilka dni może wyjechać z Chennevières. Po tak długim przymusie czuł konieczność orzeźwienia się.

Uprzedził o swym zamiarze panią Dauray i Henrykę i odjechał do Paryża.

— Wolno mi zapytać, czy pan hrabia przyjechał już na stałe?—zagadnął Dufour witając go.—Gdy pana hrabiego niema, to smutno tu bardzo.

— A więc brakowało ci mnie? — odrzekł hrabia śmiejąc się.

— Błagam pana hrabiego, by o tem nie wątpił... Nieobecność pana hrabiego sprawia na mnie wrażenie takie, jak gdybym był ciałem bez duszy.

— Więc masz mię znowu.

— Czy na długo?

— Spodziewam się, że już na zawsze.

— Ah, więc pan hrabia rozpocznie znowu życie dawne—odrzekł uradowany Dufour.—Zabawy, teatr, wyścigi, kolacje...

— Czas jakiś powstrzymam się jeszcze od tego... należą się światu pewne ustępstwa. Czy niema wiadomości od pani Stellini?

— Niema. Pani Stellini, wiedząc, że pan hrabia zajęty, oczekuje cierpliwie.

— Pojadę dziś do niej na obiad.

— Pani Stellini będzie bardzo szczęśliwa! Nie mam zwyczaju wydawać opinji o osobach, od których zależę, ale ośmielę się zauważyć, że młoda ta dama posiada charakter szlachetny i kocha pana hrabiego szczerze i bezinteresownie.

— Tak, to dobra dziewczyna...

Hrabia przeszedł do sali stołowej, gdzie zjadł śniadanie, poczem udał się do gabinetu dla napisania kilku listów.

Obecność hrabiego w domu przeszkodziła Dufourowi uczynić zwykłą wycieczkę na ulicę Faisanderie. Ale ponieważ Dama w szmaragdach musiała być uprzedzoną, pan intendent wróciwszy do swego mieszkania, wziął arkusik papieru i napisał na nim słowa następujące:

„Pan hrabia dziś wieczorem będzie obiadował w domu przy ulicy Caumartin. Jan Dufour.“

Włożył list w kopertę, napisał na niej adres Magdaleny Gallier, poczem wyszedł na ulicę i powiedziawszy odźwiernemu, że wychodzi tylko na chwilę dla kupna paczki cygar, odesłał list przez posłańca.

O godzinie piątej hr. Lucenay zadzwonił na Dufoura.

— Odeślesz te listy na pocztę. Ja wychodzę.
— Czy pan hrabia rozkaże by zaszedł powóz?
— Nie, pójdę pieszo.
Hrabia udał się na Pola Elizejskie, następnie przez bulwary i plac Zgody skierował się wolnym krokiem ku ulicy Caumartin. Pogrążony w myślach, nawet nie spostrzegł stojącego o kilka kroków od domu Gabrjeli powozu, którego zapuszczone szczelnie story wywoływały uśmiech na ustach przechodniów.
— Jakaś żona zazdrośna o swego męża—mówili sobie.
Zaledwie Lucenay zniknął za drzwiami, powóz oddalił się.
Gabri była samą, gdy Marjetta zaanonsowała wizytę hrabiego. Od kilku dni opracowywała ona pewien plan, który teraz miała wprowadzić w wykonanie.
— Ah!—zawołała z doskonale udanem wzruszeniem, podając hrabiemu rękę.—Przecież przyszedłeś! Czas już był nareszcie!... Nie miałam już sił dłużej czekać. O małom nie umarła ze smutku i boleści.
— Rozumiem nudy—odrzekł Lucenay—rozumiem nawet smutek, ale nie pojmuję boleści. Czegoż obawiałaś się?
— Wszystkiego! Czyż nie miałam powodu? Nie widziałam cię przez cały tydzień.
— Przecież uprzedziłem cię... Wiedziałaś powód mojej nieobecności.
— To prawda... Ale jestem kobietą... istotą słabą... Czyż mogłam nakazać milczenie memu sercu? Czyż mogłam powiedzieć mu, by nie cierpiało? Zdawało mi się, że nie zobaczę cię już nigdy! że odjechałeś, by więcej nie wrócić!
— Co za szaleństwo!

— Czuję to teraz, gdyż twoja obecność uspokaja mnie i czyni szczęśliwą... Ale gdybyś wiedział, jak się lękałam... Usiądź tu przy mnie... bliżej... Zostaw swe ręce w mych dłoniach i pozwól mi patrzeć na ciebie... Ja tak dawno cię nie widziałam! Jesteś więc... więc to ty... ale jakże się zmieniłeś! Widzę utrudzenie na twojej twarzy... Twoje oczy są smutne, nawet gdy patrzą na mnie... Musiałeś nudzić się bardzo, nieprawdaż?

— Okropnie, więcej niż możesz sobie wyobrazić.

— Ale nareszcie skończyło się wszystko. Czy już nie opuścisz Paryża?

— Prawie że nie.

— Jakto prawie nie? Więc wyjedziesz jeszcze?

— Będę musiał od czasu do czasu zajrzeć do Chennevières.

— Więc nie przywiozłeś swej żony?

— Nie.

— Dla czego?

— Chora jest i nawet dość niebezpiecznie.

— Lepiej by było, żeby to ona umarła!—zawołała Gabri.

— Tak ci zależy na jej śmierci?—zapytał Lucenay śmiejąc się jakimś śmiechem nienaturalnym.

— Z jakiegoż powodu mam troszczyć się o jej życie? Czyż nie ona nas dzieli? nie onaż przeszkodą? Czyż sądzisz, że nie cierpię strasznie nad moją pozycją?

— Jaką pozycją?—zapytał hrabia.

Gabrjela zamiast odpowiedzieć, mówiła dalej tonem namiętnym.

— Kocham cię, mój drogi, i dziś dopiero czuję, że tylko ciebie jednego tak pokochałam. Dawne szaleństwa moje i kaprysy znikły na zawsze! Przeszłość już nie istnieje... Serce moje, zakosztowawszy miłości

stało się poważnem i oddałam ci je całkowicie! Jesteśmy związani węzłem nierozerwalnym... Ja należę do ciebie, ty do mnie... Posiadam wszystkie twe tajemnice, jestem więc dla ciebie czemś więcej niż żoną, która nie zna twego życia i któraby niewątpliwie pogardzała tobą, gdyby cię znała jak ja znam. Tymczasem ja, zamiast pogardzać, kocham cię! Czuję się związaną z tobą węzłem wspólnictwa... Kocham cię mimo wszystkiego co uczyniłeś... będę cię kochała, choćbyś nie wiem co uczynił! I ty mię pytasz dla czego pragnę śmierci hrabiny? Tak, pragnę jej gorąco, tak, jak ty pragniesz śmierci Magdaleny Gallier!

Hrabia słuchał słów Gabrjeli ze zdziwieniem i niepokojem... Przeczuwał, że pod temi słowami gorącemi ukrywa się groźba. Dla czego mówiła mu ona o tajemnicach przeszłości, jeśli nie miała zamiaru skorzystać z nich, by rozciągnąć nad nim swe panowanie? Jakkolwiek upadł nisko, nie mógł myśleć bez wstydu i oburzenia o narzuconem mu przez Magdalenę małżeństwie z tą istotą, a dopóki Magdalena żyła, musiał jej być posłusznym.

— Może i masz rację—odparł—ale hrabina żyje.

Gabri przybrała na twarz maskę rozpaczy.

— Ah!—zawołała, łamiąc ręce—ty nie kochasz mię już!... nie kochałeś nigdy!

— Więc dla przekonania, że cię kocham, mam popełnić zbrodnię?

— A czyż cofnąłeś się przed zbrodnią dla uwolnienia się od kobiety i dziecka, będących przeszkodą na twej drodze? Hrabina de Lucenay zawadza mi... dla czegoż miałbyś się cofnąć?

— Ah! milcz! milcz!—zawołał Juljusz ze zgrozą gniewem.

— Mam milczeć i cierpieć dalej?—odparła Gabri gwałtownie.—Znasz moją miłość dla ciebie i nakazujesz mi milczenie, gdy tymczasem ja błagam, ponieważ ty się mię nie lękasz! Gdyby Magdalena Gallier, która cię nienawidzi, domagała się od ciebie śmierci hrabiny, spełniłbyś jej żądania, bo jej się lękasz.

— Gdyby ośmieliłaby się żądać odemnie zbrodni, zabiłbym ją!

— A więc to ty ją zabiłeś? — zawołała Gabri, patrząc bystro w oczy hrabiego.

— Alboż ona nie żyje?—zapytał hrabia.

— Nie udawaj, że nie wiesz, iż padła ofiarą wypadku i że życie jej jest zagrożone.

— Opowiadano mi o tem; ale dla czegoż z wypadku tego wyprowadzasz wniosek, że to ja zastawiłem na nią jakąś pułapkę? Nonsensem jest obwiniać mnie, gdy ja od tygodnia nie byłem w Paryżu!

— Być może, że się mylę... a jednak ty nienawidzisz Magdaleny.

— Zapewne, że nie noszę jej w mem sercu, ale nie będę sięgał na jej życie.

Wtem drzwi salonu nagle się otworzyły i jakiś głos odpowiedział na słowa hrabiego:

— Kłamiesz, panie Lucenay, ponieważ to ty przed tygodniem chciałeś mię zamordować!

Juljusz odwrócił się i spostrzegłszy Magdalenę Gallier, krzyknął z przestrachu.

Po raz wtóry ofiara jego, którą uważał za nieżyjącą, stawała przed nim żywa i groźna.

Gabri, z początku zdziwiona, poznawszy przybyłą, doznała radości. Dla niej niepotrzebna była śmierć Damy w szmaragdach.

— Pani!... Pani tutaj!—zawołał hrabia.

— Jak pan widzisz—odrzekła Magdalena, podstępując ku niemu.

— Gabrjelo, jesteś u siebie... zawezwij służbę i każ wypędzić tę kobietę...

Dama w szmaragdach wyjęła z kieszeni swej sukni mały rewolwer i skierowała go ku skroni hrabiego.

— Jedno słowo, jedno wezwanie, a padniesz trupem na miejscu! Wiesz, że posiadam pewien dokument, dający mi prawo absolutne. Dokument ten, podpisany przez pana, zaczyna się od słów: *Niechaj nikogo nie obwiniają o śmierć moją. Odbieram sobie życie by uniknąć zasłużonej kary i przed śmiercią wyznaję moje zbrodnie...*

Lucenay zbladł jak płótno i chwiejąc się, cofnął się o krok.

— Lecz ostatecznie, czego pani chcesz?—zapytała Gabrjela.

— Czego ja chcę? Powiem to zaraz.

— Milcz!—tonem rozkazującym zawołał hrabia

Magdalena spojrzała nań wzrokiem najwyższej pogardy i mówiła dalej:

— Chcę mu powiedzieć w obecności pani, że jest podłym, najpodlejszym z ludzi! Chcę, byś pani, która go kochasz, poznała go nareszcie...

— Kocham go i kochać go będę zawsze!...—przerwała Gabrjela, grając dalej w obec hrabiego swą rolę.

Magdalena wzruszyła ramionami.

— To tylko dowodzi, żeście godni siebie... Słuchaj więc pani..

Magdalena, trzymając w dłoni rewolwer, skrzyżowała ręce na piersiach.

Hrabia z pochyloną głową, stał, szczękając zębami z wściekłości i strachu.

— Słuchaj pani!—powtórzyła Magdalena.—Obawiając się gróźb moich, nie chcąc wykonać moich

rozkazów, a zarazem nie śmiejąc odmówić posłuszeństwa, postanowił zamordować mię, lecz nie własnemi rękami, bo i na zabicie kobiety nawet potrzeba odwagi, ale innym sposobem i obmyślił dla mnie śmierć jedną z najstraszniejszych!

— To kłamstwo!—wyjąkał Lucenay.—Ta kobieta kłamie!...

— Mam dowód na to co mówię!...—odparła Magdalena.—Czy i temu pan zaprzeczysz?—dodała, wyjmując z kieszeni lornetkę Lobba i pokazując ją hrabiemu.

Lucenay zadrżał całem ciałem.

— Ależ to jest lornetka teatralna! — zawołała Gabri.

— Lornetka zbrodnicza! Patrz pani — odrzekła Magdalena i parę razy obróciła kółko mechanizmu.

Dwa stalowe ostrza wyskoczyły z tub.

Gabrjela krzyknęła przerażona.

— Rozumiesz pani teraz? — mówiła dalej Dama w szmaragdach. — Zbliża się lornetkę do oczu... nastawia się ją na właściwą odległość... wyskakują te ostrza i rozdzierają oczy, a ponieważ są zatrute, więc śmierć następuje w najstraszliwszych męczarniach. I tę to lornetkę przysłał mi sprytny morderca, hrabia de Lucenay, kochanek pani!

— To kłamstwo!—powtórzył hrabia.

— Mam dowód!—odparła Magdalena znowu.—Ta lornetka zbrodnicza, dzieło optyka Lobba, który za jej wykonanie i użycie został powieszony, wraz z innemi przedmiotami sprzedaną została przez licytację publiczną w Londynie w d. 15-ym czerwca. P. Lucenay kupił ją przez swego intendenta, łotra takiego jak i on sam i zapłacił za nią pięćdziesiąt dwa tysiące pięćset franków. Pochlebia to mej miłości własnej, że tak wysoką cenę nałożył na życie moje.

Gabrjela słuchała zdumiona.

— Obwiniać kogo, rzecz bardzo łatwa — rzekł wreszcie hrabia, odzyskawszy nieco zwykłego zuchwalstwa—ale jakie masz pani dowody?

— Oto są... To jest kwit wydany na licytacji intendentowi pana hrabiego—rzekła Magdalena i pokazała papier Gabrjeli.—Ale czekaj pani! nie znasz jeszcze wszystkich czynów tego bandyty! Pragnąc oddalić od siebie wszelkie podejrzenie zbrodni, obmyślił szatańskie sposoby ostrożności. Podane przez niego nazwiska nabywcy i pełuomocnika do kupna pociągnęłyby za sobą wyrok, potępiający dwie osoby niewinne... Słuchaj pani dobrze... to powinno cię interesować. Mniemanym pełnomocnikiem miał być znający zbrodnie hrabiego Juljusz Claude, nabywczynią miałaś być pani.

— Ja!... Ja!... — zdławionym głosem krzyknęła Gabri.

— Tak jest! Na pokwitowaniu z odbioru zalicytowanej sumy powiedziano, żeś pani kazała nabyć lornetkę Lobba...

— To rzecz niemożliwa... niemożliwa...—bełkotała Gabri z twarzą zmienioną i błędnemi oczyma.

— Przeczytaj więc pani — rzekła Magdalena — zbliżając pismo do jej oczu: *Otrzymano od p. Juljusza Claude, nabywającego na rzecz p. Gabrjeli Stellini.* — Patrz pani, dokument jest podpisany i posiada pieczęć...

Gabrjela wydała głuchy krzyk i ukryła twarz w dłonie.

Magdalena, zwracając się do hrabiego, stojącego z pochyloną głową, ciągnęła dalej:

— Zapewne zapytujesz pan siebie, kto mię tak dobrze o wszystkiem objaśnił, nieprawdaż? Kto mi

życie ocalił? Pewna, oddana mi osoba śledziła w Londynie każdy krok zbrodniarza, służącego u pana za intendenta... I teraz śledzi cię wszędzie, jak cień postępuje za tobą... żaden czyn twój, żaden krok nie uchodzi jej uwagi, a dowód masz pan w tem, że zaledwie przybyłeś tutaj i ja przyjechałam natychmiast za tobą. I tak trwać będzie dopóty, dopóki nie wypełnisz moich rozkazów. Sądziłeś, panie Lucenay, że zabijając Magdalenę Gallier, uwolnisz się od jarzma niezuośnego... Omyliłeś się! Choćby Magdalena Gallier zmarła, musisz spełnić jej rozkazy!

— Spełnię...—wyjąkał hrabia zmiażdżony.

— Rachuję na to! Lecz ostrzegam cię, żadnego nowego zamachu na mnie! Jeżeli ci przyjdzie fantazja uczynić nową próbę, będę wiedziała o niej, tak jak wiem wszystko o tobie i dla ocalenia się nie ucieknę się do prawa! Wymierzę sobie sama sprawiedliwość i własną ręką zabiję cię, jak zabija się psa wściekłego!

I rzuciwszy ostatni raz wzrokiem na zgnębionego hrabiego i przerażoną Gabrjelę, wyszła z salonu z podniesioną głową.

Jakim sposobem Dama w szmaragdach znalazła się w domu Gabrjeli i weszła do salonu w chwili tak stosownej?

Sposobem bardzo prostym. Pięćset frankowy bilet złożony we czworo i wsunięty w rękę lokaja, otworzył jej bez trudności wejście do apartamentu.

Zaledwie drzwi za Magdaleną się zamknęły, Juljusz de Lucenay wyprostował się i w paroksyzmie wściekłości chwytając się za włosy, zawołał:

— I ta kobieta żyje!

— I przysięgam ci, że żyć będzie — wybuchła Gabri głosem syczącym. — Domyślałam się więc słusznie! Chciałeś ją zabić! Zmusiła cię wybierać pomię-

dzy galerami i mną! By uwolnić się od niej postanowiłeś ją zamordować, a odpowiedzialność za jej śmierć zwalić na mnie! Gilotyna uwolniłaby cię odemnie! Tak, to było bardzo zręczne, ale nikczemne!... to była podłość godna ciebie!

— Gabrjelo — wyjąkał hrabia prawie odchodząc od przytomności.

— A ja cię tak kochałam!... tak cię kocham jeszcze mimo wszystkich zbrodni twoich... Pragnąłeś bym została skazaną... lecz nic z tego nie będzie! W końcu i ja muszę się zbuntować. Magdalena trzyma cię w rękach przestrachem, ponieważ zna twoje tajemnice i może cię zgubić jednem słowem swojem! i ja znam je także i w razie potrzeby posłużę się niemi! Teraz na mnie kolej nałożyć ci warunki i teraz mnie musisz być posłusznym! Pragnę zostać hrabiną de Lucenay! Czy słyszysz mię?

— Więc żądasz odemnie śmierci mej żony...— rzekł Juljusz zmieszany.

— Tak, jej śmierci.

— Jednej zbrodni więcej!

— Alboż wahałeś się, gdy chodziło o zgładzenie Magdaleny?

— To zupełnie co innego...

— Masz rację... Śmierć jednej była zgubą dla mnie... śmierć drugiej uczyniłaby mię hrabiną i miljonerką... Czy spełnisz moją wolę?

— Ależ...—zaczął hrabia.

— Niema żadnego ale — przerwała gwałtownie Gabrjela — musisz mię słuchać, lub cię zadenuncjuję natychmiast!

Lucenay szarpnął ręką krawat.

— Wody...—wyjąkał—duszę się...

Gabri podała mu szklankę wody, którą wypił jednym tchem.

— Czy będziesz mi posłusznym?

— Będę...—odrzekł i wybuchając śmiechem strasznym, dodał:—Gdy czego chcą dwie kobiety, potrzeba spełnić!

Lokaj otworzył drzwi salonu i z powagą wyrzekł:

— Podano do stołu...

— Chodźmy—rzekła Gabri, opierając się na ramieniu hrabiego.

Następnie nachyliwszy się do jego ucha, szepnęła:

— Przebaczam ci i kocham cię...

Gdy scena ta odbywała się u Gabrjeli Stellini, Jan Dufour siedział w swem mieszkaniu przy ulicy Cyrkowej i nie doświadczał obawy prawie żadnej. Od czasu zbogacenia się, stanął po stronie silniejszego i czuł się zupełnie czystym na sumieniu.

— Dama w szmaragdach nie wyda mię—mówił do siebie—i wątpię, czy hrabia będzie mnie podejrzewał o zdradzenie jego tajemnic domowych.

Pomimo tej ufności, chwilami doznawał nieokreślonego niepokoju, przekonany był bowiem, że jakieś nieprzewidziane wypadki muszą zajść przy ulicy Caumartin i prawdopodobnie wywołają odpór ze strony przeciwnej. Oczekiwał więc hrabiego, redagując tymczasem rachunki, rzecz najważniejszą dla niego i obliczając majątek swój osobisty, zebrany poza rentą dwunastu tysięcy franków.

Zamknięty na wszystkie rygle, siedział w swym pokoju przed małym stolikiem, na którym rozłożone były bilety bankowe, złoto i moneta drobna. Cała ta suma składała się z rozmaitych zysków nieuczciwych, procentów od przedsiębiorców i dostawców, dodatków do kosztów różnych sprawunków, pierwszej raty kwartalnej renty dożywotniej, sumy ot[illegible]anej za sprzedane Celestynowi pokwitowanie w Lon[illegible]nie itd. itd.

— Na honor — szepnął, składając pióro i zacierając ręce — mogę sobie powinszować. Oprócz renty posiadam w biletach bankowych, złocie i srebrze kapitalik, wynoszący pięćdziesiąt siedm tysięcy trzysta siedmnaście franków. Ależ to więcej, niż potrzeba na kupno domku nad brzegiem rzeki, łódki, konia, powoziku angielskiego i zaopatrzenia się jeszcze w coś... Przyznać sobie muszę, że umiałem się rządzić. Schowam to w miejsce pewne, a jutro złożę do banku lub wymienię na obligacje, chyba, że znalazłbym w prędkim czasie domek, o jakim marzę.

W chwili, gdy Dufour, zamknąwszy swój skarb do kufra, chował klucz do kieszeni, rozległ się dzwonek, wzywający go do pałacu.

— Doskonale!—dowiem się co nowego—rzekł do siebie i udał się do apartamentu hrabiego.

Od niejakiego czasu Lucenay ile razy obiadował, bądź u Gabrjeli, bądź ze swymi przyjaciołmi w klubie, wracał zwykle do domu jeśli nie pijany, to mocno pobudzony.

Tego wieczoru powrócił przytomny, ale na jego bladej twarzy i ściągniętych rysach widać było wyraz gniewu, złości, prawie dzikości.

— Panie Dufour — zawołał hrabia tonem groźnym — wszak to ty wybierałeś dla mnie służbę...

— Ja miałem ten zaszczyt, panie hrabio i zdaje mi się, że wywiązałem się z tej misji bardzo szczęśliwie...

— Ah, tak myślisz?

— Ależ... tak... panie hrabio.

— Wprowadziłeś do mego domu bandytów—zawołał głosem grzmiącym—którzy mię szpiegują i o każdej mej czynności zawiadamiają mych wrogów...

Dufour z doskonale udanem zdziwieniem, podniósł ręce do góry.

— Co pan hrabia mówi!

— Mówię prawdę!

— Pozwoli pan hrabia powiedzieć sobie, że to rzecz niemożliwa. Nigdy, ale to nigdy nie uwierzę, byśmy w domu mieli szpiegów... Pierwszy stangret jest człowiekiem uczciwym, zajęty tylko końmi... Drugi nie ustępuje mu w niczem... Kamerdyner jest człowiekiem czystym jak złoto... lokaj nie wychodzi nigdy z pałacu... Odźwierny jest starym dekorowanym żołnierzem... zresztą był już w służbie właściciela poprzedniego... Kucharz nigdy nie opuszcza kuchni... Co zaś do kobiet, to nie potrzebuję nawet i mówić o nich. Słowem, odpowiadam moją głową za cały personel...

— W wymienionym przez ciebie szeregu zapomniałeś o jednym.

— O kim?

— O pewnym łotrze!

— O jakim łotrze?

— O sobie!

— O sobie! o sobie! — powtórzył *pan intendent*, uderzając się obu pięściami w piersi.—Więc to mnie pan hrabia podejrzewa?

— Nie tylko, że podejrzewam, ale cię wprost obwiniam.

— Zdaje mi się, że ja marzę!

— Nie marzysz, łotrze!

— Panie hrabio, protestuję ze wszystkich sił moich!

— Więc zdołaj się usprawiedliwić!

— Tego tylko pragnę... Cóż mam uczynić?

— Więc powiedz mi, czem to się dzieje, że wrogowie moi wiedzą o wszystkiem, co się mnie dotycze? Wytłómacz mi, jakim cudem, pokwitowanie z odbioru należności za lornetkę Lobba w Londynie,

znajduje się w rękach mych nieprzyjaciół, jeżeli ty sam nie zdradziłeś mię...

— Pokwitowanie za lornetkę Lobba! — powtórzył Dufour — ależ pan hrabia chyba drwi sobie ze mnie...

— Nie drwię i nie jestem w usposobieniu do żartów.

— Więc pan hrabia chyba zapomniał, że tegoż dnia, w którym wróciłem, złożyłem pokwitowanie to do własnych rąk pana hrabiego wraz z lornetką, a pan hrabia schował je do tej szuflady, gdzie i dotychczas jedno i drugie znajdować się musi...

Lucenay gorączkowo otworzył szufladę i po chwilowem szukaniu wydobył pokwitowanie.

— Masz rację—szepnął zdumiony—zapomiałem...

— I pan hrabia obwiniał mnie!—bolesnym tonem zawołał *pan intendent.*

— Myliłem się, przyznaję.

— Zdaje mi się, że słyszałem przed chwilą, iż pokwitowanie to pokazywano panu hrabiemu?

— Tak, pokazywano mi zupełnie takie same.

— Niewątpliwie sfałszowane.

— Czy nie uważałeś w Londynie, by cię kto śledził?

— Nikt mię nie śledził, a przynajmniej nie widziałem.

— Któż więc mógł wiedzieć o wszystkich twoich czynnościach zarówno dobrze jak i o moich?

— Nie pojmuję. Ale serce mi pęka na myśl, że pan hrabia obwiniał mnie, który tak jestem przywiązany do pana hrabiego, że poświęciłbym życie—jąkał Dufour, ocierając prawdziwe dwie łzy płynące z oczu. —Rzeczywiście, panie hrabio, trzeba rozpędzić wszystką służbę.

— Na co? Tylko ty powinieneś mieć nadzór nad nimi, gdy tymczasem dotychczas oni podglądają ciebie.

— Mój Boże i pan hrabia obwiniał mnie — powtarzał Dufour—mnie, co jestem z takiem poświęceniem dla swego pana, żem gotów odważyć się na wszystko, by mu tylko usłużyć!

— Gdy szuka się wyjaśnienia, podejrzewa się wtedy wszystkich.

— Serce mi pęka z bólu! Ah! panie hrabio! To źle.

— Nie mówmy już o tem...

— Tak, pan hrabia może o tem zapomnieć, ale ja, nigdy! Niesprawiedliwość pana hrabiego strasznie mnie dotknęła. Rana ta nie prędko się zagoi.

Lucenay wyjął z pugilaresu bilet bankowy i podał go Dufourowi.

— To dla obandażowania rany—rzekł.

— Pan hrabia jest wielkim lekarzem!—zawołał Dufour nagle rozpromieniony.

— Wydasz rozkaz, by jutro rano zaprzężono do powozu wcześnie — rzekł hrabia — gdyż o wpół do dziewiątej wyjeżdżam do Chennevières.

— Czy pan hrabia powróci na obiad?

— Nie, pozostanę w willi.

— Więc pan hrabia znowu opuszcza Paryż...

— Pani hrabina chora niebezpiecznie, muszę więc pozostać przy niej.

— Pan hrabia jest takim dobrym mężem...

— Po południu masz przyjechać do mnie.

— Czy mam pozostać w Chennevières przez czas pobytu tam pana hrabiego?

— Tak.

— Ah! panie hrabio — odrzekł Dufour głosem rzewnym—to będzie balsam dla mojej duszy. A więc przydam się na coś panu hrabiemu.

— A teraz zostaw mię, gdyż potrzebuję odpocząć.

Pan intendent skłonił się głęboko i wyszedł.

— Nie ma co się wahać...—myślał Lucenay, pozostawszy sam, przeciągając ręką po rozpalonem czole—muszę spełnić wolę obu tych kobiet... — Obecne życie moje jest piekłem... Magdalena pilnuje się dobrze, jestem w obec niej teraz bezsilny, a z drugiej strony grozi Gabrjela... Zostanie hrabiną, skoro będę wolny, lecz jaką drogą dojść do tego? Dwa są środki: rozwód i śmierć mej żony... Rozwód pozbawi mię miljonów... szaleństwem byłoby o tem myśleć!... Jej śmierć uczyni mię wolnym! Henryka jest chora niebezpiecznie, nie wyjdzie z tej choroby i śmierć jej nikogo nie zdziwi.

Następnego dnia o wpół do dziewiątej hrabia odjechał do Chennevières.

Zaledwie wrota pałacu zamknęły się za nim, pan intendent udał się na ulicę Faisanderie.

Magdalena od czasu ocalenia jej życia, zwłaszcza gdy przekonała się o jego rzeczywistej wierności, czuła dla niego wdzięczność, co zresztą nie przeszkadzało jej oceniać go, jak na to zasługiwał

— Czy masz pan co nowego?

— Mam i rzeczy ważne.

— Cóż takiego?

— Pan hrabia odjechał do Chennevières.

— I powróci zapewne dziś wieczorem?

— Przeciwnie, pozostanie tam czas dłuższy i mnie kazał tam przyjechać.

— Rzeczywiście, to wiadomość ważna.

— Czy przebywając na wsi, mam również przesyłać pani codziennie sprawozdania?

— Koniecznie... Nie spuszczaj pan hrabiego z oczu ani na godzinę, ani na minutę i zawiadamiaj

mię o wszystkiem, nawet o rzeczach na pozór drobnych.

— Dobrze.

— Czy hrabia nie mówił panu o wczorajszem mem nagłem zjawieniu się u Gabrjeli Stellini?

— Nie mówił, ale badał mnie strasznie, a z badania tego domyśliłem się wielu rzeczy. Była chwila, w której o mało wszystko nie zostało stracone, z powodu owego pokwitowania, znajdującego się u pani...

— Czy podejrzewał pana?

— Tak; był tak niesprawiedliwym, że nawet obwiniał...

— Starałam się jednakże usunąć od pana wszelkie podejrzenie. Mówiłam o panu bardzo źle... nazywałam pana łotrem, nikczemnikiem, człowiekiem godnym szubienicy...

— Było to zręczne, mimo to jednak hrabia mnie podejrzewał. Na szczęście, wywinąłem się i jesteśmy znowu najlepszymi przyjaciołmi.

Po chwili milczenia Magdalena rzekła:

— Potrzebuję również wiedzieć wszystko o Gabrjeli Stellini.

— Przesiadując w Chenneviéres, nie mam możności dozorować jej osobiście.

— To prawda. Ale pamiętaj pan, żebym o Lucenayu wiedziała wszystko. Nadto w raportach swoich donoś mi pan o stanie zdrowia nieszczęśliwej hrabiny, która interesuje mnie bardzo.

— Dobrze. Czy pani przypuszcza, że hrabina nie wyjdzie z tej choroby?

— Zdaje mi się, że jest bardzo chorą...

— I pan hrabia mówił mi to samo.

— Gdybyś pan spostrzegł jakie nowe i niepokojące symptomata, zawiadom mnie natychmiast.

— Może pani na mnie rachować.

— Więc do widzenia. Z niecierpliwością oczekiwać będę pańskiego pierwszego raportu.

Dufour wrócił do swego mieszkania, zjadł śniadanie i zabrawszy swe pieniądze, odjechał do Chennevières. O godzinie piątej był już w willi jaworowej.

Tegoż dnia około dziewiątej rano Gabrjela Stellini w towarzystwie swej pokojowej Marjetty, udała się na dworzec kolei Vincennes i odjechała do stacji Varenne-Saint-Hilaire. Przybywszy na miejsce i przebywszy most Chennevières, zaczęła rozglądać się w okolicy.

Od pierwszego rzutu oka spostrzegła wznoszącą się na szczycie pagórka willę jaworową wśród wspaniałego parku, którego wiekowe drzewa i trawniki zielone ciągnęły się aż do tarasu, odciętego tylko drogą od brzegów Marny.

Okna willi były odsłonięte i przy fasadzie wznosiło się rusztowanie, na którem pracowali dekoratorzy.

— Stąd widać willę doskonale—rzekła do siebie Gabri — a przez dobrą lornetkę będę mogła obserwować wszystko, co tam się dziać będzie. Zresztą bardzo łatwo będzie można nawet porozumiewać się z JulJuszem za pomocą znaków umówionych. Chodzi więc tylko o to, by znaleść jaki dom do najęcia nad brzegiem rzeki.

Wzdłuż brzegu ciągnął się szereg domków ładnych, ukrytych w zieloności.

— Ah, pani, jak tu ładnie!—zawołała Marjetta.

— Właśnie tutaj będziemy szukały.

— Możeby pierwej zamówiła pani śniadanie... Wątpię, by restauratorzy tutejsi w ciągu tygodnia zaopatrzeni byli w produkty...

— Ryby i króliki znajdziemy w każdym razie — odrzekła, śmiejąc się Gabri.

— Może i tego nawet tu niema.

— Więc ponieważ tak obawiasz się głodu, zajmij się śniadaniem i gdy zamówisz, przyjdź do mnie.

— Dobrze; odszukam panią łatwo — odrzekła i zwróciła się na lewo, gdy tymczasem Gabrjela udała się w kierunku przeciwnym, przyglądając się willom. Wszystkie były zajęte.

Gabrjela zaczęła obawiać się niepowodzenia, gdy wtem spostrzegła wychodzącego z małego domku ogrodnika z tabliczką w ręku i drabinką. Człowiek ten oparł drabinkę o słup bramy wiodącej do ogrodu, wyjął z kieszeni parę gwoździ i przybił tabliczkę do słupa. Gabrjela machinalnie zatrzymała się i podniosła oczy. Na tabliczce widniał napis: *Dom umeblowany, z ogrodem, do najęcia lub sprzedania.*

— Czy dom ten może być najęty zaraz? — zapytała.

— Tak, pani.

— Czy meble są dostateczne?

— Dostateczne i bardzo piękne. Dom ten najmowany nie był, gdyż latem mieszkał w nim sam właściciel, ale ponieważ wyjechał teraz w podróż daleką i nie wie, kiedy powróci, postanowił więc sprzedać go lub nająć. A pani chciałaby kupić?

— Nie, ale możebym najęła...

— Więc może pani obejrzy?

— Dobrze.

W tej chwili nadeszła Marjetta.

— Znalazłaś co?—zapytała Gabrjela.

— Znalazłam bardzo czyściutką restaurację i zamówiłam kotlety, rybę smażoną, kawę, sałatę, ser, owoce, a do polania tego wszystkiego, jak zapewnia

gospodyni, wcale niezłe wino białe. Wszystko to będzie gotowe na południe.

— Dobrze; a teraz obejrzyjmy domek—odrzekła Gabri i weszła do ogrodu.

Ogród bardzo dobrze utrzymany, otaczał dom i rozciągał się aż do rzeki. Na prawo znajdowało się mieszkanie ogrodnika, na lewo stajenka i remiza. Pokoje na parterze i na piętrze, umeblowane były elegancko, z okien odkrywał się widok na wyspę na rzece Marnie i na wille w Chennevières.

— A rzeczywiście mieszkanko dość ładne—zauważyła Gabrjela.

— Nieprawdaż pani? I do tego ze wszystkiemi sprzętami, bielizną stołową i różnemi drobnemi przedmiotami, gdyż mam rozkaz pozostawić to wszystko na miejscu.

Gabrjela spostrzegła leżącą na stoliku lornetkę teatralną.

— I lornetka jest nawet — zauważyła, śmiejąc się.

— Jest.

Gabri podeszła do okna, przyłożyła lornetkę do oczu i rozglądała się w willach, położonych nad rzeką. Dekoratorzy, pracujący w willi jaworowej, wydali się jej tak zbliżeni, iż rozróżniała ich twarze.

— Doskonała!... — rzekła, odchodząc od okna.— Kiedy można będzie wprowadzić się?

— Choćby dziś nawet. Podpisze pani tylko akt najmu i będzie pani u siebie.

— Na jak długo wynajmuje się?

— Na pół roku.

— A jaka cena?

— Pięćset franków na miesiąc i do tego z góry.

— Nie mam przy sobie tyle pieniędzy...

— Jeśli pani sobie życzy—odezwała się Marjetta—to ja pojadę do Paryża po pieniądze i przywiozę zarazem bieliznę pani.

— Do czegoż to podobne!—odrzekła Gabrjela.— Dam panu zadatku trzysta franków i podam swe nazwisko. Pan tymczasem przygotuje akt najmu, a ja jutro rano przyjadę z rzeczami i zapłacę resztę.

— Dobrze.

— Oto ma pan piętnaście luidorów i jeden luidor dla pana.

— Dziękuję pani. Zaraz dam pani pokwitowanie.

— Niepotrzeba, ufam panu. Do widzenia

Spojrzała raz jeszcze na willę jaworową i opuściła domek.

Marjetta zaprowadziła ją do oberży, w której przygotowane było śniadanie, podczas którego umówiła się z gospodynią o przysyłanie jej codziennie do najętego domku śniadania i obiadu. Poczem udała się na stację i odjechała do Paryża.

XXXIII.

Juljusz Lucenay przybywszy do willi jaworowej, udał się natychmiast do pani Dauray, która wiedząc, że miał zabawić w Paryżu dni kilka, zdziwiła się nieco.

— Namyśliłem się—rzekł hrabia.—Interesa, dla których wczoraj wyjechałem, mogę załatwić i później, gdy tymczasem stan zdrowia naszej drogiej Henryki zaczyna mnie niepokoić. Powróciłem więc, gdyż miej-

sce moje przy niej... Tutaj będę przynajmniej spokojniejszym.

— Dobry jesteś, kochany Juljuszu, dziękuję ci— odrzekła p. Dauray, wzruszona do łez serdecznemi słowami tego potwora hipokryty.—Nasza droga Henryka ma się znacznie lepiej, lecz jest bardzo osłabiona. Byłaby zgubioną, gdyby gorączka wróciła się... Zgubioną—powtórzyła wdowa, wybuchając łkaniem— a ja zostałabym na świecie sama, po stracie dziecka i męża, samotna, opuszczona przez wszystkich, którzy mię kochali.

Lucenay ujął ręce pani Dauray i zawołał:

— Ależ ja, matko, kocham cię także, kocham cię jak syn rodzony i nie opuszczę cię nigdy!

P. Dauray z wdzięcznością uścisnęła jego dłonie

— Widzisz, mój drogi—rzekła — żeby Henryka powróciła prędko do zdrowia, potrzebowałaby mieć wrócone swe dziecię. Porwanie jego jest jedyną przyczyną jej cierpienia... zabija ją smutek i tęskota.

— Czynię wszystko, co tylko w moich siłach i zakres poszukiwań moich rozszerzam z dniem każdym. Wysłałem najzdolniejszych ajentów w rozmaite strony...

— I nic nie dowiedziałeś się?

— Niestety, nic jeszcze, lecz mam nadzieję.

— Na czem ją opierasz?

— Opowiem mamie później w obec Henryki. Ale, ponieważ przez dłuższy czas pozostanę w willi, kazałem więc tu przybyć memu kamerdynerowi i powiedziałem Germainowi, by ulokował go obok mego apartamentu.

— Dobrześ uczynił...

— A teraz chodźmy do Henryki.

Hrabia i pani Dauray weszli do pokoju chorej.

Henryka, spostrzegłszy męża, mimowoli zmarszczyła lekko brwi ze wstrętu. Anusia zauważywszy to, dała jej znak, by zapanowała nad swem uczuciem.

Hrabia siadł przy łóżku Henryki i wziął jej rękę.

— Myślałam, że jesteś w Paryżu—rzekła.

— Powróciłem, droga Henryko.

— Na długo?

— Pozostanę w Chennevières przy tobie, dopóki nie wyzdrowiejesz.

— Ja nie wyzdrowieję już nigdy — odrzekła ze smutkiem.

— Dziecię moje drogie— zawołała pani Dauray— odpędź od siebie te myśli ponure, które tylko szkodzą twemu zdrowiu. Twój powrót do zdrowia jest bliski...

— Tembardziej—dodał hrabia —iż możesz mieć nadzieję, że wkrótce odszukam twoją córkę...

Hrabia spodziewał się wybuchu radości, który jednak nie nastąpił. Na jedną chwilę w oczach Henryki błysnął ogień, ale twarz jej wyrażała obawę, prawie boleść.

— Czy wiesz już, kto mi ją porwał? — zapytała głosem drżącym.

— Nie wiem jeszcze, ale jeden z użytych przezemnie ajentów oświadczył mi wczoraj wieczorem, że wpadł już na ślad zbrodniarza i wkrótce odkryje go i odbierze nasze dziecię.

W Henryce wszystka krew zastygła.

— Jeżeli ten ajent mówił prawdę, więc cóż w takim razie uczynisz?

— Zemszczę się...

— W jaki sposób?—pytała, drżąc z przerażenia.

— Oh! bądź spokojną... Nie udam się do sądu i jeżeli tylko nie będzie to łotr pospolity, to wyzwę go i zabiję w pojedynku.

Henryka ukryła twarz w dłonie.

— Nie lękaj się o mnie — mówił dalej hrabia, mylnie tłomacząc sobie wzruszenie swej żony. — Gdy zbrodniarz stanie przedemną, zadrży mu ręka... będę walczył w dobrej sprawie, więc zwyciężę.

Poczem chcąc zmienić przedmiot rozmowy, zapytał.

— Jak się czujesz, drogie dziecię?

— Jestem bardzo osłabioną.

— Czy ściśle spełniasz polecenia lekarza?

— Spełniam.

Hrabia rzucił okiem na stojący przy łóżku Henryki stolik, na którym stała flaszeczka z przezroczystym bezbarwnym płynem. Wziął ją w rękę i zwróciwszy się do Anusi, zapytał:

— Czy to lekarstwo pani hrabina przyjmuje?

— Tak, proszę pana hrabiego — odrzekła pokojowa.

— Jak je dajesz?

— Trzy razy dziennie: rano, w południe i wieczorem po jednej łyżce stołowej w szklance wody ocukrzonej.

Hrabia postawił flaszeczkę na stoliku i wrócił do Henryki.

— Musisz mi, droga Henryko, wyzdrowieć prędko. Proszę cię, panuj nad swemi cierpieniami moralnemi, gdyż one to są źródłem twojej choroby. Ja ze swej strony, bądź przekonaną, uczynię wszystko, by przynieść ci ulgę. Dzięki mnie odzyskasz wkrótce swą córkę i mam nadzieję, będziesz mi wdzięczną.

Henryka nic nie odrzekła.

— Teraz, gdy już pozostanę w willi na dłużej, zajmę pokój oddzielony od twego tylko garderobą, której drzwi mogą być napół uchylone. Gdybyś była w nocy więcej cierpiącą, zawołasz mię tylko, a przyjdę

natychmiast. Anusia, która już dziesięć nocy przy tobie czuwała, musi być strudzona...

— To pewno — wtrąciła p. Dauray — że biedne dziecko bardzo potrzebuje odpoczynku.

— Ja nie jestem zmęczoną, proszę pani—odrzekła pokojowa — ponieważ już od trzech dni pani nie pozwala mi czuwać, więc śpię na kanapie w saloniku.

Hrabia zanotował sobie w pamięci słowa Anusi.

— Czy mama nie miała wiadomości od ojca? — zapytała Henryka.

Oczy pani Dauray zaszły łzami i dławiło ją w gardle łkanie, ale wysiłkiem woli zapanowała nad sobą.

— Nie miałam, moje dziecko—odrzekła.

— Dla czego ojciec nie pisze...

— Jutro bezwątpienia otrzymamy list...—rzekła p. Dauray i czując, że nie zdoła dłużej powstrzymać wybuchu żalu, powstała z fotelu.

— Może mama pójdzie ze mną — rzekł hrabia, chcąc dać jej pretekst do odejścia.—Chcę mamie pokazać coś w pokoju, który mam zająć.

Podał jej ramię i zaprowadził do garderoby, następnie zaś do pokoju, o którym mówił...

Obszerny i wspaniale umeblowany ten pokój znajdował się w samym rogu domu i oświetlony był dwoma oknami, z których roztaczał się widok na cały park, most, na zielone wyspy rozrzucone na Marnie i domki rozsiane na brzegu rzeki.

Gdyby hrabia wiedział, że Gabrjela znajduje się w tej chwili w Varenne-Saint-Hilaire, byłby spostrzegł sylwetkę młodej i eleganckiej kobiety, wychodzącej z Marjettą z domu, w którym miała zamieszkać nazajutrz.

P. Dauray, znalazłszy się sama z zięciem, nie mogła dłużej powstrzymać łez.

— Ah! — jęknęła głosem złamanym — biedna moja Henryka... gdyby dowiedziała się o śmierci ojca, nie przeżyłaby tego ciosu...

— I ja tak myślę—rzekł hrabia—potrzeba więc czynić wszystko, by wiadomość ta nie doszła do niej, dopóki nie wyzdrowieje zupełnie. Niech pani w swej miłości macierzyńskiej czerpie siłę dla ukrycia swej boleści.

— Niestety, wszak widzisz, że czynię wszystko co mogę, ale to męczarnia straszna; pomyśl tylko, nie mogę nawet nosić żałoby po moim ukochanym mężu!

— Odwagi, moja matko...

— Nie tylko odwagi potrzebuję... ale heroizmu... i dla tego upadam pod zbyt wielkim ciężarem.

Lucenay, uspokoiwszy nieco swą teściowę, odszedł do swego apartamentu.

Zaledwie hrabia z p. Dauray opuścił pokój Henryki, gdy ta podniosła się na łóżku.

— Czy słyszałaś, Anusiu—rzekła gorączkowo—powiedział, że jeśli go znajdzie, wyzwie i zabije...

— Pani droga, niech pani się uspokoi...

— Jak ja się mogę uspokoić... alboż to rzecz mozliwa?

— Niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, jak pani myśli... Przysięgłabym, że hrabia okłamywał nas.

— Co przez to rozumiesz?

— To, że nie za jego to pomocą odzyska pani swą córkę.

— Jednakże ci ajenci, których porozsyłał...

— Wszystko to kłamstwo.

— Lecz w jakim celu?

— By panią uspokoić i natchnąć cierpliwością... Niech pani mi wierzy, że hrabiemu wcale nie chodzi o odszukanie i oddanie pani jej córki... a zresztą, je-

śeli się nawet mylę i jeżeli ajenci jego czynni są rzeczywiście, jak zapewnia, to i w takim razie niema obawy. Ten, kto porwał dziecię dla zasłonięcia go od grożącego mu niebezpieczeństwa, potrafił je tak ukryć, iż mu go nie odbiorą.

— Może masz rację—szepnęła hrabina, upadając na poduszki.—Ale nawiedzają mnie przeczucia smutne.

— Niech pani je odpędzi...

— Pragnęłabym, a nie mogę. Zdaje mi się, że śmierć krąży nad tym domem... zdaje mi się, że stanie się tu coś strasznego...

Anusia chciała odpowiedzieć, lecz drzwi otworzyły się i do pokoju chorej weszła pokojowa pani Dauray z posiłkiem dla Henryki.

Tegoż dnia o godzinie piątej Dufour przybył do willi i zajął pokój, oddzielony korytarzem od apartamentu hrabiego.

Podszedł do okna i otworzył je.

— Wspaniały widok — szepnął — a jakie powietrze! Pachnie kwiatami i sianem skoszonem!... Ani porównania z cuchnącem powietrzem paryskiem! Ah wieś! Niema jak wieś! Dziwna rzecz, jaki ja mam gust do wsi!

Urządził się w pokoju i poszedł przedstawić się hrabiemu, a zarazem zapytać o instrukcje.

Były one bardzo proste, polegały bowiem na tem, by nic nie robić, a patrzeć na wszystko, co się dzieje i donosić hrabiemu...

Poczem zwiedził cały dom, od piwnic aż do stajni, zapalił cygaro i wyszedł obejrzeć park.

Następnego dnia około dziewiątej rano Gabrjela Stellini przybyła do najętej przez się willi. Po uregulowaniu rachunku z ogrodnikiem, udała się do swego pokoju na piętrze, otworzyła okno, wzięła lornetkę i zaczęła przyglądać się willi jaworowej.

— Ah, otóż i on—zawołała, spostrzegłszy hr. de Lucenay stojącego w oknie. — Ale wydaje się zamyślonym... Może rozpoczął już co mu kazałam... Może waha się, w rzeczy samej bowiem jest on tchórzem; ale to mała rzecz, trzymam go w rękach. Musi mi być posłusznym!... Wkrótce hrabina de Lucenay połączy się z swym ojcem i zanim rok upłynie zajmę jej miejsce! Będę nad nim czuwała... musi spełnić moją wolę!

Hrabia odszedł od okna.

— Potrzeba zawiadomić go o mojem przybyciu.

Przeszła do drugiego pokoju i napisała następujące słowa:

„Kochany hrabio!

Niepodobna mi było mieszkać dalej w Paryżu. Paryż leży zbyt daleko od Chennevières. Zbliżyłam się więc do ciebie, by cię częściej widzieć i dzisiaj z okna mego mogę patrzeć na ciebie. Cudu tego dokonała lornetka teatralna, doskonała, *jakkolwiek nie w Anglji kupiona.*"

Szyderski uśmiech przebiegł na jej ustach, gdy podkreślała ostatnie wyrazy.

„Najęłam na cały sezon mały domek w Varenne-Saint-Hilaire na brzegu rzeki, na lewo od mostu. Możesz więc mieć podwójną przyjemność: lornetując mię lub odwiedzając; wierz, że będziesz przyjęty dobrze. Po otrzymaniu tego listu weź lornetkę (nie brakuje jej zapewne w willi jaworowej) otwórz okno i spojrzyj na domek biały z zielonemi roletami, a spostrzeżesz mię stojącą w oknie otwartem, przesyłającą ci pocałunki...

Twoja na zawsze *Gabrjela.*"

Włożyła list w kopertę i zaadresowała.

Dufour wieczorem dnia poprzedniego przygotował swe zwykłe sprawozdanie i miał je gotowe, chciał bowiem rano wyprawić pocztą, by wieczorem tego dnia lub przynajmniej nazajutrz rano doszło rąk Magdaleny.

Poszedł do hrabiego po rozkazy i nie otrzymawszy ich, rzekł:

— Skoro pan hrabia nie potrzebuje mnie dzisiaj, to może raczy pozwolić mi oddalić się z willi na parę godzin...

— Masz tutaj znajomych?

— Nie znam nikogo, ale przepadam za rzeką a szczególnie lubię Marnę. Lubię marząc przechadzać się nad brzegiem rzeki i roskoszować się szmerem jej wód płynących.

— Do licha, jesteś poetycznym!

— Przy sposobności, panie hrabio.

— Możesz więc iść marzyć i słuchać pieśni płynącej wody.

— Mam zaszczyt podziękować panu hrabiemu— i oddalił się.

Dufour miał dwa powody wyjścia. Oprócz potrzeby oddania na pocztę listu do Magdaleny Gallier, czuł w sobie już tak wezbrane pragnienie pozostania posiadaczem ziemskim, iż postanowił dowiedzieć się, czy nie znajdzie jakiego domku do sprzedania.

Udał się do Varenne, rzucił list do skrzynki pocztowej i dopytawszy się o ajencję, zajmującą się sprzedażą i najmem nieruchomości, wszedł do kantoru.

— Czy ma pan domy do sprzedania? — zapytał ajenta siedzącego za biurkiem.

— Nawet bardzo wielki wybór — odrzekł ajent, podając mu listę domów i opisy.

— Lista mi niepotrzebna, może bowiem zawie-

rać domy dla mnie niedogodne. Prędzej możemy się porozumieć, gdy powiem jakiego domu żądam.

— Ma pan rację, zupełną rację... słucham więc.

— Potrzebuję domku z małym ogrodem i ogródkiem warzywnym, piwnicą, parterem i piętrem... Trzy pokoje na dole, trzy pokoje na górze... stajenki na jednego konia i remizy na jeden powozik.

— Mam taki domek.

— Zapomniałem dodać, że zależy mi przedewszystkiem, by nieruchomość ta położona była nad brzegiem rzeki.

— Mam taką... bardzo ładny pawilonik nad brzegiem Marny naprzeciw Chennevières.

— Czy jest łódka?

— Jest i nadto mała przystań przy moście.

— Czy miejscowość ładna?

— Wspaniała. Nie może być piękniejszej. Czy pan chce zaraz objąć w posiadanie?

— Nie zależy mi na tem, gdyż zajęcia moje zatrzymają mnie jeszcze jakiś czas w Paryżu.

— Wszystko się składa jak najlepiej.

— Jaka cena?

— Bardzo niska. Czterdzieści tysięcy franków.

— Do licha! To pan to nazywa niską?

— Ale za to jest wszystko, nawet meble i sprzęty w tej cenie już porachowane.

— Czy meble przyzwoite przynajmniej?

— Więcej niż przyzwoite, gdyż zupełnie eleganckie, zbytkowne! Znajdzie pan wszystko: bieliznę stołową, naczynia kuchenne, szkło, porcelanę, zaprzęgi, słowem, co tylko potrzeba...

— A łódka nowa?

— Zrobiona przed pięcioma miesiącami, z masztem, żaglem, dwoma parami wioseł, wędkami i t. d. i t. d. Niech pan wierzy mi, że to prawie za darmo.

— Dla czego nie można objąć w posiadanie zaraz?

— Gdyż domek jest najęty na pół roku.

— Szkoda! Lokatorzy pobrudzą i zniszczą wszystko! Czy można obejrzeć?

— Można, ale musi pan trochę poczekać, gdyż ja teraz wyjść nie mogę, a pomocnik mój przybędzie dopiero za pół godziny.

— A ja sam nie mogę pójść?

— Owszem, jeśli pan sobie życzy. Ulica Marny, na lewo od mostu Chennevières, nr 27. W tej chwili dam panu upoważnienie.

— Dobrze. Za kilka godzin powrócę i powiem panu stanowczo, czy kupuję czy nie.

Opuścił ajencję i udał się pod wskazany adres.

Widok domku podobał mu się bardzo.

Gdy przestąpił próg przedpokoju, krzyknął ze zdziwienia:

— Panna Marjetta!

— Pan Dufour!—zawołała również zdziwiona pokojowa Gabrjeli.—Czy pan wiedziałeś, że my tutaj mieszkamy?

— Anim się domyślał nawet!

— Więc cóż pana tu sprowadziło?

— Wypadek.

— Wątpię, czybyś pan dzwonił do naszych drzwi wypadkiem.

— Ponieważ dom ten jest do sprzedania, chciałem więc go obejrzeć.

— Dla pana hrabiego?

— Nie.

— Więc dla siebie samego?

— Niestety, środki moje nie pozwalają na podobne kupno. Dla jednego z moich przyjaciół... Ale jakim sposobem pani znalazłaś się tutaj?

— Moja pani najęła ten dom, by bliżej być hrabiego.

— Z kim tam rozmawiasz Marjetto? — zapytała Gabrjela, wychodząc z pokoju.

— Z panem Dufourem.

Gabrjela również krzyknęła ze zdziwienia.

— Przychodzisz pan bardzo wczas—rzekła Gabrjela, wysłuchawszy opowiadania Dufoura o powodzie, który sprowadził go do jej mieszkania. — Napisałam właśnie list do hrabiego z zawiadomieniem o mojem przybyciu tutaj. Miałam go wysłać pocztą, ale lepiej będzie gdy wręczysz mu go pan do rąk.

— Z przyjemnością.

— Powiesz pan przytem, że stąd widzę wszystko, co się dzieje w willi jaworowej.

— A to jakim sposobem?

— Patrz pan—rzekła, podprowadziwszy Dufoura do okna i wskazując mu ręką Chennevières. — Co pan tam widzisz?

— Willę jaworową, lecz nie rozróżniam szczegółów.

— Spojrzyj-no pan przez to—rzekła Gabri, podając mu lornetkę.

Dufour od czasu podróży swej do Londynu miał, jak łatwo zrozumieć, wielką nieufność do lornetek. Niespokojnym więc wzrokiem rzucił na podaną mu przez Gabrjelę, przypatrzył się jej i przekonawszy się, że nie podobna do lornetki Lobba, przyłożył ją do oczu.

— Ma pani rację!—rzekł po chwili.—Zdaje mi się, jak gdybym znajdował się o cztery kroki od willi. Doskonale rozróżniam otwarte okno pokoju pana hrabiego... widzę twarze dekoratorów, pracujących na rusztowaniu... Ach! to pan hrabia przechadza się po parku z panią Dauray... Mówi do niej... widzę poru-

szenia ust... Po powrocie do willi sam wskażę panu hrabiemu mieszkanie pani... łatwo je poznam...

Oddał lornetkę Gabrjeli.

— Pani tu bardzo ładnie mieszka — zauważył, robiąc wzrokiem przegląd mebli.—Ajent mówił mi, że jest nawet bielizna stołowa...

— Jest i bardzo piękna... Dom w ogóle bardzo zasobnie urządzony...

— Powiem to mojemu przyjacielowi. Ale musi pani płacić drogo?

— Trzy tysiące franków za pół roku.

— Czy pani raczy powierzyć mi list? — zapytał Dufour, dowiedziawszy się już o wszystkiem, co potrzebował wiedzieć.

— Oto jest.

— Za pół godziny hrabia będzie miał szczęście czytać go.

Włożył list do pugilaresu, skłonił się z pozorami najgłębszego szacunku i wyszedł.

— Pani Stellini w Varennes!—mówił do siebie, wracając do willi jaworowej—to rzecz dziwna... Musi w tem coś być... Powinienem obserwować dobrze... a swoją drogą trzeba kupić ten dom... Podoba mi się... Meble nowe i wszystko jest na miejscu, pozostaje tylko przynieść pantofle. Płacąc gotówką, może coś z ceny utarguję...

Hrabia przeglądał dzienniki, gdy Dufour wszedł do jego gabinetu.

— Mam list do pana hrabiego — rzekł, podając pismo.

— List? Od kogo?

— Zdaje mi się, że pan hrabia, dowiedziawszy się, od kogo, będzie zdziwiony, równie jak ja.

— Lucenay spojrzał na adres i poznawszy pismo, zawołał:

— Od pani Stellini!
— Tak, panie hrabio.
— Więc widziałeś się z nią.
— Widziałem się, panie hrabio
— Kiedy?
— Najwyżej przed dwudziestoma minutami.
— Nie rozumiem cię...
— Niech pan hrabia raczy przeczytać list, a zrozumie.
Hrabia rozdarł kopertę i zaczął czytać, lecz w miarę czytania coraz mocniej marszczył brwi.
— Osiadła tam, by mię nadzorować... szpiegować... — myślał. — Chce być pewną, że nie zawaham się w chwili stanowczej... nie cofnę się...
— Rozumie pan hrabia teraz?—zapytał Dufour z uśmiechem.
— Rozumiem.
— Czy pan hrabia pozwoli mi pokazać sobie dom p. Stellini?
— Pokaż.
Dufour zbliżył się do okna, otworzył je i wskazując ręką punkt nad brzegiem Marny, rzekł:
— Czy pan hrabia widzi naprzeciw domek z zielonemi roletami pomiędzy dwiema grupami drzew?
— Widzę coś, ale bardzo niewyraźnie.
— Gdyby pan hrabia miał lunetę, albo przynajmniej lornetkę teatralną, spostrzegłby panią Stellini powiewającą chustką. Mam dobry wzrok i widzę każdy jej gest.
— Idź do Germaina i poproś o lunetę lub lornetkę mojego nieodżałowanego teścia.
Po kilku minutach Dufour powrócił i podał hrabiemu lornetkę, na widok której Lucenay lekko zadrżał i zbladł. Lornetka ta bowiem dziwnym zbiegiem okoliczności ornamentacją swoją przypomniała

mu lornetkę Lobba. Po chwili namysłu uspokoił się, obrócił kilka razy kółko i przekonawszy się, iż niewinne narzędzie nie zagraża żadnem niebezpieczeństwem, zbliżył je do oczu. W domu, wskazanym przez Dufoura, spostrzegł Gabrjelę lornetującą jego i przesyłającą mu ręką całusy.

W tej chwili pod oknem dały się słyszeć czyjeś kroki i hrabia, nie chcąc, by go spostrzeżono, cofnął się w głąb pokoju.

— Czy mam odnieść lornetkę Germainowi?—zapytał Dufour.

— Nie, pozostaw — odrzekł hrabia i położył ją na stoliku, a po chwili dodał:—Pójdziesz do p. Stellini i powiesz, że jutro wieczorem przyjdę do niej.

Około drugiej po południu Dufour spełnił polecenie, następnie udał się do ajenta sprzedaży i najmu nieruchomości i po długim targu, podczas którego udawał, że zrzeka się kupna, podpisał w końcu mającą być następnie legalizowaną przez notarjusza umowę kupna nieruchomości za sumę trzydzieści ośm tysięcy pięćset franków gotówką.

Wszystkie marzenia jego spełniły się nareszcie.

Przez ten czas hrabia rozmyślał nad tem, jakim sposobem urządzić się, by odwiedzić panią Stellini niepostrzeżenie i bez narażenia się na kompromitację. Złożyć jej wizytę w biały dzień było niepodobieństwem. Wyjść zaś z willi wieczorem, w oczach wszystkich, było narażeniem się na rozmaite domysły i komentarze.

Juljusz, wiedząc, że park dochodził aż do rzeki, dla zbadania miejscowości udał się aleją, prowadzącą na taras. Przy jednym boku tarasu znajdowały się schody kamienne, u dołu których były drzwi wychodzące na drogę. Hrabia zeszedł do nich, spró-

— Tak panu powiedział?

— Tak i nawet bardzo nalegał.

— Masz pan przy sobie to lekarstwo?

— Mam — odrzekł Dufour, pokazując malutką paczkę, ważącą zaledwie kilka gramów, z obu stron zapieczętowaną lakiem czerwonym.

— Pozwól mi ją pan na chwilę wraz z receptą i poczekaj na mnie.

— Służę pani.

Odeszła do pokoju stołowego i, pokazując doktorowi receptę, rzekła:

— Szanowny doktorze, racz mi powiedzieć, co myślisz o tem?

— Do licha! — zawołał doktór, rzuciwszy okiem na receptę. — Lekarstwo niebezpieczne, mogące przedłużyć życie osobie chorej w ostatniem stadjum na serce, ale w każdym innym razie zabijające powoli, bez pozostawienia śladów.

— Od kogo pani masz tę receptę? — zapytał markiz de Valandelle.

— Od intendenta hrabiego de Lucenay, mającego polecenie wzięcia drugiej dozy tego lekarstwa. Domyślasz się pan, o co chodzi?...

— Rozumiem; ponieważ teść hrabiego umarł na anewryzm serca, więc obecnie chodzi nie o lekarstwo, lecz o truciznę...

— Przeznaczoną dla hrabiny de Lucenay, biednej męczennicy, której nikczemnik ten chce się pozbyć za pomocą zbrodni! Oto jest ta trucizna — dodała, kładąc na stole pakiecik.

— Droga pani — rzekł doktór Vernon — proszę kazać mi podać laku czerwonego i świecę zapaloną.

— Podam je panu sama.

Doktór nagrzał pieczątki nad płomieniem świecy i otworzył pakiecik. Zawierał on w sobie parę szczypt białego proszku.

— Czy pani jest pewną, że chodzi o spełnienie zbrodni?—zapytał doktór.

— Jestem tak pewną, jak gdybym patrzała na zbrodniarza, wsypującego tę truciznę.

— Więc dobrze! uczynimy ją nieszkodliwą.

Wyjął truciznę, wsypał na jej miejsce sproszkowanego cukru, złożył pakiecik w formę pierwotną i zapieczętował. Najpodejrzliwsze oko nie spostrzegłoby, że pakiecik był otwierany.

Magdalena wzięła go wraz z receptą i wróciła do Dufoura.

— Myliłeś się pan—rzekła — na ten raz podejrzewałeś hrabiego niesłusznie. Lekarz mój, znajdujący się w tej chwili u mnie, po przeczytaniu recepty zapewnił mnie, że lekarstwo to nietylko że nie jest niebezpiecznem, lecz przeciwnie bardzo zbawiennem...

Dufour pakiecik i receptę schował do pugilaresu.

— Czy nic więcej nie masz pan do powiedzenia mi?

— Mam wręczyć raport zwykły, który miałem oddać na pocztę, gdy hrabia kazał mi jechać do Paryża. Dowie się pani z niego, że Gabrjela Stellini, z powodów mi nieznanych, postanowiła zbliżyć się do pana hrabiego.

— Ah! ah!

— Ponieważ hrabia przebywa w Chennevières, więc panna Stellini najęła dom w Varenne-Saint-Hilaire. Z okna tego domku, za pomocą lornetki teatralnej, można doskonale porozumiewać się znakami z willą jaworową.

— Dziękuję panu. Jesteś pan sprzymierzeńcem inteligentnym i wiernym! Jestem z pana bardzo zadowoloną...

Pan intendent po wyjściu od Magdaleny, udał się na ulicę Cyrkową i następnie na stację kolei żelaznej.

— Rozumiem—mówiła do siebie Magdalena pozostawszy samą. — Lucenay, zmuszony spełnić mą wolę i nie chcąc rozwodu, który go zrujnuje, postanowił uwolnić się od żony za pośrednictwem trucizny... Stellini wie o tem i zbliżyła się do niego, by mieć nad nim nadzór i przekonywać się osobiście o postępie dzieła śmierci!... Łudźcie się, nikczemnico i ty bandyto, i wierzcie w powodzenie! Ale zapominacie, że Bóg jest sprawiedliwym! Na szczęście ja stanęłam wam na drodze... wasza godzina zbliża się!...

Dufour po wyjściu z pociągu na stacji Varenne, czas jakiś krążył naokoło swego domu, wpatrywał się w okna i miał wielką ochotę wejść do środka dla nasycenia wzroku widokiem mebli i sprzętów, ale nie śmiał, brakowało mu bowiem pretekstu do przedstawienia się Gabrjeli. Odszedł więc do willi jaworowej i wręczył hrabiemu de Lucenay zabrane z ulicy Cyrkowej listy, pakiecik z proszkami i receptę.

Hrabia z udaną obojętnością schował je do szufladki biurka i zaczął przeglądać korespondencję.

XXXIV.

Malarze-dekoratorzy zajęci byli ciągle pracą nad upiększeniem fasady willi, w której hrabia de Lucenay, po śmierci swego teścia, uważał się za absolu-

tnęgo pana. Po ukończeniu robót około gzemsów, zdjęto wyższe rusztowanie, tak, że sięgało ono teraz do wysokości okna pokoju i apartamentu Henryki. Rolety tego ostatniego były zapuszczone szczelnie, aby żadne oko niedyskretne nie mogło zajrzeć do wnętrza.

Stan zdrowia młodej kobiety był dość zadawalniającym, ale powrót do dawnych sił odbywał się bardzo powolnie. Dla śpieszniejszego ich odzyskania, lekarz zalecił Henryce wstawać codzień po południu na parę godzin. Podnosiła się więc i przeszedłszy z pomocą Anusi kilka kroków po pokoju, kładła się następnie na szeslongu.

Każdego poranku i wieczora dekoratorzy oddalali się na śniadanie i obiad do oberży, w której mieszkali.

Tego dnia o jedenastej przed południem opuścili pracę i udali się do oberży. W chwili, gdy siadali do zastawionego już stołu, wszedł nagle z zawiniątkiem w ręku Juljusz Claude, którego nie widzieli od czasu rozpoczęcia robót.

Życzliwy okrzyk dekoratorów powitał przybysza.

— Artysta będzie jadł z nami śniadanie! Brawo!

— Tak, moje dzieci—odrzekł Juljusz— i za takie przyjęcie mam ochotę postawić kilka butelek wina bordoskiego.

Dekoratorzy przyjęli to oświadczenie oklaskami.

— Zrobić miejsce dla Juljusza Claude!

— Podać nakrycie dla artysty!

Za chwilę miejsce i nakrycie było gotowe.

— No, siadaj!

— Poczekajcie chwilę! — odrzekł Juljusz — nie mogę przecież siadać do stołu jak panicz wałęsający się po bulwarach, ale muszę nałożyć ubranie robotnika, gdyż jestem nim i szczycę się tem!

Rozwinął zawiniątko i, wyjąwszy bluzę z grubego płótna, zaplamioną farbami, i okrągły kapelusz, nałożył je na siebie.

— Ah, więc będziesz z nami pracował? — zapytali.

— A naturalnie!

— Doskonale! Poprawisz mi głowę w stylu bizantyńskim, którą maluję na złotem tle w medaljonie nad oknem, a z którą nie mogę dać sobie rady...

— Co tylko chcecie, moi kochani koledzy, po to przybyłem tu.

— Brawo! niech żyje artysta! To mi przyjaciel, to kolega!

Dekoratorzy z butelkami i ze śniadaniem uwinęli się prędko, niewiele czasu bowiem mieli do stracenia. Po kawie udali się do willi jaworowej i zabrali się do roboty.

Zbytecznem byłoby objaśniać czytelników, że Juljusz Claude przybył do Chennevières bynajmniej nie w celu oddania się robocie. Robota służyła mu tylko za pretekst do upozorowania jego obecności i przybrania kostjumu robotnika. Rzeczywistym jego celem było zbliżenie się do willi, znalezienie sposobu zobaczenia Henryki choćby na jedną sekundę i przekonanie się na własne oczy o prawdziwym stanie jej zdrowia.

By wejść na rusztowanie, potrzeba było koniecznie przejść przed frontową fasadą willi.

Co będzie, jeżeli Juljusz spotka hrabiego i ten pozna go mimo przebrania?

Z pewnością nastąpi coś strasznego, lecz nie czas było wahać się. Trzeba było albo zrzec się całego zamysłu, albo zaryzykować wszystko. Juljusz postanowił nadrobić zuchwalstwem.

Udał się wraz z towarzyszami i przeszedł szczęśliwie.

Nie mając roboty obowiązkowej i przybywszy dla zajęcia się niejako w roli amatora, Juljusz nie miał swojego miejsca na rusztowaniu. To też poprawiwszy jednemu z towarzyszów głowę kobiety w stylu bizantyńskim, starał się ulokować o ile mógł najbliżej okna pokoju Henryki.

— Przy tem oknie robimy tylko rano—zawołał jeden z dekoratorów—ponieważ pani hrabina podobno jest chora.

— Dobrze! — odrzekł Juljusz, wracając, przekonał się bowiem, że z powodu zapuszczonych rolet nie będzie mógł sięgnąć wzrokiem do wnętrza pokoju.

Przeszedł na rusztowanie inne, lecz gdy zbliżył się do rogu pałacu, nagle zadrżał, spostrzegł bowiem hr. de Lucenay, który wychylony w oknie, z lornetką przy oczach, dawał prawą ręką jakieś znaki. Artysta cofnął się i zaczął szukać punktu, obserwowanego przez hr. de Lucenay. Po chwili spostrzegł po drugiej stronie rzeki biały domek i stojącą w oknie kobietę. Kobieta ta widocznie lornetowała także willę jaworową i na telegraficzne znaki hrabiego odpowiadała giestami podobnemi.

Juljusz wychylił za róg pałacu głowę i znowu spostrzegł ramię hrabiego, który, zapominając, że z takiej odległości nie może być słyszanym, bezwiednie, jakby dla potwierdzenia swego sygnału, wymówił doskonale słyszane przez artystę dwa wyrazy:

— Dzisiaj wieczorem!

— Więc to ze swą kochanką koresponduje— rzekł do siebie Claude. — Ah! nikczemnik! Tam żona leży chora, może niebezpiecznie, a on pod jej bokiem osadza kochankę! Ah! podły! Trzeba nareszcie skończyć z tym łotrem...

Hrabia cofnął się i artysta za chwilę usłyszał stuknięcie zamykanych drzwi.

— Wyszedł z pokoju—pomyślał—mogę iść.

Podszedł do okna i zajrzał do wnętrza.

Pokój był pusty, lornetka leżała na stoliku przy oknie.

Claude odszedł, udał się na rusztowanie inne i zajął się robotą.

Rolety w oknie pokoju Henryki były ciągle spuszczone.

— Nie podniosą ich — szepnął — i nie będę jej mógł zobaczyć. A jednak muszę ją widzieć! Za nadejściem nocy zapalą w pokoju światło, wtedy może znajdę pretekst wejścia na rusztowanie i zobaczę przez rolety.

By nie wzbudzić podejrzenia, przemknął się pod oknem Henryki i wszedł na rusztowanie inne. W przejściu cień jego po raz wtóry zarysował się na rolecie okna pokoju chorej.

— Dla czego ci ludzie przechodzą dziś bezustannie pod mojem oknem — rzekła Henryka. — Przecież proszono ich by nie robili tego.

Anusia podeszła do okna, otworzyła je i wychylając się na balkon, zawołała:

— Panie! panie!

Claude powrócił machinalnie, lecz spostrzegłszy pokojowę, nasunął na twarz kapelusz.

— Wszak proszono panów, byście z tej strony pracowali tylko przed śniadaniem. Czyż panowie zapomnieliście?

— Przepraszam panią—odrzekł Claude—nie będziemy więcej przechodzili.

Anusia zastanowiła się.

— Ten głos... — szepnęła — zdaje mi się, że go

znam. Jestem pewną, żem go gdzieś słyszała... Ale gdzie? To dziwne!...

— Cóż tam Anusiu?—zapytała Henryka.

— Nic, proszę pani—odrzekła i zamknęła okno.

O szóstej wieczorem dekoratorzy opuścili rusztowanie i udali się na obiad, poczem rozeszli się do swoich mieszkań.

Juljusz udał się także do swego pokoju, ale zabawił niedługo, po kilkunastu minutach bowiem wyszedł z oberży i skierował się ku rzece. Gdy doszedł do tarasu willi jaworowej, uchwycił się rękami za wierzchołek muru, przesadził go i wszedł do parku. Następnie przesuwając się między drzewami i krzakami, dotarł do samego pałacu. Okna pokoju Henryki i hrabiego były oświetlone, głęboka cisza panowała w całym parku.

Na wieży kościoła w Chennevières wybiła godzina dziewiąta.

— Nie powinienem się wahać—szepnął.

Wspiął się na palcach, uchwycił koniec sznura wiszącego pod rusztowaniem przy oknie hrabiego de Lucenay i podejmując się coraz wyżej, dostał się do okna, nie sprawiwszy najmniejszego szmeru.

Wtedy nadstawił uszu.

Księżyc jeszcze się nie pokazał i gęsto toczące się po horyzoncie chmury, zakrywały gwiazdy. Głęboka ciemność zalegała w około. Spojrzał w okno i spostrzegł naprzeciw siebie siedzącego za stolikiem hrabiego de Lucenay.

Na stoliku stała karafka z wodą, flakonik i malutki pakiecik zawinięty w papier biały.

Hr. de Lucenay z rysami zmienionemi i fałdą na czole, wziął pakiecik, rozpieczętował go i zawarty w nim proszek biały wsypał w karafkę, którą wstrząsnął razy kilka i następnie postawił na stole. Po

kilku minutach wziął ją znowu, postawił naprzeciw lampy dla przekonania się zapewne, czy proszek się rozpuścił i zadowolony, napełnił wodą z karafki mały flakonik. Skończywszy tę czynność, schował karafkę do szafy, którą zamknął na klucz i włożył go do kieszeni.

— Co on robi?—zapytywał się Claude z niepokojem.—Może przyrządza lekarstwo dla Henryki. Zaraz się dowiem.

Spuścił się na ziemię, okrążył róg pałacu i wdrapał się na rusztowanie, stojące przed oknem pokoju pani Lucenay. Okno było oświetlone i zasłonięte tylko firankami koronkowemi, przez które można było widzieć wnętrze pokoju.

W głębi spoczywała na łóżku Henryka z zamkniętemi oczyma. Stojąca obok na stoliku mała lampka nocna, rzucała światło na jej twarz, która wydała się Juljuszowi bardzo bladą i zeszczuplałą. Co za zmiana od niedawnej chwili, gdy widział ją w Seine-Port, ileż od tego czasu biedna męczennica musiała wycierpieć!

— Sprawcą tych cierpień ja jestem — mówił do siebie Juljusz z boleścią. — Ach, jakiż ja jestem nikczemny!

Nagle małe drzwi za głową chorej uchyliły się powoli i na progu ukazał się hr. de Lucenay. Był blady jak śmierć i w ręku trzymał flakonik. Stał chwilę nieruchomy, jakby nasłuchiwał i parę razy wychylił głowę przed siebie, dla przekonania się, czy Henryka śpi.

Uspokojony widocznie pod tym względem, wyciągnął rękę i nie wchodząc do pokoju, wziął stojącą na srebrnej tacce obok lampki szklankę, w trzech czwartych częściach napełnioną napojem, przygotowanym przez Anusię, wypił połowę, nalał taką samą ilość

płynu z flakonu, postawił szklankę na tacce, cofnął się i zamknął drzwi za sobą.

Claude ze skroniami, ociekającemi zimnym potem, z dłońmi zaciśniętemi kurczowo, z dyszącą piersią, patrzał i drżał całem ciałem. Czerwona chmura zakrywała mu źrenice. Zapytywał siebie, czy rzeczywiście widział to wszystko, czy też jest igraszką jakiejś strasznej halucynacji? Wzrok jego nie mógł oderwać się od szklanki, w którą hr. de Lucenay wlał płyn nieznany i sam następnie ukrył się jak złodziej, lub morderca.

Nagle nowe wrażenie wstrząsnęło Juljuszem.

Henryka lekko poruszyła się, zmieniła pozycję głowy i, otworzyła oczy.

Po chwili uniosła się cokolwiek na posłaniu, wyciągnęła rękę ku szklance, wzięła ją, zbliżyła do ust i wypiła prawie całą jej zawartość.

Juljuszowi zdawało się, że tknięty został paraliżem fizycznym i moralnym.

Chciał rozbić szybę i zawołać do pani Lucenay:

— Nie pij tego!.. To śmierć!...

Nie mógł.

Henryka postawiła szklankę na stoliku, opuściła głowę na poduszkę i przymknęła oczy.

Zasnęła.

Umysł Juljusza, na chwilę przyćmiony strasznym widokiem, odzyskał jasność.

— Nikczemnik!—szeptał — zbrodniarz! morderca kobiet! W interesie własnej przyszłości potrzebował by Magdalena nie żyła i starał się ją udusić! Obecni dla majątku potrzebna mu śmierć Henryki i truje ją Co tu czynić? Czy donieść policji? Wywołać skan dal? Nie uwierzą mi... zapytają się, jakiem prawen obwiniam... I siebie zgubię i Henryki nie uratuję..

Dla walki z tym łotrem potrzebna mi broń pewniejsza... Na szczęście, wiem gdzie ją znajdę...

Przeszedł na rusztowanie sąsiednie i miał się już spuścić na ziemię, gdy nagle usłyszał szmer. Nachylił się i utkwił wzrok przed siebie.

Jakaś postać ludzka szybko przeszła wzdłuż fasady i skierowała się do parku. Juljusz, mimo ciemności, poznał, a raczej domyślił się, że to był hr. de Lucenay.

Na chwilę przyszła mu myśl zeskoczyć z rusztowania i udusić truciciela. Ale musiałby walczyć z człowiekiem zapewne uzbrojonym i jeśliby padł w tej walce nierównej, Henryka byłaby zgubioną!

Pozwolił mu przejść i czekał parę minut. Gdy sądził, że hrabia jest już dość daleko, zeszedł z rusztowania, przystanął i zaczął zbierać myśli.

— Poszedł zapewne do swej kochanki...

Na wieży w Chennevières wybiła dziesiąta.

Juljusz liczył uderzenia.

— Dziesiąta — szepnął — zdążę na czas... Muszę ją ocalić!...

Przyśpieszonym krokiem przebiegł park, wszedł na taras, zeskoczył zeń na drogę i udał się na stację Varenne.

Gdy przybył, pociąg odchodzący do Paryża już oczekiwał.

XXXV.

Hr. de Lucenay nie potrzebował, jak Claude, zeskakiwać z tarasu na drogę, gdyż posiadając klucz, spokojnie otworzył sobie drzwi u dołu schodów i udał się do domku, zajmowanego przez Gabrjelę.

Marjetta, która go oczekiwała, otworzyła mu drzwi, zanim dotknął się dzwonka.

— Pani czeka na pana hrabiego.

Gabrjela przyjęła go z twarzą uśmiechniętą.

— Cóż?—zapytała.

— A cóż, tryumfujesz—odrzekł ponuro—wlałem pierwszą dozę.

Nie jeden tylko Juljusz Claude wiedział, co stało się w willi jaworowej.

Pomimo zapewnienia Damy w szmaragdach, że lekarstwo jest nieszkodliwe, Dufour zbyt dobrze znał swego pana, by czuć się spokojnym.

— Nie wierzę—mówił do siebie.

Wierny sługa od czasu, gdy stał się rentjerem i właścicielem nieruchomości, bał się strasznie zostać skompromitowanym.

Dwukrotne zalecenie hrabiego, by oddał lekarstwo do własnych rąk jego, wydało mu się bardzo podejrzanem i nie schodziło mu z pamięci.

Powróciwszy do Chennevières, pan intendent stosując i w willi jaworowej system, jakiego trzymał się przy ulicy Cyrkowej, zrobił świderkiem mały otwór w drzwiach pokoju hrabiego i skoro tylko pan jego wszedł do siebie, zaczął go podglądać. Tym sposobem widział, jak hrabia rozpuścił w karafce z wodą proszek przywieziony przez niego i następnie nalał tego płynu we flakonik.

Ale operacja ta, jakkolwiek podejrzana, nie potwierdzała jeszcze w sposób niezbity podejrzeń Dufoura.

Hrabia z flakonikiem w ręku wyszedł do garderoby, po za którą znajdował się pokój Anusi. Dufour nie mógł iść za nim, oczekiwał więc pod drzwiami dalej. Po dwóch lub trzech minutach hrabia wszedł,

blady, ze ściągniętemi brwiami i chodząc, wymówił nieświadomie, tak jednak głośno, że szpiegujący usłyszał:

— Każdego wieczora taką samą ilość, a przed upływem miesiąca będę wdowcem!

Teraz nie było już wątpliwości—rzeczywistość rzucała się w oczy.

Dufour, jakkolwiek sam był wielkim łotrem, przestraszył się na widok zbrodni tak okropnej i chwiejąc się na nogach, odszedł do swego pokoju. Położył się, lecz przez całą noc nie mógł zmrużyć oka.

Około trzeciej rano usłyszał kroki hrabiego, wracającego do pałacu.

— Bandyta idzie *z mego domu*!—pomyślał.

Wstał o szóstej rano, lecz nie mógł uspokoić się. Głowa gorzała mu.

O ósmej hrabia zadzwonił i powitał Dufoura twarzą uśmiechniętą.

— Pojedziesz dzisiaj do Paryża—oświadczył.

— W jakim czasie?

— Natychmiast. Zawieziesz te listy do moich dostawców. P. Stellini nie ma ani wina w piwnicy, ani żadnych prowizji. Kolacja, którą wczoraj u niej jadłem, była nieznośną.

— Dobrze, panie hrabio.

— Przypilnuj, aby kosze z winem i prowizją, przysłane były dziś jeszcze.

— Przywiozę je z sobą.

— Dobrze; lubię taką gorliwość.

Dufour nie tracąc czasu, odjechał natychmiast do Paryża, gdzie przedewszystkiem udał się na ulicę Faisanderie.

Magdalena, spostrzegłszy jego twarz zmienioną, krzyknąła ze zdziwienia.

— Co panu się stało?—zapytała.

— Ach, pani, to rzecz straszna... okropna... — bełkotał przybyły drżącym głosem ze wzruszenia.

— Co takiego? Co się stało?

— P. hrabia...

— Cóż p. hrabia?

— Jest ostatnim zbrodniarzem!

— Nikt o tem nie wątpi, lecz cóż uczynił ta kiego?

— Pani myliła się co do recepty wczorajszej!.. Nie było to lekarstwo nieszkodliwe, jak pani sądziła..

— Więc co?

— Trucizna!

— Rzeczywiście?

— Tak pani, trucizna!...

— Czy jesteś pan pewny? — zapytała Magdalena z mimowolnym uśmiechem, którym Dufour byłby zgor szony, gdyby go był spostrzegł.

— Jakto, czy jestem pewnym? Ależ sam widzia łem i słyszałem.

— Co pan widziałeś?

Dufour opowiedział w krótkości scenę, znaną ju czytelnikom.

— Czy wierzy pani teraz?

Magdalena miała odpowiedzieć, gdy nagle do po koju weszła pokojowa.

— Proszę pani, pan Juljusz Claude pragnie wi dzieć się z panią natychmiast. Mówi, że chodzi o śmier lub życie!

— Poczekaj pan na mnie w tamtym salonie i opo wiedz pan markizowi Valandelle, coś przed chwil mnie opowiadał.

Następnie zwracając się do pokojowej po odej ściu Dufoura, rzekła:

— Proś pana Juljusza Claude.

Za chwilę Juljusz, zmieniony nie do poznania, nie wszedł, ale wpadł raczej do salonu. Blade usta jego drżały konwulsyjnie. Magdalena spostrzegłszy go, przestraszyła się.

— Na Boga, co panu jest takiego? — zawołała, podbiegając ku niemu.—Jakie nieszczęście przytrafiło się panu?

— Ocal ją pani! Ocal mnie!—jąkał.—Jeżeli ona umrze, ja śmierci jej nie przeżyję...

— Jeżeli ona umrze, pan jej nie przeżyjesz! — powtórzyła osłupiała.—O kim pan mówisz?

— O hrabinie de Lucenay...

— Pan ją znasz?

— Znam ją... i kocham ją.

— Pan ją znasz i kochasz!

— Nie kocham, lecz ubóstwiam raczej. Pani nie wiesz, ile od roku cierpię z jej powodu... Nie znasz mojej męczarni i wyrzutów sumienia...

— Rozumiem cierpienia, lecz nie pojmuję wyrzutów.

— Bo pani nie zna przeszłości, nie domyśla się pani niczego. Miałaś pani dla mnie szacunek, lecz teraz będziesz mną pogardzała...

— Pogardzać panem, nigdy!

— Jestem nikczemnym!

— Pan, nikczemnym!... to być nie może!

— Niestety, jednak tak jest rzeczywiście! Będąc nieprzytomnym, popełniłem jedną z tych zbrodni za którą galery byłyby karą za łagodną! Ja byłem jedynym sprawcą jej nieszczęść, ja jedynym powodem cierpień i wstrętnego jej związku małżeńskiego! Potrzeba było dać nazwisko dziecięciu zrodzonemu z mej zbrodni, za jaką bądź cenę, zapłacono więc miljony i kupiono nazwisko mego brata.

— Pańskiego brata!—zawołała Magdalena osłupiała.—Więc hr. de Lucenay jest pańskim bratem!...

— Jesteśmy synami jednego ojca, tylko że on jest prawym... Ale nie o mnie tu chodzi, lecz o mą ofiarę, Henrykę. Jednego już tylko cierpienia jej brakowało i to cierpienie ja jej sprawiłem! Nie chciałem, by córka moja nazywała kiedyś hr. de Lucenay swym ojcem. Zresztą ten człowiek zabija dzieci... pani wiesz o tem... więc wykradłem Henryce mą córkę, jedyną jej pociechę.

— Więc to pan!... pan!

— Tak, ja to uczyniłem! Lecz słuchaj pani dalej! Przyszedłem dzisiaj do pani dla tego, iż wiem od wczoraj, że hr. de Lucenay zabija swą żonę trucizną. Pani jedna możesz ją ocalić... Posiadasz pani potężną broń przeciw niemu i jednem słowem swojem możesz go oddać w ręce policji. Daj mi pani tę broń, powiedz mi to słowo, a jeśli uważasz, że masz dla mnie cokolwiek wdzięczności, wypłacisz tem swój dług, a ja cię będę błogosławił na klęczkach! Czy uczynisz to, Magdaleno? Powiedz, czy uczynisz?

Magdalena, wzruszona do głębi serca, chciała zawołać:

— Uspokój się pan... Nikczemnik, będący pańskim bratem, sądzi, że daje truciznę swej żonie... Ale myli się... Nieszkodliwa substancja zastąpiła miejsce zabójczego proszku. Ta, którą kochasz, żyć będzie...

Ale przyszła jej na myśl uwaga, która powstrzymała te słowa.

— Dla czego wyprowadzać go z błędu?—rzekła do siebie.—Kto wie, czy hr. de Lucenay nie spostrzeże jutro swej pomyłki i nie użyje trucizny innej? Ta ostatnia zbrodnia, najnikczemniejsza ze wszystkich, zbrodnia, gdyż przekonany jest, że ją popełnia, prze-

— Jaki numer, mówisz pan, pańskiego domu?
— Dwudziesty siódmy.
— Dziękuję.
Juljusz dopisał parę wyrazów, włożył list w kopertę, zaadresował, zakleił i rzekł:
— Możemy jechać.
Wyszli. Po drodze Juljusz wrzucił list do pierwszej spotkanej skrzynki pocztowej.
Dufour, ułatwiwszy się ze sprawunkami hrabiego, następnie wraz z Juljuszem zjadł śniadanie i o godzinie pierwszej obaj odjechali do Varenne. O drugiej byli na miejscu.
— Musimy się tu na chwilę rozstać—rzekł Claude do Dufoura — potrzebuję bowiem pójść do oberży w której nocowałem, schować papiery i wziąć na siebie ubranie robocze. Za godzinę będę na rusztowaniu wraz z dekoratorami.
— Rozumiem.
— Nie zapomniałeś pan nic z tego, co ci mówiłem w drodze?
— Pamiętam. Przedewszystkiem mam się zobaczyć z pokojową pani hrabiny i prosić ją, by udała się do parku i zeszła aleją lewą aż do tarasu nad brzegiem rzeki.
— Tak.
— Następnie powiedzieć jej, że proszę ją o to w imieniu młodego człowieka, którego już widziała w Poveglia.
— Skoro tam pójdzie, podejdziesz pan do rusztowania i dasz mi znak, ale nie przemawiaj pan do mnie ani jednego słowa.
— A rozumie się.
— Wieczorem zaś powiem panu co masz robić jutro.

— Gdzie spotkamy się tak, żeby nie wzbudzić podejrzenia?

— Na stacji Champigny-Chennevières. To miejsce bezpieczne.

— O której godzinie?

— O ósmej, a kto pierwszy przyjdzie, poczeka.

— Dobrze.

Rozstali się.

XXXVI.

Juljusz Lucenay wraz z panią Dauray około dziewiątej rano poszedł do pokoju Henryki.

— Jak noc przepędziłaś? — zapytał z największą troskliwością, współcześuie rzucając ukradkiem wzrok na próżną szklankę, stojącą na stoliku.

— Dobrze... Budziłam się tylko dwa razy, wypiłam lekarstwo i zasnęłam znowu.

— Więc czujesz się lepiej?

Henryka pochyliła głowę.

— Nic mnie nie boli — szepnęła—ale nie mogę odzyskać sił. Ciągle jestem osłabiona, a dziś chyba więcej niż zwykle.

— Nie jestem lekarzem — odrzekł hrabia — ale zdaje mi się, że powinnaś jeść więcej. Obfitszy posiłek i więcej pożywny prędko wróciłby ci siły.

— Nie mam apetytu.

— Potrzeba się zmusić...

Młoda kobieta nic nie odrzekła.

— Nie ciało moje należy leczyć — myślała — ale duszę! Gdyby mi oddano dziecko, wyzdrowiałabym prędko.

Po wyjściu z pokoju Henryki hrabia udał się do swego aprtamentu, otworzył okno i zaczął znakami rozmawiać z Gabrjelą. Następnie po śniadaniu" wyszedł do parku na przechadzkę w towarzystwie pani Dauray, którą otaczał wszelkiemi względami i okazywał jej szacunek tak, iż uchodził w jej oczach za wzór męża i najlepszego zięcia.

Podczas tej przechadzki spotkał się z szukającym go Dufourem.

— Spełniłem polecenie; rozkaz pana hrabiego będzie wykonany dziś jeszcze z całą ścisłością.

— Dobrze.

Po półgodzinnej przechadzce Lucenay pod pretekstem pisania listów wrócił do swego pokoju, zaś p. Dauray, wziąwszy na siebie suknię żałobną, którą zdejmowała zawsze ilekroć szła do córki, udała się, jak to czyniła codziennie, na cmentarz, by popłakać i pomodlić się na grobie swego męża.

Prawie w tym samym czasie Juljusz Claude ku wielkiemu zdziwieniu dekoratorów, którzy nie widząc go rano, byli przekonani, iż odjechał zupełnie, przyszedł zająć miejsce na rusztowaniu i ulokował się w punkcie, z którego mógł obserwować hrabiego, jak w dniu poprzednim, gdy ten ostatni lornetował domek Dufoura.

Pan intendent, przybywszy do willi, skierował się ku apartamentowi hrabiny, rachując, że może przypadkiem spotka jej pokojową. Anusia znała go, gdyż od czasu przyjazdu jego, jadała z nim razem obiady w oficynie, wiedząc zaś, że posiada zaufanie hrabiego, nie miała doń wcale ufności.

Anusia znajdowała się przy hrabinie, która stosując się do polecenia lekarza, wstała z łóżka mimo osłabienia i położywszy się na szeslongu, pogrążyła

się w zwykłych swych smutnych myślach o swem dziecięciu.

Anusia, krzątając się po pokoju, w milczeniu obserwowała swą panią, którą kochała z całej duszy i odczuwała jej cierpienia.

Dwie łzy oddzieliły się od powiek hrabiny i spłynęły po jej policzkach.

— Biedna matka — myślała pokojowa — biedna męczennica. Dla czego ten człowiek, który mówi, że ją kocha, pozwala jej zamierać w boleści? dla czego nie wraca jej córki?... Smutek zabija ją! Jeżeli nie wróci dziecięcia prędko, kto wie, czy nie będzie już za późno.

W tej chwili Dufour, krążący napróżno po korytarzach od kwadransa, zniecierpliwiony i nadto lękający się, by dłuższa zwłoka nie popsuła planów Juljusza Claude, zdecydował się zapukać lekko w drzwi salonu, sąsiedniego z pokojem hrabiny. Henryka i Anusia usłyszawszy pukanie, podniosły głowy.

— Ktoś stuka—zauważyła Henryka.

Anusia uchyliła drzwi i wyjrzała.

— Nie ma nikogo w salonie.

Pukanie dało się słyszeć po raz drugi i trzeci.

Pokojowa wyszła do salonu i otworzyła drzwi wychodzące na korytarz.

— Ah, to pan—szepnęła zdziwiona, spostrzegając Dufoura.

— Tak—odrzekł po cichu—pani Dauray wzywa pannę—i jeszcze ciszej dodał pospiesznie:—Potrzebuję z panną pomówić... mam zakomunikować rzecz bardzo pilną i ważną.

Anusia, więcej przestraszona niż zdziwiona, dała znak, że przyjdzie i wróciła do pokoju Henryki.

— Pani Dauray wzywa mnie—oświadczyła.

— To idź, moje dziecko, niech moja matka nie czeka.

Anusia wyszła.

— Czego pan chcesz?—zapytała, podchodząc do oczekującego w korytarzu Dufoura. — Dlaczego ta tajemniczość? Co pan masz mi powiedzieć?

— Od siebie nic. Jestem w tej chwili tylko posłańcem.

— Od kogo?

— Od osoby, która zobowiązała mię oświadczyć, iż potrzebuje pomówić z panną natychmiast w bardzo ważnej sprawie.

— Cóż to za osoba?

— Zdaje mi się, że panna domyśli się, gdy powiem: Jestto młody człowiek z Poveglia.

Claude słusznie był przekonany, że te kilka wyrazów wywoła w pamięci Anusi wiele wspomnień.

— Młody człowiek z Poveglia... — powtórzyła, blednąc.

— Tak, on.

— Gdzież on jest?

— W willi.

— Od kiedy?

— Od wczoraj.

Anusia przypomniała sobie teraz głos dekoratora, do którego poprzedniego dnia przemówiła i który jej odpowiedział.

— Więc to jeden z pracujących tu malarzy? — zapytała.

— Tak.

— Czegóż on chce odemnie?

— Powiedziałem już, że pragnie rozmówić się o rzeczach bardzo ważnych.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— W jakiem miejscu?

— Niech panna pójdzie przez park aleją lewą, aż do tarasu nad brzegiem rzeki, a on tam przyjdzie w parę minut. Idę go uprzedzić...

— Dobrze, przyjdę zaraz.

Dufour odszedł zawiadomić Juljusza, Anusia zaś wróciła do pokoju hrabiny.

— Czegóż matka moja chciała?

Pokojowa pragnęła powiedzieć jej prawdę, lecz przyszła jej na myśl uwaga, że jeżeli nadzieja, jaką jej uczyni, okaże się mylną, to biedna i tak osłabiona jej pani może nie przeżyć zawodu.

— Pani Dauray — odrzekła więc — kazała mi pójść do ogrodnika, jeżeli pani pozwoli, i kazać mu pod moim nadzorem zmienić kwiaty w salonie.

— To idź, idź, moja Anusiu; nie potrzebuję cię w tej chwili.

Pokojowa udała się wskazaną przez Dufoura aleją, która zacieniona staremi, rozłożystemi drzewami, wygodnie nadawała się do schadzki sekretnej. Po przybyciu na miejsce nie zastała nikogo, miotana więc naprzemian obawą i nadzieją, oczekiwała niecierpliwie.

Dufour, po rozmówieniu się z Anusią, podszed do rusztowania, na którem znajdował się Claude zakaszlał. Artysta odwrócił głowę i spostrzegłszy dany mu znak, odłożył paletę i pędzle, zeszedł z rusztowania i przemykając się między drzewami, w kilka minut znalazł się na miejscu, w którem oczekiwała nań Anusia.

Pokojowa poznała go od pierwszego rzutu oka

— Tak — rzekła —to pana widziałam w Poveglia i wszak to pan podczas choroby mojej pani zjawiłeś się w ogrodzie willi Doria i zdradziłeś się o krzykiem?

— Tak, to ja byłem...

— To pan nareszcie wykradłeś dziecię pani Lucenay?

— Moje dziecię!... moje dziecię!... — zawołał Claude gwałtownie.—Nie wymawiaj pani tego nazwiska Lucenay, gdyż jestto nazwisko nikczemnika!

— Ah, coś pan uczynił, nieszczęśliwy! — zawołała z boleścią Anusia. — Coś pan uczynił!... Zabijasz pan moją panią!

— Przybywam ocalić ją, jak ocaliłem jej dziecię...

— Ale ona cierpi, ona płacze... rozpacza...

— Więc pani myślisz, że ja nie cierpiałem, rozłączając ją z dziecięciem? Więc pani myślisz, że wyrzuty sumienia z powodu popełnionej zbrodni nie wyciskały mi łez gorzkich podczas długich nocy bezsennych? Czy sądzisz, że porwawszy dziecię, nie myślałem o boleści i rozpaczy matki? A jednak nie mogłem się wahać, gdyż potrzeba było ocalić dziecię!... Zbrodniarz byłby je zamordował!...

— Nie... nie... nie wierzę temu!

— Byłby je zamordował tak, jak teraz chce zgładzić ze świata swoją żonę!

— Swoją żonę! — powtórzyła Anusia przerażona.—Boże wielki, co pan mówisz?!...

— Mówię prawdę!

— Ależ...

— Trzeba mi wierzyć, a nie pytać! — przerwał Juljusz — mało mamy czasu i wszelkie wyjaśnienia byłyby bezużyteczne... Przysięgam na moją miłość, na moje dziecię, że życie hrabiny jest zagrożone, że zamach na nie rozpoczęty już od wczorajszej nocy.

— Ale pan ocalisz moją panią?

— W tym celu tu przybyłem.

— Ufam panu... rozkazuj pan, wypełnię wszystko. Cò mam uczynić?

— Wszak od kilku dni co wieczór odchodzisz pani do swego pokoju i zostawiasz hrabinę samą, nieprawdaż?

— Tak, od godziny dziesiątej wieczorem sypiam na kanapie w pokoju sąsiednim.

— Nocy dzisiejszej nie opuścisz pani pokoju hrabiny ani na minutę... słyszy pani, nawet na jedną sekundę...

— Słyszę.

— Nadto, nie zasypiaj i czuwaj bezustannie... Przedewszystkiem pamiętaj pani, by hrabina nie brała żadnego lekarstwa, żaduego napoju...

— Choćby przyrządzonego przezemnie?

— Nawet przyrządzonego przez panią. W obecnej sytuacji, w obec zbrodniarza nadzwyczaj śmiałego i szatańskiej zręczności, wszelki napój może być śmiertelnym.

— Ależ pan przypuszczasz rzeczy straszne!

— Ja nie przypuszczam, lecz widziałem na własne oczy!... Mam pewność, a nie podejrzenie!

— Ah! biedna moja pani, moja droga pani. Nie opuszczę jej ani na chwilę... przez całą noc nie zmrużę oka...

— Wiem, że mogę na panią rachować.

— Ale córka, córka mojej pani?

— Zobaczy ją jutro.

— Jutro? Naprawdę?

— Zobaczy napewno.

— Czy mogę zapewnić o tem hrabinę?

— Możesz pani, tylko nie mów nic o niebezpieczeństwie, jakie jej groziło, i o tem, żeśmy je usunęli. Niepowinna wiedzieć o strasznym zamachu na jej życie.

— Dobrze, nie powiem. Lecz jakim sposobem wrócisz pan jej córkę?

— Powiem pani zaraz i będę ją prosił o pomoc.

— Uczynię wszystko najchętniej.

— Czy hrabina będzie mogła wyjechać w powozie?

— Nie wyjeżdża z powodu niezmiernego osłabienia, i to jest nieszczęście, gdyż lekarz powiedział, że ruch i świeże powietrze pomogłoby jej bardzo.

— Nadzieja odzyskania dziecka doda jej sił... Potrzeba, by hrabina wraz z panią Dauray i panią udała się powozem do Varenne Saint-Hilaire. To niedaleko.

— Więc córka hrabiny jest w Varenne Saint-Hilaire?

— Niema jej tam jeszcze lecz będzie.

— Ale jakim sposobem zawiadomić panią Dauray i moją panią?

— To już jest rzeczą pani...

— Znajdę sposób. A w Varenne dokąd się udać?

— Pod nr 27-my na wybrzeżu Marny... Domek biały z roletami zielonemi. Będę już tam czekał.

— O której godzinie?

— Punkt o trzeciej.

— Będziemy. Ale boję się jednej rzeczy.

— Jakiej?

— By gwałtowne wzruszenie nie zaszkodziło mej pani.

— Proszę uspokoić się, szczęście nie zabija.

— Ale niepodobna, by hrabia nie spostrzegł naszego wyjazdu.

— Mniejsza o to, byle tylko nie wiedział celu.

— Oh! co do tego niech pan będzie spokojnym. Gdy pani moja odzyska swe dziecię, to już go nie utraci, nieprawdaż?

— Odzyska je już na zawsze.

— Jakaż ona będzie szczęśliwa! Jak prędko wyzdrowieje, gdy rana serca się zagoi!

— A teraz jedno pytanie.

— Proszę pana.

— Ale odpowie mi pani szczerze?

— Odpowiem.

— Choćby od odpowiedzi pani miało mi pęknąć serce?

— Nawet w takim razie.

— Wszak prawda, hrabina nienawidzi z całej duszy i pogardza sprawcą zbrodni, który zatruł jej życie i z najszczęśliwszej młodej istoty uczynił kobietę najnieszczęśliwszą? Niech pani się nie waha, niech pani powie prawdę!

— Chce pan koniecznie?... Więc dobrze. Z początku rzeczywiście nienawidziła nieznanego zbrodniarza i pogardzała nim i przyznasz pan, że miała słuszność!

— *Z początku*, mówisz pani! — zawołał Juljusz drżący.—A później, dzisiaj?

— Dzisiaj, wszystko się zmieniło!... Po przyjściu na świat dziecka obudziły się w niej uczucia inne... Jej gniew ustąpił, nienawiść i pogarda znikły...

— Ah! — mówił artysta, upojony szczęściem. — Ależ to więcej, niż śmiałem spodziewać się! Więc nie ma dla mnie ani pogardy, ani nienawiści... Więc może mię kiedyś pokochać... Ta nadzieja doda mi odwagi! Wracaj pani do tej świętej męczennicy i oświadcz, że cierpienia jej zbliżają się ku końcowi. Powiedz jej, że za kilka godzin odzyska swą córkę na zawsze... Uprzedź panią Dauray o tem wszystkiem

i jutro o g. 3-ej bądźcie w Varenne na wybrzeżu Marny pod nr 27-ym.

— Będziemy napewno.

— Ale tej nocy proszę nie opuszczać hrabiny ani na minutę i błagaj ją pani o przebaczenie dla Juljusza Claude, który ją ubóstwia i oddałby za nią życie!

Juljusz chciał się oddalić, lecz Anusia zatrzymała go.

— Jeszcze jedno słowo—rzekła.

— Proszę mówić.

— Czy mogę ufać temu Dufourowi, który przysłany był przez pana?

— Możesz pani ufać.

— Sądziłam, że jest przywiązany do hrabiego i czułam do niego wstręt instynktowny.

— Przywiązany do hrabiego? Może był nim dawniej, ale teraz kto inny zapłacił mu więcej, więc zmienił przedmiot swego przywiązania. Obecnie nie zdradzi, jestem tego pewnym!

— To wszystko, co chciałam wiedzieć.

— A więc do widzenia wkrótce!—rzekł Juljusz i zniknął między drzewami.

Anusia, przejęta zdziwieniem i radością, stała czas jakiś nieporuszona. Namyślała się. Zapytywała siebie, jak przystąpić do opowiedzenia pani Dauray swej rozmowy z Juljuszem. Po kilku minutach podniosła głowę, uśmiechnęła się i skierowała swe kroki ku pałacowi. W chwili gdy wchodziła, spostrzegła panią Dauray wracającą z cmentarza.

Biedna wdowa z oczyma załzawionemi i głową pochyloną szła powoli.

— Proszę pani—zaczęła Anusia, podszedłszy ku niej

Spostrzegłszy pokojową swej córki, pani Dauray zadrżała z niepokoju.

— Co takiego? — zapytała żywo. — Czy może Henryce gorzej?

— Ah, nie, pani. Ale chciałam panią prosić o pozwolenie pomówienia o rzeczy ważnej...

— Mów, moje dziecko, słucham cię...

— Ah, pani, nie tutaj. Mógłby kto usłyszeć.

— Więc to chodzi o jakiś sekret?

— Tak, pani... sekret bardzo ważny i dla tego niech pani pozwoli mi pójść z sobą do pokoju.

— Dobrze, chodź moje dziecko.

Pani Dauray z Anusią weszła do swego apartamentu.

— Powiedz mi więc—zapytała wdowa—co się stało? Ta tajemniczość niepokoi mię.

— Stała się rzecz bardzo szczęśliwa, niech pani się uspokoi...

— Wytłómacz się.

— Przed chwilą zawiadomiono mię, że ktoś chce się ze mną widzieć.

— Ktoś? Kto taki?

— Pewien młody człowiek.

— No i cóż?

— Zeszłam do parku i zastałam go.

— Cóż on ci powiedział?

— Oświadczył mi, że wie, gdzie się znajduje wykradziona córka mej pani.

Pani Dauray krzyknęła z radości.

— Ja chcę się z nim zobaczyć—zawołała żywo. —Gdzie on jest?

— Odszedł.

— I ty pozwoliłaś mu odejść?

— Czyż mogłam mu przeszkodzić?

— Trzeba było przynajmniej uprzedzić mego zięcia!

— Eh, pani, właśnie należy starać się, żeby pan hrabia nie domyślił się niczego.

— Dla czego?

— Nie mogę wytłomaczyć tego i powtórzę tylko własne słowa tego młodego człowieka: „Gdyby na nieszczęście hr. de Lucenay dowiedział się, gdzie znajduje się córka pani hrabiny, biedna matka nie zobaczyłaby więcej swego dziecięcia.“—A powiedział to takim tonem, iż z pewnością mówił prawdę.

— To dziwne! Ale mówił zapewne co więcej...

— Dodał: „Niech pani Dauray wyjedzie jutro powozem wraz z hrabiną, niby na spacer, na drugą stronę rzeki do Varenne i zatrzyma się na wybrzeżu Marny, gdzie pod nr 27-ym w białym domu z zielonemi roletami znajdzie dziecię.“

— Anusiu, ależ to wszystko wygląda na bajkę...

— A jednak to prawda, w którą wierzę zupełnie. Niech pani się nie waha i pojedzie jutro z panią hrabiną.

— Czy mówiłaś już o tem z moją córką?

— Jeszcze nie.

— Dla czego?

— Chciałam pierwej pomówić z panią.

— Dobrześ zrobiła. Jakim sposobem zawiadomić o tem Henrykę, żeby wzruszenie jej nie zaszkodziło?

— Niech pani pozwoli mi to uczynić. Zdaje mi się, że mi się to uda bez niebezpieczeństwa dla zdrowia mej pani.

— Dobrze; wiem, że postąpisz ostrożnie. Po rozmówieniu się z nią przyjdź do mnie. Jutro zapytam się doktora, czy Henryka będzie mogła wyjechać,

a jeśli pozwoli, pojedziemy do Varenne i przekonamy się, czy ten młody człowiek nie kłamał czasem.

— Jestem pewną, że mówił prawdę.

— A więc go znasz, że ręczysz za niego?

— Nie, pani. Ale dość go widzieć i słyszeć. Pewne twarze i pewne głosy nie zawodzą nigdy.

— Jak on wygląda?

— Bardzo przystojny mężczyzna... Podobny trochę do pana hrabiego, ale we wzroku ma więcej szczerości, której brak panu hrabiemu.

— W jakim wieku?

— Ma dwadzieścia pięć lub najwyżej dwadzieścia sześć lat.

— Jakie może mieć powody interesowania się moją córką?

— Nie mówił mi.

— A ty nie domyślasz się?

— Nie.

— Jakim sposobem dostał się do parku?

— Nie wiem i nawet nie pytałam o to.

— Idź moje dziecko do swojej pani i dowiedź jeszcze raz, że godna jesteś zaufania, jakie w tobie pokładamy. Powiedz jej, że ja niedługo do niej przyjdę.

— Niech pani pozwoli mi przypomnieć, że pan hrabia nie powinien wiedzieć o niczem.

— Bądź spokojną.

Anusia udała się do pokoju hrabiny. Gdy weszła, zastała ją śpiącą na szeslongu. Musiała mieć jakiś sen przykry, gdyż wyraz przestrachu malował się na jej twarzy. Nagle krzyknęła, otworzyła oczy i powiodła na około siebie wzrokiem obłąkanym.

— Boże mój! co pani jest? — zapytała Anusia, podbiegając ku niej.

Henryka przeciągnęła dłonią po spoconem czole.

— Miałam dziwny sen—szepnęła po chwili—sen z początku rozkoszny, później tak straszny, że mi krew w żyłach zastygła...

— Cóż pani się śniło?—zapytała Anusia.

— Podczas twojej nieobecności zdrzemnęłam się i we śnie spostrzegłam jego, którego obraz nawiedza mię tak często... Patrzał na mnie swym wzrokiem łagodnym i smutnym, wyrażającym naprzemian, czułość, wyrzuty sumienia i nadzieję przebaczenia... Wyciągnął ku mnie drżące ręce, ale tym razem nie były one puste... Oddawały mi dziecię, które poznałam... moją córkę...

— To dobra przepowiednia — rzekła Anusia uśmiechając się.

— Czekaj-no—zaczęła znowu Henryka.—Nagle nieznajomy pokazał się cały zbroczony krwią... tryskającą zewsząd... z czoła, z oczu, z rąk... Widziałam moje dziecię już tylko po za chmurą krwi... Wtedy krzyknęłam bezwiednie i przebudziłam się przerażona.

— Żałuję w tej chwili, że nie wierzę we sny—rzekła Anusia.

— Dla czego?

— Ponieważ cały sen pani jest bardzo dobrą wróżbą...

— Dobrą wróżbą!... Krew!...

— Ci, którzy tłómaczą sny, utrzymują, że krew oznacza *zwycięstwo!*... tryumf nad nieprzyjaciołmi. Prawie zgadzam się z nimi, gdyż to nie sen panią nawiedził.

— A cóż takiego?

— Wróżba.

Pani Lucenay, zdziwiona, patrzała na rozpromienioną twarz Anusi.

— Ty nie bez powodu to mówisz—rzekła wzruszona—ty wiesz coś...

— Rzeczywiście... wiem... Mam wiadomość dobrą... i powiem, jeśli mi pani przyrzeknie, że przyjmie ją ze spokojem.

— Będę silną, będę spokojną! — zawołała Henryka drżąc całem ciałem.—Mów prędko! Szczęście mi nie zaszkodzi! Chodzi o moją córkę, nieprawdaż?

— Rzeczywiście.

— Czy została znaleziona?

— Uprzedziłam, że sen pani był wróżbą... Tak znaleziona...

— I ja ją odzyskam?

— Wkrótce.

— Kiedy?

— Jutro.

— Jutro?—powtórzyła Henryka blednąc. — Dl czegoż nie dzisiaj? Dla czego nie w tej chwili? Dla czego jeszcze zwlekają? Czyż ja mało łez wylałam i wycierpiałam.

Henryka mówiła to głosem podniesionym.

— Ah, pani droga, niech pani mówi ciszej — zawołała Anusia przestraszona. — Na miłość Boga niech pani panuje nad sobą. Nikt oprócz pani Dauray, pani i mnie nie powinien wiedzieć o tem.

Słowa Anusi, a zwłaszcza ton, jakim były powiedziane, wyrażały taki przestrach, że Henryka zlękła się.

— Ależ nakoniec, cóż się stało? — zapytała. — Dla czego potrzeba mówić cicho i otaczać się tajemnicą?

— Ponieważ niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło i dziecię jeszcze zagrożone.

— Zagrożone!

— Ale jutro niebezpieczeństwo minie i dla tego to dopiero jutro dziecię będzie oddane.

— Czy na zawsze?

— Na zawsze. *On* przyrzekł to wyraźnie.

— *On* przyrzekł — powtórzyła Henryka głosem drżącym.—Kto taki?

— Ten, który objawił się pani we śnie.

— Nieznajomy?

— Młody człowiek, którego widziałam w Poveglia... Ten sam, o którym opowiadał pani doktór w Wenecji i którego obraz nawiedza panią tak często.

— On! on!

— On, który żałuje i ubóstwia panią! On, który chciałby ponieść śmierć za panią! który cierpi i płacze! Widziałam go płaczącego...

Henryka, drżąca, położyła obie ręce na sercu, które biło gwałtownie.

— Czy i jego zobaczę jutro?—zapytała.

— Nie wiem... powiedział mi tylko, że jutro córka pani będzie jej wróconą i wskazał miejsce dokąd ma się pani udać...

— Dokądże?

— Do Varenne Saint-Hilaire, do domu nad brzegiem rzeki.

— Pojedziemy Anusiu... Czuję się silną i zdrową... zdaje mi się, że mogłabym tę drogę odbyć pieszo! Ah, zobaczyć ją, ucałować, przycisnąć do serca. Ah, ja chyba zwarjuję ze szczęścia!

Nagle wśród tego wylewu radości, twarz Henryki spochmurniała. Myśl jakaś przyszła jej do głowy i zatruła radość cierpieniem.

— Ale p. Lucenay?—szepnęła.

— Eh! moja droga pani—odrzekła żywo Anusia —pan hrabia nie powinien wiedzieć o niczem.

— Lecz jakim sposobem wyjechać, by on się nie dowiedział celu?

— Urządzi to pani Dauray.

— Więc moja matka już wie o tem?

— Wie wszystko, gdyż uprzedziłam ją.

Twarz Henryki rozpogodziła się tak prędko, jak przed chwilą się zasępiła.

— To mnie uspokaja... Mając pomoc matki nie lękam się niczego.

Po chwili innym tonem i z pewnem wahaniem się, dodała:

— Więc ty widziałaś go płaczącego?

— Widziałam.

— Z jakiegoż powodu płakał?

— Bardzo wiele cierpiał... i cierpi jeszcze. Wyrzuty sumienia przytłaczają go i zabiłyby go, jeśliby mu pani nie przebaczyła.

— Jak wygląda?

— Tak, jak go pani sobie wyobrażała... jakim go pani widziała pod tarasem nad brzegiem rzeki i jakim go opisał doktór w Wenecji.

— Wszak młody, nieprawdaż?

— Ma najwyżej dwadzieścia sześć lat.

— I przystojny?

— Bardzo przystojny... powierzchowność dystyngowana... łagodny, dobry, tylko bardzo smutny...

— Wiesz jak się nazywa?

— Nazywa się Juljusz Claude.

— Juljusz Claude...—powtórzyła Henryka—podoba mi się to nazwisko... Oh, dla czego mój ojciec nie czekał dłużej? Dla czego zmusił mię zaślubić hrabiego de Lucenay, który wzbudza we mnie tylko wstręt i pogardę? Dla czego złamał całe życie moje? Juljusz Claude, dręczony wyrzutami sumienia, przybyłby i wyznałby swą zbrodnię... Przebaczonoby mu... i dzisiaj byłabym szczęśliwą...

— Odwagi i cierpliwości, droga pani.

— Odwagi!... cierpliwości! jestem jeszcze młodą a życie długie!

— Kto wie co przyszłość dla pani zachowuje?...

— Przyszłość! Cóż ona mieć może dla mnie? Jestem związaną węzłem nierozerwalnym.

— Wszystko na tym świecie ulega zmianie, a zwłaszcza więzy małżeństwa, które mogą być rozwiązane przez rozwód lub śmierć.

— Po co o tem myśleć?... Byłabym niesprawiedliwą skarżąc się, gdyż jutro posiadać będę moją córkę!... Wszak *on* przyrzekł, nieprawdaż?

— Przyrzekł... przysiągł...

— Więc o trzeciej po południu?

— Tak, droga pani.

W tej chwili weszła pani Dauray.

Henryka podniosła się z szeslongu i rzuciła się matce na szyję z żywością, do jakiej niezdolna była przed kilkoma minutami.

— Ah, mamo moja droga! ja odzyskam moją córkę!—wołała ściskając panią Dauray i pokrywając ją pocałunkami.

— Pieszczotko moja — odrzekła wdowa. — Bóg ulitował się nad tobą... Widział, żeś już dość cierpiała. Miej ufność i uspokuj się. Starajmy się nie zdradzić... Pamiętaj, że mąż twój nie powinien wiedzieć o naszej wycieczce do Varenne.

— Jak by to uczynić?

— Wyjedziemy w powozie.

— A jeżeli p. Lucenay przyjdzie fantazja towarzyszyć nam?

— Nie zdaje mi się... Dla czegoż zresztą mamy przypuszczać przeszkody urojone? Gdy zdarzą się, wtedy będziemy mieli czas pomyśleć o ich usunięciu. Jedna tylko rzecz mnie zastanawia...

— Jaka?

— Ta tajemniczość.

— Ten młody człowiek, z którym rozmawiałam —wtrąciła Anusia—i który przyniósł tę dobrą wiadomość, rozważył wszystko i z pewnością musiał mieć ważne powody prosząc nas o zachowanie tajemnicy. Jestem pewną, że wkrótce dowiemy się o nich.

Poczem, zwracając się do hrabiny, dodała:

— Ah! droga pani, zapomniałam uprzedzić, że tej nocy ja czuwać będę przy pani i nie opuszczę jej ani na chwilę.

— Dla czego masz nie spać kiedy ja się czuję zdrowszą?

— To już moja rzecz... Pani nie może wzbronić mi wejścia do swego pokoju.

— Jak chcesz, moje dziecko, lecz zadasz sobie trud niepotrzebnie.

Hr. de Lucenay zapukał w drzwi i zapytał, czy Henryka może go przyjąć.

Przybycie jego przerwało rozmowę, ale wizyta była krótką, gdyż po kilku minutach wyszedł wraz z p. Dauray.

Juljusz Claude po rozstaniu się z Anusią udał się wprost na rusztowanie i wziął się do roboty, ale nie potrzebujemy dodawać, iż ręka jego pracowała machinalnie, gdyż umysł zajęty był czem innem. Wieczorem wraz z towarzyszami opuścił willę i udał się do oberży, gdzie zmieniwszy ubranie, pod pozorem ważnego interesu pożegnał się z nimi.

O godzinie ósmej na stacji Chennevières-Champigny spotkał się z oczekującym nań Dufourem.

— Cóż, dobrze idzie?—zapytał ten ostatni.

— Jak dotąd bardzo dobrze. Pozostaje mi tylko powiedzieć panu, co masz czynić jutro.

— Otwieram wszystkie upusty mych uszu i słucham.

— Weź pan pugilares i zapisz adres, który ci podyktuję.

— Mam go.

— *Juljusz Claude, ulica du Pré nr 40-ty.*

— Więc pan tam teraz mieszkasz? — zapytał Dufour.

— A przynajmniej tam masz się pan jutro udać powozem.

— Coż tam będę robił?

— Zabierzesz pan mamkę z dzieckiem.

— Cóż to za dziecko?

— Córka pani hrabiny de Lucenay... Mamka, uprzedzona o pańskiem przybyciu, oczekiwać już będzie i pojedzie z panem bez trudności.

Wytrzeszczone oczy Dufoura wyrażały zdziwienie tak wielkie, że Juljusz dodał z uśmiechem:

— Niech pana nie dziwi rzecz tak mała, wkrótce zobaczysz lepsze.

— Bardzo być może... jak widzę zaczyna się dobrze...

— I skończy się dobrze... bądź pan pewnym.

— O której godzinie mam być na ulicy du Pré?

— O dwunastej w południe.

— Dokąd mam zawieść mamkę z dzieckiem?

— Na dworzec kolei żelaznej Vincennes.

— A następnie?

— Wysiądziesz pan z pociągu na stacji Varenne-Saint-Hilaire.

— No, a dalej?

— Udasz się pan do domu nr 27-my na wybrzeżu Marny.

Dufour podskoczył.

— Nr 27-my na wybrzeżu Marny — zawołał — ależ to jest mój dom, mój własny dom.

— Wiem o tem i właśnie dla tego wskazuję g' panu.

— Ależ on jest zajęty!

— Lecz nie będzie nim o godzinie drugiej.

Zdziwienie Dufoura doszło do rozmiarów niewypowiedzianych.

— Mój dom będzie pustym o godzinie drugiej! — powtórzył.

— Będzie pustym.

— Gdzież się podzieje lokatorka?

— Wyjedzie.

— Na spacer?

— By więcej nie wrócić.

— A to mi się podoba... to już za grubo!

— Czy może winna co panu?

— Ani grosza.

— Więc wyjazd lokatorki powinien być dla pana obojętnym.

— Najzupełniej.

— Tem lepiej. Mówię dalej... Zapewne pan masz drugi klucz od drzwi głównych.

— Mam podwójne klucze od wszystkich drzwi.

— Wprowadzisz pan mamkę z dzieckiem do swego domu i ulokujesz na pierwszem piętrze w pokoju, zajmowanym teraz przez p. Gabrjelę Stellini.

— Doskonale!

— Musisz pan tam być o trzy kwadranse na trzecią.

— Będę o trzy kwadranse na trzecią co do minuty.

— Po ulokowaniu mamki z dzieckiem, zejdziesz pan na dół.

— I dokąd mam się udać?

— Zatrzymasz się pan na progu domu i będziesz czekał na panią Dauray, hrabinę de Lucenay i jej po- kojówkę.

Oczy Dufoura ze zdziwienia znowu się zaokrągliły.

— Pani Dauray... hrabina... pokojowa jej...— powtórzył—u mnie!

— Przyjadą.

— Cóż ja im powiem?

— Wskażesz pan tylko drogę na pierwsze piętro.

— Rzecz łatwa... A następnie?

— Nic.

— To jeszcze łatwiejsze! Więc to już wszystko?

— Wszystko. Rachuję na pana.

— Możesz pan rachować jak na siebie samego.

Rozstali się.

W kilka minut Claude wsiadł do pociągu i odjechał do Paryża, gdzie wprost z dworca udał się do domu przy ulicy du Pré.

— Jeden z moich przyjaciół—rzekł do mamki— przyjedzie jutro powozem i zawiezie cię na stację kolei żelaznej, skąd pojedziesz z nim do Varenne-Saint-Hilaire.

— O której godzinie?

— W samo południe. Bądź więc gotowa z dzieckiem... Ubierz je jak można najstaranniej, żeby wyglądało ładnie.

— Nie trudno to będzie! I bez eleganckiego ubrania bobo to jest śliczne. Będę gotowa na południe.

— Po wejściu do domu, do którego przyjaciel mój zaprowadzi cię, wkrótce przybędą dwie panie, jedna starsza, druga młoda i bardzo piękna, blada i cierpiąca. Będzie z niemi i pokojowa... Niech cię to nie dziwi, że młodsza z tych pań, zobaczywszy dziecię, nie będzie się posiadała ze szczęścia i z uniesieniem będzie je całowała—to matka.

— Matka?—powtórzyła mamka—to rzecz bardzo naturalna... Owszem dziwiłoby mię, gdyby nie uścisnęła dziecka serdecznie.

— Bardzo być może, że pozostaniesz przy niej.

— Dobrze. Ale jeżeli tu już nie powrócę, to może powinnam zabrać moje rzeczy?

— Nie trzeba teraz... Przyjedziesz po nie później. Zrozumiałaś mię?

— Doskonale; może pan być spokojnym. Będę gotową na południe.

Juljusz ucałował uśpione dziecię, opuścił dom i odjechał do swego mieszkania przy ulicy des Abbesses.

Wróćmy do willi jaworowej.

Hr. de Lucenay po obiedzie z panią Dauray, niezadowoloną, iż przed zięciem swym, w którym pokładała ufność zupełną, musi zachowywać tajemnicę, udał się z nią razem do pokoju Henryki.

Młoda kobieta leżała na szeslongu i za radą Anusi, skarżyła się, iż więcej jest osłabioną i cierpiącą niż dni poprzednich.

— Kilka godzin dobrego snu uczyniłoby ci bardzo dobrze—rzekł hr. de Lucenay.—Jestto chwilowe osłabienie, które jutro zniknie. Opuszczę cię, żebyś zasnęła.

Henryka i Anusia spojrzały na siebie znacząco.

— Jestem dziś tak cierpiącą, że nie mogę zostać samą... Anusia będzie czuwać przy mnie na fotelu...

— To nie pierwszy raz—zawołała pokojowa.

— Czy uważasz, że to potrzebne?—zapytał hrabia udając obojętność.

— Mogę w nocy czego potrzebować...

— Wszak mówiłem ci, moje drogie dziecko, że ponieważ mój pokój jest tak blisko twojego, to będę gotów na każde twoje wezwanie.

— Wiem i dziękuję ci. Ale za nic w świecie nie chciałabym zakłócać twego spoczynku. Wolę, żeby Anusia nocowała przy mnie.

Hrabia rozumiał, iż opierając się dalej życzeniu żony, mógłby wzbudzić podejrzenie, nie nalegał więc dalej i tylko pomyślał:

— Mam czas... jeden dzień zwłoki nic nie znaczy.

Dotknął ustami czoła Henryki, usiłującej zapanować nad wstrętem ku niemu i wyszedł wraz z p. Dauray.

W pokoju swoim zastał oczekującego nań Dufoura.

— Mam prośbę do pana hrabiego — oświadczył ten ostatni, rozbierając go.

— Jaką?

— By pan hrabia pozwolił mi jutro udać się do Paryża, gdzie chciałbym ulokować w obligacjach premjowych małe oszczędności, jakie posiadam ze wspaniałomyślności pana hrabiego.

— Ah! Ah! więc zostajesz już rentjerem!

— Drobna to suma, ale może paść wygrana... Przyjemnie jest łudzić się nadzieją... człowiek wyobraża sobie, że kiedyś się urzeczywistni...

— Jesteś przewidujący!

— Starzeję się, panie hrabio, więc myślę o przyszłości.

— Możesz jechać do Paryża...

— Mam zaszczyt wyrazić me podziękowanie panu hrabiemu.

Noc w willi jaworowej przeszła spokojnie.

Anusia, czujna na szmer najlżejszy, całą noc przesiedziała przy łóżku swej pani, lecz nic nie zauważyła podejrzanego.

Pani Dauray wstała wcześnie i oczekiwała przybycia lekarza, z którym chciała się porozumieć. Gdy przyjechał o godzinie dziesiątej, wyszła na jego spotkanie i po kilku minutach rozmowy sam na sam, udała się z nim razem do pokoju chorej.

Uprzedził ich już tam hrabia, który jako dobry mąż, przyszedł dowiedzieć się jak Henryka noc przepędziła. Oczekiwał go zawód niespodziewany. Henryka, tak złamana i cierpiąca wieczora poprzedniego, wydawała się ożywioną i silniejszą. Oczy jej połyskiwały blaskiem, na blade policzki wystąpił rumieniec. Nigdy nie była piękniejszą jak w tej chwili.

Lucenay nie mógł pojąć powodu tak nagłej zmiany w przeciągu kilku godzin.

Więc biały proszek, wsypany do napoju, byłby bezsilnym, lub może doza była za małą?

— Następnym razem podwoję dozę — rzekł do siebie.

— Postanowiłem zmienić kurację—rzekł lekarz

Hrabia zadrżał.

— Ale nie co do napoju, który ma pani pić i nadal, lecz co do systemu ogólnego. Przedewszystkiem należy przyjmować więcej pokarmów i posilniejszych. Dalej, należy więcej używać ruchu.

— Ruchu, doktorze! — przerwał hrabia. — I nie lękasz się pan utrudzenia i niebezpiecznych jego skutków? Pomyśl pan tylko, jak hrabina jest jeszcze osłabioną.

— Nie mówię żeby już teraz hrabina używała przechadzki pieszej—odrzekł lekarz—lecz radzę tylko znajdować się więcej na odkrytem miejscu. Od dzisiejszego więc dnia, skoro tylko pogoda będzie taka jak dzisiaj, pani hrabina powinna używać w powozi przejażdżki parogodzinnej. Wszak pani zgadza się n to?—dodał, zwracając się do Henryki.

— Najchętniej, doktorze—rzekła z uśmiechem—polecenie pańskie sprawia mi wielką przyjemność.

— Będę ci towarzyszył—oświadczył hrabia.

— Nie radzę panu, przynajmniej teraz—odrzekł lekarz.—Mężczyzni pomimo najlepszych chęci nie pojmują pewnych drobnych troskliwości, potrzebnych osobie wracającej do zdrowia. Najlepiej byłoby żeby pani Dauray towarzyszyła w wycieczkach swej córce.

— I ja tak myślę—zawołała wdowa.

— Nadto—ciągnął dalej lekarz—w razie, gdyby pani uczuła się więcej osłabioną, należy natychmiast wracać do domu, jechać zaś należy wolno... Gdyby hrabina pragnęła kilka lub kilkanaście kroków przejść pieszo, również nie widzę w tem nic szkodliwego.

Łatwo zrozumieć, jak to zalecenie powolnych spacerów dla przyśpieszenia rekonwalescencji nie podobało się hrabiemu de Lucenay. Wdzięczny też był z całego serca doktorowi, który uwolnił go od ciężaru towarzyszenia żonie.

— Dziś pogoda jest bardzo ładna, niech więc pani korzysta z niej i wyjedzie na spacer o godzinie drugiej. Proszę tylko starannie się okryć.

— Dobrze, doktorze.

— Przyjadę jutro dla sprawdzenia skutku przejażdżki. Z góry jestem pewnym, że będzie on pomyślnym.

Pożegnał się i wyszedł z hrabią i panią Dauray.

Juljusz Claude wstał wcześnie, ubrał się starannie, otworzył szkatułkę, w której trzymał papiery i pieniądze, wyjął z niej skradzioną w nocy z d. 15-go na d. 16-ty lipca roku zeszłego fotografję Henryki Dauray i dotknąwszy jej ustami, włożył do pugilaresu, który schował do kieszeni. Następnie wyszedł i udał się na stację kolei żelaznej Vincennes.

W oczekiwaniu na otwarcie kasy, chodził wzdłuż i wszerz po sali i nie spostrzegł, że przeszedł obok młodego człowieka, nieco starszego od niego, który zobaczywszy go, zadrżał i zawrócił, by znowu spotkać się z nim i lepiej przypatrzeć się jego twarzy. Artysta, pogrążony w swych myślach, nie zauważył tego manewru.

Nieznajomy śledził go ciągle i wytężał pamięć, by przypomnieć sobie, gdzie i w jakich okolicznościach tę twarz widział.

Nagle błyskawica mignęła w jego oczach i czoło zasępiło się. Przypomniał sobie i pewnym był, że się nie myli.

Wtem otworzono drzwiczki kasy.

Claude podszedł i kupił bilet pierwszej klasy do Varenne - Saint - Hilaire. Nie potrzebował teraz się oszczędzać. Jeden z jego obrazów, pomieszczony na wystawie, zyskał tak wielkie powodzenie, iż został przez jakiegoś amatora kupiony za wysoką cenę. Obraz ten oprócz znacznej sumy przyniósł nadto Juljuszowi sławę jednego z lepszych artystów. Podpis jego na płótnie był odtąd poszukiwanym przez znawców i zbierających kolekcje. Przyszłość pewna i świetna otwierała się przed nim.

Nieznajomy kupił bilet do Joinville-le-Pont, dokąd jechał w interesie.

— Stąd do Joinville — myślał — będę miał dość czasu dla przekonania się, czy pamięć mię nie zawodzi.

Wszedł za Juljuszem do tego samego wagonu i zajął miejsce naprzeciw niego, tylko w przeciwległym rogu.

Obaj pasażerowie znaleźli się w przedziale sami.

Pociąg ruszył

Do stacji Reuilly Claude, zatopiony w myślach, z przymkniętemi oczyma siedział nieruchomy.

W Reuilly nieznajomy powstał z miejsca i siadł naprzeciw niego.

Po kilku minutach Juljusz poruszył się, jak gdyby się obudził, wyjął z kieszeni pugilares, otworzył go i zaczął przeglądać papiery. Między papierami znajdowała się gruba, gładka karta fotograficzna.

Karta tą upadła na kolana Juljusza i odbiwszy się, osunęła się do nóg siedzącego naprzeciw niego nieznajomego, frontową stroną do góry.

Nieznajomy wydał okrzyk zdziwienia i nachylił się dla podniesienia jej. W tym samym czasie Juljusz wyciągnął rękę by ją odebrać, ale nieznajomy odwrócił już kartę na drugą stronę i zdołał przeczytać napisane na niej słowa:

„Mojemu przyjacielowi, doktorowi Jerzemu Lamarre. Pamiątka od jego małej przyjaciółki, Henryki D.“

— Niech pan będzie łaskaw odda mi tę fotografję—rzekł Juljusz sucho, podrażniony niedyskrecją nieznajomego.

Ale ten odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

— Zanim ją panu oddam, chcę naprzód wiedzieć, gdzieś pan ją ukradł!

Juljusz zbladł i po raz pierwszy zwrócił wzrok na swego towarzysza podróży.

— Chyba pan jesteś warjatem, skoro śmiesz mówić do mnie w ten sposób — zawołał. — Nie znam pana!... Co to znaczy?

— To znaczy—przerwał nieznajomy—że po bezskutecznych poszukiwaniach przez rok cały, znajduję pana nareszcie! To znaczy, że posłużył mi dziś wypadek i postawił naprzeciw mnie nikczemnika, który

korzystając z okoliczności, popełnił najwstrętniejszą zbrodnię!

— Pan jesteś doktorem Lamarre — odrzekł ze spokojem Claude, który poznał w nieznajomym dawnego narzeczonego Henryki Dauray.

— Tak, jestem doktorem Lamarrą—zawołał Jerzy—człowiekiem, którego serce rozbiłeś pan... człowiekiem, który myślał, że cię już nie odszuka, ale cię ma nareszcie, nie puści i zemści się!...

— Pan chcesz się mścić!... I za co?

— Za krzywdę, jaką mi pan wyrządziłeś, pozbawiając mię szczęścia! Ah! zemsta moja nie będzie taką, jaką pan sobie wyobrażasz! Nie nadstawię mej piersi na twoją szpadę lub kulę!... Los w pojedynku jest często niesprawiedliwym! Zresztą można walczyć z człowiekiem uczciwym, gdy tymczasem pan jesteś zbrodniarzem! Zemszczę się piętnując cię hańbą, oddam cię w ręce sądu, który cię wyszle na galery!

Juljusz wzruszył ramionami.

— Pan jesteś warjatem!—odrzekł chłodno.

— Nikczemny!

— Obelgi pańskie nie dosięgają mnie, przestań więc pan je miotać! Z jakiej racji przyjmujesz pan na siebie rolę mściciela? Tak, to prawda, a wiem to równie dobrze jak i pan, że popełniłem zbrodnię wstrętną, ale cóż to obchodzi pana? Czy hr. de Lucenay upoważnił pana do pomszczenia swej żony? Pozwól pan mi o tem wątpić! Czy hr. de Lucenay polecił panu odszukać ojca dziecięcia, któremu dał swe nazwisko? Czy to hrabia zobowiązał pana do wydania w ręce sądu przestępcę, dla potępienia go, aby Paryż, Francja, Europa, świat cały wiedział, że on, hr. de Lucenay-Charente, prawy potomek wielkiego rodu, sprzedał swe nazwisko pannie Dauray, ofierze

zbrodni i dzięki miljonowemu jej posagowi zdobył majątek, gdyż swój stracił na rozpuście?

Jeżeli pan nie jesteś upoważniony przez hr. de Lucenay, jedynie interesowanego w tej sprawie, to z jakiej racji mieszasz się pan do niej? Jakie masz prawo, panie Jerzy Lamarre? Mówisz, że kochałeś pannę Dauray, a nie miałeś odwagi, dla ocalenia jej sławy, ofiarować jej swego nazwiska, chociaż wiedziałeś, że była niewinną! A przecież była to piękna, wspaniała rola! Odmawiam panu prawa sądzenia i gdyby hr. de Lucenay obecny był tu w tej chwili, przyznałby, że interwencja pańska jest niezręczną, niewłaściwą i obraziłby się pańską zarozumiałością!

Jerzy pochylił głowę.

— To prawda—szepnął.—Ona nazywa się hrabiną de Lucenay.

— Oddaj mi pan tę fotografję! — mówił dalej Juljusz.

— Ona należy do mnie.

— Nie należy ona do pana od chwili, w której odmówiłeś pannie Dauray swego nazwiska dla ocalenia jej honoru.

I rzekłszy to artysta wyrwał fotografję z rąk młodego lekarza, który nie usiłował nawet jej zatrzymać. Schował ją do pugilaresu i dodał:

— Teraz pozostaje mi tylko udzielić panu jednej rady. Rozumiem, żeś pan cierpiał, ale jest ktoś, cierpiący więcej od pana... To ta męczennica, której nie miałeś pan odwagi uczynić swą żoną szczęśliwą i szanowaną! Zapomnij pan o niej, zapomnij nawet jej nazwiska, ponieważ wszystko co wycierpiała i co cierpi w tej chwili, zawdzięcza nie tylko mnie jednemu, lecz i panu! Zamiast przebaczyć jej winę, której się nie dopuściła, winę, o której w anielskiej czystości swej n wet nie miała pojęcia, pan, jak się domy-

ślam, podałeś myśl jej ojcu narzucić jej małżeństwo z hr. de Lucenay. Czyż się mylę?

Jerzy nic nie odrzekł, tylko westchnął.

Juljusz powiedział prawdę... i on czuł się winnym.

Pociąg zatrzymał się w Nogent-sur-Marne.

Artysta chcąc przerwać rozmowę z swym towarzyszem podróży, wysiadł i przeszedł do innego przedziału, pozostawiając Jerzego Lamarre zgnębionym i po raz pierwszy wyrzucającym sobie utratę szczęścia z braku odwagi.

Claude po przybyciu do Varenne-Saint-Hilaire udał się do najętego przedtem pokoju w oberży, zabrał dane mu przez Magdalenę niektóre papiery i rzeczy, nałożył na swe ubranie eleganckie bluzę roboczą i udał się do sali stołowej, w której dekoratorzy zebrali się na posiłek. Po czem odszedł wraz z nimi do willi jaworowej i wszedł na rusztowanie.

Juljusz de Lucenay jadł śniadanie z panią Dauray.

Anusia ubierała swą panią, oczekującą gorączkowo chwili zobaczenia swej córki.

Juljusz Claude z wysokości rusztowania, gdzie udawał pilnie zajętego robotą, śledził dom zamieszkały przez Gabrjelę Stellini, która stojąc w oknie, patrzała przez lornetkę na willę jaworową, oczekując zapewne na pokazanie się hrabiego.

Nagle Claude spostrzegł powóz, zatrzymujący się przed domem nr 27-my. Obok powozu jechało dwóch żandarmów.

Gabrjela spostrzegłszy ich, z początku nie zdawała sobie sprawy, co przybycie ich może oznaczać, lecz mimo to doświadczyła pewnego, nieokreślonego niepokoju.

Z powozu wysiadło trzech ludzi. Jeden z nich ubrany czarno z czerwoną wstążeczką u dziurki od guzika, wyglądał na zwierzchnika, dwaj drudzy podobni byli do ubranych po cywilnemu ajentów policyjnych.

Pierwszy z nich powiedział kilka słów do żandarmów, podszedł do drzwi i zadzwonił.

Gabrjela cofnęła się nagle od okna.

— Oni tu idą, proszę pani — zawołała Marjetta blada i drżąca.

— Zdaje się...

— Czego oni chcą?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Może się omylili...

Dzwonek zadźwięczał po raz drugi.

— Co robić, proszę pani?—pytała Marjetta.

— Potrzeba otworzyć, gdyż widzieli nas w oknie.

Marjetta wyszła otworzyć, Gabrjela zaś zeszła na parter.

Po otworzeniu drzwi człowiek z czerwoną wstążeczką przestąpił próg wraz z dwoma towarzyszami, żandarmi zaś stanęli po obu stronach drzwi.

— Czego panowie chcecie? — zapytała ledwie zrozumiałym głosem wystraszona pokojowa.

— Czy tu mieszka pani Gabrjela Stellini?—zapytał gość.

— Tak, panie.

— Czy jest w domu?

— Jest, panie.

— Proszę mię do niej zaprowadzić.

— Raczy pan powiedzieć swe nazwisko...

— To rzecz niepotrzebna... Proszę mię zaprowadzić...

Rozkaz był stanowczy.

Marjetta poszła przodem i wprowadziła gości do salonu, w którym, z pozornym spokojem lecz blada, oczekiwała Gabrjela.

— Czy to pani każesz się nazywać Gabrjelą Stellini? — zapytał jegomość z czerwoną wstążeczką, lekko się ukłoniwszy.

Usłyszawszy te trzy wyrazy: *każesz się nazywać*, kochanka hr. Lucenay omal nie zemdlała. Miała jednak siłę odpowiedzieć:

— Jestem Gabrjela Stellini, lecz z kim mam przyjemność mówić?

— Jestem szef bezpieczeństwa publicznego.

Gabrjela, zgnębiona, padła na fotel.

— Masz pani imię *Gabrjela*, lecz rodowe nazwisko pani jest *Pitou*. Czy pani przyznaje?

— Tak, panie...—odrzekła Gabri więcej giestem niż głosem.

— Pod tem nazwiskiem *Pitou* skazana byłaś pani za kradzież na trzynaście miesięcy więzienia i pięć lat dozoru policyjnego...

— Prawda...

— Odsiedziałaś pani więzienie, lecz wyłamałaś się z pod nadzoru... Miałaś pani mieszkać w Rouen, lecz umknęłaś... Aresztuję panią w imię prawa...

Gabri zerwała się z fotelu.

— Aresztujesz mię pan!... — zawołała głosem chrapliwym i przerywanym.—Więzienie... gdy dosięgałam już celu mych marzeń!... To zemsta Magdaleny!

Oprzytomniawszy po chwili, dodała:

— Nie mogę stawić oporu, więc poddaję się...

Szef bezpieczeństwa publicznego dał znak.

Dwaj ajenci podeszli i podali ramię Gabrjeli więej dla podtrzymania jej niż przeszkodzenia zamysłowi ucieczki, chwiała się bowiem na nogach i nie mogła iść. Podprowadzili ją do powozu i posadzili.

Marjetta, podsłuchująca w sąsiednim pokoju, słyszała wszystko. Dziewczyna ta, zepsuta do szpiku kości, miała ten przymiot, że była przywiązaną do swej pani, której była powiernicą.

— Ah, pani!... pani!... co za nieszczęście!...—wołała podbiegając do powozu. — Cóż się stanie zemną bez pani!

— To prawda, moja biedna Marjetto, zapomniałam o tobie — odrzekła Gabri, wyciągając ku niej rękę. — Wracaj do Paryża z naszemi rzeczami dziś jeszcze. Oto masz klucze... Wiesz, gdzie leżą pieniądze... weźmiesz ile będzie potrzeba na opłacenie służby i na życie... Za kilka dni otrzymasz odemnie list i instrukcję. Przecież i z więzienia wychodzą... wyjdę i ja... Zobaczymy się jeszcze...

Zamknięto drzwiczki i powóz ruszył.

Marjetta, zapłakana, pozostała sama.

W godzinę po odejściu powozu, stojący na rusztowaniu Juljusz Claude, spostrzegł wyjeżdżającą z dziedzińca willi jaworowej odkrytą karetą, w której siedziały: Henryka, p. Dauray i Anusia.

Hrabia odprowadził je do bramy, poczem zapalił cygaro i udał się na przechadzkę po parku.

Marjetta po odjeździe swej pani spakowała w walizy ubranie Gabri i swoje, wyprawiła najętym wozem na stację kolei żelaznej, oddała klucze od mieszkania ogrodnikowi i odjechała do Paryża.

W dziesięć minut po jej wyjeździe wybiła godzina druga.

W tej chwili, punktualny Dufour, wierny przyrzeczeniu, podchodził do swego domu wraz z mamką, niosącą na rękach uśpione dziecię.

Ogrodnik, który był mu przedstawiony w kantorze podczas kupna domu, poznawszy go, podszedł ku niemu i zawołał:

— Ah, panie, co tu się stało!

— Cóż takiego?

— Pani Stellini została aresztowaną i uprowadzoną przez policję i żandarmów.

— Ba!

— Zdawało się, że to taka wielka pani, tymczasem okazuje się, że to była .ot sobie!

Dufour nic nie odpowiedział; teraz dopiero zrozumiał zapewnienie Juljusza Claude, że mieszkanie zostanie puste.

— To, coś mi powiedział, nie dziwi mię wcale —odrzekł—domyślałem się, że prędzej lub później to nastąpi... Czy masz klucze?

— Oto są.

— Czy porządkowałeś w ogrodzie?

— Tak.

— Dobrze, to idź do roboty.

Dufour, stosując się do polecenia Juljusza, ulokował mamkę z dzieckiem w pokoju na piętrze.

Claude, posiadający wzrok bystry, nie potrzebował lornetki, by widzieć wszystko, co zaszło w domu nr 27-my. Spostrzegłszy przybywającego Dufoura, zeszedł z miejsca, w którem obserwował i wszedł na rusztowanie stojące pod oknem hrabiego. Rzucił wzrokiem naokoło siebie i przekonawszy się, że nikt go nie widzi, wszedł przez otwarte okno do pokoju. Znalazłszy się tam, na chwilę zatrzymał się przy biurku, na którem leżała lornetka, przez którą hrabia przyglądał się Gabrjeli, poczem ukrył się za portjerą, zasłaniającą framugę okna.

Był czas, gdyż zaledwie za nią zniknął, hrabia, wracający z parku, wszedł do pokoju i podstąpił do biurka, przy którem na chwilę zatrzymał się był Claude.

Nagle portjera rozsunęła się i artysta podszedł ku hrabiemu.

Lucenay, osłupiały, cofnął się o krok, sądząc, iż znajduje się w obec złodzieja.

Wtem w nieznajomym poznał Juljusza Claude.

— To ty!—zawoła—ty, bezczelny łotrze!

— Więc pan hrabia raczył mię poznać!—odrzekł artysta z morderczą ironją. — Tem lepiej! uwolni to nas od wielu słów zbytecznych.

— Dla czego ośmieliłeś się pan wejść do mego pokoju? Co pan tu robisz?

— Pan hrabia zapewne przypuszcza, że znieważywszy go w Wenecji, przychodzę obecnie prosić go o przebaczenie?

— Ah, strzeż się!... jestem u siebie — głosem stłumionym zawołał Lucenay, którego oczy tryskały krwią. — Mam broń i biada ci nikczemny, jeżeli nie wyjdziesz natychmiast!—i wściekły z gniewu, z podniesioną ręką, podszedł ku Juljuszowi.

Ten skrzyżował ręce na piersi i stał nieporuszony.

— Nie lękam się—odrzekł—jestem spokojny, że mię nie dotkniesz i wysłuchasz mię jeszcze raz panie trucicielu!

Lucenay, który miał się już rzucić na Juljusza, wstrzymał się nagle, jakby rażony gromem.

— Przestraszyło cię to słowo, nikczemny łotrze, zabójco kobiet!—ciągnął dalej Juljusz.

I gdy hrabia, pobudzony tą zniewagą, postąpił o krok, by rzucić się na niego, artysta wyjąwszy z kieszeni rewolwer, dodał:

— Ani mi się rusz, bo jak Bóg na niebie, zabiję cię jak psa wściekłego, ciebie, który chciałeś zadusić Magdalenę Gallier, który zamordowałeś jej

dziecko, ciebie, który trujesz hrabinę de Lucenay, ciebie, mego brata!

Hrabia cofnął się chwiejnym krokiem.

— Ty, mój brat—wyjąkał—ty!

— Tak, twój brat... Ten, którego hrabia Gaston de Lucenay - Charente, nasz ojciec wspólny, rzucił w świat nie dawszy mu nazwiska, nie pozostawiwszy środków do życia!... Ah! ty nosisz to nazwisko historyczne i spodliłeś je, pokryłeś je błotem, gdy tymczasem ja je uszlachetniłem. Ale nosisz je w każdym razie, gdy ja nazywam się Juljuszem Claude; lecz to nazwisko pospolite, nazwisko mojej biednej matki, uwiedzionej i opuszczonej przez nikczemnika, uczynię sławnem! Ty, panie hrabio, synu prawy, szlachcicu z nazwiska i herbu, ostatni przedstawicielu wielkiego rodu, szlachetne pędziłeś życie! Przewałęsawszy się po szulerniach i różnych jaskiniach, spadałeś coraz niżej, z występku do zbrodni i mordowałeś dla zerwania łańcucha wiążącego cię z przeszłością i dla sprzedania tytułu! Dziś jesteś kochankiem pani Stellini, albo raczej jakiejś łotrzycy Gabrjeli Pitou, skazanej za złodziejstwo na trzynaście miesięcy więzienia i pięć lat nadzoru policyjnego, pragnącej zostać hrabiną de Lucenay, tej kochanki godnej ciebie, truciciela żony własnej!

— Kłamstwo!—zawołał hrabia przerażony.

— Trucizna tam stoi...—rzekł Juljusz, wskazując ręką szafę zamkniętą na klucz, tam jest... w karafce, z której onegdaj wlałeś dozę do napoju pani de Lucenay. Nie zaprzeczaj napróżno! widziałem!

— Milcz! milcz!

— Mam milczeć! Ha, ha, ha! Ależ ja wiele rzeczy powiem ci jeszcze i ty musisz mię słuchać! Przedewszystkiem, to ja wykradłem twej żonie córkę... moją! Gdybym był pozostawił to dziecię w tym

domu, byłbyś je zamordował, lub, co byłoby jeszcze większem nieszczęściem, nazywałoby cię ono swym ojcem!

Lucenay odzyskał cokolwiek zimnej krwi.

— Lecz nakoniec, czego pan chcesz odemnie?— zapytał.—Jeżeli mój ojciec odmówił panu swego nazwiska, jam temu nie winien! Niesprawiedliwością byłoby robić mnie odpowiedzialnym za jego czyny! Jesteś pan ubogim, ja zaś bogatym... Więc dobrze! jestem gotów dać panu część mego majątku...

— Nie chcę twojego majątku!

— Więc czego pan żądasz?

— Powiedzieć ci, że chociaż niekiedy kara się opóźnia, to jednak przychodzi zawsze i że dla ciebie godzina sprawiedliwości już wybiła...

— Są to puste słowa—odrzekł hrabia.

— Puste słowa, niech i tak będzie! Potrzebujesz czynów—oto je masz. Przed godziną policja przybyła do domu pod nr 27-my na wybrzeżu Marny w Varenne-Saint-Hilaire...

— Do Gabrjeli!—zawołał hrabia.

— Do Gabrjeli Pitou, a ponieważ dziewczyna ta wyłamała się z pod nadzoru policyjnego, została więc odwiezioną do więzienia.

Hrabia wzruszył ramionami.

— Cóż mię to obchodzi?—odrzekł.—Czy myślisz pan może, że dbam o nią? Policja uwolniła mię od niej, tem lepiej!

— Poczekaj, nie skończyłem jeszcze! Pani Lucenay dowie się dzisiaj o wszystkich twoich zbrodniach! Dowie się, że chciałeś zadusić Magdalenę Gallier, żeś zabił jej dziecko i że chciałeś pozbawić ją życia trucizną!

— Kto jej to powie?—zapytał hrabia pieniąc się z wściekłości.

— Ja powiem. Ah! czytam z twych oczów, panie bracie, że pragnąłbyś mię zadusić i gdybyś nie widział lufy tego rewolweru, życie moje byłoby w niebezpieczeństwie! Ale na szczęście mam cię czem powstrzymać! Cierpliwości, posłuchaj jeszcze... Czy wiesz, co w tej chwili dzieje się w tamtym domu nad brzegiem rzeki, z którego ajenci policyjni wywieźli twoją kochankę? Pani Lucenay w towarzystwie swej matki i pokojowej tylko co do niego weszła, wiedząc, że tam znajdzie swe dziecię.

— To nieprawda! To być nie może!

— Prawda i rzecz tak możliwa, że z tego okna możesz ją widzieć jak całuje swe dziecię, tak jak dziś rano widziałeś Gabrjelę Pitou i przesyłałeś jej pocałunki... Spójrzyj! Spójrzyj!...

Juljusz podszedł do okna i trzymając w prawej ręce rewolwer, lewą wskazał biały domek z roletami zielonemi.

Hrabia wytężonym wzrokiem usiłował ropoznać osoby, o których Juljusz mówił, że widzi w domu Dufoura, ale prócz cienia drzew i światła nic nie spostrzegał.

— Przyjrzyj się! przyjrzyj!—powtórzył artysta.

— Nie nie widzę.

— Bo nie chcesz widzieć.

Hrabia poruszył się, jak gdyby mu przyszła do głowy pewna myśl, zbliżył się do stolika, na którym leżała lornetka, wziął ją i podstąpiwszy do okna, zbliżył do oczu.

Ale zaledwie obrócił kółko maszynerji, jęknął przeraźliwym głosem, upuścił lornetkę i zakrył dłońmi twarz zbroczoną krwią, cieknącą z oczu; przecięły je ostrza lornetki Lobba, podstawionej przez Juljusza na miejsce nieszkodliwej lornetki Filipa Daurav

— W ten sposób chciałeś zamordować Magdalenę—zawołał artysta—w ten sposób powinieneś umrzeć! Bóg jest sprawiedliwym!

I położywszy na stoliku wyjęty z kieszeni papier, Juljusz przekroczył okno, wszedł na rusztowanie, spuścił się na dół i pobiegł przez park ku tarasowi nad brzegiem rzeki.

Tymczasem hr. de Lucenay, okrwawiony, wydawał jęki i tarzał się po posadzce.

Krzyki jego zwróciły nareszcie uwagę pracujących na rusztowaniu dekoratorów, Germaina i służby pałacowej. Gdy odkryli miejsce skąd pochodziły i wpadli do pokoju, znaleźli hrabiego w konwulsjach strasznych. Oniemiali z przerażenia otoczyli go kołem. Jęki i krzyki zmieniły się wkrótce w przedśmiertne chrapanie, dreszcze słabły co raz więcej, krew przestała płynąć, a nabrzmiała twarz porysowana czerwonemi pręgami, przybrała kolor czarny.

Drgnął raz ostatni i skonał.

— Panie Germain, patrz no pan—zawołał jeden z dekoratorów, wskazując mu ręką leżący na stoliku jakiś papier.

Stary kamerdyner wziął papier do ręki i po chwili krzyknął ze zdziwienia.

Była to deklaracja bez daty, napisana u Magdaleny Gallier nazajutrz po pojedynku w lasku Seine-Port i podpisana: *hr. de Lucenay-Charente*, a zaczynająca się od słów: *„Niechaj nikogo nie obwiniają o śmierć moją; odbieram sobie życie dla uniknięcia kary zasłużonej i przed śmiercią wyznaję me zbrodnie.“*

XXXVII.

Podczas, gdy straszny ten dramat odbywał się w willi jaworowej, Jan Dufour, wzruszony i niespokojny, stojąc na progu swego domu oczekiwał przybycia hrabiny de Lucenay.

— Czy przyjedzie?—zapytywał siebie.—Czy czasem Claude nie łudził się tylko nadzieją i czy hrabia nie przeszkodził wyjazdowi swej żony?

Nagle twarz jego rozpromieniła się. Na moście Chennevières spostrzegł powóz wiozący hrabinę, jej matkę i Anusię. W kilka minut powóz ten zatrzymał się przed drzwiami domu.

Pan intendent podbiegł, by otworzyć drzwiczki i pomódz wysiąść.

— Jakto, to pan, panie Dufour!—zawołała zdziwiona pani Dauray.

— Tak, ja pani—odrzekł—miałem zaszczyt oczekiwać na panie.

— Moja córka... moja córka... gdzie moja córka? —pytała gwałtownie Henryka.

Dufour chciał odpowiedzieć, lecz nie miał czasu, gdyż w tejże chwili dał się słyszeć głos kwilącego dziecka.

Henryka bez niczyjej pomocy przebyla schody i wbiegła do pokoju. Oczekująca na nią mamka, uśmiechnięta, podała jej dziecię.

Hrabina wydała krzyk, pochwyciła swą córkę, przycisnęła do piersi i płacząc łzami szczęścia, zaczęła okrywać ją pocałunkami.

Mała istotka uśmiechała się i bawiła włosami swej matki.

Pani Dauray i Anusia zbliżyły się i płakały z radości.

— Ah!—zawołała hrabina--ona mię już nie opuści teraz, nigdy!

— W tym celu została [pani oddaną — odezwał się jakiś głos drżący.

Wszyscy zwrócili się ku temu, który wyrzekł te słowa.

Był to Juljusz Claude, który podszedłszy ku hrabinie, ukląkł przed nią na jedno kolano.

Henryka w pierwszej chwili cofnęła się z przestrachu, poczem przypatrzywszy mu się, wybuchła łkaniem.

— Pani, jestem wielkim winowajcą pokutującym —rzekł Juljusz ze łzami w oczach. — Byłem bardzo nikczemnym, sprawiłem pani wiele strasznego cierpienia... Całe życie moje nie wystarczy dla odpokutowania, dla odkupienia mej zbrodni... Wykradłem dziecię pani, teraz je wracam... Nadto ukradłem pani to i oddaję... — dodał, podając jej fotografję. — Obecnie, jakkolwiek niegodny jestem litości, przybywam prosić o przebaczenie, jeśli chce pani bym żył.

Henryka po chwili milczenia, z uśmiechem smutnym lecz łagodnym odrzekła:

— Chcę byś pan żył... Powstań pan i powiedz, kto zagrażał memu dziecku...

— Człowiek, który obowiązany był opiekować się niem... hr. de Lucenay...

— On!—zawołała p. Dauray.

— Tak, on! On, który nocy onegdajszej do napoju swej żony dolał trucizny... mogę przekonać...

— Nikczemnik! — szepnęła Henryka. —Czy wiedząc o tem, należy wracać do Chennevières, by patrzeć na tego potwora?

— Nie zobaczy go pani więcej.

— Wyjechał? — zapytała żywo pani Dauray. — Czy uciekł dla tego, że przewidywał, iż zbrodnie jego są wiadome?

— Nie uciekł, pani, lecz nie żyje!
— Nie żyje!—powtórzyła Henryka osłupiała.
— Tak, pani.
— Jakim sposobem umarł?
— Odebrał sobie życie.
— Czy jesteś pan pewny?
— Widziałem!
— Ah! moja córka, moja córka—szeptała młoda matka, całując z uniesieniem Marję Magdalenę—jakże dobrym jest Bóg! Więc jesteśmy wolne!
— Moje dziecko—rzekła p. Dauray—zabierajmy mamkę i wracajmy do willi. Pan — dodała wdowa, zwracając się do Juljusza Claude — naprawiłeś choć w części wyrządzone złe... Nie będę surowszą od mej córki, która panu przebacza... Gdy nadejdzie czas właściwy, dom nasz będzie dla pana otwartym.

Henryka podała rękę artyście i szepnęła głosem cichym:

— Wróciłeś mi pan córkę... Dziękuję...

Juljusz wziął jej drobną rękę i dotykając jej ustami, czuł w sobie rozpływające się serce.

P. Dauray, Henryka, mamka i Anusia, odprowadzone przez Juljusza Claude odeszły i siadły do powozu. Pani Lucenay trzymała ciągle na rękach swą córkę i gdy Dufour zamykał drzwiczki, podsunęła ją Juljuszowi.

— Ucałuj ją pan...—rzekła.

Artysta okrył pocałuakami rumianą twarzyczkę dziecka, które pod wpływem pieszczoty zaczęło się chichotać.

Na obliczu Henryki wystąpił rumieniec purpurowy. Zdawało się jej, że sama otrzymuje te pocałunki.

Powóz ruszył.

— Przyszły artysta wielki! — rzekł Dufour rozczulony (wiemy, że łotr na zawołanie umiał być czułym). Albo nie mam mózgu pod czaszką, albo za rok od dnia dzisiejszego pani hr. de Lucenay, wdowa po moim panu, nazywać się będzie wprost tylko panią Juljuszową Claude...

— Przyszłość jest w ręku Boga — odrzekł sentencjonalnie Juljusz.

— Ale jakim sposobem — pytał dalej Dufour — skończył życie hrabia?

— Przez nieostrożność.

— Jaką?

— Użył lornetki Lobba.

— Ah! — zawołał Dufour zachwycony. — Co za wspaniałe rozwiązanie melodramatu!

*

* *

W trzy dni po tych wypadkach, hr. de Lucenay-Charente, którego samobójstwo potwierdzone zostało aktem urzędowym, został pochowany na cmentarzu Chennevières, o ile można było najdalej od rodzinnego grobu Daurayów.

Niepodobieństwem było ukrywać dłużej przed Henryką śmierci jej ojca.

Bolesna ta i niespodziewana wiadomość, udzielona kilka dni wcześniej, byłaby ją zabiła, ale teraz, gdy młoda wdowa odzyskała swą córkę, znalazła dostateczne siły do zniesienia tego ciosu. Z początku rozpaczała i płakała, ale liczyła ośmnaście lat życia i pozostawała jej matka, dziecię i przyszłość. Cierpienie też jej powoli słabło, pozostawiając w głębi duszy czułe, niezatarte wspomnienie.

Wraz z tragiczną śmiercią hrabiego Dufour pozostał bez pana.

W skutek aresztowania Gabrjeli, skazanej przez sąd policji poprawczej za uchylenie się z pod nadzoru na pół roku więzienia, dom nad brzegiem rzeki pozostał bez lokatora. Pan eks-intendent skorzystał z tego i chcąc jak najprędzej urzeczywistnić swe marzenia, objął go natychmiast w posiadanie.

Miał teraz wszystkie roskosze pożądane: konia, powozik angielski i ulubioną namiętnie rozrywkę—rybołówstwo. Od rana do wieczora, a czasami od wieczora do rana, widywano go teraz w łódce, zakładającego węcierze lub z wędką w ręku. Pewien rybak z Varenne nauczył go zarzucać sieć, w której to czynności Dufour wkrótce prześcignął nauczyciela. Jego skrzynka w przystani była zawsze pełna ryb, które też spożywał we wszelkich odmianach przyrządzane, gotowane i smarzone.

Słowem, czuł się zupełnie szczęśliwym i każdego dnia zacierając ręce, powtarzał:

— Oto co to jest mieć spryt! Iluż to ludzi na tym świecie pracuje ciężko i nie dochodzi do żadnego rezultatu!... Ja zrobiłem majątek, nie dbając o głupie skrupuły i postąpiłem dobrze! Jestem posiadaczem domu, za który zapłaciłem gotówką!... mam dwanaście tysięcy renty dożywotniej i kpię sobie z losu! Cóż mię spotkać może?

A jednak ot co go spotkało.

Pewnego pogodnego dnia przed wieczorem, Dufour widząc piękne karpie, wyskakujące nad powierzchnię wody, dla łapania much, pochwycił sieć, zapomniawszy, jak to czynił zwykle przez ostrożność, włożyć na siebie bluzę, dla pewniejszego zarzucenia ciężkiej sieci, mającej po krawędziach kawałki ołowiu. Ułożył ją na prawej ręce i według wszelkich

prawideł rzucił na wodę, opisując w powietrzu łuk. Tymczasem jedno oczko sieci zaczepiło się się o guzik żakietu i Dufour, gwałtownie pociągnięty, przechylił się i wpadł wraz z siecią do rzeki.

Stało się to tak nagle, że ex-intendent nie miał czasu nawet krzyknąć, a tembardziej powiedzieć sobie:

— *Male parta do czarta!*

Zwłoki jego znaleziono dopiero dnia następnego.

Oby Bóg przebaczył jego biednej, nieświadomej duszy!

*
* *

Małżeństwo Celestyna de Valaudelle oddawna było postanowione w zasadzie.

Na tydzień przed oznaczonym dniem ślubu, mającego się odbyć bez żadnej wystawności w kościele Saint-Honoré-d'Eylau, Magdalena i jej narzeczony siedli do powozu wraz z Walentyną, uprzedzoną dnia poprzedniego.

— Dokąd pojedziemy?—zapytała Walentyna.

— Pojedziem na wieś zjeść śniadanie—odrzekł, śmiejąc się Valandelle.

— W którą okolicę?

— Zobaczy pani.

I powóz potoczył się ku dolinie Montmorency.

Magdalena tknięta głęboko okazanemi jej przez swą przyjaciółkę dowodami przyjaźni i poświęcenia, postanowiła zapewnić jej spokój i przyszłość.

Wiedząc, że najgorętszem życzeniem Walentyny było ciche, wiejskie życie w ukryciu, uprosiła Celestyna, by kupił jej małą, ładną fermę i do tego to właśnie wiejskiego domu, ukrytego wśród wielkich drzew, jechali zainstalować ją, jaką właścicielkę.

Walentyna nie posiadała się z radości i nie wiedziała, jak wywdzięczyć się za tę niespodziankę.

— Często będę z żoną przyjeżdżał do pani na wileko—zapowiedział Celestyn, ściskając serdecznie jej rękę.

W tydzień po tej wycieczce Magdalena w obec Boga i ludzi została margrabiną de Valandelle.

Klęcząc u stóp ołtarza, przed którym małżeństwo jej miało być pobłogosławionem, młoda kobieta z twarzą ukrytą w dłonie, z oczyma wilgotnemi od łez, szeptała z gorącem uczuciem wdzięczności:

— Boże dobroci!... Boże przebaczenia!... Miałeś litość nad pokutującą grzesznicą... uczyniłeś dla mnie więcej, niż byłam godna. Ale będę go tak kochała, o Boże, uczynię go tak szczęśliwym, a z pomocą jego wielkiego majątku będę czyniła tyle dobrego, że zasłużę na moje szczęście!...

*

* *

Upłynął rok.

Juljusz Claude, artysta sławny, któremu świetne powodzenie dwóch jego obrazów na ostatniej wystawie sztuk pięknych, przyniosło sprawiedliwie zasłużony krzyż legji honorowej, zaślubił w kościele Chennevières Henrykę, wdowę po hr. de Lucenay.

Celestyn był jednym z jego drużbów.

Podczas ceremonji ślubu markiz de Valandelle trzymał za rękę malutką Marję Magdalenę, przyglądającą się swej matce wielkiemi, pięknemi oczkami.

Juljusz, klęcząc przed ołtarzem, szeptał słowa, jakie przed kilkoma miesiącami mówiła do siebie Magdalena.

— Będę ją kochał i uczynię ją tak szczęśliwą, że zasłużę na moje szczęście.

Juljusz i Magdalena dotrzymali słowa.

Henryka i Celestyn są szczęśliwi, zupełnie szczęśliwi!

KONIEC